

*Najbardziej na świecie pragnęła zostać matką. A teraz boi się,
że ojcem jej wymarzonego dziecka jest... seryjny morderca.*

LISA SCOTTOLINE

CZEKAM
NA CIEBIE

Prószyński i S-ka

LISA
SCOTTOLINE
CZEKAM
NA CIEBIE

Przełożyła
Magdalena Rychlik

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
MOST WANTED

Copyright © 2016 by Smart Blonde, LLC.
All rights reserved

Projekt okładki
Sylwia Turlejska
Agencja Interaktywna Studio Kreacji
www.studio-kreacji.pl

Zdjęcie na okładce
© Vanesa Munoz/Trevillion Images

Redaktor prowadzący
Monika Kalinowska

Redakcja
Joanna Habiera

Korekta
Katarzyna Kusojeć
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8123-445-0

Warszawa 2017

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Mojej najwspanialszej córce Francesce

Kołyska buja się nad otchłanią...

VLADIMIR NABOKOV^{[1](#)}

^{[1](#)} V. Nabokov, *Pamięci, przemów*, tłum. Anna Kołyszko, Wyd. Muza, Warszawa 2004.

ROZDZIAŁ 1

Christine Nilsson poczuła dreszczyk emocji, bo wiedziała, że za zamkniętymi drzwiami pokoju nauczycielskiego czeka na nią przyjęcie niespodzianka. Domyśliła się natychmiast, gdy wszyscy nauczyciele opuścili jak na komendę swoje klasy tuż po dzwonku, a dyrektorka zaprosiła ją na „krótkie zebranie kadry nauczycielskiej”, chyba pierwsze w historii Nutmeg Hill, szkoły podstawowej, w której pracowała. Było jej niezmiernie miło, że postanowili ją uroczyście pożegnać, mimo natłoku zajęć w ostatnim tygodniu przed końcem roku szkolnego. Uwielbiała swoich kolegów i koleżanki, poza Melissą Rue, Naczelną Plotkarą.

Christine z przyklejonym do twarzy uśmiechem stanęła przed pokojem nauczycielskim, zawahała się, nim przekreśliła okrągłą klamkę. Potrafiła udawać entuzjazm z wprawą zawodowca, ale wiedziała, iż koledzy wyczują fałsz. A ona nie chciała niczego udawać, tylko cieszyć się każdą sekundą pożegnane bankietu wieńczącego jej nauczycielską karierę. Cóż, przynajmniej na razie, bo wreszcie zaszła w upragnioną ciążę i zdecydowała się zostać w domu z dzieckiem, wchodząc w rolę matki z zapałem neofity.

Na samą myśl zalewała ją fala szczęścia potęgowanego hormonami, zarówno naturalnymi, jak i pozostałościami syntetycznego estrogenu. To, co niektórym parom przychodzi z łatwością, dla Christine i jej męża Marcusa było ukoronowaniem trzech lat starań. Dzięki Bogu już po wszystkim, nie mogła się już doczekać malowania dziecięcego pokoju, wyboru łóżeczka i wszystkich innych fetyszy towarzyszących pojawieniu się dziecka. Czytała książki o przebiegu ciąży, wyobrażała sobie, jak wygląda teraz płód, najśodsza krewetka na świecie. Z niecierpliwością wyczekiwała nawet ciążowego brzucha i konieczności noszenia dużych ubrań dla ciężarnych. Na jej twarzy rozkwitł naturalny uśmiech, który miał tam pozostać do końca przyjęcia, a być może do końca życia. Otworzyła drzwi.

– Niespodzianka! – wykrzyknęli chórem. Kobiety uśmiechały się dziarsko,

prezentując nieco rozmazane makijaże i fryzury w lekkim nieładzie po całym dniu pracy. Przedstawiciele płci męskiej było tylko dwóch: chudy jak patyk wuefista Jim Paulsen, zwany Slim Gymem, oraz brodaty Al Miroz, który uczył matematyki w szóstych klasach i był ekspertem od quizów z wiedzy ogólnej, czemu zawdzięczał przydomek Wiki-Al. Nie zabrakło pater z preclami i chipsami ziemniaczanymi, papierowych talerzyków, jednorazowych kubków oraz litrowych butelek z coca-colą. Pomieszczenie wypełniał zapach świeżo parzonej kawy. Nad tablicą ogłoszeń widniało hasło: „Nauczyciele powinni świecić przykładem i przypominać uczniom, że rok szkolny jeszcze trwa”. Pod spodem ktoś dopisał: „Wypchaj się!”.

Wszyscy po kolei uściskali Christine. Pokój nauczycielski był małym pomieszczeniem pozbawionym okien, na jego wyposażenie składało się kilka stolików i krzeseł ze sklejki, podarowany przez kogoś ekspres do kawy, stara mikrofalówka oraz nowiutki telewizor, z włączonym programem informacyjnym. Telewizor był nagrodą pocieszenia w konkursie na najlepszy wystrój pokoju nauczycielskiego. Zasłużyli wtedy na pierwsze miejsce, podstawówka z Dunstan popsowała im szyki, niech ich piekło pochłonie.

– Dziękuję! – powiedziała wzruszona. Będzie tęskniła za nimi po ośmiu latach wspólnej pracy. Prowadziła zajęcia wyrównawcze dla uczniów borykających się z trudnościami w czytaniu. Kłopoty osobiste związane z leczeniem niepłodności sprawiły, że zbliżyła się do koleżanek i kolegów z pracy, którzy wielkodusznie ignorowali skutki uboczne leków oraz przesuwali terminy zebrań, gdy kolidowały z jej wizytami u lekarza. Christine była wdzięczna im wszystkim, wyjąwszy Melissę Rue, która była świadkiem jej porannych wymiotów w toalecie, a potem cała szkoła usłyszała o ciąży. Wcześniej tylko zgadywano, iż jeden z zabiegów zakończył się sukcesem, jedynie najlepsza przyjaciółka Christine, Lauren Weingarten, znała całą prawdę.

– Kochana! – zawołała Lauren, rozkładając swoje duże ramiona i zamykając przyjaciółkę w serdecznym uścisku. Miała na sobie luźną białą koszulę i czarne spodnie do połowy łydek, pachniała owocowymi mazakami. Do jej obowiązków zawodowych należało szkolenie grona pedagogicznego, gdy następowały jakiegokolwiek zmiany w programie edukacji. Bujna osobowość Lauren czyniła z niej najpopularniejszą osobę w szkole, Królową ZPT, Główną Organizatorkę Wszystkiego, Niestrudzonego Króliczka Duracella. Jej ramiona notorycznie nosiły ślady markera przypominające rany odniesione

w boju.

– Dziękuję, skarbie – powiedziała Christine ze wzruszeniem, gdy Lauren wreszcie uwolniła ją z objęć.

– Naprawdę się nie spodziewałaś? – Lauren podejrzliwie zmrużyła ciemne oczy, wokół których prawie nie było zmarszczek. Miała za to kilka linii wokół ust, ponieważ uwielbiała się śmiać. Długie ciemnobrązowe włosy zebrane z tyłu spływały na plecy w luźnych falach.

– Nic a nic – zapewniła z uśmiechem Christine.

– Akurat – prychnęła Lauren z domyślnym uśmiechem. W tej samej chwili ktoś zapukał w drzwi.

– Kto to? – zapytała Christine, odwracając się.

– Aha! Teraz naprawdę cię zaskoczymy! – Lauren podeszła do drzwi i otworzyła je z rozmachem. – Tadam!

– Cześć! – Wejściu Marcusa towarzyszyły śmiech i oklaski. Pochylił się, przechodząc przez próg, bardziej z przyzwyczajenia niż konieczności. Mąż Christine miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważył dziewięćdziesiąt osiem kilogramów, w czasach studenckich grał w baseball na pozycji miotacza. Letni, szary garnitur i lekko poluzowany krawat świadczyły o tym, że przyjechał wprost z lotniska.

– Kochanie! – zawołała zaskoczona Christine.

– Niespodzianka! – Marcus zamknął ją w niedźwiedzim uścisku, przytuliła twarz do jego wymiętej koszuli.

– Myślałam, że jesteś w Raleigh.

– To był podstęp, za który możesz podziękować swoim przełożonym, ja tylko wykonuję polecenia. – Wypuścił ją z objęć i popatrzył znacząco w oczy.

– Dzięki. – Christine odwzajemniła uśmiech męża, odczytawszy między wierszami, iż całe przyjęcie zostało zorganizowane z inicjatywy dyrektorki szkoły. Zwróciła się do Pam, która wystąpiła naprzód, dzierżąc w dłoniach płaskie pudełko.

– Będziemy za tobą tęsknić, Christine, ale dziecko to akurat ważny powód, żeby nas zostawić. Nie zaakceptowalibyśmy żadnego innego. – Rozpromieniona Pam postawiła pudełko na stole. – Kupiłam w cukierni niedaleko domu. Taka okazja wymaga czegoś specjalnego, na pewno nie jakiegóż bądziwia z hipermarketu.

– Ojej, jak miło. – Christine podeszła do stołu, za nią Marcus i pozostali, którzy zebrali się wokół. Otworzyła pudełko, w środku był tort w waniliowej

polewie ozdobiony napisem z fioletowego lukru: „Wszystkiego najlepszego, Christine!”. Oraz podobizną bociana w kapeluszu, trzymającego w dziobie zawiniątko z dzieckiem.

– Urocze! – zaśmiała się Christine, choć wiedziała, że stojący obok Marcus zeszywniał. Nie było mu łatwo, lecz dzielnie robił dobrą minę do złej gry.

Pam popatrzyła na nich oboje.

– Nie macie nic przeciwko, prawda? Wiem, że to nie jest przyjęcie na cześć dziecka, ale nie mogłam się oprzeć.

– Oczywiście, że nie. – Christine odpowiedziała za siebie i za Marcusa.

Pam uśmiechnęła się z ulgą.

– Wspaniale! – Zwróciła się do Marcusa: – Wolałbyś chłopca czy dziewczynkę?

– Wszystko mi jedno, byle grało w golfa – zażartował, wzbudzając ogólną wesołość.

– Christine, przejmiesz rolę gospodyni? – zaproponowała Pam, po czym wręczyła jej nóż.

– Biercie talerze, dzieciaki! – Christine popatrzyła łakomie na tort i przystąpiła do krojenia.

– Kto wygłosi toast?! – zawołała z tyłu Melissa. – Marcus?

– Jasne. Oczywiście, że wygłoszę toast. – Christine знаła go na tyle dobrze, by wiedzieć, co kryje się za szerokim uśmiechem i błyskiem w niebieskich oczach.

– Śmiało, kochanie! – dodała mu otuchy. – Mnie już nie chcą słuchać.

– Co prawda, to prawda – prychnęła Lauren.

Zebrani zachichotali, patrzyli teraz wyczekująco na Marcusa – którego widywali dość rzadko, ponieważ dużo podróżował – a na ich twarzach malowało się żywe zainteresowanie. Lauren żartowała kiedyś, że Christine ma najlepszego męża w szkole, bowiem jako architekt zarabiał więcej niż partnerzy koleżanek, w większości pracujący w edukacji, a jak wiadomo, za dwie nauczycielskie pensje może przeżyć jedna osoba. Przestała żartować, gdy wyszło na jaw, iż Marcus jest całkowicie bezpłodny.

Był zdruzgotany niespodziewaną diagnozą, kiedy lekarze wykryli u niego azoospermie, czyli brak plemników w nasieniu. Po roku bezowocnych starań o dziecko ta wieść nimi wstrząsnęła. Ginekolog Christine skierowała ją do specjalisty leczenia niepłodności, doktora Davidowa, ponieważ na początku wszyscy, łącznie z nią samą, zakładali, że problem leży po jej stronie, miała

już trzydzieści trzy lata i nigdy nie miesiączkowała regularnie. Tymczasem badania nie wykazały u Christine najmniejszych odchyień od normy. Doktor Davidow przekazał im diagnozę, starannie dobierając słowa. Męska bezpłodność, podkreślił, jest „wspólnym problemem pary”, za który „nie ponosi winy” żaden z małżonków.

Niemniej jednak męska duma Marcusa ucierpiała znacząco, nikt nie podejrzewał, że emanujący męską siłą, przystojny, wysportowany okaz zdrowia może być bezpłodny. Marcus potraktował wiadomość jako problem, który należy rozwiązać. Zjadał hurtowe ilości jarmużu bogatego w witaminę A, która miała wspomagać produkcję plemników, unikał obcisłej bielizny, jeżdżenia na rowerze, gorących kąpielii, które i tak uważał za obrzydliwe. W przypływie desperacji poddał się nawet budzącemu grozę zabiegowi, pozwolił doktorowi Davidowowi na próbę operacyjnego pozyskania plemników prosto z nasieniowodów, wszystko na próżno.

„Naprawdę strzelam ślepakami?”, zapytał po zabiegu, wciąż z niedowierzaniem.

Chodzili na terapię do Michelle LeGrange, która przyjmowała w klinice leczenia niepłodności. Terapeutka uświadomiła im znaczenie słowa „akceptacja”. Christine i Marcus zaakceptowali ostatecznie, że mają do wyboru adopcję lub zabieg inseminacji nasieniem dawcy. Christine przystałaby na adopcję, aby jej mąż nie czuł się wykluczony, co było częstym problemem bezpłodnych mężczyzn niemających „udziału genetycznego” w poczęciu, jak im powiedziała Michelle. Jednak Marcus nie chciał pozbawiać żony wyjątkowego doświadczenia, jakim jest ciąża, której tak pragnęła. Podczas jednej z sesji terapeutycznych wyraził pragnienie, by dziecko „było przynajmniej w połowie ich”. Michelle zasugerowała, że nie jest to najlepszy argument, ale cóż... Po kilku kolejnych sesjach i wielu wylanych łzach, pewnego wieczoru, gdy siedzieli przy kuchennym blacie, jedząc chińszczyznę na wynos, Marcus zastygł z uniesionymi pałeczkami i oświadczył:

- Podjąłem decyzję. Poszukajmy dawcy.
- Jesteś pewien? – Christine starała się ukryć emocje. Ona także tego pragnęła, ale nie chciała mu niczego narzucać.
- Tak. Skoro inaczej się nie da. – Marcus odłożył pałeczki, odsunął talerz i sięgnął po laptop. – Znajdźmy ojca dla dziecka.
- Jakiego ojca? Dawcę.

– Wszystko jedno. Zróbmy to. Zróbmy dzidziusia.

Przystąpili zatem do przeglądania stron banków spermy, które zamieszczały profile dawców online, aby zaprezentować klientom fizyczne cechy każdego z nich. Na początku czuli się niezręcznie, jakby kupowali ludzi na Allegro. Szukali kogoś, kto pasował do nich grupą krwi i fenotypem, a także wyglądem, żeby dziecko było do nich podobne. Marcus miał jasne włosy o popielatym odcieniu, kwadratową twarz, wydatne kości policzkowe i mocny podbródek, jego rodzice pochodzili ze Szwecji. Christine była drobna, miała sto sześćdziesiąt dwa centymetry wzrostu, pociągłą twarz, ładne kości policzkowe, mały, zadarty nos i proste, długie brązowe włosy, jej ojciec był w połowie Irlandczykiem, a matka w połowie Włoszką. Oboje, Christine i Marcus, byli niebieskoocy, oczy Marcusa robiły wrażenie bardziej okrągłych, jej były nieco bardziej skośne i szeroko rozstawione. Żadne nie borykało się z problemami z uzębieniem, nigdy nie nosili aparatów ortodontycznych.

Christine zdecydowanie szybciej od męża oswoiła się z myślą o znalezieniu dawcy online, obsesyjnie sprawdzała strony banków, jakby to był Facebook dla bezpłodnych, administratorzy na bieżąco odświeżali dane. „Codziennie nowi dawcy!”, zachęcały reklamy, choć wysocy, jasnowłosi mężczyźni często bywali „chwilowo niedostępni”, „Spróbuj ponownie później!”. Wreszcie zdołała ograniczyć wybór do trzech kandydatów, podobnie jak wtedy, gdy kupowali pierwszy dom.

– Numer 3319 – oznajmił Marcus, wskazując faworyta Christine. Dawca 3319 został umieszczony w katalogu Homestead Bank, był anonimowy, lecz jak wielu innych udostępnił dwie fotografie, jedną aktualną, a drugą z dzieciństwa. Dawca 3319 miał okrągłe, niebieskie oczy, podobne do oczu Marcusa, włosy o ton ciemniejsze od jego włosów, zbliżone kolorem do pasemek Christine, średnią budowę ciała. Dane z profilu opisywały jego osobowość jako przyjazną i ciekawą świata, ponadto zdał na studia medyczne, co zadecydowało o wyborze Marcusa. Ją natomiast zachwycił wyraz oczu chłopaka, inteligentny i ciekawy świata.

Zatelefonowali więc do doktora Davidowa, który zamówił próbkę nasienia dawcy 3319. Christine zgłosiła się do kliniki na zabieg inseminacji domacicznej w czasie kolejnej owulacji. Podczas zapłodnienia trzymała ją za rękę pielęgniarka, gdyż Marcus, niestety, był tego dnia poza miastem, na budowie w Raleigh. Za to test ciążowy zrobili już razem, pomimo zaleceń

lekarza, aby się od tego powstrzymać. Wspaniały wynik został później potwierdzony oficjalnie na wizycie. Tak czy inaczej, Christine zaszła w ciążę, a Marcus miał zostać ojcem. Wciąż próbował się oswoić z tą myślą, stojąc przed gronem pedagogicznym w pokoju nauczycielskim i przygotowując się do wygłoszenia toastu.

– Niech wszyscy wzniosą swoje kieliszki, plastikowe kubki czy co tam mają.
– Marcus sięgnął po jednorazowy kubeczek z coca-colą, który uniósł wysoko.
– Za was, za niezawodnych przyjaciół mojej wspaniałej żony. Wiem, że będzie tęskniła za każdym z was. Nutmeg Hill to wspaniała szkoła.

– Och – westchnęła wzruszona Christine.

– Wypijmy za to! – zaproponowała Pam.

Marcus zwrócił się do żony z czułym uśmiechem i uniósł kubek w jej stronę.

– I za moją cudowną żonę, którą kocham nad życie i która zasługuje na wielkie szczęście, które nas czeka.

– Dziękuję, skarbie. – Wzruszenie ścisnęło jej gardło na widok łez w oczach męża, objęła go, a on odstawił kubek i odwzajemnił uścisk, wydając z siebie cichy pomruk, który usłyszała tylko ona.

– Kocham cię, skarbie.

– Ja ciebie też.

– Idźcie do hotelu! – zawołała Lauren ku uciechu pozostałych. Bankiet nabierał tempa, Christine krążyła między przyjaciółmi, przedstawiała Marcusa tym, którzy go nie znali, i żegnała się z tymi, za którymi będzie tęskniła najbardziej, ściskając ich ze łzami w oczach. Wkrótce goście zaczęli się rozchodzić, aż została ich tylko garstka: Christine, Marcus, Pam i Wiki-Al, który włączył telewizor, kiedy sprząтали.

– Zobaczcie, złapali tego seryjnego mordercę. – Wskazał ekran.

– Jakiego seryjnego mordercę? – zapytała z roztargnieniem Christine, zajęta zbieraniem swoich pożegnalnych prezentów.

– Tego, którego ścigali. Dopadli go w Pensylwanii. – Wiki-Al zwiększył głośność pilotem i rozległ się głos reportera: – Zachary Jeffcoat został zatrzymany dziś na przedmieściach Filadelfii pod zarzutem zamordowania pielęgniarki z West Chester, Gail Robinbrecht, która zginęła od ciosów zadanych nożem przed dwoma dniami, piętnastego czerwca. Funkcjonariusze FBI, a także przedstawiciele organów ścigania z Pensylwanii, Marylandu i Wirginii przypisują mu również udział w morderstwach dwóch innych pielęgniarek...

– Naprawdę, Al? – zirytowała się Lauren, zbierając brudne talerze. – Nie bądź dziwakiem.

– Do pierwszego morderstwa doszło dwunastego stycznia, ofiarą padła Lynn McLeane, pracownica szpitala Newport News w Wirginii, druga ofiara domniemanego seryjnego mordercy to Susan Allen-Bogen, zatrudniona w szpitalu Bethesda General w stanie Maryland, zamordowana trzynastego kwietnia...

– Wyłącz to, Al, bardzo cię proszę – zażądała Pam.

Wiki-Al nie zwracał na nich uwagi, zaabsorbowany programem informacyjnym.

– Ten facet to świr, mówię wam. Nazywają go „Mordercą pielęgniarek”. Śledzę tę sprawę.

Christine skończyła sprzątanie i zerknęła na ekran, potem jeszcze raz, nie dowierzając własnym oczom. Zobaczyła młodego, jasnowłosego mężczyznę w wymiętej kurtce, z rękoma zakutymi w kajdanki na plecach, eskortowanego do radiowozu. Gdy policjant położył dłoń na głowie zatrzymanego, aby usadzić go na tylnym siedzeniu, ten podniósł wzrok, a wtedy Christine zobaczyła jego okrągłe, niebieskie oczy.

Jej serce nagle zamarło.

Rozpoznała te oczy.

Wszędzie rozpoznałaby tę twarz.

Seryjny morderca był ich dawcą numer 3319.

ROZDZIAŁ 2

– Widziałeś? – zapytała bez tchu, gdy tylko wyszli na zewnątrz. Pod koniec przyjęcia nie była w stanie myśleć o niczym innym, owładnięta paniką obserwowała, jak inni dojadają ciasto, sprzątają, a na koniec wyłączają światła.

– Co takiego? – Marcus nie zrozumiał pytania, mrużył oczy w słońcu i usiłował coś zobaczyć na ekranie smartfona, idąc w kierunku parkingu. Zwolnił swój zwykły, szybki marsz ze względu na Christine, która za nim nie nadążała.

– Tego więźnia, którego pokazali w telewizji, seryjnego mordercę? – Obejrzała się przez ramię, by sprawdzić, czy nikt nie słyszy, ale byli sami. Wokół panował spokój kontrastujący z dramatem rozgrywającym się w jej duszy. Szkoła Nutmeg Hill była położona w wiejskim zakątku Glastonbury, w stanie Connecticut. Placówka publiczna, do której uczęszczały dzieci z rodzin w różnej sytuacji ekonomicznej i życiowej, zajmowała dwupiętrowy budynek z żółtego wapienia z nowoczesnymi oknami, ładny i stosunkowo nowy, otoczony otwartymi pastwiskami i polami kukurydzy.

– Nie, nie widziałem. – Marcus wyjął z kieszeni kluczyki samochodowe. – Zaczekaj tu, przyprowadzę samochód, będziesz mogła ulokować w nim swoje prezenty.

– Dobrze, ale ten seryjny zabójca, Marcus... – Nie zdołała dokończyć zdania, zawładnął nią nagły lęk, że wypowiedzenie na głos tych słów podziela niczym zaklęcie, które powoła koszmar do życia. Poza tym Marcus prawie jej nie słuchał, zajęty sprawdzaniem poczty w smartfonie. Minęli plac zabaw z nowymi czerwonymi, żółtymi i błękitnymi zjeżdżalnicami oraz konstrukcjami z surowego drewna na kwadracie idealnego podłoża. Obok położono asfalt z jaskrawożółtymi liniami wyznaczającymi ścieżki do chodzenia i teren do gier.

– Sympatyczna impreza – rzucił z roztargnieniem Marcus, nie przerywając

przeglądania poczty internetowej.

– Rzeczywiście, przeszli samych siebie – usłyszała własny głos. Nie mogła przestać myśleć o ich dawcy i seryjnym mordercy. Wydawało jej się niewiarygodne, że można mieć aż takiego pecha. Jej serce trzepotało jak przerażony ptak w klatce. Odwróciła wzrok od boiska z posadzonymi niedawno drzewkami, których wiotkie pnie zabezpieczały białe plastikowe rękawy. Chciałaby mieć własny rękaw ochronny wokół ciała, zasłaniający ją i dziecko przed wszelkimi zagrożeniami, na zawsze.

– Skarbie, nic ci nie jest? – zaniepokoił się Marcus i schował telefon do kieszeni. Przeszli przez parking i dotarli do jego czarnego audi sedana.

– Czuję się dobrze. – Uśmiechnęła się z przymusem.

– Masz straszne wypieki. – Otworzył przed nią drzwi po stronie pasażera. – Gorąco ci? Słabo?

– Nie, w porządku.

Christine pozwoliła, by zaprowadził ją na siedzenie i położył jej torebkę na kolanach.

– Dobrze, poczekaj. – Zamknął drzwi, szybko obszedł maskę samochodu, usiadł za kierownicą i uruchomił silnik, a tym samym klimatyzację. Obrócił wywietrzniki w jej stronę, gorące powietrze ochłodziło się zaskakująco szybko. – Lepiej?

– Tak, dziękuję. – Chłodne powietrze przynosiło ulgę rozpalonej skórze. Na pewno miała podwyższone ciśnienie. Czuła, jakby coś rozpierało ją od środka, jak gdyby to, czego się dowiedziała, rozsadzało ją od wewnątrz.

– Nie. – Musiała mu powiedzieć, nie mogła tego zatrzymać dla siebie. – Marcus, ten seryjny morderca z telewizji wygląda jak nasz dawca. Jak dawca numer 3319.

– Co takiego? – Marcus zamrugął z niedowierzaniem.

– Nie widziałeś? Przysięgam, że go rozpoznałam.

– Co ty opowiadasz? – Zmarszczył czoło, jego mina wyrażała zagubienie, ale Christine już sięgała po telefon do bocznej kieszeni torebki.

– Wygląda jak nasz dawca. Zaraz znajdę nagranie.

– Oczywiście, że to nie on – prychnął Marcus i odwrócił się od niej na znak, że nie zamierza kontynuować rozmowy.

– Ale bardzo go przypomina.

– Nie opowiadaj głupstw. – Uruchomił samochód, nie przestając kręcić głową.

- Wiem, co widziałam. Oglądałeś nagranie z aresztowania?
- Nie. Powiedz, co się dzieje z Gymem? Kto przy zdrowych zmysłach śledzi sprawy seryjnych morderców? – Marcus zaparkował przy bocznym wejściu do budynku, gdzie zostawili prezenty i resztę tortu, bo nauczyciele nie lubią niczego marnować.
- Czekaj. – Bezskutecznie próbowała włączyć internet, sygnał wokół szkoły był niestabilny, co często doprowadzało ją do szału.
- Co robisz? – Zatrzymał samochód.
- Wchodzę na stronę CNN. Prawdopodobnie umieścili wideo w sieci.
- Mówisz poważnie? – Popatrzył na nią jak na osobę niespełna rozumu lub otumanioną hormonami.
- Nie wiem, to bardzo dziwne.
- Co jest dziwne? – Marcus ponownie skierował na nią nawiew.
- Spojrzałam na ekran i nagle mnie tknęło, że to on. Jakbym go rozpoznała.
- Naprawdę myślisz, że ten facet jest naszym dawcą? – Otworzył usta ze zdumienia. – To tylko jakiś facet z wiadomości.
- Jest wysoki, ma jasne włosy i te oczy. Jego niebieskie oczy...
- Wiele osób wygląda podobnie. Mój ojciec. Ja. – Otworzył drzwi, wpuszczając parne powietrze. – Zostań i spróbuj się zrelaksować. Zapakuję rzeczy do bagażnika i zawiozę cię do domu. Nie chcę, żebyś prowadziła w takim stanie. Później wrócimy po twój samochód.
- Mogę prowadzić, nic mi nie jest.
- Siedź i się nie ruszaj. – Marcus zamknął za sobą drzwi, a Christine ponownie skupiła się na swoim iPhone. Spróbowała połączyć się z siecią po raz kolejny, ale bez powodzenia. Wysiadła z samochodu, żeby podejść bliżej sekretariatu, gdzie sygnał był najsilniejszy. Szła przed siebie, dopóki na ekranie nie pojawiła się jedna kreska. Zalogowała się i weszła na stronę CNN. „Zatrzymano mężczyznę podejrzanego o zamordowanie trzech pielęgniarek”, głosił jeden z czołowych nagłówków dnia. Głównymi drzwiami wyszła Pam, dźwigając trzy płócienne torby.
- Christine, myślałam, że już pojechałaś! – Uśmiechnęła się zaskoczona na widok Christine.
- Marcus pakuje rzeczy do samochodu. Jeszcze raz bardzo dziękuję. – Usiłowała przybrać radosny wyraz twarzy, mimo że umierała z niecierpliwości, by obejrzeć nagranie. Wsunęła telefon do kieszeni, gdy Marcus wrócił do samochodu z torbami i zaczął je ładować do bagażnika, co

przykuło uwagę Pam.

– Och, mogłam mu pomóc. – Pomachała Marcusowi, który zamknął bagażnik.

– Dzięki. Doskonale sobie poradził, a ty jesteś dostatecznie obładowana.

– Czy my kiedykolwiek nie jesteśmy obładowane? À propos, widziałaś moją nową torebkę? Dostałam od córki. – Pam zademonstrowała największą z toreb, z kwiatowym wzorem Very Bradley, była to oryginalna wersja torebki Christine.

– Cudowna. Pornografia dla nauczycieli.

– Hej, drogie panie! – zawołał Marcus, idąc w ich stronę z rękami w kieszeniach. – Pam, naprawdę potrafisz urządzić imprezę, jeszcze raz dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Kochanie? – Ujął Christine pod rękę i ruszyli we trójkę w stronę samochodu oraz parkingu. Pożegnali się z Pam, Marcus otworzył drzwi przed żoną, po czym przeszedł na siedzenie kierowcy.

– Dlaczego wysiadłaś? – zapytał, zmieniając bieg.

– Żeby zobaczyć nagranie.

– Jesteś niemądra. – Ruszyli w stronę wyjazdu.

– Może, prawdopodobnie. Jedźmy do domu. Na Glastonbury Road będę miała lepszy zasięg.

– Niemądra – powtórzył i sięgnął po okulary przeciwsłoneczne, których używał podczas gry w golfa. – Skarbie, to nie jest nasz dawca.

– Mógłby nim być. To nie jest niemożliwe.

– To jest niemożliwe. Bezdyskusyjnie. Nie wierzę, że mówisz poważnie. Dawcy są przecież sprawdzani.

– Na pewno robią wywiad, ale jak dokładny? Co właściwie sprawdzają? – zastanawiała się Christine. Nie zapytała nikogo, jak wygląda proces akceptacji dawców. Czytała wprawdzie wzór dokumentu na stronie banku nasienia, ale mało uważnie.

– Lekarz polecił nam wiarygodną placówkę, a nie jakiś szemrany biznes.

– Mimo wszystko nie sposób niczego wykluczyć. Przecież nie da się sprawdzić, czy ktoś popełni w przyszłości morderstwo lub inną zbrodnię.

– Nasz dawca jest studentem medycyny. Aresztowany nim nie jest.

– Skąd wiesz? Nie znamy szczegółów. – Musiała jednak przyznać, że historia brzmi nieprawdopodobnie. Jechali krętą drogą w stronę kamiennego mostu. Zerknęła na telefon, nadal nie miała zasięgu. Za kilka minut wjadą na

Glastonbury Road. Słońce przeświecało przez korony wysokich dębów, tworząc cętkowane wzory na asfalcie, stosunkowo wysokie jak na połowę czerwca łąny kukurydzy tworzyły zbitą zieloną ścianę.

– Pozwól, że zmienię temat: już tylko jeden dzień pracy przed końcem roku. Cieszysz się?

– Tak, ale teraz naprawdę mi zależy na pokazaniu ci tego nagrania, żebyś mógł ocenić, czy rzeczywiście oszalałam.

– Nie muszę go oglądać, by to stwierdzić – roześmiał się, jego oczy były ukryte za ciemnymi szklami okularów przeciwsłonecznych. Gdy tylko wjechali na Shire Road, Christine zalogowała się na Safari i odnalazła stronę CNN, następnie odszukała właściwy nagłówek, otworzyła link i powiększyła tekst.

– „Zachary Jeffcoat, mieszkaniec Pensylwanii, został dziś aresztowany...”.

– Widzisz, to nie on. Nasz facet pochodzi z Nevady.

– Dobrze, racja, pozwól jednak, że przeczytam cały tekst. – Litery skakały jej przed oczami w podrygującym na wybojach samochodzie. – ...został dziś aresztowany pod zarzutem zamordowania Gail Robinbrecht, trzydziestojednoletniej pielęgniarki z West Chester. Kobieta jest trzecią ofiarą mordercy. Do pozostałych zbrodni doszło w Newport News, w stanie Wirginia oraz w Bethesda General, w stanie Maryland. Pierwsza z ofiar, Lynn McLeane, pielęgniarka na oddziale pediatrycznym, zginęła od ciosów nożem dwunastego stycznia, natomiast Susan Allen-Bogen, pielęgniarka z oddziału chirurgicznego, zginęła w taki sam sposób trzynastego kwietnia...”.

Marcus cmoknął z dezaprobatą.

– Facet zabija pielęgniarki? Co za świat. Pielęgniarki są wspaniałe.

– Owszem. Czyż to nie dziwny zbieg okoliczności? Ofiary były pielęgniarkami, a dawca 3319 jest studentem medycyny.

– Zatrzymany nie jest studentem medycyny.

– No tak. – Christine zaczynała się gubić. Twarz nadal miała rozpaloną pomimo włączonej klimatyzacji. Ponownie skupiła wzrok na wyświetlaczu telefonu. – „Sprawa stała się głośna w całym kraju, a sprawca nazwany został »Mordercą pielęgniarek«”.

– Piszą, że zatrzymany jest studentem medycyny?

– Nie. – Christine przebiegła wzrokiem ostatnie dwie linijki notki prasowej.

– „Komendant policji jest usatysfakcjonowany ujęciem podejrzanego i składa podziękowania federalnym oraz stanowym organom ścigania za ich ciężką pracę”. Nie ujawnili żadnych szczegółów. Gdzie studiował, a nawet ile ma lat.

– No właśnie. To nie on. Napisaliby, gdyby był studentem medycyny. Nie pominęliby tak istotnej informacji.

– Słusznie – zgodziła się Christine, choć jej serce nadal było niespokojnie. Zjechała w dół strony i otworzyła link z wideo. Zobaczyła grupę policjantów oraz czubek jasnej czupryny, funkcjonariusze niemal zasłaniali zatrzymanego, ostre słońce dodatkowo utrudniało patrzenie na ekran telefonu. Zatrzymała filmik. – Czy mógłbyś zjechać na pobocze, żebym mogła to obejrzeć?

– Koniecznie? Za dwadzieścia minut będziemy w domu. – Marcus jechał dalej z nieodgadnionym wyrazem twarzy schowanej za okularami przeciwsłonecznymi.

– Nie chcę czekać. Zatrzymaj się, tylko na chwilę. Obejrzymy razem.

– Dobrze. – Zjechał na zwirową ścieżkę pnącą się pod górę w głąb lasu, zakończoną wysoką stertą ściętych drzew, zatrzymał samochód i odwrócił się ku żonie.

– Pokaż, o co ci chodzi.

– Dzięki. – Wspólnie obejrzeli nagranie, na którym najpierw widać grupę policjantów, a po chwili podejrzanego – wysokiego blondyna zakutego w kajdanki z rękoma założonymi do tyłu, eskortowanego do radiowozu.

– Nie wygląda jak on. Nasz jest wyższy.

Wcisnęła pauzę.

– Tego przecież nie widać na filmie.

– Owszem. Porównaj go z policjantami.

– Nie wiemy, ile oni mają wzrostu.

– Pewnie poniżej metra osiemdziesięciu. Nie są ze stanowej, bo tamci są wyżsi. Poza tym wiesz przecież, że mam sokoli wzrok.

Wiedziała: wiele lat gry w golfa wyrobiło u Marcusa idealne wyczucie odległości, a jako inżynier posiadał również doskonałą orientację przestrzenną, której ona była zupełnie pozbawiona.

– Ponadto wygląda na starszego od naszego dawcy, który ma około dwudziestu pięciu lat. Ten ma powyżej trzydziestu.

– Nie potrafię określić jego wieku na podstawie tego zdjęcia. Przecież dwudziestopięcioletek nie wygląda dużo młodziej od trzydziestolatka. – Zmrużyła oczy i uważnie wpatrywała się w zatrzymany kadr filmu, widoczność w samochodzie nadal pozostawiała wiele do życzenia.

– Nasz dawca to dzieciak, student. Zatrzymany jest znacznie starszy.

– Przecież nie wiemy, kiedy zaczął studia, jedynie że został przyjęty. –

Wskazała palcem telefon. – Zastanów się. On jest zmęczony, dlatego wygląda na starszego. Uciekał przed policją.

– Nie piszą o tym.

– Tak wywnioskowałam. – Wcisnęła „play” i wrócili do oglądania: policjanci przeszli naprzód i odsłoniли więźnia, który miał na sobie biały T-shirt i pogniecioną granatową wiatrówkę, szedł z pochyloną głową, ukrywając twarz, jego włosy w słońcu miały ciemniejszy, karmelowy odcień. Christine włączyła pauzę. – Ma identyczny kolor włosów jak nasz dawca, prawda?

– Nie pamiętam.

– Ja tak. – Uważnie przyglądała się włosom mężczyzny, różne odcienie koloru blond zawsze zwracały jej uwagę, ponieważ wiecznie szukała inspiracji, które później przekazywała fryzjerce. Od dawna nosiła pasemka i wypatrywała nowych pomysłów w żurnalach, dzięki czemu dobrze poznała słownictwo. – Jego włosy były płowe. Nie popielate jak twoje, tylko o cieplejszym złocistym odcieniu, jak karmel. To nie był chłodny, skandynawski blond.

Marcus przewrócił oczami.

– Chcesz wylądować w wariatkowie?

– Obejrzyjmy do końca. – Podmuch wiatru sprawił, że bujna grzywka zatrzymanego przysłoniła jego twarz. Oglądając zdjęcie dawcy, od razu zwróciła uwagę na gęste włosy chłopaka. Rozmawiała nawet o tym z Lauren.

„Najpiękniejsze włosy na świecie”, oświadczyła przyjaciółka, patrząc na fotografię w telefonie Christine. „Musicie za to dopłacić?”.

„W opisie jest informacja, że ma zdrowe włosy”.

„Oj, tak. Cały jest zdrowy. Ciasteczko”.

„Przestań się ślinić do zdjęcia mojego dawcy, bardzo cię proszę”.

Oglądała nagranie w ciszy, razem z Marcusem. Na kolejnych kilku ujęciach więzień został doprowadzony do radiowozu i posadzony na tylnym siedzeniu. Marcus nagle zeszywniał, Christine odebrała to jako znak, że nie odrzuca całkowicie jej podejrzeń, wstrzymała oddech w oczekiwaniu na moment, kiedy zatrzymany podniesie wzrok tuż przed zamknięciem drzwi radiowozu.

– Teraz! – zawołała. Rozpoznała go, tak samo jak za pierwszym razem w pokoju nauczycielskim. Zatrzymała film w momencie ukazującym twarz więźnia i jego okrągłe, niebieskie oczy. Miały ten sam wyraz, inteligentny i ciekawy świata. Te dwie cechy przyszyły jej na myśl, gdy zobaczyła tę twarz w internetowym profilu dawcy. Christine uczyła się, polegając głównie na

pamięci wzrokowej, jej mózg kodował obrazy. – Przysięgam, że to...

– Nie on – przerwał jej Marcus pewnym głosem. – To nie on.

– Na pewno? Ja mam wrażenie, że go rozpoznaję, że to właśnie on. Wygląda jak on.

– Nieprawda. – Marcus zmarszczył czoło.

– Jakie widzisz różnice? – Patrzyła na niego z duszą na ramieniu, modląc się, aby znalazł właściwe słowa, by ją przekonał. Musiał ją przekonać. Nie mogła mieć racji. Na pewno się pomyliła.

– Nasz miał szerszą twarz, tutaj, w okolicy kości policzkowych. – Marcus zarysował palcami linię poniżej oczu. – Pamiętam, że pomyślałem: „wybierz tego”. Mój ojciec ma szerokie kości policzkowe, które po nim odziedziczyłem. Kości policzkowe Nilssonów. Kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy, powiedziałaś coś na temat moich kości policzkowych, pamiętasz? „Kobiety mają bzika na punkcie kości policzkowych”, pomyślałem sobie wtedy.

– Do czego zmierzasz?

– Popatrz na układ kości twarzy faceta na nagraniu. Nie są tak wydatne jak u mojego ojca. On ma gruby kościec, charakterystyczny dla Szwedów, ja jestem do niego pod tym względem podobny. Między innymi dlatego spodobał mi się ten konkretny dawca. W profilu jest wzmianka o jego szwedzkim pochodzeniu. Możesz sprawdzić. – Machnął lekceważąco ręką na wideo. – To nie nasz dawca.

– Ale te oczy...? – Christine miała jeszcze wątpliwości. – Duże, okrągłe, jak u naszego dawcy.

– Mnóstwo ludzi ma duże, okrągłe oczy. Ja też.

– Są identyczne z tymi na fotografii dawcy.

– Wcale nie. – Dotknął wyświetlacza jej telefonu i wznowił odtwarzanie. Nagranie skończyło się widokiem zatrzymanego za szybą radiowozu. – Możemy już jechać do domu?

– Chwileczkę. – Zamknęła przeglądarkę internetową w telefonie i otworzyła galerię ze zdjęciami, przesuwając na ekranie zdjęcia kota, psa i ogrodu.

– Co znowu? Co robisz?

– Szukam jego zdjęcia.

– Masz w telefonie zdjęcie dawcy nasienia? – Popatrzył na nią zdumiony ponad szklami okularów przeciwsłonecznych. – Po co?

– Chciałam je pokazać Lauren – odpowiedziała, nie przerywając przeglądania galerii.

- Mogłaś wysłać online. Dostaliśmy je mejlem.
- Pewnie tak, ale zapisałam sobie w telefonie. – Poczowała się przyłapaną na gorącym uczynku. – Przecież wiesz, że chomikuję zdjęcia wszystkich i wszystkiego.
- Dobrze, mniejsza z tym.
- Czekaj. Patrz. – Przesuwała zdjęcia personelu z kliniki leczenia niepłodności, dziewczynskie selfie z dzióbkami i uściskami, aż wreszcie znalazła fotografię ich dawcy z dzieciństwa. Próbowała spojrzeć na nią świeżym okiem, lecz nie zdołała pozbyć się wrażenia, że wygląda jak mężczyzna z telewizyjnych wiadomości.
- Phi – prychnął Marcus i pokręcił głową. – Mały blondynek, i co z tego?
- Przypomina ci człowieka z nagrania?
- Nie, i nadal uważam, że to nie on.
- Otworzyła kolejne zdjęcie, przedstawiające dorosłego dawcę, i serce jej zamarło. Nie wiedziała, czy te słowa przejdą jej przez gardło, ale mózg coś jej podpowiadał. Rozpoznawała tę twarz.
- Nie. – Odsunął się i uruchomił samochód. – Trochę podobny, przyznaję, ale to nie on. Na sto procent.
- Skąd ta pewność?
- Mówię ci, że dawca ma szerszą twarz niż zatrzymany. – Marcus wcisnął pedał gazu i skierował samochód w stronę głównej drogi. – Podobny kolor włosów, oczu i skóry, tu przyznam ci rację, ale blondyni przeważnie mają niebieskie oczy i jasną cerę. Mój tata żartował, że świecimy w ciemności.
- A wyraz twarzy?
- Co z nim? – zapytał, nie odrywając wzroku od drogi.
- Chodzi mi o nastawienie, sposób patrzenia na świat.
- Wiem, o co ci chodzi. Tylko nie rozumiem, co takiego zobaczyłaś. Jakie znaczenie ma jego nastawienie do życia?
- Odniosłam wrażenie, że nastawienie zatrzymanego jest podobne do nastawienia naszego dawcy. Wydaje się bystry, zaangażowany, zainteresowany otoczeniem. – Christine poczuła skurcz żołądka. Drzewa za szybą i nadjeżdżające z naprzeciwka samochody przesuwają się z zawrotną prędkością. Chciała poprosić Marcusa, żeby zwolnił, ale milczała.
- A więc patrzy na świat z zaciekawieniem – prychnął. – To nie nasz facet.
- Czuję, że to może być on. – Zaczęły jej dokuczać mdłości, miała nadzieję, że to tylko hormony. Pierwsze dwa miesiące ciąży były trudne, wymiotowała

każdego ranka. Czuła się dobrze tylko tuż po torsjach, co nie napawało optymizmem.

– Za dużo się martwisz. Przestań.

– Mam powód.

– Wiesz co, kochanie? W domu obejrzyj sobie ten materiał raz jeszcze, na laptopie. Na większym ekranie będzie lepiej widać. Jeśli chcesz, zadzwoń do Lauren. – Popatrzył na nią, ale nie widziała jego oczu za okularami, jedynie odbicie własnej zatroskanej twarzy, zniekształcone przez ciemne szkła.

– A jeśli potwierdzi moje obawy?

– Wtedy uznam, że obie zwariowałyście.

ROZDZIAŁ 3

Weszła za Marcusem do domu, wyjęła laptop z płóciennej torby, zostawiła pakunki i torebkę na fotelu, po czym zdjęła buty. Mdłości nieco zelzały, a panujący w domu chłód przyniósł ulgę. Odkąd zaszła w ciążę, nie wyłączyli klimatyzacji, była warta każdych pieniędzy. Marcus wyprzedził ją w drodze do kuchni, podreptała za nim po drewnianej podłodze, poklepała Murphy'ego, który przybiegł ich przywitać, machając grubym ogonem. Murphy był masywnym labradorem z lekką nadwagą, wciąż nadpobudliwym mimo swoich sześciu lat. Stracili już nadzieję, że kiedyś nabierze spokoju. Wystarczało mu cierpliwości, by ignorować kapryśną rudą kotkę Marmoladę, zwaną pieśczośliwie Lady, wziętą ze schroniska w czasach, kiedy postanowili potrenować przed przyjściem na świat dzieci, których – jak się dopiero później okazało – mieć nie mogli.

– Napijesz się wody z lodem? – zapytał Marcus, otworzywszy lodówkę. Prawą ręką wyjął dzbanek, a lewą podrapał Murphy'ego za uszami.

– Poproszę. – Christine przeszła najkrótszą drogą do prowizorycznego gabinetu, dużej spiżarni sąsiadującej z kuchnią, z granitowym blatem, wbudowanym biurkiem i staromodnymi schowkami do sortowania rachunków, ulotek i niezliczonych zawiadomień ze szkoły, wciąż drukowanych mimo rozmaitych inicjatyw ekologicznych lokalnych władz. Postawiła laptop na ladzie, zalogowała się na stronę CNN, odnalazła materiał wideo i wcisnęła „play”. Rozległ się znajomy głos spikera, który wyciszyła, aby skupić całą uwagę na obrazie. Policyjna eskorta wypełniła ekran, odsłaniając po chwili więźnia z pochyloną głową.

Włączyła tryb pełnoekranowy i z trudem przełknęła ślinę, bo włosy zatrzymanego mężczyzny po raz kolejny tak bardzo kojarzyły się jej z dawcą nasienia. Czekwała w napięciu na kolejną scenę, kiedy więzień wejdzie do samochodu i po raz ostatni uniesie głowę. Zatrzymała materiał drżącą dłonią. Te niebieskie oczy. Ten wyraz twarzy. Ogólne wrażenie. Do złudzenia

przypominał ich dawcę.

Marcus postawił przed nią szklanę, w której pobrzękiwały kawałki lodu.

– Czemu nie siadasz?

– W tej pozycji lepiej widzę. Marcus, nic na to nie poradzę. Facet wygląda jak nasz dawca.

– Nie jest nim, kochanie. – Objął ją ramieniem i delikatnie ścisnął. – Niepotrzebnie się denerwujesz, serio.

– Obejrzałeś ze mną jeszcze raz, na dużym ekranie?

– Dobrze. – Pochylił się z zafrasowanym czołem. – Włącz.

– Na większym ekranie lepiej widać. – Christine ponownie odtworzyła film i zatrzymała w momencie, gdy aresztowany podnosi głowę. – No i co, podobny?

– Trochę. Ale nie wygląda na tego samego mężczyznę. – Marcus był przekonujący. – Jak już ci mówiłem wcześniej w samochodzie: ma węższą twarz, zwłaszcza w okolicy kości policzkowych.

– Twoim zdaniem jest bardziej wychudzony?

– Właśnie, twarz jest bardziej pociągła. – Marcus odgarnął ręką włosy z czoła, które było jaśniejsze niż reszta twarzy, miał opaleniznę golfisty. – Uwierz mi. Niepotrzebnie się denerwujesz.

– Tak, denerwuję się. – Nie dawała za wygraną. Nigdy nie dawała za wygraną w żadnej sprawie.

– Może zadzwonisz do Lauren?

– Wysłałam jej po drodze esemesa. Przyjedzie, kiedy dzieci zasną.

Marcus zamrugął z zaskoczeniem.

– Dlaczego nie wysłałaś jej po prostu linka do filmu?

– Chcę zobaczyć jej reakcję. Zaczekaj chwilę. Mam pomysł.

– Jaki? – Zaczynał tracić cierpliwość. Cofnął ramię, którym ją obejmował.

– Cierpliwości. – Sięgnęła po segregator harmonijkowy z dokumentacją medyczną. Rachunki z kliniki i dziesiątki formularzy, które należało wypełnić, żeby dostać częściowy zwrot kosztów leczenia, wszystko zajmowało pięć takich folderów. Ostatni zawierał profile dawców, sto stron notek biograficznych wydrukowanych z internetu.

– Po co? – westchnął Marcus.

– Zaraz. – Szperała w profilach dawców, omijając bank kalifornijski z charakterystycznym zielonym logo i Fairfax Cryobank z mniejszą, staroświecką czcionką, aż wreszcie znalazła ich bank, Homestead, z uroczym

logo przedstawiającym dom z sercem w środku. Doktor Davidow współpracował z bankami nasienia z całego kraju, zarekomendował im te trzy, ponieważ istniał pewien system rotacji wśród pacjentów, który wyjaśnił im ze swoją charakterystyczną szczerością.

– Staram się, aby dzieci jednego dawcy nie mieszkały w tym samym rejonie. Nie chcecie przecież, żeby wasz potomek chodził do klasy, w której połowa kolegów będzie jego rodzeństwem, prawda?

Marcus przebierał nogami.

– Skarbie, jestem trochę zajęty. Muszę wyprowadzić psa i oddzwonić do paru osób.

– Proszę. – Christine odnalazła profil dawcy 3319, kilka stron połączonych spinaczem do papieru, wskazała pierwszą z nich. – Wygląd zewnętrzny, kolor włosów – blond. Rodzaj włosów – proste, gęste. Nasz dawca ma gęste włosy, jak tamten facet w wiadomościach.

Marcus patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Nie da się stwierdzić na podstawie nagrania wideo, czy ktoś ma gęste włosy.

– Cóż, bez stuprocentowej pewności, ale coś jednak widać. – Przeczytała kolejny wpis. Karnacja. – Poza tym ma taką samą cerę. Napisali: „jasna, mlecznobiała, zdrowa”.

– Dawca 3319 ma „mlecznobiałą” skórę? – zapytał rozbawiony. – Osoba przeprowadzająca wywiad miała na niego chrapkę.

– Facet na nagraniu też ma jasną karnację.

– Ale czy mlecznobiałą? – Uniósł ironicznie brew.

– Słuchaj, ja też nie wiem, dlaczego tak napisali i co to oznacza, ale...

– Ja wiem. Ankieterka była napalona. Życzę ci powodzenia. – Otworzył górną szufladę pełną zabawek dla psa i wyjął starą piłkę tenisową. Murphy przybiegł natychmiast, stukając pazurkami o posadzkę i machając ogonem.

– Marcusie, proszę cię, przejrzyj ze mną te informacje.

– Nie, zrób to sama. – Wsunął szufladę. – Zaszalej. Wyraziłem swoje zdanie. Dla mnie sprawa jest zamknięta. – Odbił piłkę od podłogi, jakby dla zaakcentowania swoich słów, po czym wyszedł z kuchni razem z tańczącym mu pod nogami psem.

Christine przełknęła ślinę ze ściśniętym gardłem. Analizowała dokument z informacjami na temat dawcy 3319. Wzrost, waga, kolor włosów, karnacja, kolor oczu i krótka charakterystyka na podstawie wywiadu. Zapamiętywała te

opisy, choć Marcus uważał, że są niedorzeczne.

– To jakiś żart? – prychnął po przeczytaniu informacji z profilu dawcy 3319.

– „Klasycznie przystojny, umięśniony, mierzący sto dziewięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu dawca 3319 przypomina gwiazdę tenisa. Przyszedł na wywiad ubrany w białą koszulkę polo od Ralph Laurena, spodnie khaki i sandały, dobrze dopasowane ubrania ładnie uwydatniają muskulaturę”. – Parsknął śmiechem, podnosząc wzrok znad tekstu. – Co to ma być?

– Musiała opisać swoje wrażenia. Na początku jest napisane, że „notatki z wywiadu mają na celu przedstawienie subiektywnego odbioru doświadczanego ankietera i nie stanowią informacji medycznej”.

– Aby te dane były w jakikolwiek sposób użyteczne, powinny ograniczać się do faktów.

– Ten opis dowodzi, że chłopak posiada łatwość nawiązywania relacji i że ankieterka go polubiła. To użyteczna informacja.

– Dlaczego? Co nas obchodzi, kogo ona lubi?

– Chcemy, żeby nasz dawca był sympatyczny.

– Bo potrzebujemy sympatycznej spermy? – roześmiał się. – Czy moje plemniki byłyby sympatyczne, gdybym je miał?

– Byłyby najukochańsze na świecie.

Uśmiechnął się i wrócił do lektury, ale już po chwili kręcił głową.

– „Dawca 3319 ma tak lśniące jasne włosy, że nie mogłam się powstrzymać przed pytaniem, jakiej używa odżywkę”. No to przecież nie może być na poważnie!

– To kobieta.

– Najwyraźniej. – Marcus przewrócił oczami. – „Ma miły uśmiech, który określiłabym jako śmiały i otwarty. Sprawia wrażenie osoby odpowiedzialnej, poważnej i elokwentnej, obdarzonej poczuciem humoru. Z wyglądu przypomina aktora Bradleya Coopera”. Jakie ma znaczenie, do którego gwiazdora filmowego jest podobny?

– To skrót myślowy.

– Te profile są niedorzeczne. Ten wygląda jak Justin Timberlake, tamten jak Colin Farrell. Komu hollywoodzka sperma?

Christine odsunęła wspomnienia i ponownie skupiła się na przeglądaniu informacji o dawcy 3319. Data urodzenia: 1990 rok. Wykształcenie: magister chemii. Zawód: student, przyjęty do akademii medycznej. Pochodzenie: duńskie, szwedzkie, angielskie. Wyznanie: agnostyk/ateista.

Dalej podano informacje na temat historii medycznej rodziny dawcy, jego rodziców i dziadków od strony matki i ojca. Wyniki badań na obecność chlamydii, żółtaczk typu B, HIV i AIDS, rzeżączki, przeciwciał cytomegalii i syfilisu, wszystkie negatywne. Następnie badania genetyczne na mukowiscydozę, rdzeniowy zanik mięśni i napisane tłustym drukiem ostrzeżenie: „Badania genetyczne nie gwarantują stuprocentowej pewności, że dawca nie jest nosicielem żadnej z wymienionych chorób”.

Właśnie historia medyczna najbardziej interesowała Marcusa.

– Christine, piszą, że jego ojciec od drugiego roku życia cierpi na astmę. Teraz „jest pod kontrolą”, ale trochę to niepokojące. Nie wiem, czy astma jest dziedziczna.

– Zanotuję sobie, żeby zapytać. – Zawsze brała ze sobą listę pytań, kiedy wybierała się na wizytę do lekarza. „Aстма”, zapisała.

– Matka miała „mięśniaki macicy”. Przeszła histerektomię. Czy to ma znaczenie?

– Nie mam pojęcia. Dopiszę do listy.

– Piszą, że zabieg rozwiązał problem.

– W takim razie po sprawie. – Wykreśliła wpis. – Nie chcę tracić czasu na głupie pytania.

– Nie są głupie, są ważne. Wszystko, co dotyczy kodu genetycznego, ma znaczenie. O, na przykład: „babka ze strony matki w wieku czterdziestu lat zachorowała na raka podstawnokomórkowego skóry ze zmianami na ramieniu, usuniętymi chirurgicznie. Choroba uległa remisji”. Musimy dopytać także o tę sprawę.

– Dobrze. – Uzupełniła listę. – Chociaż wydaje mi się, że rak skóry nie jest dziedziczny.

Zmarszczył czoło z namysłem.

– A ja myślę, że dziedziczy się predyspozycje. Większe ryzyko z tak jasną karnacją. Nilssonowie skwierczą na słońcu jak bekon.

Studiowała dalej dokumentację, przerzucała strony w poszukiwaniu wypełnionego własnoręcznie przez dawcę kwestionariusza. Odpowiedź na pierwsze pytanie wbiła ją w ziemię.

Czy zgadza się Pan na ujawnienie swojej tożsamości?

Nie.

Jeśli odpowiedź brzmi nie, jaki jest powód odmowy?

O ile dobrze zrozumiałem, zgoda na ujawnienie tożsamości oznacza otwartość dawcy na poznanie dziecka poczętego przy użyciu jego nasienia, gdy skończy ono osiemnaście lat. Ja zdecydowanie nie wyrażam zgody, nie uważam się bowiem za ojca tego dziecka. Dostarczam jedynie materiału genetycznego, aby pomóc stworzyć rodzinę, lecz będzie to rodzina tych ludzi, nie moja. Ponadto wiem, że moi rodzice, osoby niezwykle religijne, nie pochwalaliby mojej decyzji. Stanowczo proszę o zachowanie anonimowości i utajnienie osobistych informacji na mój temat, poza fotografiami, które dostarczyłem.

Christine poczuła niepokój. Odłożyła papiery i podeszła do laptopa, uśpionego, lecz wciąż otwartego na stronie CNN. Film nadal tam był, a artykuł został uzupełniony o dwa kolejne paragrafy. Przeczytała pierwszy z nich:

Policja z Pensylwanii zarekwirowała samochód Jeffcoata, biały nissan sentra rocznik 2013. Nasze źródła donoszą, że w bagażniku znaleziono łopatę, zwój toreb na śmieci, duży nóż myśliwski oraz chirurgiczną piłę do kości.

Zaschło jej w ustach. Informacja o łopacie i torbach na śmieci przyprawiła ją o dreszcze, a piła do kości uruchomiła lawinę pytań, od których zakręciło jej się w głowie. Kto mógł mieć dostęp do przyrządów chirurgicznych, jeśli nie student medycyny? Czy to wskazuje na dawcę 3319? Kto inny, jeśli nie student medycyny, wie, jak posługiwać się tego rodzaju narzędziem? Czy ukradł je ze szpitala? Do kogo jeszcze mogło należeć? Do kogokolwiek, kto ma związek z medycyną. Z drugiej strony czy posługiwanie się piłą chirurgiczną jest takie trudne? Zwłaszcza gdy osoba, której kości są piłowane, jest już martwa. Przeczytała drugi akapit:

Morderca pielęgniarek posiada charakterystyczny modus operandi. Ofiary, trzy pielęgniarki w wieku 30–40 lat, zostały znalezione we własnych łóżkach, ubrane, z rękami związanymi opaską uciskową, ułożone w pozie modlitewnej. Zginęły w ten sam sposób, od ciosu

w serce zadanego piłą chirurgiczną, pojedynczego i precyzyjnie wymierzonego. Policyjni eksperci uważają, że modus operandi wskazuje na osobę dysponującą wiedzą medyczną. Wybór ofiar sugeruje, iż motywem może być nienawiść do tej grupy zawodowej albo chęć zemsty na nich. U ofiar nie stwierdzono śladów przemocy seksualnej.

Zrobiło się jej słabo, była roztrzęsiona. Uniosła szklanę do ust i upiła łyk wody, ogarnęła ją fala mdłości, które towarzyszyły jej codziennie, choć nigdy w środku dnia.

Sięgnęła po kosz na śmieci.

ROZDZIAŁ 4

Christine otworzyła drzwi z takim rozmachem, jakby przybyła jej na odsiecz kawaleria.

- Lauren, tak się cieszę, że jesteś!
- Naprawdę? – Lauren z szerokim uśmiechem weszła do środka. Jej ciemne loki były związane w niedbały kok na czubku głowy, miała na sobie szary T-shirt Columbia University i błękitne szorty. – Czym sobie zasłużyłam?
- Wszystkim. – Uściskała przyjaciółkę i zamknęła za nią drzwi.
- Lauren, cześć – powiedział Marcus zza pleców żony. – Jeszcze raz ci dziękuję za zorganizowanie przyjęcia. Było fantastyczne.
- Wiem. Proszę bardzo.
- Hau! – Murphy, machając ogonem, podszedł, żeby obwąchać gościa.
- Cześć, Murph. Jak się miewa mój chłopczyk? – Lauren potarła futro na grzbiecie zwierzęcia. Sama nie miała żadnego czworonoga ze względu na alergię męża, często żartowała, że z chęcią zamieniłaby go na psa. Josh, mąż Lauren, był księgowym w Rocky Hill, przeprowadziła się dla niego do Connecticut ze swojego ukochanego Manhattanu.
- Napijesz się czegoś?
- Nie, dziękuję. Wysłałaś mi bardzo tajemniczego esemesa. – Przeniosła wzrok z Christine na Marcusa. – O co chodzi?
- Marcus tylko się uśmiechnął.
- Moja urocza małżonka wszystko ci wyjaśni. Ja idę pograć w golfa.
- Christine popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Nie wspominał, że wybiera się na pole golfowe. Kolację zjedli w milczeniu, ona usiłowała wmusić w siebie i utrzymać w żołądku lekkostrawną zupę jarzynową, a on konsumował kanapkę z tuńczykiem oraz resztki tortu. Dotknęła jego ramienia.
- Porozmawiajmy, proszę.
- Zostawię was same. – Pocałował ją w policzek i otworzył drzwi wyjściowe. – Trzymaj się, Lauren. Pozdrów ode mnie Josha i dzieciaki.

- Pozdrowię. Cześć.
- Na razie, kochanie. – Marcus posłał jej uśmiech na pożegnanie. Lauren spiorunowała ją wzrokiem, gdy tylko drzwi się za nim zamknęły.
- Co się dzieje? Jesteś w ciąży? No tak. Co jeszcze?
Christine chciała się uśmiechnąć, lecz zamiast tego zwilgotniały jej oczy.
- Coś mnie niepokoi.
Na twarzy Lauren natychmiast pojawił się wyraz zmartwienia.
- Och, nie, naprawdę? Masz problemy? Plamienia? Może trzeba zadzwonić do lekarza?
- O Boże, nie, nic z tych rzeczy. Przepraszam. Chodź ze mną na górę. – Christine odzyskała kontrolę nad sytuacją i ruszyła ku schodom.
- Na pewno nic ci nie dolega?
- Na pewno. Czuję się dobrze.
- Przecież widzę, że nie – stwierdziła Lauren, doganiając przytrzymującą się poręczy przyjaciółkę. Christine nie miała już mdłości, ale nagle poczuła, że nie ma na nic siły, takie wyczerpanie dopadało ją co wieczór. Objaw typowy dla pierwszego trymestru ciąży, jak wyczytała. Wiele razy zasypiała nad klasówkami, dziś jednak była pewna, że nie zaśnie.
- Po co idziemy na górę?
- Potrzebuję twojej opinii.
- W jakiej sprawie?
- Poczekaj. Nie chcę nic mówić.
- Dlaczego?
- Żeby ci nic nie sugerować. Wejdz. – Zapaliła światło w domowym biurze Marcusa, z którego prawie nie korzystał. W domu z czterema sypialniami w Cornwell, który kupowali z myślą o powiększeniu rodziny, było dużo dodatkowych pomieszczeń, niechciany luksus.
- Co robimy w gabinecie tatusia? Nie pamiętam, kiedy byłam tutaj ostatnio.
- Tu stoi komputer z największym ekranem.
- Ho, ho, ale tu elegancko. Jak w bibliotece. – Lauren omiotła wzrokiem uporządkowane regały pełne publikacji z zakresu budownictwa, biografii w twardych okładkach, numerów „Golf Digest” i półkę wypełnioną książkami na temat gry w golfa. Pod oknem po prawej stronie pokoju, ozdobionym zielonymi zasłonami w szkocką kratę, leżał dywanik ze sztucznej trawy, a na nim plastikowy kubek, domowe pole golfowe.
- Usiądź przy biurku. – Christine wskazała siatkowane, ergonomiczne

krzesło za eleganckim biurkiem z orzechowego drewna, na którym pysznił się najnowszy i najwspanialszy model iMaca z dwudziestosiedmocalowym monitorem i ekranem Retina. Marcus używał go do sporządzania dokumentów w Excelu do pracy oraz do gier golfowych, lecz dziś miał spełnić ważniejszą funkcję.

– Pokłóciliście się? – Lauren usiadła i zakręciła się na krześle jak małe dziecko.

– Nie. – Christine nachyliła się, by dotknąć myszy i uaktywnić komputer, który wyświetlił główną stronę SportsIllustrated.com. Przeszła do wiadomości CNN, a następnie wyświetliła interesujący ją artykuł, który – jak zauważyła – nie zmienił się od czasu uzupełnienia o informację o pile chirurgicznej. Kliknęła na plik wideo i powiększyła go, wstrzymując się z włączeniem.

– Chcę, żebyś obejrzała ten materiał filmowy. Pokazywali go dziś w programie informacyjnym, kiedy sprzątaaliśmy w pokoju nauczycielskim. To o seryjnym mordercy, którego schwytali w Pensylwanii. – Wypowiedzenie tych kilku zdań przyszło jej z dużym trudem. – Przyjrzyj się uważnie aresztowanemu, młodemu blondynowi. Potem pokażę ci coś jeszcze.

– Dobrze. – Lauren skupiła wzrok na monitorze, Christine włączyła odtwarzanie. Na ekranie pojawili się policjanci, którzy po chwili odsłoniли aresztanta.

Christine z całej siły powstrzymywała reakcję na ponowny widok blondwłosego mężczyzny, który popatrzył w stronę kamery, siadając na tylnym siedzeniu radiowozu. Zatrzymała odtwarzanie.

– Przyjrzałaś się twarzy?

– Tak. – Lauren kiwnęła głową.

– Zobacz. – Wyjęła telefon z kieszeni dzinsów, otworzyła aktualne zdjęcie dawcy 3319 i położyła aparat na biurku. – To jest nasz dawca.

Lauren popatrzyła na zdjęcie, ale wyraz jej twarzy pozostał neutralny.

– Jakie jest twoje pierwsze wrażenie? – zapytała Christine, wstrzymując oddech z przejęcia.

Przyjaciółka przez chwilę porównywała zdjęcie z ekranu z fotografią w telefonie.

– No i?

– Cóż. – Zmarszczyła czoło. – Widać podobieństwo.

– Prawda? Musisz przyznać, że to dziwne. – Z trudem wyrzucała z siebie kolejne słowa. – Nasz dawca wygląda jak ten seryjny morderca.

– Tak, widzę podobieństwo. – Lauren przełknęła ślinę i poruszyła myszką, na ekranie znów wyświetliła się stop-klatka z aresztowanym.

– Porównajmy. – Christine odblokowała telefon i przyłożyła wyświetlacz do monitora. – Proszę, powiedz, że to nie jest ten sam człowiek.

– Nie jest. – Lauren pokręciła głową i podniosła obie ręce. – Wasz dawca nie może być seryjnym mordercą. To po prostu niemożliwe.

– Marcus mówi to samo. Wiem, że dawcy są sprawdzani. – Mówiła szybko, jakby słowa wydobywały się z jej ust pod dużym ciśnieniem. – Nasz jest studentem medycyny, nie podano informacji, czym się zajmuje tamten człowiek, ale w jego bagażniku znaleziono piłę chirurgiczną.

Lauren nie przestawała kręcić głową.

– Odrobinę go przypomina. Wiem, o co ci chodzi. Ale to nie on. Na litość boską, może są braćmi. Cokolwiek. Mogę cię pocieszyć, że nie wyglądają identycznie.

– W czym widzisz różnicę?

– Ten aresztowany ma szczuplejszą twarz, jakby węższą. Najbardziej podobne są oczy, niebieskooczy zazwyczaj mają takie ładne okrągłe. Jak u lalki. Gojskie oczy.

– Jakie?

– Szlachetne. Elitarne. Kurczę, można się wystraszyć. Na pewno byłaś przerażona. – Lauren popatrzyła na przyjaciółkę ze współczuciem.

– Martwię się, że to ta sama osoba. Marcus ma inne zdanie.

Lauren poruszyła komputerową myszką.

– Poczekaj. Jak się nazywa ten seryjny morderca?

– Zachary Jeffcoat.

– Okej. – Lauren wpisała nazwisko do wyszukiwarki Google i wybrała opcję: grafika. Na ekranie pojawiła się mozaika ze zdjęć więźnia, Christine usiłowała obejrzeć wszystkie fotografie zrobione pod różnymi kątami, większość podczas aresztowania. To samo światło i strój. Pozostałe przedstawiały jakichś innych, ciemnowłosych mężczyzn, dwóch z nich było czarnoskórych. Jednak zdjęcia z aresztowania jasnowłosego zabójcy stanowiły zdecydowaną, przytłaczającą większość. Oglądanie ich obok siebie na jednym ekranie przypominało koszmar. Wszystkie elementy układanki składające się na mrozącą krew w żyłach całość.

– Czekaj – powiedziała Lauren, gotowa do działania. – Poszukajmy go na Facebooku.

- Poważnie? Seryjny morderca na Facebooku?
- Czemu nie? Każdy ma profil na Facebooku. – Zamknęła przeglądarkę, kliknęła w ikonkę Facebooka, zalogowała się i wpisała nazwisko Zachary’ego Jeffcoata. Wyświetliła się cała strona ludzi o tym imieniu i nazwisku. Niektóre zdjęcia profilowe przedstawiały starszych mężczyzn z rodzinami, niektóre ciemnoskórych, było wśród nich też sporo profili zastrzeżonych, bez zdjęć.
- O naszym dawcy wiem tylko tyle, że pochodzi z Nevady i studiuje medycynę. Nie mam pojęcia, z jakiego jest miasta ani gdzie dokładnie się uczy. Banki nasienia nie ujawniają takich informacji.
- Hm. – Lauren przesunęła kursor na dół strony. – Nie widzę tu nikogo z Nevady. Ani żadnego studenta medycyny. Na pewno ma konto na Facebooku. Młody i przystojny student medycyny.
- Może je zastrzegł?
- Może. – Zamknęła Facebook i zalogowała się na Instagramie. – Nigdy nic nie wiadomo, nie zaszkodzi sprawdzić.
- Pewnie. – Christine obserwowała jej poczynania ze ściśniętym żołądkiem.
- No dobrze, na Instagramie też go nie ma, przynajmniej pod tym nazwiskiem. Sprawdzę jeszcze Twitter – zdecydowała, przebiegając palcami po klawiaturze. Christine zalała falą wdzięczności, że może liczyć na pomoc najlepszej przyjaciółki.
- Co ja bym bez ciebie zrobiła?
- Byłabyś skazana na kokosowy tort z hipermarketu, którego nie znosisz. – Lauren pokręciła głową, skanując wzrokiem wyniki wyszukiwania na Twitterze. – Nie widzę go. Czy to nie dziwne, że nie ma konta na żadnym portalu społecznościowym? W jego pokoleniu to się praktycznie nie zdarza.
- Przecież niektórzy bojkotują media społecznościowe. Nie każdy jest nauczycielem. – Usiłowała złagodzić napięcie żartem. Między sobą żartowali, że nauczyciele spędzają więcej czasu na portalach społecznościowych niż nastolatki. Z tą różnicą, że oni używali tego środka komunikacji do przesyłania planów lekcji, wymieniania się sposobami na wzbudzenie zainteresowania uczniów oraz kontaktami do aktualnego szpiega w kuratorium, który informował ich, czego mogą się spodziewać ze strony wroga.
- To prawda – uśmiechnęła się Lauren.
- Nie dopatrywałabym się w tym niczego szczególnego. Znamy nauczycieli ukrywających swoją tożsamość online, żeby nie rzucać się w oczy dyrekcji. Może mieć konto pod pseudonimem. – Christine próbowała przekonać samą

siebie, prawie się jej udało. – Na przykład Marcus ma na Facebooku firmową stronę do kontaktów służbowych, ale także stronę o nazwie Ekipa Golden Bear dla kumpli od golfa.

– Nie wiedziałam.

– Wiesz, jak kocha Jacka Nicklausa. – Wskazała ukochane sportowe memorabilia męża: oprawiony plakat U.S. Open z autografem słynnego golfisty i jego kolorową fotografię podpisaną pseudonimem Golden Bear.

– Urocze. Po co im strona na Facebooku?

– Zamieszczają filmiki z rozgrywek i oceniają się nawzajem.

– No dobrze – zaśmiała się Lauren. – Wracając do waszego dawcy, cofam to, co powiedziałam o jego nieobecności w sieci.

– A jeśli podał bankowi fałszywe dane? – Ta myśl nagle przyszła jej do głowy. – Chociaż oni z pewnością sprawdzają takie rzeczy. Mimo wszystko gdyby chciał coś ukryć...

– Nie badają ich chyba wykrywaczem kłamstw?

– No nie. Masz, zerknij na jego notkę biograficzną. – Christine podała jej plik dokumentów z danymi dawcy o numerze 3319.

– Pamiętam, że już to czytałam. – Lauren zmarszczyła czoło, przebiegając wzrokiem tekst. – Wiesz co? Zadzwoń może do tego banku spermy i opowiedz o swoich podejrzeniach.

– Do Homestead? To tak nie działa. Nigdy się z nimi nie kontaktowałam inaczej niż przez doktora Davidowa.

– W takim razie do niego powinnaś zatelefonować.

– Tak myślisz? – Zerknęła na zegar w komputerze, który wskazywał dwiętnastą czterdzieści pięć. – Już po godzinach pracy.

– Zostaw wiadomość. Możesz powiedzieć, że sprawa nie jest bardzo pilna, ale masz pytanie dotyczące dawcy. – Lauren delikatnie ścisnęła ramię przyjaciółki. – Kochanie, wiem, że będziesz się tym dręczyć, jeśli nie zadzwonisz, chociaż moim zdaniem chodzi o dwie różne osoby.

– Dobrze, zadzwonię. Poczekaj sekundę. – Odnalazła w kontaktach numer komórkowy lekarza. Odebrał po drugim sygnale.

– Halo? – usłyszała w słuchawce jego ciepły głos. – Cześć, Christine!

– Dobry wieczór, doktorze. – Serce jej drgnęło ze wzruszenia, bo Davidow tak wiele dla niej zrobił. – Przepraszam, że niepokoję.

– Nic nie szkodzi. Jak samopoczucie? W czym mogę pomóc?

– Jeśli to nie problem, chciałabym przełączyć na tryb głośnomówiący. Jest ze

mną przyjaciółka, Lauren.

– Oczywiście.

– Wspaniale, dziękuję. – Nacisnęła przycisk aktywujący głośnik. – Dobrze mnie słyszeć?

– Pewnie. – Głos doktora Davidowa odbił się echem od ścian cichego pokoju. – W czym problem? Jak się pani czuje?

– Nieźle, poza tym, że przypadkiem zobaczyłam dziś w telewizyjnych wiadomościach reportaż z aresztowania seryjnego mordercy, który bardzo przypomina wyglądem naszego dawcę. – Czuję się dość głupio, ale skoro już zaczęła, musiała dokończyć. – Wiem, jak to brzmi, ale wydaje mi się, że go rozpoznaję na podstawie fotografii, które dostaliśmy. Aktualnej i z dzieciństwa. Czy to w ogóle możliwe?

Na chwilę zapadło milczenie po obu stronach.

– Chce pani powiedzieć, że zidentyfikowała go na podstawie tej jednej, aktualnej fotografii?

– Nie mam stuprocentowej pewności, ale tak, podobieństwo jest uderzające.

– Z którego banku korzystaliście? – W głosie lekarza nastąpiła subtelna zmiana, stracił swobodny ton.

– Homestead.

– Czy dawca wyraził zgodę na ujawnienie danych osobowych?

– Nie, chciał pozostać anonimowy, ale pan mógłby sprawdzić, czy chodzi o tę samą osobę.

– Jeżeli oddał nasienie anonimowo, jego dane są zastrzeżone również dla naszej kliniki. Dostajemy od banku wyłącznie te informacje, które przekazujemy wam.

– Nie wiedziałam. – Popatrzyła na Lauren, której twarz wyrażała rozczarowanie. – Sądziłam, że dysponujecie kompletem danych.

– Niestety. Składamy zamówienie w waszym imieniu i odbieramy fiołki z zamrożonym nasieniem, przysłane na nasz adres z zachowaniem odpowiednich procedur transportu, oraz rachunek. Pobranie i transport materiału genetycznego oraz wszystko, co z tym związane, należą do obowiązków banku. Mogę jednak ręczyć za Homestead, to zaufana placówka. Moja własna siostra – myślę, że nie miałaby nic przeciwko temu, bym to ujawnił – dwukrotnie korzystała z ich usług i urodziła dwoje zdrowych dzieci. Dwukrotnie wybrała tego samego dawcę, żeby maluchy były biologicznym rodzeństwem.

- Naprawdę? – Christine nie kryła zdumienia.
- Tak, uważam Homestead za najlepszą placówkę tego typu, dlatego poleciłem ją siostrze. Mają tam najlepszy w kraju system selekcji. Otrzymują około dwudziestu pięciu tysięcy zgłoszeń rocznie, z czego akceptują niespełna jeden procent. Dla porównania dodam, że na Harvard dostaje się sześć procent z trzydziestu pięciu tysięcy kandydatów. Innymi słowy, łatwiej zostać studentem w Harvardzie niż dawcą nasienia w Homestead.
- Och. – Słowa lekarza jej nie pocieszyły. Zwróciła uwagę, że Homestead posiada swoje placówki w Cambridge, New Haven, Chicago, Filadelfii i Palo Alto, czyli w pobliżu wyższych uczelni Ivy League, co nie było przypadkiem, jak sądziła.
- Lauren pochyliła się nad telefonem.
- Doktorze Davidow, mówi Lauren. Czyli jest pan w gruncie rzeczy brokerem w transakcji genetycznej?
- Owszem, choć pewnie użyłbym innych słów – zachichotał lekarz. – Christine, niech mi pani poda numer referencyjny dawcy.
- 3319. – Kobiety wymieniły zatroskane spojrzenia.
- Proszę poczekać, siedzę właśnie przy komputerze. – Doktor Davidow zamilkł na moment, po czym kontynuował: – Zalogowałem się na stronę banku i widzę, że nasienie tego dawcy jest dostępne. Mają panie dostęp do sieci?
- Oczywiście. Chwileczkę. – Pochyliła się nad klawiaturą, weszła na stronę banku i wpisała swoje hasło dostępu. Odszukała dawcę 3319, po czym otworzyła profil z danymi. Obok informacji „Dawca anonimowy” widniał napis: „Nasienie jest dostępne! Zamów teraz!”.
- Wstrzymaliby sprzedaż próbek, gdyby dawca 3319 został aresztowany przez policję.
- Przez chwilę rozważała jego słowa.
- Gdyby oglądali ten sam program informacyjny. To się wydarzyło dopiero dziś po południu. Wycofaliby próbki nasienia ze sprzedaży? Co ma pan na myśli? Czy banki tak postępują?
- Owszem, ale bardzo rzadko. Wtedy, gdy u dziecka pojawią się wady wrodzone, na przykład zez. Kilka lat temu jedna z moich pacjentek urodziła niemowlę ze zdeformowaną stopą. Powiadomiłem o tym bank i wycofali nasienie dawcy ze sprzedaży.
- Czy tym bankiem był Homestead?
- Nie. Raczej nie ma powodów do obaw, Christine, ale zadzwonię tam

i powiadomię Homestead o pani podejrzeniach.

– Będę wdzięczna.

Lauren pochyliła się nad mikrofonem.

– Doktorze, czy Christine może do nich zadzwonić osobiście?

– Lepiej, abym ja to zrobił. Mam z nimi umowę, że nasza klinika powiadomi ich o każdym przypadku defektu genetycznego. – Lekarz przerwał na parę sekund. – Christine, oddzwonię natychmiast po rozmowie z przedstawicielem Homestead.

– Dziękuję, zadam jeszcze tylko jedno pytanie. Jak wygląda proces selekcji dawców, w jaki sposób ich sprawdzają?

– Robią dość precyzyjne badania przesiewowe, głównie z krwi. Rozumiem pani niepokój, ale moim zdaniem nie ma się czym denerwować. Jak już mówiłem, to najlepszy bank nasienia w kraju. Procedura w przypadku dawczyń komórek jajowych wygląda u nas podobnie. Kandydatki na dawczynie są badane pod kątem chorób genetycznych i wenerycznych, a następnie rozmawia z nimi Michelle, która decyduje, czy spełniają kryteria psychologiczne.

– Mają sesję z Michelle? Taką, na jakie chodziliśmy z Marcusem?

– Dokładnie, a ja polegam na jej opinii. Wiesz, że jest wybitną specjalistką. Osoby, które nie dostaną od niej oceny celującej, skreślamy z listy dawczyń.

– Co może dyskwalifikować potencjalną kandydatkę?

– Hm, niech pomyślę. – Doktor Davidow przerwał. – Na przykład informacja, że kobieta bardzo chce zostać matką. A my szukamy kogoś, kto chce dać innym szansę na bycie rodzicami. Rozumie pani?

– Tak. – Christine pragnęła dać się przekonać, że nie ma powodu do obaw, ale nie mogła. Jeszcze nie teraz. – Czy banki poddają swoich dawców badaniom psychologicznym?

– Tego nie wiem.

Lauren zmarszczyła brwi.

– Doktorze, wygląda na to, że wymagania wobec dawczyń komórek jajowych są bardziej rygorystyczne niż wobec dawców nasienia.

– Być może istnieje pewna asymetria, ale nie będę spekulować. Mam kontrolę jedynie nad tym, co ma miejsce w moim gabinecie. Osobiście pobieram komórki jajowe, więc jestem zaangażowany osobiście i odpowiedzialny za ich selekcję, przechowywanie i proces zapłodnienia. Nie pobieramy nasienia. Aczkolwiek powtarzam raz jeszcze, że bank Homestead

cieszy się najlepszą reputacją w kraju.

– Czy miał pan z nimi kiedykolwiek jakiś problem?

– Nie, nigdy. – Doktor Davidow odchrząknął. – Zadzwoń do nich, gdy tylko skończymy rozmowę. Nie wiem, czy dziś jeszcze kogoś złapię, ponieważ biuro jest już zamknięte, ale na pewno niezwłocznie panią zawiadomię.

– Świetnie, bardzo dziękuję.

– Jak się pani czuje poza tym?

– Nieźle, chociaż mam mdłości.

Doktor Davidow roześmiał się.

– Mdłości w ciąży to akurat dobry znak. No dobrze, do usłyszenia później.

– Do usłyszenia i dobranoc. – Christine rozłączyła się i popatrzyła na Lauren. – Potraktował mnie poważnie.

– Słusznie.

– Wolałabym usłyszeć, że opowiadam głupstwa – powiedziała.

Lauren poklepała ją po dłoni.

– Nie nazwałabym głupstwem niczego, co powoduje twój niepokój. Uważam jednak, że na dziś zrobiłaś już wszystko, co mogłaś, i powinnaś odpocząć.

– Dobrze – obiecała Christine, ale nie miała pewności, czy dotrzyma tej obietnicy.

ROZDZIAŁ 5

Christine obudziła się w swojej sypialni, zasnęła odkryta na pościelonym łóżku, wciąż miała na sobie domowy dres, a obok leżał otwarty laptop oraz niedokończona praca: kilka niewypełnionych sprawozdań na temat uczniów, ich postępów w nauce, współpracy z nauczycielami i rodzicami. Murphy pochrapywał w nogach łóżka, z łazienki dobiegał szum prysznicu świadczący o obecności Marcusa. Uniosła się na łokciu i spojrzała na zegar. Dopiero dwudziesta pierwsza czterdzieści pięć, czyli znów zasnęła przy pracy. Kiedyś była nocnym markiem, oglądała telewizję do późna, ale ciąża wszystko zmieniała.

Odruchowo dotknęła brzucha, zastanawiając się, kiedy poczuje pierwsze ruchy dziecka. Na samą myśl zalała ją fala szczęścia, a twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Oparła głowę o poduszkę. Sypialnia była naprawdę ładna, w tonacji uspokajającego błękitu, pościel w niebieskie hortensje pasowała do zasłon, trzyskrzydłowe okno z białymi, pionowymi żaluzjami na wprost łóżka wychodziło na ulicę. Biały sufit kojarzył się z puszystymi chmurami, pomyślała, że trafiła do kobiecego nieba, i zmówiła w duchu modlitwę dziękczynną.

Zatrzymała wzrok na ciemnym ekranie laptopa i nagle sobie przypomniała: dawca 3319, Zachary Jeffcoat. Poczła znajomy skurcz żołądka, sięgnęła po leżący na nocnym stoliku telefon i zerknęła na wyświetlacz. Doktor Davidow nie zadzwonił. Upewniła się, czy dźwięk w telefonie jest wyciszony. Położyła się z aparatem w dłoni. Miała ochotę zadzwonić do mamy, z którą była bardzo zżyta, albo odwiedzić rodziców w Middletown, gdzie się wychowała. Nie chciała jednak niepotrzebnie jej martwić, opieka nad chorym na alzheimera ojcem była wystarczającym obciążeniem.

Przypomniała sobie uspokajające słowa doktora Davidowa: Homestead jest najlepszą tego rodzaju placówką w całym kraju, dawcy podlegają starannej selekcji, jego rodzona siostra skorzystała z materiału genetycznego jednego

dawcy i urodziła dwójkę zdrowych dzieci. Początkowo możliwość skorzystania z banku spermy nieco ją zniesmaczyła, odstręczała ją dziwaczność niektórych procedur związanych ze sztucznym zapłodnieniem. W końcu jednak zaakceptowała wszystkie aspekty leczenia niepłodności, potraktowała ją jak każdą inną chorobę i swobodnie rozmawiała z innymi kobietami w poczekalni o ruchliwości plemników i wydzielinach pochwowych. Opanowała słownictwo społeczności, do której nikt nie chciał przynależeć. Stanowili grupę przypadkowych osób połączonych tym samym dramatem, którego większość ludzi nie rozumie, bo mają dzieci.

Leczenie niepłodności otworzyło jej oczy na wiele spraw. Na przykład, wbrew temu, czego się spodziewała, nie zobaczyła ani jednego folderu ze zdjęciami dzieci poczętych dzięki pomocy kliniki. W całym budynku nie zauważyła niczego, co kojarzyłoby się z niemowlętami. Ściany zdobiły pastelowe krajobrazy, czasopisma w poczekalniach dotyczyły tematyki ogólnej, nie było ani jednego na temat wychowania czy ciąży. Na drzwiach widniał dyskretny napis: „W trosce o pozostałych pacjentów prosimy o nieprzychodzenie na wizyty z dziećmi”.

Po kilku miesiącach bezowocnych starań o ciążę doceniła mądrość i humanitaryzm tej zasady. Umarłaby z żalu na widok noworodka w poczekalni, nawet do sklepów chodziła niechętnie, z bólem patrzyła na uśmiechnięte bobasy w wózkach, machające pulchnymi nóżkami. Nigdy w życiu nie pragnęła niczego równie gorąco i boleśnie, jak tego dziecka, doświadczała owego pragnienia jako fundamentalnej tęsknoty, biologicznej potrzeby organizmu zapisanej w łańcuchu DNA każdej żywej istoty, konieczności rozmnażania. Nigdy nie straciła nadziei na cud i oto się zdarzył, nareszcie. Była najszczęśliwszą kobietą na ziemi, dopóki nie zobaczyła wczorajszych wiadomości CNN.

– Hej – powiedział Marcus, wychodząc z łazienki w błękitnym ręczniku owiniętym wokół bioder. Miał wysportowane ciało – szerokie, muskularne ramiona i płaski, umięśniony brzuch. Z mokrych brązowych włosów kapała woda.

– Cześć. – Zdobyła się na uśmiech i usiadła oparta o wezgi łóżka obite tkaniną w niebieskie hortensje. – Dobrze się bawiłeś na polu golfowym?

– Nie bardzo.

– Dlaczego? – zapytała ze zdziwieniem. Zazwyczaj wracał z golfa w doskonałym humorze. Ulubiony sport uspokajał go i relaksował, często po

jego powrocie przeżywali upojne chwile w łóżku.

– Nie interesuje cię golf.

– Ty mnie interesujesz. – Poklepała zachęcająco materac obok siebie. Marcus usiadł i pokazał jej dłoń, dużą, silną, zaczerwienioną, z odciskami na każdym palcu.

– Widzisz te zaczerwienienia? Za mocno ściskam kij. Prawdziwy uścisk śmierci. Łatwo to naprawić, wystarczy, że się odprężę. Po prostu miałem zły dzień, każdemu się może zdarzyć.

– Jasne. – Wyczuła jego niechęć do kontynuowania tematu, więc nie nalegała. Mimo wyglądu twardego Marcus był wrażliwcem. „Lepiej go zostawić w spokoju, jeśli nie ma humoru”, pomyślała. Świętej pamięci teściowa Christine, Barbara Nilsson, Bibi, zapalona amazonka, nazywała go czasem „koniem pociągowym”, a swoje kontrowersyjne porównanie tłumaczyła tym, że jest duży i silny, lecz miękki w środku. Christine nie ujęłaby tego w ten sposób, choć nie podejrzewała Bibi o złośliwość. Mówiła to z matczyną miłością. Poznała matkę Marcusa rok przed jej nagłą śmiercią z powodu pęknięcia tętniaka, polubiła ją bardziej niż jego skupionego na sobie ojca, Frederika, który ożenił się ponownie rok po śmierci Bibi.

– Wcześniej zasnął.

– Wiem, jestem padnięta.

– Zjesz coś? Przynieść z kuchni?

– Nie, dziękuję. Ty jadłeś? Czuję się winna, że lodówka świeci pustkami. Miałam zamiar zrobić zakupy po lekcjach, ale przyjęcie pokrzyżowało mi plany.

– Nic nie szkodzi. Zjadłem tort. Też hoduję brzuch. – Poklepał się znacząco po swoim sześciopaku.

Christine i Marcus poznali się na pierwszym roku studiów. Od razu zwróciła uwagę na przystojniaka, którego widywała na zajęciach z politologii. Nie mogła oderwać oczu od jego tricepsów, gdy podnosił plecak. To była żądza od pierwszego wejrzenia, miłość przyszła później i szczęśliwie trwała po dziś dzień. Od siedmiu lat pławili się w małżeńskim szczęściu.

– Co powiedziała Lauren? Na temat dawcy?

– Wątpi, że to ta sama osoba. Zadzwończyłyśmy do doktora Davidowa.

– Naprawdę? – Zacisnęła usta. – Jak zareagował?

– Obiecał zawiadomić Homestead, a później zdać nam relację z rozmowy. Tylko oni znają tożsamość dawcy. Klinika jedynie pośredniczy.

- Wiem.
- Ja nie wiedziałam. – Nagle poczuła się głupio, nie lubiła tego uczucia, dlatego miała wiele zrozumienia dla swoich uczniów. Problemy z nauką czytania wywoływały w nich poczucie niższości lub wykluczenia, choć nie spełniali kryteriów pozwalających zdiagnozować dysleksję czy inne zaburzenia poznawcze.
- Czy doktor Davidow powiedział ci coś więcej na temat procesu rekrutacji dawców?
- Niezupełnie. – Miała wyrzuty sumienia, bo widziała, ile bólu sprawia mu ta rozmowa. – Ale uspokoił mnie i naprawdę już się tak nie martwię.
- Cieszę się – rzekł, unosząc do góry jedną brew. – Bałem się, że Lauren jeszcze bardziej cię wystraszy.
- Bez obaw. Mogę się przy niej wygadać. Nie nakręca mojego szaleństwa.
- Całe szczęście. Lubię cię taką szaloną, jak jesteś. Ani więcej, ani mniej.
- Ja też. – Pogładziła go po wilgotnym ramieniu.
- Boże, ja też jestem wykończony – poskarżył się bez uśmiechu. Christine odebrała jego słowa jako sygnał, że nie jest w nastroju, aby się kochać. Ona także nie miała ochoty, dlatego nie nalegała. Wcześniej, zanim zaczęły się problemy z bezpłodnością, seks był dla nich źródłem nieustającej radości, która znikła, gdy zaczęli się kochać w jednym tylko celu: aby począć dziecko. Jeszcze wtedy myśleli, że to Christine ma kłopot z zajściem w ciążę. Diagnoza Marcusa nie poprawiła sytuacji, wręcz przeciwnie, sprawiła, że stracił zainteresowanie seksem, pojawiły się problemy z erekcją. Dopiero niedawno zdołali pokonać seksualne blokady, ale Christine obawiała się, iż obecne zamieszanie zaszkodzi ich życiu intymnemu.
- Bardzo lubię doktora Davidowa – oznajmiła. – Potraktował mnie poważnie, ale nie wpadł w panikę.
- Przecież nie ma powodu do paniki.
- Jego zdaniem wycofaliby nasienie ze sprzedaży, gdyby pojawiły się jakiegokolwiek problemy.
- Poważnie? – Marcus uniósł brew w wyrazie lekkiego zdziwienia. Christine postawiła sobie laptop na kolanach i włączyła go.
- Tak. Wycofują próbki, jeśli jedno z dzieci urodzi się z wadą genetyczną, nawet w przypadku błahych problemów typu zez lub zdeformowana stopa.
- Ciekawe.
- Zgadzam się – odparła usatysfakcjonowana, że udało jej się

zrehabilitować. Tym razem ona wiedziała więcej od Marcusa. Zamknęła stronę szkoły, by wrócić na stronę banku Homestead. Wpisała w pasek wyszukiwania numer dawcy. Sprawdziła jego profil co piętnaście minut, zanim zasnęła.

– Powiedział, że skoro jego sperma jest nadal dostępna, prawdopodobnie nie ma się czym martwić.

– Słusznie.

– Kiedy ostatnio sprawdzaliśmy, nadal była w sprzedaży. – Christine otworzyła profil dawcy numer 3319 i zamarła, ponieważ widniała przy nim informacja: „Nasienie chwilowo niedostępne! Przepraszamy!”.

– O Boże, nie – szepnęła wstrząśnięta.

ROZDZIAŁ 6

– Do kogo dzwonisz? – zapytała, patrząc na Marcusa, który właśnie wybierał numer. Poszedł po swój telefon natychmiast, gdy zobaczył informację o wycofaniu ze sprzedaży nasienia dawcy 3319. Nadal był w ręczniku, ale nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego, a jedynie zdeterminowanego, natomiast Christine wpadła w panikę. Zaszło jej w ustach, serce kołatało jej w piersi jak przerażony ptak. Obsesyjnie odświeżała stronę w nadziei, że zaszła jakaś pomyłka.

– Do Homestead.

– Ale oni komunikują się za pośrednictwem Davidowa.

– Sprzedali nam tę spermę, niech teraz się tłumaczą. – Przyłożył aparat do ucha.

– Może najpierw zadzwonimy do niego? – Nie mogła już jasno myśleć, przygniotła ją lawina emocji: strach, niedowierzenie, rozpacz, szok. Nie umiała ocenić racjonalności swojej reakcji. Może przejmowała się za bardzo, a może za mało? Ogarnęły ją mdłości, ze stresu, z powodu ciąży lub z obu tych powodów naraz.

– Nie mam zamiaru prosić nikogo o pozwolenie, żeby dowiedzieć się tego, co mam prawo wiedzieć.

– Nie zapytamy go o pozwolenie, tylko sprawdzimy, czy z nimi rozmawiał – powiedziała, choć nie wiedziała, czemu właściwie się wtrąca. Marcus doskonale radził sobie w podbramkowych sytuacjach, był chłodny i rzeczowy. Obdarzony ścisłym, inżynierskim umysłem, tworzył funkcjonalne, solidne konstrukcje mieszkalne, z bezgraniczną cierpliwością wyliczał wytrzymałość powierzchni oraz szczegółowo planował systemy kanalizacyjne, elektryczne i grzewcze budynków. Specjalnością firmy, którą prowadził, były oszczędne rozwiązania energetyczne.

– Na pewno do nich zadzwonił. Prawdopodobnie ma z nimi kontakt również po godzinach. Dawca został wycofany tuż po twoim telefonie, nie wierzę

w takie przypadki.

Nie mogła odmówić mu racji. Wciąż usiłowała zebrać myśli.

– Dzień dobry, nazywam się Marcus Nilsson – powiedział do słuchawki. – Moja żona zaszła w ciążę około dwóch miesięcy temu. Korzystaliśmy z nasienia dawcy 3319. Chciałbym porozmawiać z osobą, która jest odpowiedzialna za jego rekrutację. Dobrze, poczekam na połączenie z asystentką zarządu.

Christine usiadła na łóżku w wyprostowanej pozycji, usiłując nad sobą zapanować.

– Mógłbyś przełączyć na tryb głośnomówiący?

– Tak. – Nacisnął odpowiedni przycisk, a po chwili w pokoju rozległ się kobiecy głos.

– Panie Nilsson, mówi Lee Ann Demipetto. W czym mogę pomóc?

– Moja żona jest w drugim miesiącu ciąży. Korzystaliśmy z nasienia dawcy numer 3319. Dziś w telewizyjnych wiadomościach zobaczyliśmy mężczyznę nazywającego się Zachary Jeffcoat, który został zatrzymany w Pensylwanii pod zarzutem serii morderstw. Żona boi się, że aresztowany jest naszym dawcą. Wycofanie jego nasienia z oferty banku wzmocniło nasze obawy. Chcemy się dowiedzieć, czy dawca 3319 to Zachary Jeffcoat.

– Proszę pana, zwykle kontaktujemy się z lekarzami...

– Rozumiem, ale tym razem ja skontaktowałem się z wami – odpowiedział stanowczym, spokojnym tonem. – Czy dawca 3319 to Zachary Jeffcoat?

– Panie Nilsson, rozmawiałam już dziś z doktorem Davidowem, który opowiedział mi o państwa obawach. Wspólnie zdecydowaliśmy o wycofaniu próbek do czasu wyjaśnienia sprawy, na wszelki wypadek.

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Czy dawca 3319 to Zachary Jeffcoat?

Christine z trudem zachowała spokój. Panika ustąpiła miejsca lodowatym kleszczom strachu. Niepokój Marcusa nie wróżył nic dobrego.

– Przykro mi, panie Nilsson, nie mogę wyjawić tej informacji. W umowie, którą państwo z nami podpisali...

– Nie podpisywaliśmy z wami żadnej umowy.

– Mam przed sobą egzemplarz dokumentu z podpisem pana i pańskiej małżonki. Prawdopodobnie przekazał go państwu doktor Davidow lub jeden z jego współpracowników.

Christine pamiętała tamten dokument, zapewne jest w jednym

z segregatorów. Cztery strony drobnego druku, nawet go chyba nie przeczytała. Podpisałaby nawet cyrograf, aby tylko mieć dziecko.

– Teraz pan sobie przypomina, panie Nilsson? Punkt dwudziesty siódmy umowy: „Dane osobowe dawcy podlegają całkowitej ochronie. Bank nie udostępnia ich w żadnych okolicznościach, dotyczy to również rodziców osób poczętych dzięki współpracy z bankiem”.

– Zatem nie odpowie pani na moje pytanie?

– Nie mogę. Warunki umowy są jasne. Dodatkowo jesteśmy związani pisemną umową z dawcą, która zobowiązała nas do chronienia jego anonimowości niezależnie od sytuacji.

– Naprawdę mi pani nie odpowie? – Marcus podniósł głos.

– Prawo mi tego zabrania.

– Prawo przedkłada interesy seryjnego zabójcy ponad dobro płacącego klienta?

– Niezależnie od sytuacji, panie Nilsson.

Serce Christine wykonywało milion mocnych uderzeń na minutę. Głos Demipetto był nieprzejeźdny, kobieta pozostawała niewzruszona, jakby przygotowała się do tej rozmowy.

– Panie Nilsson, zasada ochrony danych osobowych dawców, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, które użyczyły nam komórek jajowych, stanowi filar, na którym opiera się funkcjonowanie nie tylko naszego banku Homestead, lecz wszystkich tego typu banków w całym kraju. Ponadto dawca 3319 wyraził w ankiecie życzenie zachowania anonimowości, jako powód podał przekonania religijne rodziców, odmienne od jego światopoglądu.

– Od światopoglądu seryjnego mordercy? – prychnął Marcus.

– Rozumiem pański punkt widzenia, proszę jednak zrozumieć moje położenie. Nasz bank każdego roku pomaga zajść w ciążę ponad dwunastu tysiącom kobiet, reputacja i zaufanie są dla nas bezcenne. Fundamentem naszego działania jest anonimowość dawców.

– Może mi pani podać przynajmniej jego datę urodzenia?

– Nie.

– Miejsce urodzenia?

– Nie.

– Datę dostarczenia próbki?

– Nie mogę ujawnić tej informacji.

– Potwierdzi pani, że studiuje medycynę? W ankiecie jest wzmianka

o przyjęciu na studia medyczne.

– W miarę możliwości weryfikujemy dane podawane przez dawców podczas rekrutacji, ale nie śledzimy ich poczynañ na bieżąco. Nie jesteśmy w stanie, jak pan zapewne rozumie.

Christine opadła na poduszki, obezwładniona nagłą słabością. Usiłowała zrozumieć, co właśnie usłyszała. Była wstrząśnięta.

– Nie rozumiem – warknął Marcus. – Uważam, że to wasz obowiązek. Sam jestem właścicielem firmy i odpowiadam przed klientami.

– Homestead nie jest firmą w dosłownym znaczeniu...

– Oczywiście, że jest. Zapłaciłem wam za próbkę spermy. Czy dokładnie sprawdzacie dawców?

– Przeprowadzamy badania na obecność chorób wenerycznych, żółtaczkę typu B i C, testy genetyczne, standardową morfologię krwi oraz profil biochemiczny. Oferowane przez nas próbki nasienia spełniają aktualne standardy Amerykańskiej Agencji do spraw Żywności i Leków oraz posiadają licencję Banku Tkanek w dniu wydania, jak informuje paragraf siedemnasty pańskiej umowy i...

– Nie pytam o badania krwi. Mamy do czynienia z sytuacją, gdy dawca zostaje aresztowany za serię zabójstw. Sprawdzacie policyjne kartoteki?

– Tak.

– Dotarliście do kartoteki naszego dawcy?

– Owszem, inaczej nie mógłby zostać dopuszczony do programu.

– A więc dawca 3319 nie był nigdy karany?

– Żaden z naszych dawców nie był.

Marcus pokręcił głową.

– Niech pani będzie, choć to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Telefon Christine zabręczał. „Zadzwoń do mnie. Zmienili informację na stronie”, napisała Lauren. „Wiem”, odpisała.

– Przeprowadzacie testy psychologiczne? – Marcus kontynuował przepytывanie Demipetto.

– Pytamy o choroby psychiczne wśród członków najbliższej rodziny, takie jak schizofrenia i choroba afektywna dwubiegunowa. Znajdzie pan te informacje na profilach dawców.

– Więć polegacie na ich słowie.

– Tak, i zaznaczamy to w każdym profilu online, co dotyczy również dawcy 3319. Może pan tam przeczytać, że „powyższe informacje dotyczące historii

medycznej oraz rodzinnej zostały udzielone przez dawców podczas wywiadu. Staramy się zebrać jak najwięcej szczegółowych danych o każdym z nich, lecz nie jesteśmy w stanie całkowicie wyeliminować ryzyka istnienia problemów zdrowotnych lub innych, które pozostały świadomie zatajone lub nieujawnione z powodu niewiedzy”.

– Nie słucha mnie pani. To nie jest problem zdrowotny.

– Zgoda, należy do kategorii „inne”. Podobnie jak późniejsze aresztowanie, pojawienie się choroby alkoholowej bądź innego uzależnienia, rozwój nowotworu lub innej choroby. Nie jesteśmy w stanie zabezpieczyć się przed takimi ewentualnościami i nie powinien pan oczekiwać...

– Seryjny morderca to osoba z poważnymi zaburzeniami psychicznymi. Socjopata. – Marcus nieznacznie podniósł głos. – Jak mogliście tego nie zauważyć? Jakiego rodzaju badania psychologiczne przeprowadzacie?

– Korzystamy ze wskaźnika Myers-Briggs.

– Czyli testu używanego podczas rekrutacji pracowników.

– Ma wiele zastosowań, służy do określenia typu osobowości, nasi klienci są bardzo zainteresowani tego rodzaju informacjami...

– Tylko że każdy głupi wie, jak go rozwiązać w taki sposób, aby zrobić dobre wrażenie. Jeżeli odpowiem twierdząco na pytania, czy lubię ludzi i łatwo nawiązuję znajomości, jestem ekstrawertykiem. Seryjny morderca byłby wystarczająco sprytny, aby zmanipulować wynik.

– Kierujemy się zasadą domniemania szczerości...

– W takim razie co nas chroni? Jak możemy wam zaufać? – Marcus odgarnął mokre włosy. – Czy dawca 3319 kiedykolwiek był studentem medycyny? Sprawdziliście czy uwierzyliście mu na słowo?

– Potwierdziliśmy, że w chwili aplikacji jego nazwisko było na liście studentów akredytowanej uczelni medycznej. Mogę pana zapewnić, że już jutro rozpoczniemy dochodzenie w tej sprawie...

– Jak długo będziecie „dochodzić”? – Machnął wolną ręką. – Macie akta z imieniem i nazwiskiem dawcy numer 3319. Sprawdzenie tego zajmie trzy minuty. Prawdopodobnie już dziś znacie odpowiedź na nasze pytanie. Proszę mi powiedzieć: to on?

– Nie mogę tego zrobić, panie Nilsson.

– Dlatego wycofaliście ze sprzedaży jego nasienie? Zajrzeliście do akt i znaleźliście w nich nazwisko Zachary’ego Jeffcoata?

Christine nie chciała nawet myśleć o wszystkich implikacjach słów Marcusa.

Przecież w innym wypadku nie zaniechaliby sprzedaży nasienia. Zależy im na utrzymaniu tajemnicy, ponieważ jeden z ich dawców okazał się seryjnym mordercą. Nie ma innego wyjaśnienia. Murphy uniósł łeb i popatrzył na swoją panią, świadom napięcia.

– Proszę pana, wyeliminowaliśmy z oferty numer 3319, ponieważ kierowaliśmy się ostrożnością. Dodam, że pozostałe zakupione przez państwa próbki są zarezerwowane i pieczołowicie przechowywane w naszej chłodni.

– Pozostałe próbki? – Marcus zmarszczył brwi. Christine domyśliła się od razu, że Demipetto ma na myśli pozostałe dwie z trzech fiolek nasienia dawcy 3319. Była to standardowa ilość na wypadek, gdyby zapłodnienie nie powiodło się przy pierwszej próbie. Płacili za przechowywanie dwóch pozostałych próbek, niedawno wypisała czek.

– Pozwolę sobie zwrócić pańską uwagę na punkt piętnasty naszej umowy: „bank zastrzega sobie możliwość zatrzymania zakupionego nasienia w przypadku wystąpienia nieprzewidzianych okoliczności, które będą tego wymagały, bez wyjawienia powodu, jeżeli jego ujawnienie miałyby skutkować niewywiązaniem się z ochrony danych osobowych dawcy. Klient otrzyma wtedy zwrot poniesionych kosztów zakupu, lecz nie przechowywania próbek”.

– To są te „nieprzewidziane okoliczności”?

– Bez wątplenia. Rozumiemy państwa sytuację.

– Nic nie rozumiecie. Nie jesteście w stanie. Moja żona jest w ciąży. To my – mówiąc kolokwialnie – siedzimy na bombie.

Christine skrzywiła się. Ani razu nie pomyślała o dziecku w ten sposób. Zaskoczyła ją postawa Marcusa.

– Pozwoli pani, że zapytam: od jak dawna korzystacie z usług dawcy 3319?

– Nie ujawniamy takich informacji.

– Co z innymi kobietami, które korzystały z jego nasienia? Na pewno nie jesteśmy jedyni.

– Tego także nie możemy ujawnić. Powiem jedynie, że ogólna zasada działania naszego banku wyklucza dużą liczbę transakcji z udziałem tego samego dawcy.

– Czy powiadomicie te osoby, jeśli okaże się, że numer 3319 to istotnie Jeffcoat? Poinformujecie nas?

Demipetto zawahała się.

– Nie jestem upoważniona, by o tym decydować, natomiast nie wydaje mi

się, żebyśmy byli formalnie zobligowani do informowania naszych klientów o przypadkach ewentualnych aresztowań dawców.

– Tu nie chodzi o drobne wykroczenie, ten człowiek zamordował trzy osoby. Trzy pielęgniarki. W ankiecie jest informacja, że rozpoczyna studia medyczne. Chyba mamy prawo wiedzieć?

– Państwa prawa są wyszczególnione w umowie...

– Nie mówię o paragrafach, lecz o zwykłej przyzwoitości. Świadomie zataja pani przede mną tę informację? Chociaż zasługuję na to, żeby wiedzieć? Proszę nie zaprzeczać!

– Proszę chwilę poczekać, panie Nilsson.

Trwał przy telefonie, gdy w słuchawce zapadła cisza, zdawało się, że zapomniał o obecności Christine.

– Proszę pana, muszę przerwać naszą rozmowę – oznajmiła Demipetto, kiedy wróciła. – Jutro w godzinach pracy zatelefonuje do pana przedstawiciel centrali spółki akcyjnej Fertility Assurance Associates, która, jak się pan być może orientuje, jest właścicielem naszych placówek...

– Proszę się nie rozłączać. Nie chcę czekać do jutra. Nie mam zamiaru...

– Przykro mi, otrzymałam polecenie przekazania tej sprawy zarządowi. Proszę mi wierzyć, że nie lekceważymy państwa obaw. Oddzwonimy.

– Zakazali pani ze mną rozmawiać?

– Przepraszam, muszę kończyć. Dziękuję za rozmowę. Dopilnuję, aby w dniu jutrzejszym ktoś do państwa zadzwonił. Do widzenia.

Marcus rozłączył się z zaciętym wyrazem twarzy.

– Dzwonię do naszego lekarza. Trzeba to raz na zawsze wyjaśnić.

Christine skinęła głową ze ściśniętym sercem. Marcus już wybierał numer.

– Dzień dobry, doktorze. Z tej strony Marcus Nilsson i Christine.

– Witajcie.

– Dzień dobry – odezwała się Christine. Głos lekarza brzmiał inaczej niż podczas ich wcześniejszej rozmowy. Nie był już ciepły, ożywiony i pełen zainteresowania, lecz pełen napięcia i rezerwy.

– Panie doktorze, wiem, że rozmawiał pan po południu z Christine na temat dawcy 3319. Na stronie widnieje informacja o wycofaniu jego nasienia ze sprzedaży. Wie pan, dlaczego tak się stało?

– Rozmawiałem z przedstawicielką banku, Lee Ann. Właśnie miałem do was dzwonić...

– Co powiedziała?

– Że wstrzymają sprzedaż do czasu wyjaśnienia sprawy. Przyznałem jej rację i podziękowałem za ostrożność.

– A więc nasz dawca to Zachary Jeffcoat?

– Nie wiem. Fakt wstrzymania sprzedaży nasienia dawcy 3319 nie potwierdza tego automatycznie. Homestead zastosował środki ostrożności do czasu wyjaśnienia sytuacji...

– On czy nie on, doktorze? – Marcus podniósł głos, lecz nie stracił nad sobą kontroli.

– Nie potwierdzają ani nie zaprzeczają.

– Proszę mnie nie okłamywać. Nie chcą panu powiedzieć? To wasz poddostawca, na litość boską!

Doktor Davidow odchrząknął.

– Wiem, że niełatwo to zrozumieć, ale nie mogą ujawnić tej informacji nawet mnie. Podpisali z dawcami klauzulę poufności, obawiają się konsekwencji prawnych.

– Naprawdę pan nie wie czy nie chce wiedzieć?

– Nie wiem. Zapytałem, ale odmówili odpowiedzi.

Christine opadła na poduszki. Murphy przysunął się do niej i oparł łeb o jej udo. Pogładziła miękkie futro na czole czworonoga, nie wiedząc, kto kogo pociesza.

– Doktorze Davidow, czy po rozmowie z panem, przed wycofaniem nasienia tego dawcy, zostało przeprowadzone jakieś dochodzenie?

– Nie wiem.

– Czy wycofali próbki podczas rozmowy z panem?

– Nie, były dostępne podczas naszej około piętnastominutowej rozmowy. Nie wiem, kiedy zablokowano sprzedaż, ale jestem pewien, że z powodu mojego telefonu.

– Więc to on?

– Nie wiem. Są w trakcie wyjaśniania sprawy.

– Co tu wyjaśniać? Wystarczy zajrzeć do akt i przeczytać nazwisko dawcy. Trzy minuty i po sprawie.

– Dane dawców są z całą pewnością chronione, być może nawet zakodowane. Przypuszczam, iż dostęp do nich mają jedynie nieliczni pracownicy banku. Asystentka zarządu raczej go nie posiada. Trudno powiedzieć.

– Dobrze, takie wyjaśnienie przyjmuję. – Marcus przestał nerwowo chodzić

po pokoju i skinął głową.

– Zapewniam państwa, że nigdy nie byłem w podobnej sytuacji. Wasze dobro leży mi na sercu. Może przyjdziecie jutro do gabinetu?

– Zawiadomią pana o wynikach dochodzenia?

– Nie. Zapytałem, ale odmówili.

– Przecież ja mam prawo wiedzieć. – Marcus podjął na nowo swój nerwowy spacer. Pies odwrócił łeb i także go obserwował.

– Jeżeli bank nie jest prawnie zobowiązany do udzielenia takiej informacji, nie udzieli jej, nawet w tym przypadku. Rozmawiałem już z Michelle. Myślę, że powinniście przyjść do niej na sesję, o czwartej.

– Nie potrzebuję sesji terapeutycznej, tylko odpowiedzi. Moja żona może nosić dziecko seryjnego mordercy.

Christine poczuła się, jakby ją ktoś uderzył. Słowa Marcusa sprawiły, że nieubłagana rzeczywistość uderzyła w nią całą swoją groteskową potwornością. Pod powiekami wezbrały jej łzy. To się dzieje naprawdę. To prawda. Wszystko stracone, przepadło. Marzenia o macierzyństwie, o rodzinie. Przytłoczyła ją lawina myśli. Nie miała złudzeń, że Marcus kiedykolwiek uzna dziecko za swoje, poczuje się jego ojcem, gdy biologiczny ojciec jest mordercą. Mimo wszystko ona wciąż była matką i została sama. Ona i jej dziecko mogli liczyć tylko na siebie. Rzeczywiście „siedziała na bombie”.

Głosy Marcusa i doktora Davidowa dobiegały ją z oddali. Nie słyszała już, co mówią, nie czuła psiej sierści pod ręką. Marcus popatrzył na nią z niepokojem, ale nie zdołała otworzyć ust. Pokój zniknął, niebiańsko błękitne ściany i łagodne światło zastąpiła ciemność.

Nie zdążyła już nic pomyśleć, bo zemdląca.

ROZDZIAŁ 7

W ostatnim dniu roku szkolnego korytarz był pełen zabieganych ludzi. Asystenci nauczycieli biegali tam i z powrotem, roznosząc rozmaite formularze, pomocnicy popychali wózki z kartonowymi pudłami do zaparkowanych przed budynkiem ciężarówek, a przedszkolanka, Linda Cohen i Melissa DiMarco, szybkim krokiem zmierzały ku pokojowi nauczycielskiemu. Obejrzały się i szerokim uśmiechem powitały Christine.

– Christine! – zawołała Linda. – Wspaniale się wczoraj bawiłam! Zadzwoń do mnie, dobrze?

– Pewnie, dzięki! – Pozostawała uśmiechnięta, choć umysł wciąż miała zaprzątnięty niewesołymi rozmyślaniami. Rano zwymiotowała. W końcu jestem w ciąży, tłumaczyła sobie. Musiała wytrzymać w pracy jeszcze tylko jeden dzień.

– Wszystkiego dobrego! Będziemy tęsknić! – dołączyła Melissa.

– A ja za wami! – Christine skierowała się wprost do swojego gabinetu, po drodze minęła otwarte drzwi sekretariatu, w którym Pam, z pomocą kilku pracowników, opróżniała regały i pakowała dokumenty do kartonowych pudeł. Uczyniła zapraszający gest, ale Christine znacząco postukała w zegarek i poszła dalej.

– To ty?! – zawołała Lauren i wstała od swojego biurka, gdy tylko usłyszała szcęk otwieranych drzwi. Ich gabinety były połączone.

– Ja! – odpowiedziała, upuszczając na niebieski dywan płócienne torby, plecak i torebkę. Rozejrzała się po obcym dziś pomieszczeniu. Po usunięciu wszystkich osobistych rzeczy nawet nie przypominało miejsca, w którym przepracowała dziesięć lat. Brązowe drewniane biurko nie wyróżniało się niczym, pozbawione fotografii Marcusa, Murphy’ego i Lady. Ściany wyglądały zimno i pusto, kiedy zniknął propagujący czytelnictwo plakat, przedstawiający Elvisa Presleya z książką. Szafki były wyłożone brązowym papierem, korkowa tablica świeciła pustkami, jeśli nie liczyć gwiazdozbioru dziur po pinezkach.

Zostawiła tylko plakat z tabelą Fountas-Pinnell, pomagającą określić postępy w czytaniu, oraz swój ulubiony cytat Mai Angelou: „Jeżeli wciąż skupiasz się na tym, żeby uchodzić za normalnego, możesz nigdy nie odkryć własnej wspaniałości”.

– Jak się czujesz, skarbie? – Lauren zamknęła ją w porannym uścisku, pachnącym świeżością i cytrusowym szamponem do włosów.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Christine odwzajemniła uścisk. – Po prostu nie wierzę.

– Opowiadaj. Martwiłam się, kiedy nie oddzwoniłaś. – Lauren wypuściła ją z objęć, patrzyła z troską i miłością. Jej kręcone brązowe włosy, wciąż mokre po prysznicu, były związane w węzeł na czubku głowy, spod tiulowej tuniki prześwitywała jaskraworóżowa bluzka z krótkim rękawem.

– Przepraszam. Zemdlałam.

– O matko. – Lauren zakryła usta dłonią.

– Wiem, histeryczka ze mnie. – Otrzeпаła z kurzu lnianą szmizjerkę, która – jak przewidywała – i tak będzie brudna po pięciu minutach. Nie miała rano głowy do szukania odpowiedniego stroju. Wzięła prysznic, ale nawet nie wysuszyła dokładnie włosów.

– No coś ty! Siadaj. – Lauren podsunęła plastikowe niebieskie krzesło. Było przeznaczone dla najmłodszych uczniów, Christine ledwie się na nim mieściła.

– Potem się rozplakałam, zaczęliśmy rozmawiać, znowu trochę płakałam... w końcu zasnęłam z wycieńczenia i przespałam całą noc. – Omal nie powiedziała „jak niemowlę”, ale ugryzła się w język.

– Wiesz już, dlaczego wstrzymali sprzedaż tej spermy? To naprawdę on? – zapytała z niepokojem.

– Zamrozili sprzedaż do czasu wyjaśnienia sytuacji, cokolwiek to znaczy. Wiemy tyle samo, co ty. Dziś po szkole mamy spotkanie z Michelle i Davidowem.

– Świetnie.

– Homestead nie chce powiedzieć Davidowowi ani nam, czy Jeffcoat jest ich dawcą, ponieważ obowiązuje ich zasada poufności. Są zobowiązani umową do ochrony anonimowości naszego dawcy, a my wyraziliśmy na to zgodę, podpisując kontrakt.

– O rany. – Lauren oparła się o biurko i skrzyżowała ramiona. – Więc nie muszą was informować?

– Właśnie, z punktu widzenia prawa nikt nie musi nam nic mówić.

– Poczekajmy na wynik dochodzenia. Nie panikujmy zawczasu. Jak radzi sobie Marcus?

– Chyba nie zmrzył oka. Kiedy się obudziłam, siedział przy komputerze w swoim gabinecie. – Christine zerknęła na zegarek, za kwadrans zaczynała sesję z uczniem, pierwszą z wielu przed samym końcem roku.

– Co robił?

– Nie wiem, rano nie mieliśmy czasu porozmawiać. Drukował coś w dużych ilościach, czego nigdy nie robi. Był też spóźniony do pracy, a to do niego niepodobne.

– Biedak. – Lauren westchnęła ze współczującą miną.

– Wiem. – Christine zabrała się do wyjmowania z toreb zapakowanych w ozdobne torebki prezentów. Dla każdego ze swoich uczniów miała książkę, długopis i zaadresowaną do siebie pocztówkę, żeby mogli jej przysłać swoje wrażenia po lekturze. Na szczęście kupiła i zapakowała wszystko w zeszłym tygodniu, wczoraj nie miałyby na to siły.

– Czy mogę wam jakoś pomóc?

– Nie, dzięki, dam ci znać dziś wieczorem, czego się dowiedzieliśmy. – Christine ustawiała torebki na biurku. Dopasowała każdy prezent do osoby. Cal Watson, drugoklasista z problemami ze śledzeniem tekstu, który kochał psy, dostanie książkę *Fun Dog, Sun Dog* zapakowaną w torebkę ze szczeniaczkami. Talieeta Choudhoury, szóstoklasistka z problemami z rozumieniem tekstu i obsesją na punkcie piratów – *Wyspę skarbów* w czarnej torebce. Książka mogła się okazać nieco za trudna dla dziewczynki, dlatego Christine napisała jej liścik zachęcający, aby przynajmniej spróbowała przeczytać. Dla Gemmy Oglethorpe, pierwszoklasistki zmagającej się z sylabizowaniem, Christine kupiła *Świat chomika Hubercika* i, nie znalazwszy w sklepie torebki z chomiczkami, wybrała opakowanie w kwiatki.

Lauren pomagała jej w rozpakowywaniu.

– Wydałaś na to wszystko majątek. Jesteś kochana.

– Bez przesady. – Wróciła pamięcią do czasów, gdy zaczynała pracę. Zdała sobie wtedy sprawę, ile własnych pieniędzy wydaje na swoich uczniów nauczyciel. Nieco ją to zaskoczyło, ale nie żałowała tych funduszy, nie znała żadnego nauczyciela, który by żałował.

– Radzisz sobie jakoś?

– Do wczoraj byłam bezbrzeżnie szczęśliwa. Nosłam w sobie wspaniałe, nowe życie i, prawdę powiedziawszy, nie myślałam o dawcy. Zapomniałam

o nim. To miało być dziecko moje i Marcusa. – Mechanicznie kontynuowała rozpakowywanie toreb. – A już z całą pewnością moje, nie tylko dlatego, że ma moje geny, ale również dlatego, że rośnie w moim ciele.

– Oczywiście. – Lauren wskazała brzuch przyjaciółki. – Jesteś w ciąży.

– Nagle wszystko runęło, znaleźliśmy się w tym samym miejscu, w którym byliśmy przed dwoma miesiącami. Znowu rozmawiamy o dawcach nasienia, genach. Czuję się dziwnie, jakbym wszystko straciła. – Jej oczy zaszyły łzami, zamrugała, żeby je powstrzymać. Nie przerywała ustawiania torebek z prezentami na ogołocnym biurku.

– Ale to nieprawda. Jeszcze nic nie jest stracone.

– Owszem, jest. Gdybyś słyszała wczorajszą rozmowę Marcusa z doktorem Davidowem... – urwała. Gdyby Lauren dowiedziała się, co powiedział wczoraj Marcus, znenawidziłaby go do końca życia, jak przystało na prawdziwą przyjaciółkę.

– Co powiedział?

– Nieważne. Nie myśli tak naprawdę. No dobrze, myśli, ale nie zranił mnie celowo. Dwa miesiące temu, gdy jeszcze w ogóle myślałam o tym głupim dawcy, sądziłam, że noszę dziecko przyszłego lekarza. Okazało się, że być może to potomek seryjnego mordercy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Lauren zmarszczyła czoło.

– Że nie wiem, co jest w moim brzuchu. – Wzdrygnęła się. – A jeśli to złe nasienie? Dziecko Rosemary? Obcy?

– Och, kochanie, nie mów tak. – Lauren ścisnęła rękę przyjaciółki. – Nic z tych rzeczy. To twoje dziecko.

– I czyje jeszcze? Kim jest jego biologiczny ojciec?

– Kogo obchodzi jakiś tam biologiczny ojciec? – Dotknęła ramienia Christine. – Nie ma znaczenia, kto nim jest. Urodzisz cudowne dziecko i będziesz wspaniałą mamą.

– Nie wiem. – Zerknęła na zegarek. Za trzy minuty powinna zjawić się Gemma. – Wiesz, o czym myślałam w drodze do pracy? Wcześniej czułam więź z tym dzieckiem, cieszyłam się nim. Teraz pojawił się dystans. Jest, oczywiście, nadal częścią mnie, ale taką, z której nie jestem zbyt zadowolona.

– Przerwała pakowanie. – Gdybym wiedziała, że dawca jest zdolny do morderstwa, do serii morderstw, nigdy bym go nie wybrała. Zresztą, bank nigdy by go nie dopuścił jako dawcy. Prawda?

– Ta-ak – przyznała ostrożnie Lauren.

- Zatem nie udawajmy, że to nie ma większego znaczenia.
Lauren mrugnęła z zaskoczeniem.
- Dobrze, rozumiem.
- Cieszę się. – Christine wróciła do przerwanej czynności. – Wyobrażasz sobie, co będzie, kiedy nadejdzie czas wyjaśnienia dziecku, skąd się wzięło? Po pierwsze, tatuś nie jest twoim biologicznym tatą. Po drugie, twój biologiczny ojciec jest seryjnym mordercą.
- Rozpędziłaś się.
- Muszę myśleć o przyszłości. Ona nadejdzie. Rozmawialiśmy na terapii o tym, jak powiedzieć przyjaciołom, że skorzystaliśmy z banku spermy, jak wyjaśnić to dziecku. Taka wiadomość może zniszczyć człowieka. A jeśli mu nie powiemy i samo się dowie?
- Ponosi cię wyobraźnia.
- Wcale nie. Postęp technologiczny jest faktem. Gdy dorośnie, może w telefonie będą już aplikacje określające pochodzenie na podstawie rysów twarzy. Założmy, że ich użyje. To nie jest coś, co zdołamy utrzymać w tajemnicy.
- Wiesz, co myślę? – Ciemne oczy Lauren wyrażały zdecydowanie. – Nie wybrałabyś go, gdybyś mogła wszystko przewidzieć, ale teraz jest, jak jest. Nie planowałaś tego. Ale czy każdy rodzic dziecka specjalnej troski nie przeżywał podobnych rozterek? A przecież uwielbiasz swoich uczniów, bez względu na ich problemy.
- Nie w tym rzecz. – Christine zamyśliła się. – Dziecko specjalnej troski potrzebuje jedynie więcej pomocy niż inni. Dziecko seryjnego mordercy wyposażone w genetyczne predyspozycje do zaburzeń psychicznych, które robią z kogoś seryjnego mordercę, może nie potrafić nawiązać z nikim więzi. Czekają na życie pełne gniewu i bólu, izolacji, przemocy. A jeśli wyrośnie na kogoś, kto będzie krzywdził, zabijał innych ludzi? Nawet nas.
- Lauren była wstrząśnięta.
- Co takiego?
- Bądźmy realistkami, Lauren. Obie słyszałyśmy o dzieciach zamykanych na noc na klucz w swoich pokojach przez rodziców lękających się o swoje życie. Myślisz, że będę umiała spokojnie zasnąć ze świadomością, że mój syn lub córka nosi w sobie geny seryjnego mordercy?
- To nie jest dziedziczne.
- Nie spierajmy się o terminologię. Będę żyła w ciągłym napięciu,

spodziewając się najgorszego. – Poczwała gulę w gardle. – Nawet jeżeli ja sobie poradzę, naprawdę myślisz, że Marcus to udźwignie?

– To także mnie martwi. On musi zaakceptować sytuację.

– Posłuchaj, może potrafiłabym pokochać i wychować to dziecko bez względu na jego biologiczne pochodzenie. Marcus od początku był mniej zaangażowany, ale robił postępy. Teraz wszystko się zmieniło. – Zdała sobie z tego w pełni sprawę, dopiero gdy wypowiedziała na głos swoje myśli. Podobnie podziały na nią wczoraj słowa Marcusa. – Zaczął się inaczej zachowywać. Traktuje mnie z większym chłodem. Tak daleko zaszliśmy i wszystko na nic.

– Myślisz, że cię obwinia, bo wybrałaś dawcę zamiast adopcji? Albo o wybranie złego dawcy?

– Błagam cię, przecież ja sama się obwiniam. Jestem w tym świetna. Zadaję sobie miliony pytań, co by było gdyby. – Christine rozpakowała ostatni prezent. – Wiem, że on obwinia siebie, zadręcza się myślą, że gdyby nie był bezpłodny, w ogóle nie znaleźlibyśmy się w tej sytuacji.

– O rany.

– Znów poczuje się wybrakowany, a negatywne emocje wywołują u niego potrzebę izolacji. – Popatrzyła na przyjaciółkę smutnym, zmęczonym wzrokiem. – Pamiętasz jego reakcję na diagnozę? Miałam wrażenie, że mieszkam z żółwiem, który nie wychyla łebka ze skorupy. Prawdopodobnie będziemy musieli wrócić na terapię.

– To wróćcie. Kochacie się, będzie dobrze.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy byli w tym razem. Czuję się sama.

– Skarbie, nie jesteś sama. Masz mnie – oświadczyła Lauren, zarzucając jej ramię na szyję.

– Dziękuję, kochana jesteś. – Popatrzyła na swoje biurko zastawione ozdobnymi torebkami. Wyglądało, jakby urządziła przyjęcie. Chciała, żeby takie właśnie wrażenie odnieśli uczniowie, nawet jeśli kontrastowało z jej stanem ducha. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi sygnalizujące nadejście Gemmy. Lauren poszła na zebranie nauczycieli, a Christine rozpoczęła lekcję, mimo że Gemma była zbyt zaabsorbowana książeczką o chomikach, aby skupić się na ćwiczeniach, a następnie stwierdziła, iż „ma dość chomików” i przerzuca się na świnki morskie.

Przyjmowała uczniów po kolei, jednego po drugim, rozdawała prezenty, po raz ostatni wysłuchiwała opowieści i dziecięcych zwierzeń. Dawała ostatnie

rady i słowa zachęty, przytulała na pożegnanie, przypominała, żeby czytali w wakacje. Wiedziała, że nawet najmłodsze klasy dostaną wakacyjne prace domowe od innych nauczycieli, ale nie chciała, żeby ogromne postępy, jakie udało się w tym roku poczynić jej podopiecznym, poszły na marne. Zależało jej na tym, aby czytali cokolwiek, nieważne co, mimo że nie będzie ich uczyć w przyszłym roku.

Przyjęła drobne upominki od mam, ponieważ pozwalał jej na to regulamin szkoły. Cieszyła się, że je widzi, i była wdzięczna za każdy prezent, obojętnie, czy był to drobiazg kupiony i zapakowany w sklepie, czy też upieczony własnoręcznie i owinięty w folię aluminiową placek bananowy. Szczerze, ze łzami w oczach podziękowała im za zaszczyt uczenia ich dzieci.

Na koniec pożegnała się z Pam, sekretarkami i wszystkimi nauczycielami. Wstrzymywała łzy smutku i poczucia straty. Nie ma nic bardziej przygnębiającego niż ostatni dzień szkoły: zsunięte ławki, ustawione na nich krzesła. Kiedy sama chodziła do szkoły, ta atmosfera ją przygnębiała. Jej rodzice byli pedagogami w liceum, zawsze miała poczucie, że jej praca ma sens. Zwłaszcza nauka czytania, ponieważ czytanie to podstawa dobrej samooceny, sukcesów zawodowych, a przede wszystkim przyjemność na całe życie. Rozstanie z pracą i ukochanymi uczniami nie było łatwe, spodziewała się łez, gdy podejmowała tę decyzję, lecz pocieszała ją wtedy myśl o własnym dziecku, o szczęśliwej rodzinie.

„Moja żona być może nosi dziecko seryjnego mordercy”.

Opuszczała szkolny budynek sama, ze spuszczoną głową, pogrążona w myślach. Nie miała pojęcia, czego się spodziewać. Straciła grunt pod nogami, dokuczało jej poczucie osamotnienia i brak nadziei. Zostawiała za sobą wszystko, co znajome, a przyszłość stanowiła wielką niewiadomą.

Szła na spotkanie z mężem i terapeutką.

ROZDZIAŁ 8

– Dzień dobry. – Christine weszła do gabinetu z Marcusem; z trudem znalazła w sobie siłę na szeroki uśmiech. Michelle LeGrange nie wyglądała na swoje sześćdziesiąt lat, patrzyła na nich jasnoniebieskimi oczami zza okularów w grubej szylkretowej oprawie. Miała na sobie kolorową, trochę dziecianną sukienkę w żółwie od Lilly Pulitzer. Poderwała się z krzesła i uściskała Christine.

– Chodź, kochanie. Bardzo mi przykro z powodu tego, co was – być może – spotkało. – Dotyk Michelle był kojący i znajomy, Christine chciałaby pozostać jak najdłużej w jej objęciach. Marcus traktował ją z rezerwą, kiedy siedzieli razem w poczekalni, był pogrążony we własnych myślach. Przyjechali osobno, ona ze szkoły, on z biura. Wyglądał, jakby źle się czuł. Miał na sobie letni, beżowy garnitur i lekko przekrzywiony krawat.

– A więc wiesz?

– Oczywiście. Mogę sobie jedynie wyobrazić, co oboje teraz przeżywacie, kiedy wasze tak ciężko wypracowane szczęście stanęło pod znakiem zapytania.

– Właśnie. – Christine usiadła w jednym z trzech wygodnych, piankowych foteli naprzeciwko eleganckiego, orzechowego biurka Michelle. Ściany gabinetu zdobiły oprawione w ramki dyplomy i nagrody, półki regału wypełniały segregatory z dokumentacją medyczną oraz podręczniki. Dotychczas jeździła z Marcusem do prywatnego gabinetu Michelle, która mieszkała w pięknej willi w stylu Tudorów, w Rowayton. Wolała sesje w tamtym miejscu. Nie mogła się pozbyć myśli, że została zapłodniona w sąsiednim pomieszczeniu, a po drugiej stronie korytarza przechowywane są w ciekłym azocie jej zapłodnione komórki jajowe, do zabiegów in vitro. Jeden z laborantów powiedział jej, że w ich zbiornikach znajduje się około czterech tysięcy zarodków i największym koszmarem każdego laboranta jest myśl o pomyleniu lub upuszczeniu jednego z nich.

– Dziękuję, że przyszliście. – Michelle zwróciła się do Marcusa z wyciągniętą dłonią, ale on już zajmował miejsce w fotelu obok Christine.

– Nie wiem, co nam da rozmowa z tobą, Michelle.

– Jak to? – Michelle usiadła naprzeciwko, założyła jedną zgrabną nogę na drugą. Popołudniowe słońce przeświecało przez żaluzje za jej plecami.

– Czy to nie ty wspominałaś kiedyś o szkodliwości przemilczania problemów? – zapytał Marcus.

– Ja – odparła łagodnie terapeutka.

– Zatem istnieje pewne pytanie, które chciałbym zadać, zanim przejdziemy do dyskusji o uczuciach. Mianowicie czy Zachary Jeffcoat i dawca 3319 to jedna i ta sama osoba?

– Niestety, nie znam odpowiedzi. Rozumiem waszą frustrację.

– To typowe, że Homestead nie chce udzielić tak podstawowej informacji?

– W tej sytuacji nie ma nic typowego. Nigdy się nie spotkałam z czymś podobnym.

– Nie wątpię – westchnęła Christine.

Marcus kręcił głową.

– Czyżby? Scenariusz wcale nie jest taki nieprawdopodobny. Dawcy nie są bogami olimpijskimi, tylko zwykłymi ludźmi, najczęściej studentami, młokosami. Ich losy różnie się potoczą, wszystko może się zdarzyć, jeśli nie konflikt z prawem, to co innego, co wpłynie na ocenę jakości pobranego materiału genetycznego.

Michelle potwierdziła jego słowa skinieniem głowy.

– Zgadzam się, aczkolwiek naprawdę po raz pierwszy mamy do czynienia z tego rodzaju przypadkiem. Próbujemy wam jakoś pomóc, mimo że doskwiera nam brak dostępu do kluczowej informacji.

– To chyba próżny trud – wypalił Marcus.

– Bogu dzięki – powiedziała niemal w tej samej chwili Christine, ale zwróciła uwagę, że Michelle chce dokończyć swoją myśl.

– Rozumiem twój sposób myślenia, Marcusie. Podobnie jak większość pacjentów jesteś skupiony na wyznaczaniu i osiąganiu celów. Prowadzisz firmę generującą wielomilionowe dochody. Przywykłeś do kontrolowania sytuacji. Osiągnąłeś w życiu sukces, wyznaczając i realizując cele. Mam rację?

– Tak – przyznał Marcus i zacisnął usta. Christine przypuszczała, co myśli. Zawsze uważał, że Michelle za bardzo mu nadskakuje w obawie przed

urazeniem jego męskiej dumy, pokiereszowanej z powodu bezpłodności. Nie przyłączała się do krytyki, gdyż sama robiła dokładnie to samo, ilekroć poruszali temat bezpłodności.

– Oboje stanęliście przed ogromnym wyzwaniem.

– O tak, to wielkie wyzwanie – odparł Marcus z ironicznym uśmiechem.

Michelle zerknęła na Christine.

– A jak ty się czujesz?

– Wstrząśnięta i przybita.

– Co tobą wstrząsnęło najbardziej?

– Nie wiem. Wszystko.

– Fakt, że nikt nie chce nam udzielić odpowiedzi na proste pytanie – wtrącił się Marcus.

Terapeutka wciąż patrzyła na Christine.

– Co chciałaś powiedzieć?

– Cóż, po pierwsze, jestem sfrustrowana postawą banku, który nie chce powiedzieć nam prawdy. – Nie zamierzała poruszać tej kwestii już na początku, lecz postanowiła wesprzeć Marcusa. – Nie wiemy, co robić. Ja nie wiem, co mam zrobić. Jestem bezsilna.

– Rozumiem, że możesz się tak czuć. – Głos Michelle pozostał kojący. – Nikt z nas nie zna tożsamości dawcy 3319. Nie zatajamy przed wami żadnych informacji. Po prostu ich nie mamy, mimo najszczerzych chęci...

– Moglibyście je zdobyć – przerwał jej Marcus.

– Dlaczego tak uważasz, Marcusie? – zapytała psycholożka, przekrzywiając głowę.

– Współpracujecie z tym bankiem. Zapewne wysłaliście do nich mnóstwo pacjentów. Znać się dobrze. Doktor Davidow jest na ty z Demipetto. Nazywa ją Lee Ann.

– I co z tego wynika twoim zdaniem?

– Jesteście w stanie wydobyć z nich prawdę, jeśli ich przyciśniesz. – Marcus wycelował w nią palec wskazujący. – Moglibyście zagrozić, że nie polecicie ich już żadnej ze swoich pacjentek i nie wydacie ani dolara więcej w ich placówce, jeśli nie udostępnią nam niezbędnych informacji.

– Ja osobiście miałabym to zrobić?

– Czemu nie? Albo doktor Davidow bądź jego szef. Nie wiem, kto jest właścicielem kliniki.

– Doktor Davidow.

– W takim razie on. Ja dbam o swoich klientów i w takiej sytuacji nie przyjąłbym odmowy, tymczasem nam nikt nie chce pomóc.

Christine skrzywiła się na te oskarżycielskie słowa męża.

Michelle pochyliła się ku nim.

– Co czujesz w związku z tym, Marcusie?

– Chyba nietrudno zgadnąć? Zresztą, co za różnica?

Christine rozumiała frustrację męża, a jednocześnie nie chciała urazić Michelle.

– Kochanie – zwróciła się do Marcusa. – Może powinniśmy porozmawiać o tym z doktorem Davidowem?

Michelle uśmiechnęła się do niej wyrozumiale.

– Dziękuję, Christine, ale nie musisz stawać w mojej obronie. Niemniej jednak uważam, Marcusie, że odbiegamy od tematu...

– Ależ przeciwnie, wreszcie rozmawiamy na temat. Wracając do pytania o moje emocje: czuję złość. Jestem wystarczająco wściekły, aby nie siedzieć z założonymi rękami.

Christine przełknęła nerwowo ślinę, Michelle dała jej sygnał, żeby nic nie mówiła. Posłuchała jej.

– Rozmawialiśmy wcześniej o waszych zmaganiach z bezpłodnością i o tym, że dla ciebie, Marcusie, były one jeszcze trudniejsze, ponieważ jak wielu mężczyzn nakładasz na siebie obowiązek rozwiązywania wszystkich problemów. Tymczasem w tej sytuacji jesteś bezradny.

– To twoja opinia. Nie pozwolę, aby moja żona przechodziła przez coś takiego. Sam także nie mam zamiaru się na to narażać. Rozwiążę ten problem.

Michelle westchnęła. Jej opalone ramiona wzniosły się i opadły.

– Proszę, zacznijmy od początku. Mam wrażenie, że źle się wyraziłam. Możemy?

– Jak chcesz. – Marcus oparł się wygodniej o fotel. – Ty tu rządzisz.

– Jestem po waszej stronie.

Oczy Christine wezbrały łzami. Michelle zawsze była po ich stronie, nawet w najtrudniejszych chwilach, bardzo im obojgu pomogła. Dzięki klinice Christine została matką, lecz w tej chwili nie umiałaby wypowiedzieć na głos tych słów.

– Na początku terapii poruszaliśmy temat akceptacji i jej znaczenia w zmaganiach z bezpłodnością – mówiła dalej Michelle. – Aby rozwiązać problem, należy najpierw pogodzić się z realną sytuacją.

– O jakim „rozwiązaniu” mówimy? – prychnął lekceważąco Marcus.
– Mówimy o zaakceptowaniu sytuacji i dalszym życiu. Moja praca polega na tym, aby pomóc wam, razem jako parze oraz każdemu z osobna, odkryć, co sprawi, że lepiej się poczujecie. W ten sposób doszłicie do wspaniałego rozwiązania, jakim było skorzystanie z nasienia dawcy, abyście oboje mogli doświadczyć uroków ciąży.

Marcus przewrócił oczami.

– Rzeczywiście, strasznie się cieszymy.

Christine poczuła się urażona.

– Ja się cieszyłam. Przynajmniej zanim wynikła ta sprawa. – Zwróciła się do terapeutki, oszołomiona i zdezorientowana: – Przyznam, że teraz trudno mi się rozeznąć we własnych uczuciach. Jestem zdruzgotana.

Starsza kobieta pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Tak, to proces. Nie zawsze będziecie oboje w tym samym miejscu w tym samym czasie. To naturalne. Christine, ty przeżywasz tę ciążę bardziej bezpośrednio i cieleśnie. A co za tym idzie, bardziej dotykają cię wszelkie dobre i złe wiadomości z nią związane. Nosisz w sobie dziecko, które ma również twoje geny. W tej chwili doświadczasz czegoś, co nie dotyczy Marcusa.

Christine nerwowo przełknęła ślinę, ponieważ Michelle wyartykułowała jej własne myśli.

– W przeszłości odczuwałaś emocjonalny dystans, Marcusie, co jest jak najbardziej zrozumiałe. Celem terapii było uświadomienie ci, że możesz być zaangażowany w takim samym stopniu, uczestnicząc w wizytach lekarskich, badaniach USG, słuchając bicia serca dziecka. Tego wszystkiego możecie doświadczać wspólnie. – Michelle uśmiechnęła się wygodniej w fotelu. – Jeszcze nie jesteście na tym samym etapie, lecz to przyjdzie z czasem. Pomogę wam zaakceptować rzeczywistość, poradzić sobie z problemami i pójść naprzód.

– Jak iść naprzód po czymś takim? – wyrwało się Christine pod wpływem emocji.

– Skoro nawet nie znamy prawdy? – dodał Marcus.

Terapeutka popatrzyła na nich oboje.

– Próbujemy przyrzeć się sprawie z dystansu, z zachowaniem odpowiednich proporcji. To prawda, nie wiemy, czy mężczyzna, którego aresztowano, jest waszym dawcą. Założmy jednak na potrzeby dyskusji, że tak.

– O nie – jęknęła Christine.

Marcus skrzywił się i odwrócił wzrok, ale się nie odezwał.

Michelle uniosła palec wskazujący wypięlegnowanej dłoni.

– Jeżeli wyrazicie zgodę, dołączy do nas doskonała specjalistka w dziedzinie genetyki. Nazywa się Lucy McCabe. Zaprosiliśmy ją dziś do kliniki, czeka na waszą decyzję.

– Niech wejdzie – oznajmił Marcus, zmieniając pozycję w miękkim fotelu. – Wolę rozmawiać o konkretach niż o uczuciach. Przynajmniej w tej chwili ma to dla mnie większy sens. Chętnie wysłucham opinii genetyka. Zrobiłem już rozeznanie na własną rękę.

– Co takiego? – zdziwiła się Christine.

– Wczoraj wieczorem przeczytałem kilka artykułów w sieci.

– Rozumiem. – Pokiwała głową Michelle. – Z tym że Lucy nie jest lekarzem medycyny, ale doradcą z zakresu genetyki. Posiada tytuł magistra. Szacuje ryzyko wystąpienia chorób genetycznych, zarówno w przypadku ciąży z udziałem osób trzecich, jak i bez niego.

„Osoba trzecia”, przetłumaczyła sobie w myślach Christine, „to może być zarówno dawca spermy, dawczyni komórek jajowych lub surogatka, czyli kobieta, która zgadza się urodzić innej parze dziecko, ale nie jest jego genetyczną matką”.

– Po co mamy się z nią spotykać?

– Czasem prosimy ją o konsultację, jest doskonałą specjalistką, kopalnią informacji. – Michelle zwróciła się do Christine: – Chciałabyś, żeby do nas dołączyła? Czy wolisz, żebyśmy porozmawiali najpierw sami, a spotkanie z Lucy przełożyli na inny termin?

– Może być teraz.

– Po co czekać? Proszę ją zaprosić – zdecydował Marcus, wskazując drzwi.

– Świetnie. – Terapeutka uniosła się na krześle i przycisnęła guzik interkomu. Christine usiłowała oswoić ciszę, która nagle zapadła. Ich sesje zwykle były rozgadane, często przeciągały się ponad wyznaczony czas. Dziś atmosfera uległa zmianie do tego stopnia, że pukanie do drzwi zdawało się wybawieniem.

– To na pewno Lucy. – Michelle wstała, by wpuścić gościa, drobną sześćdziesięcioletką o puszystych siwych włosach, ubraną w klasyczny, szary garnitur. Formalny strój przełamывała kwiecista apaszka, a stylizacji dopełniały srebrne kolczyki w kształcie kół oraz okulary w drucianej oprawie.

– Dzień dobry – przywitała się i z uśmiechem ucisnęła dłoń Christine oraz

Marcusa, a następnie zajęła ostatni fotel obok Michelle.

– Dziękuję za zaproszenie. Zawsze z przyjemnością uczestniczę w sesjach Michelle. Znamy się od dwudziestu lat.

– Za namową Lucy wstąpiłam do klubu piechurów i ledwie za nimi nadałam – uzupełniła psycholożka.

– Trudno mi w to uwierzyć – odparła z uśmiechem Christine.

– Cóż, taka jest prawda – zapewniła Lucy i wszystkie trzy kobiety parsknęły śmiechem.

Tymczasem Marcus wyglądał na wyraźnie zniecierpliwionego. Lucy spoważniała.

– Zostałam wprowadzona w sprawę, więc może od razu przejdziemy do sedna, dobrze?

Marcus pokiwał głową.

– Tak, prosimy – poparła go Christine, która była pod urokiem osobowości Lucy. Kobieta splótła szczupłe palce na kolanach, jej wyważony sposób mówienia budził zaufanie.

– Jak rozumiem, personel Homestead odmówił ujawnienia tożsamości anonimowego dawcy, zatem musimy zadowolić się hipotetyczną analizą. Czy to możliwe?

– Chyba nie mamy wyboru. – Marcus zmarszczył czoło. – Nasze pytanie brzmi: czy skłonność do agresji i przemocy jest dziedziczna? A socjopatia? Niewykluczone, iż nasz dawca jest socjopatą. Czytałem, że to częste zaburzenie wśród seryjnych morderców. Jak również uzależnienie od silnych bodźców. Czy któreś z tych odchyłeń jest uwarunkowane genetycznie?

– Na wstępie postaram się coś wyjaśnić. – Lucy uniosła rękę do góry. – Rzadko mam do czynienia z zagadnieniami natury psychologicznej, a zajmuję się genetyką od dwudziestu dziewięciu lat. Kłopot z zaburzeniami natury psychologicznej polega na tym, że często nie dysponujemy wystarczającymi narzędziami, by jednoznacznie je zdiagnozować. Nie istnieją na przykład badania krwi ułatwiające tego typu diagnozy.

– Naprawdę?

– Niestety. Nie ma testu psychologicznego ani klinicznego, którym mogłabym się posłużyć, aby odpowiedzieć na wasze pytania. Zebrałam natomiast i przestudiowałam aktualne wyniki badań statystycznych, eksperymentalnych i obserwacyjnych, na prośbę doktora Davidowa. Z przyjemnością prześlę je wam mejlem, tymczasem postaram się podsumować, czego się dowiedziałam.

- Prosimy.
- W przypadku zaburzeń psychicznych zawsze pojawia się pytanie, czy są one wrodzone, czy też nabyte. Odpowiedź brzmi: zależy od rodzaju zaburzenia. Z danych wynika, iż choroba afektywna dwubiegunowa jest dziedziczna, podobnie jak schizofrenia i kliniczna depresja. Geny matki odgrywają rolę w przypadku choroby alkoholowej i skłonności do uzależnień od substancji psychoaktywnych, dlatego jeśli chodzi o dawczynię komórek jajowych...
- My korzystaliśmy z dawcy nasienia, nie komórek jajowych.
- Rozumiem. – Lucy pokiwała głową. – W kwestii cech socjopatycznych wyniki większości badań sugerują powiązanie z czynnikami środowiskowymi. Innymi słowy, człowiek nie rodzi się socjopatą, lecz staje nim pod wpływem wychowania. Taka jest moja konkluzja.
- Christine westchnęła z ulgą. Wróciła myślą do wcześniejszej rozmowy z Lauren.
- Czyli nawet jeśli naszym dawcą jest seryjny morderca Jeffcoat, nasze dziecko nie odziedziczy po nim jego... zaburzeń?
- Tak. Z badań, do których dotarłam, wynika, że ani socjopatia, ani skłonność do agresji i przemocy nie są dziedziczne, lecz determinowane przez czynniki środowiskowe. Dzieci, które dorastają wśród przemocy, często same się do niej uciekają, co wyraźnie widać na przykładzie przemocy domowej. Nie jest dziedziczna. To wyuczone zachowanie. – Michelle się uśmiechnęła. – Pomyślałam, że to cię uspokoi, Christine.
- Miałaś rację – przyznała uradowana. – Bardzo pocieszające, choć wciąż czuję się dziwnie.
- Mnie nie pociesza – odezwał się Marcus, marszcząc czoło z namysłem. – Lucy, przeczytałem w internecie, że istnieją badania zaprzeczające tym tezom.
- Jakże mianowicie?
- Że skłonność do agresji i przemocy jest dziedziczna. Czytałem o tak zwanym genie wojownika. Podobno ludzie, którzy wykazują tendencje do szukania silnych wrażeń i podejmowania ryzykownych zachowań, dziedziczą te skłonności w genach. Wykazują predyspozycje do agresji w dorosłym życiu.
- Christine aż się wzdrygnęła.
- Skąd wiesz?
- Czytałem, mogę ci pokazać ten artykuł – odparł z posepną miną. – Nie wszyscy naukowcy są zgodni, że winne są czynniki środowiskowe. Wielu

uważa, iż to wrodzone, genetyczne skłonności. U osób uzależnionych od silnych bodźców widoczne są różnice w poziomach monoaminooksydazy i hormonów takich jak testosteron. Statystyki wykazują, że takie osoby częściej wchodzą w konflikty z prawem. Innymi słowy, można urodzić się seryjnym mordercą.

Siatka zmarszczek na twarzy Lucy pogłębiła się, gdy przybrała zafrasowaną minę.

– Marcusie, Christine, opieram swoją opinię na wnikliwych studiach i wieloletnim doświadczeniu. Myślę, że możecie na niej polegać.

– Ale nie wszyscy się z tym zgadzają, prawda? – zapytał spokojnie Marcus.

Lucy rozplotła dłonie.

– Pytasz, czy w sieci można znaleźć inne opinie? Oczywiście. Lecz nie polegałabym na nich bardziej niż na mojej.

Marcus pochylił się do przodu.

– Nikt jednak nie da nam gwarancji, prawda? Może pani zagwarantować, że te cechy nie są dziedziczne?

– Oczywiście, że nie – odparła stanowczo Lucy. – Nigdy nie ma gwarancji. Ja natomiast zajmuję się oceną statystycznego ryzyka, które w tym przypadku jest znikome.

– Dobrze. Dziękuję. – Christine maskowała zdenerwowanie. Była wdzięczna Lucy za opinię i drażniło ją zachowanie Marcusa, aroganckie wobec obu kobiet. Nie rozumiała go.

– Naturalnie możecie zasięgnąć opinii gdzie indziej – dodała Lucy, zerkając na Michelle. – Obie znamy innych specjalistów, których możemy wam polecić.

– Czy oni także współpracują z kliniką?

– Tak – odpowiedziały jednogłośnie.

– Znacie kogoś, kto z nią nie współpracuje?

Christine skrzywiła się, zawstydzona insynuacjami męża.

– Marcus, daj spokój.

Zmierzył ją chłodnym spojrzeniem.

– To uzasadnione pytanie.

– Rozumiem – odrzekła Lucy. – Chętnie wyślę nazwiska kilku kolegów niepowiązanych z kliniką.

– Dzięki. – Marcus skrzyżował ramiona. – Więc co powinna uczynić para w naszej sytuacji? Co my mamy zrobić?

– To indywidualna sprawa. Decyzja zależy wyłącznie od was. Moim

zdaniem ryzyko w waszym przypadku jest niewielkie. Niektórzy z moich pacjentów nie potrafią zaakceptować nawet niewielkiego ryzyka, inni lepiej sobie radzą w obliczu niewiadomej. – Lucy przerwała. – Na przykład obecnie pomagam parze, której dziecko – jak wykazały testy – jest encefaliczne, co oznacza jego pewną śmierć. Mimo wszystko pragną kontynuować ciążę.

– Chwileczkę, co takiego? – zapytała zdezorientowana Christine. – O jakiej decyzji mówimy?

– O przerwaniu ciąży – wyjaśnił rzeczowo Marcus.

– Co? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Masz na myśli aborcję? Kto mówi o aborcji?

– Rozmawiamy o naszych opcjach. To tylko jedna z nich.

– Nie, w ogóle nie bierzemy jej pod uwagę – odparła ostro, odzyskawszy siły i rozeznanie w sytuacji. – Nie chcę aborcji. A ty?

– Ja też nie, ale musimy rozważyć taką ewentualność.

– Nigdy w życiu. – Zauważyła, że Lucy i Michelle nagle zamilkły. – Więc o to chodzi? Myślicie, że chcemy aborcji?

– Nie. – Michelle pokręciła głową, jej twarz wyrażała smutek. – Przeciwnie, Christine, zaprosiłam Lucy, aby wam wytłumaczyła, że ryzyko zaburzeń genetycznych jest znikome.

Lucy potwierdziła skinieniem głowy.

– Zgadza się. Po to tu jestem. Nie do mnie należy sugerowanie wam czegokolwiek. Wpływanie na cudze decyzje jest sprzeczne z etyką mojego zawodu, jak również nie leży w moim charakterze. Pragnę jedynie podzielić się wszystkimi dostępnymi informacjami, na podstawie których sami, jako para, zadecydujecie o przyszłości.

– Czy ludzie przerywają ciążę z takich powodów? – zapytała ze zdziwieniem Christine.

Lucy skinęła głową.

– Pacjenci decydują się na aborcję z rozmaitych, czasem błahszych od tego powodów. Nie oceniamy ich. Niektórzy przerywają ciążę, ponieważ płód okazuje się uszkodzony, inni usuwają zdrowe płody z różnych przyczyn. Prawo zezwala na to w pierwszym trymestrze.

– Nie pytam o legalność takiego postępowania. – Nie interesowała jej dyskusja na tematy polityczne. – Popieram prawo wyboru, natomiast sama nie biorę pod uwagę usunięcia ciąży.

– W porządku – powiedział ostro Marcus.

– Świetnie, zatem postanowione – oświadczyła Christine. Była wstrząśnięta odkryciem, że Marcus rozważał aborcję, podczas gdy jej samej nie przeszło to nawet przez myśl.

Michelle zerknęła na zegarek.

– Dobrze, moi drodzy, doktor Davidow powinien już być wolny. Zapraszam was do siebie.

– Z chęcią. – Marcus poderwał się na nogi i ruszył do drzwi. Dystans pomiędzy nimi wyczuwalnie rósł. Oddalali się od siebie w przeciwnych kierunkach, jakby ziemia pod ich stopami nagle się rozstąpiła.

– Ja także – potwierdziła Christine i wstała, chociaż nogi miała jak z waty.

ROZDZIAŁ 9

– Cieszę się, że możemy porozmawiać. – Christine uściskała doktora Davidowa ze łzami, które ją samą zaskoczyły.

– Ja również się cieszę, Christine – odparł lekarz z szerokim, przyjaznym uśmiechem. Duże brązowe oczy o ciepłym wejrzeniu stanowiły jego największy atut, głównie dlatego, że patrzył wszystkim prosto w oczy, od razu nawiązując bezpośredni kontakt. W wieku prawie pięćdziesięciu lat miał już wyraźne zmarszczki, a bulwiasty nos przypominał niefortunną miniaturę okrągłej, łysej głowy. Christine zawsze mogła liczyć na jego życzliwy uśmiech, nawet w najtrudniejszych chwilach.

– Ciężko znosimy tę sytuację – wyrwało się jej. Poczowała ulgę, gdy uwolniła nieco skumulowanego napięcia. Dręczyły ją słowa Marcusa, które usłyszała podczas sesji terapeutycznej. Miała nadzieję, że nie poruszał z doktorem Davidowem tematu aborcji.

– To zrozumiałe. Bardzo wam współczuję. – Lekarz podał Marcusowi dłoń na powitanie. – Przykro mi.

– Nam także – odpowiedział Marcus, witając się z doktorem chłodniej, niż oczekiwałaby Christine, i usiadł. Zajął miejsce obok niego w skórzanym fotelu. Czowała się w tym gabinecie niemal jak u siebie w domu. Tutaj dowiedziała się najgorszych i najwspanialszych rzeczy w życiu. Nawet w tych okolicznościach ufała swojemu lekarzowi. Gabinet Davidowa odzwierciedlał jego osobowość: był przyjazny i elegancki w niebanalny, swobodny sposób. Na szklanym blacie biurka panował godny podziwu porządek, stał tu jedynie nowy komputer otoczony rodzinnymi fotografiami w szklanych ramkach. Liczne dyplomy, certyfikaty i nagrody zdobiące ściany potwierdzały reputację lekarza, uznawanego za jednego z czołowych specjalistów od leczenia niepłodności w Connecticut. Regał był pełen książek medycznych i prywatnych zdjęć, a obok znajdowała się radość i duma doktora, zabudowane akwarium oświetlone na niebiesko, w którym pływały jaskrawożółte rybki z długimi,

delikatnymi ogonami.

– Jak oceniacie spotkanie z Lucy i Michelle? – zapytał Davidow, siadając w skórzanym krześle za biurkiem. Poprawił sobie krawat, który dopełniał stroju, składającego się z niebieskiej koszuli, zielonkawych spodni i długiego, białego kitla.

– Dobrze – odparła, przejmując kontrolę nad rozmową. Nie chciała, żeby to spotkanie potoczyło się podobnym torem co poprzednie. – Pocieszyła mnie informacja, że zaburzenia psychiczne, na które mogą cierpieć zabójcy, nie są przekazywane genetycznie. Naprawdę mi pomogła.

– Wiedziałem, że tak będzie – powiedział doktor Davidow z uśmiechem. Jego czoło wygładziło się aż po czubek głowy. Widoczna różowa bruzda znaczyła linię włosów, których już nie było. Christine unikała zatrzymywania na niej wzroku, aby nie peszyć miłego lekarza.

– Mimo wszystko nie potrafię przywyknąć do myśli, że nasz dawca może być seryjnym mordercą. Przeraza mnie ona.

– Oczywiście. Rozumiem. – Davidow zmarszczył czoło. – Żałuję, że nie mogę was uspokoić wyjawieniem danych waszego dawcy. Prowadzę negocjacje z Homestead, ale szanse na przekonanie ich są nikłe.

Marcus odchrząknął.

– Doktorze, w przeciwieństwie do mojej uroczej małżonki ja nie jestem w pełni usatysfakcjonowany spotkaniem z Lucy...

– Czy powiedziałam, że jestem w pełni usatysfakcjonowana, Marcusie? – zachnęła się. – Pocieszyła mnie. Ty domagałeś się faktów, które Lucy nam przedstawiła.

– Przedstawione przez nią fakty są dyskusyjne. – Marcus zacisnął usta i zwrócił się do doktora Davidowa: – Lucy twierdzi, iż zaburzenia psychiczne, które przyczyniają się do tego, że ktoś zostaje mordercą, nie są dziedziczne, natomiast z danych, do jakich ja dotarłem, wynika coś zgoła przeciwnego. Zamierzam zasięgnąć opinii innego specjalisty.

Doktor Davidow zamrugał z zaskoczeniem.

– Naturalnie, proszę, skoro czujecie taką potrzebę.

– Doktorze – wtrąciła się Christine. – A jaka jest pańska opinia?

– Posiadam pewną wiedzę z dziedziny genetyki, ale to Lucy jest wykwalifikowanym i uznanym ekspertem z wieloletnim doświadczeniem. Mam do niej pełne zaufanie. – Popatrzył Christine w oczy. – Kiedy rozmawiałem z nią wcześniej, powiedziała, że ryzyko dziedziczności jest minimalne. Sądzę,

że możecie polegać na jej opinii.

– Dobrze. – Christine rozluźniła się. – Ja nie mam z tym problemu.

– Ja mam. Sprawa nie jest jednoznaczna. – Marcus zacisnął zęby. – Doktorze Davidow, nie zadowolają mnie hipotetyczne dywagacje na temat genetycznych predyspozycji tego dziecka. Nie przyjmuję do wiadomości odmowy banku w kwestii poinformowania nas, czy dawcą jest Zachary Jeffcoat.

– Marcus, oni mu tego nie powiedzą – przerwała mężowi Christine. – Podpisali umowę. Doktor Davidow ma związane ręce.

Marcus uciszył ją gestem.

– Kochanie, pozwól doktorowi mówić za siebie. Ja uważam, że mógłby wiele zrobić, żeby nam pomóc.

– Mylisz się – powiedziała, aby bronić doktora.

– Czego ode mnie oczekujesz, Marcusie? – zapytał spokojnie Davidow. – Uwierz mi, gdybym potrafił wydobyć tę informację, zrobiłbym to.

Christine poczuła się sfrustrowana.

– Doktorze, on myśli, że należy ich przycisnąć. Groźba zerwania współpracy mogłaby jego zdaniem skłonić ich do mówienia. Czy to prawda?

– Nie – zawahał się. – To nic nie da. Są najlepsi w kraju, wszyscy specjaliści korzystają z ich usług. Mają długie listy oczekujących, nie przestraszą się utratą moich pacjentów. Nie złamią warunków umowy z waszym dawcą, ani z żadnym innym dawcą, w obawie przed konsekwencjami prawnymi i utratą reputacji.

– No cóż, ja także rozważam konsekwencje prawne. – Marcus wyjął z kieszeni marynarki złożoną kartkę papieru. – Rozmawiałem z adwokatem. Podsunął mi pewien pomysł. Powiedział...

– Z jakim adwokatem? – zdziwiła się Christine. Nie mieli rodzinnego prawnika, firma Marcusa także nie zatrudniała nikogo takiego. Kilku kolegów golfistów uprawiało ten zawód, ale nie zdołała rozczytać nagłówka listu.

– Nazywa się Gary Leonardo. Prowadzi prywatną kancelarię w New Haven. Doktor Davidow odchrząknął.

– Słyszałem o nim. Specjalista od błędów w sztuce lekarskiej.

– Błędy w sztuce lekarskiej? – powtórzyła w osłupieniu. – Marcus, co ty wyprawiasz? Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Zamierzasz pozwać Homestead?

– Spokojnie, pozwól mi wytłumaczyć. – Marcus wręczył pismo lekarzowi. – Oto dokument sporządzony przez Gary'ego, który zamierza wysłać do

Homestead. W skrócie uważa on, że bank dopuścił się zaniedbania, podejmując współpracę z naszym dawcą. Opisuje szczegóły pozwu, jaki moglibyśmy przeciwko nim złożyć. Przed końcem przyszłego tygodnia.

– W jakim celu? – dopytywała Christine. Doktor Davidow wyglądał na zdruzgotanego, oblizwał nerwowo wargi, odłożył list i splótł dłonie. Na jego palcu połyskiwała złota obrączka.

– A więc, jeśli dobrze zrozumiałem, Gary Leonardo doradził wytoczenie sprawy bankowi Homestead, co jest poważnym przedsięwzięciem, Marcusie. Placówka posiada osiemnaście niezależnych oddziałów na terenie całego kraju, z centralą w Wilmington, w stanie Delaware.

– Tak, uważa, że musimy ich zaskarżyć przed sądem w Delaware, jak wynika z naszej umowy. Gary nie boi się zadrzeć z grubymi rybami.

– Marcus! – Christine puściły nerwy. – Wiem, że chcesz dobrze, ale powinieneś być najpierw porozmawiać ze mną – dodała łagodniej. – Myślisz, że pod groźbą procesu wszystko nam powiedzą?

– Owszem. – Marcus zwrócił się do żony. – Jeżeli nasz dawca naprawdę jest seryjnym mordercą, moim zdaniem Homestead dopuścił się zaniedbania podczas naboru. Gary też tak uważa. Powinni poświęcić więcej uwagi testom psychologicznym, zamiast skupiać się na tym, czy ich dawca bardziej przypomina Bradleya Coopera, czy też Colina Farrella. Prawda?

– Żałuję, że tego nie wykryli, ale nie wiem, czy mogliby zrobić coś więcej...

– Według Gary'ego wysłanie listu – Marcus wskazał dokument na biurku lekarza – z informacją o zamiarze złożenia pozwu sądowego w sprawie zaniedbania oraz upublicznienia sprawy skłoni ich do powiedzenia nam prawdy.

– Jak to sobie wyobrazasz?

– Będziemy negocjować warunki ugody. Jedyne, czego zażądamy w zamian za wycofanie pozwu i obietnicę, że nie nagłośnimy sprawy, to imię i nazwisko naszego dawcy lub informacja, czy jest nim Zachary Jeffcoat. – Marcus westchnął i poprawił się na krześle. – Nikt się nie dowie, że cokolwiek nam ujawnili. Zachowają nienaganną reputację, a my otrzymamy odpowiedź na nasze pytanie.

– Ale pozew? – zapytała, wciąż pełna wątpliwości. – Nigdy się z nikim nie procesowaliśmy.

– Christine, po czyjej ty właściwie jesteś stronie? – Marcus zmarszczył brwi.

– Jezu, Marcus. – Zaczerwieniła się ze wstydu. Nie mogła uwierzyć, że rozmawiają w ten sposób w obecności doktora Davidowa.

– Chcesz wiedzieć, prawda? – nalegał. – Od ciebie wszystko się zaczęło.

– Nie wiem tylko, czy chcę kogokolwiek straszyć procesem. Powinieneś być ze mną przedyskutować...

– Moi drodzy, ogłaszam przerwę – oświadczył Davidow bez uśmiechu. Zamilkli oboje. – Marcusie, to poważna decyzja. Jeśli jest pan pewien...

– Jestem.

Lekarz zmarszczył brwi.

– Trudno mi uwierzyć, że prawnik pokroju Gary'ego Leonarda doradził zaskarżenie Homestead, nie wspominając nic o naszej klinice. – Davidow wciągnął lekko policzki, popatrzył surowo na Marcusa. – Nas także zamierza pan podać do sądu?

– Jeszcze nie zdecydowałem – odparł Marcus równie surowym tonem.

– Co takiego? – Christine nerwowo przełknęła ślinę, umierając z upokorzenia. – A moje zdanie się liczy? Marcusie, nie pozwiemy kliniki. Zabraniam ci tego, nie w moim imieniu.

– Kochanie, nie w tym rzecz. Nie zależy nam na pozywaniu kogokolwiek. To coś w rodzaju oficjalnej prośby o udzielenie nam informacji, do której mamy prawo.

Doktor Davidow wstał.

– Nie zgadzam się z tobą, Marcusie. Pozew jest pozwem. Znam metody Gary'ego Leonarda. Z pewnością nie pominie w nim naszej kliniki. W efekcie skończy się na tym, że pozwiecie mnie osobiście.

– Nigdy – zapewniła pospiesznie Christine. – Nie zrobił pan nic złego.

Doktor Davidow podszedł do drzwi i otworzył je, jakby jej nie usłyszał.

– Wybaczcie, ale muszę zadzwonić do swojego adwokata.

– Proszę przejmie. – Marcus natychmiast wstał.

– Marcus? Nie! – Christine poderwała się z fotela, przygnębiona rozwojem wydarzeń. Straciła Michelle, nie chciała stracić również doktora Davidowa. Przystanąła na progu.

– Nie będzie żadnego pozwu – zapewniła.

– Wybacz, Christine. – Lekarz cofnął się. Laborantka, która rozpoznała Christine i uniosła rękę, żeby jej pomachać, zamarła w pół gestu.

– Doktorze Davidow, proszę się nie martwić. Porozmawiam z nim.

– Powinna pani już iść, Christine. Uważam, że kolejne wizyty byłyby

niewskazane.

ROZDZIAŁ 10

Christine szła za Marcusem i czuła, że odprowadzają ich zaciekawione spojrzenia członków personelu, którzy zorientowali się, że coś jest nie tak, ponieważ Christine zawsze żegnała się ze wszystkimi przed wyjściem. Młodzi ludzie oczekujący przed gabinetem na swoją kolej zerknęli na nich znad ekranów smartfonów. Szybko odwrócili wzrok. Widok zdenerwowanych, rozszalonych, nawet zapłakanych pacjentów był w klinice leczenia niepłodności dość powszechny. Nawet się nie domyślali prawdziwej przyczyny ich zdenerwowania. Marcus przepuścił ją w drzwiach, ani na chwilę nie tracąc dobrych manier, nawet jeśli przed chwilą zachował się jak ostatni łajdak.

– Zaparkowałem bliżej niż ty – powiedział i zamknął za nią drzwi. – Podwoję cię do twojego samochodu.

– Dobrze – powiedziała, nie zaszczyciwszy go spojrzeniem. Wyszli na przeszklony korytarz wschodniego skrzydła szpitala Pilgrim Point General, wybudowanego w zeszłym roku. W nowoczesnym holu pełno było odwiedzających, którzy nieśli w prezencie balony, pchali przed sobą wózki inwalidzkie z chorymi, a także pacjentów, poruszających się za pomocą chodzika. Christine i Marcus minęli stanowisko recepcji i skierowali się do automatycznych drzwi. Chciała jak najszybciej wyjść na zewnątrz i porozmawiać z mężem.

– Co, do diabła? – mruknęła pod nosem. – Co ty sobie wyobrażasz?

– Mógłbym ci zadać to samo pytanie. – Patrzył na nią z góry, kiedy w końcu wyszli na parne powietrze.

Zamilkli oboje i poczekali, aż minie ich para, którą znali z widzenia. Słońce przybrało kolor miedzi, nisko zawieszone na bezchmurnym, czerwcowym niebie. Na eleganckim, brukowanym dziedzińcu stały rozgadane grupki odwiedzających i pacjenci czekający na transport medyczny. Marcus i Christine zmierzali ku położonemu dalej parkingowi. Idąc, zwykle trzymali

się za rękę, lecz nie dziś. Christine poczuła nieprzyjemny zapach dymu tytoniowego, ktoś zapalił papierosa w drodze do samochodu. W ciąży stała się bardziej wrażliwa na zapachy, tym razem ledwie zwróciła uwagę na irytujące doznanie, zbyt zdenerwowana czym innym.

– Marcus, kompletnie ci odbiło. Nawet nie wiem, co powiedzieć, tak bardzo jestem wściekła. – Nie podniosła głosu, nie miała takiego zwyczaju, nawet w kłótni. Mieli dwie zasady: żadnych krzyków i obraźliwych epitetów. Owszem, nazywała go czasem dupkiem i łajdakiem, ale tylko w myślach.

– Dlaczego? – Szedł szybciej niż zazwyczaj. – Ponieważ usiłuję dowiedzieć się tego, co mamy prawo wiedzieć? Bo dbam o nasze interesy?

– Nie dbasz o nasze interesy, zrażając do nas przyjaciół.

– Oni nie są naszymi przyjaciółmi, kochanie. Płacimy za ich usługi.

– Uważam doktora Davidowa za przyjaciela. Michelle także. – Na wspomnienie przygnębionej twarzy lekarza zakłuło ją w sercu.

– Nie są nimi. – Ruszył przodem, klucząc pomiędzy samochodami. – Gdyby byli naszymi przyjaciółmi, powiedzieliby nam, co mamy prawo wiedzieć. Nie ukrywaliby przed nami niczego.

– Oni nie wiedzą. Tylko w Homestead mają dostęp do tych danych.

– Dowiedzieliby się. Poruszyliby niebo i ziemię, żeby je dla nas wydobyć. Tak by postąpił przyjaciel. – Marcus pokręcił głową. – Prawdziwą przyjaciółką jest Lauren, ona nie wahałaby się przed wszczęciem awantury. Stałaby pod biurem ich zarządu z transparentem aż do skutku. Tak postępuje przyjaciel. Oni nie zachowują się jak przyjaciele, bo nimi nie są.

– Doktor Davidow próbował się dowiedzieć. – Zauważyła audi Marcusa zaparkowane dwa miejsca dalej. Rzeczywiście znalazł lepsze miejsce. Zawsze znajdował. Doprowadzał ją tym do szału. Dziś miała ochotę go uderzyć.

– Nie dość stanowczo. Dzięki mnie postara się bardziej. – W jego oczach połykiwały iskry tłumionego gniewu.

– Nie zamierzam składać żadnego pozwu, Marcus.

– Dlaczego? Przecież chcesz wiedzieć, kto jest naszym dawcą.

– Oczywiście, ale nie w ten sposób. Boże, zostaliśmy właściwie wyrzuceni z gabinetu. Obraziłeś go. Zraniłeś jego uczucia!

– On zranił moje! Krzywdzi moją rodzinę.

– Dzięki niemu mamy rodzinę! – zawołała i natychmiast pożałowała swoich słów.

– Dzięki za przypomnienie. – Marcus zacisnął zęby, uniósł głowę i odwrócił

wzrok.

– Wiesz, że nie o to mi chodziło. – Poczła się śmiertelnie zmęczona łechtaniem jego próżności i znoszeniem humorów. – Nie byłabym w ciąży, gdyby nie on. Mamy wobec niego dług wdzięczności.

– Zapłaciliśmy mu. Nic więcej nie jesteśmy winni. Słyszałaś: klinika należy do niego. Robi to dla pieniędzy.

– Nieprawda. – Wierzyła w szczerść doktora Davidowa, gdy mówił o radości, jaką czerpie z pomagania ludziom. Rozumiała go, ponieważ ona także kochała swoją pracę. Dlatego dzisiejszy dzień był dla niej taki trudny, cierpiała, gdy na zawsze opuszczała progi szkoły.

– Błagam cię. Davidow dysponuje ogromnymi możliwościami. Jest jednym z najlepszych specjalistów w kraju. Gdyby zrezygnował z usług Homestead, wszyscy by o tym wiedzieli.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Mogę. Gary mi powiedział. Zna to środowisko.

– Skąd w ogóle wystraszałeś tego Gary’ego? Kim on jest?

– Poprosiłem Bruce’a, żeby mi kogoś polecił. Zna najlepszych prawników w mieście, umówił mnie na dziś. Słyszałaś, co powiedział Davidow – Gary jest sławny – oznajmił Marcus z miną świeżo upieczonego eksperta. – Czasami trzeba grać ostro, kochanie. Wytoczmy proces Davidowowi, żeby zmusić Homestead do działania. Cieszę się, że mamy dobrego prawnika.

– Och, my mamy prawnika? – Christine przewróciła oczami i zatrzymała się przy drzwiach samochodu.

– Tak, jest nam potrzebny. Wiesz, na czym polega twój problem? – Otworzył samochód zdalnie, mierząc w niego kluczykami jak bronią. – Chciałabyś, żeby wszyscy cię lubili. I wszyscy cię lubią. Jesteś sympatyczną osobą. Świetną nauczycielką. Ale to nie jest podstawówka, tylko prawdziwy świat.

– Nie traktuj mnie protekcyjnie – zdenerwowała się.

– Przecież nie traktuję. Po prostu mówię, że chodzi o pieniądze. Musimy pozwać zarówno bank, jak i klinikę. Tylko w ten sposób wydobędziemy z nich prawdę. – Otworzył przed nią drzwi. Nie ruszyła się z miejsca.

– Nie chcę składać pozwu przeciwko doktorowi Davidowowi.

– Nie przeciw niemu osobiście, ma przecież ubezpieczyciela. Powiedział, że zamierza skontaktować się z prawnikiem.

– Owszem, przeciwko niemu. Ta klinika to jego źródło utrzymania. Ma rodzinę...

- Bardziej dbasz o jego rodzinę niż o naszą?
- To nie fair.
- Ależ tak. Czemu próbujesz mi związać ręce? Nie jesteśmy bezsilni. Nie musimy biernie czekać. Dlaczego nie chcesz z tym iść do sądu?
- Bo to podłe zagranie. I kosztowne... – Przerwała, nie wiedząc, co jeszcze wiąże się z postępowaniem sądowym, ale tyle w zupełności wystarczyło. – Nie zrobię tego.
- Spotkajmy się z Garym. On ci wszystko wytłumaczy. Obiecał, że wciśnie mnie w jutrzejszy grafik. Zgoda?
- Poczekajmy kilka dni na wyniki wewnętrznego dochodzenia Homestead.
- Po co czekać? – prychnął Marcus. – Jeśli pójdą na ugodę, dostaniemy odpowiedź przed upływem tygodnia.
- Nie musimy uprzedzać wydarzeń i pozywać ludzi. Po co ten pośpiech? Zmieszał się. Christine nagle zrozumiała.
- Ach, żeby zdążyć z aborcją, tak? Nie wierzę, że to powiedziałaś. Że w ogóle przyszło ci coś takiego do głowy!
- Skarbie, musimy o tym porozmawiać. – Popatrzył jej w oczy. – Słyszałaś, co mówiła Michelle. – Wskazał ręką budynek szpitala. – Ludzie decydują się na przerwanie ciąży z błahszych powodów.
- Ale nie ja! Jak śmiesz mi to proponować? – Jutro byli umówieni na pierwsze badanie ultrasonograficzne, o którym właśnie sobie przypomniwała. Nie chciała, żeby Marcus jej towarzyszył. Już nie.
- Gdyby dziecko było bardzo chore, zdecydowalibyśmy się na aborcję.
- To zupełnie co innego.
- Wcale nie. Jeśli dziecko jest chore psychicznie, obciążone genetycznie poważnymi zaburzeniami. – Uniósł ręce do góry. – Cięża nie jest jeszcze zaawansowana. Możemy wybrać innego dawcę. Zacząć od nowa.
- Wykluczone.
- Na pewno wkrótce ponownie zajdziesz w ciążę. Jesteś stworzona do rodzenia dzieci! Tylko ja jestem bezpłodny.
- Mamy już nasze dziecko! – Wskazała swój brzuch.
- Dziecko seryjnego mordercy. Tego chcesz? – Popatrzył na nią z niedowierzaniem. – Pokażę ci artykuły w czasopiśmie medycznych. Badania naukowe, z których wynika, że zaburzenia psychiczne można odziedziczyć. Lucy wyraziła jedynie własne przekonanie. Opinie na ten temat są podzielone. Zobaczysz.

– Nie zgodziłabym się na aborcję, nawet gdyby mi powiedzieli, że to dziedziczne. Nie teraz.

– To niespełna dwa miesiące! W tym czasie jeszcze często dochodzi do samoistnych poronień.

– Nie trać nadziei! – rzuciła złośliwie.

– To nie jest śmieszne.

– Wiem. Ja chcę tego dziecka.

– Cóż, ja nie.

Christine aż zatkało, przeżyła prawdziwy wstrząs. Oczy Marcusa miały błyskawice, miał na wpół otwarte usta, sam był chyba zaskoczony własnymi słowami. Zastygli na wprost siebie niczym aktorzy w zatrzymanej scenie walki. Marcus powiedział coś strasznego i nie mógł już cofnąć swoich słów. Nosiła dziecko, którego nie chciał. Odwróciła się na pięcie i odeszła.

– Kochanie, nie odchodź. Wsiądź do samochodu! – zawołał za nią.

– Nie. – Poczuła napływające do oczu łzy.

– Podwiozę cię.

– Wolę spacer.

– Jak chcesz. Do zobaczenia w domu.

Nie odpowiedziała. Nie była pewna, czy wróci do domu. Nie wiedziała, dokąd idzie. Czowała się pozbawiona korzeni, oderwana od wszystkiego, co dotąd знаła. Odeszła z ukochanej pracy, na próżno. Straciła Michelle i doktora Davidowa. Oraz nadzieję na stworzenie szczęśliwej rodziny.

Przyspieszyła kroku, łzy spływały jej strumieniami po policzkach.

Zaczęła biec.

ROZDZIAŁ 11

Opuściła teren szpitala boczną drogą, bo wiedziała, że Marcus zawsze wybiera główną. Patrzyła przed siebie i mocno ścisnęła kierownicę, a spod ciemnych szkieł okularów przeciwsłonecznych wciąż spływały łzy. Christine czuła teraz wspólnotę ze wszystkimi kobietami na całym świecie, które w tym stanie kiedykolwiek prowadziły samochód. Ostatnio płakała za kierownicą na studiach, po tym jak dostała niezasłużoną tróję z historii Stanów Zjednoczonych, a wcześniej w liceum, gdy rzucił ją Michael Rotenberg. Lauren opłakiwała w ten sposób niezdany egzamin do Penn. Christine nie raz widywała zapłakane kobiety za kierownicą.

Nigdy w życiu nie była w gorszej sytuacji, ale nie straciła poczucia humoru i dystansu do siebie. Była stereotypem na kółkach, ta zabawna myśl pomogła jej utrzymać histerię na wodzy. Przystanęła za ciężarówką, w godzinach szczytu w całym mieście panowały korki. Unikała patrzenia na innych kierowców, piszących esemesy lub rozmawiających przez smartfony. Christine nie wysyłała wiadomości podczas jazdy i rozmawiała tylko bez używania rąk, wolno jej było się wypłakać po tym, jak usłyszała od męża, że nie chce ich dziecka. Dziecka seryjnego zabójcy. Jej dziecka. Można zaznaczyć wszystkie opcje.

Christine pociągnęła nosem, wzięła z deski rozdzielczej kolejną serwetkę ze Starbucks'a i wydmuchała nos. Dorzuciła zużytą chusteczkę do sterty piętrzącej się na fotelu pasażera, kolejny dowód rzeczowy, że była najbardziej nieatrakcyjną z płaczków. Chciała zadzwonić do Lauren, ale zegar samochodowy wskazywał szóstą piętnaście. Lauren poszła z Joshem i dziećmi na kolację z okazji zakończenia roku szkolnego. Wyciągnęła jeszcze jedną czystą serwetkę. Rezygnacja z pracy w szkole była jedną z najgłupszych decyzji, jakie podjęła. Plasowała się w ścisłej czołówce, zaraz za sztucznym zapłodnieniem nasieniem seryjnego mordercy.

Ciężarówka wreszcie ruszyła, sznur samochodów posuwał się naprzód.

Christine wcisnęła pedał gazu, zerkając w stronę ulubionego sklepu spożywczego. Żołądek zareagował głośnym burczeniem, poczuła wilczy głód, swój ulubiony objaw ciąży. Zawsze była ciekawa rozlicznych zachcianek ciążowych, teraz doświadczała ich na własnej skórze. Miała apetyt o każdej porze.

Otarła łzy i już po chwili zaparkowała obok ogromnego supermarketu z charakterystyczną beżową fasadą, która wyglądała identycznie jak wejście do „jej” sklepu i zapewniała poczucie bezpieczeństwa. Zabrała telefon i torebkę, po czym, nie zdejmując okularów przeciwsłonecznych, weszła do klimatyzowanego wnętrza. Chłodne powietrze koło nerwy. Rozejrzała się wokół, rozpoznając ten sam wystrój, barek z gotowymi potrawami był na wprost.

Ruszyła ku ladom ze stali nierdzewnej, na których bulgotały w bemarkach gorące potrawy. Wzięła duży plastikowy talerz i podążyła za zapachem w stronę dań kuchni indyjskiej. Nastrój wyraźnie jej się poprawił, gdy nałożyła sobie porcję pomarańczowej brei, dodała frytki oraz plaster bakłazana zapiekanego z parmezanem, zadumała się przez chwilę nad niecodziennością swojej kompozycji. Cóż, ciążowe zachcianki.

Wzięła jeszcze butelkę wody mineralnej, zapłaciła przy kasie i zaniósła tacę do jednego ze stolików w części jadalnej dla dorosłych. Nauczyła się omijać strefę przyjazną dzieciom z jej miniaturowymi krzesłami i stolikami oraz ekranem, na którym bez przerwy wyświetlano film *Lego: Przygoda*, ponieważ dręczyła się myślą, że nigdy nie stanie się jedną z tych matek. Teraz, kiedy spełniła wreszcie swoje marzenie, wcale nie czuła się szczęśliwa.

Usiadła przy okrągłym drewnianym stoliku skąpanym w promieniach słońca. Sala była pełna dorosłych i dzieci. Wszystko jedno, dawno już zdała sobie sprawę, iż życie na przedmieściach kręci się wokół dzieci, między innymi dlatego tak dotkliwie odczuwała swoją bezdzietność. Bez dziecka, które woziliby do szkoły, na treningi piłki nożnej i do pediatry, odstawała od reszty sąsiadów. Żyła w otoczeniu dzieci. Niezależnie od nastawienia Marcusa nie miała zamiaru rezygnować z ciąży.

Zanurzyła plastikowy widelec w hinduskiej potrawie, zerkając kątem oka na ekran z wiadomościami CNN. Wróciła pamięcią do swojego pożegnalnego bankietu i Ala. Tym razem program informacyjny zdominowały doniesienia polityczne dotyczące kampanii prezydenckich przed listopadowymi wyborami. Pochłaniała pikantne, pyszne jedzenie. Nie przerywając konsumpcji, sięgnęła

po telefon, otworzyła wyszukiwarkę i wpisała nazwisko Jeffcoata. Otworzyła pierwszy link, ciekawa nowych wieści. Przebiegła wzrokiem wczorajszy artykuł, ale nie odnotowała żadnych zmian. Wybrała drugi link, który zaprowadził ją na stronę „Philadelphia Inquirer”, gdzie znalazła informację zawartą w jednym akapicie, bez zdjęcia.

Zabójca pielęgniarek usłyszał zarzuty

William Magni

Zachary Jeffcoat, lat dwadzieścia cztery, został w dniu dzisiejszym postawiony w stan oskarżenia za zabójstwo trzydziestoletniej pielęgniarki ze szpitala Chesterbrook, Gail Robinbrecht. Policja federalna i stanowa podejrzewają, iż mężczyzna jest odpowiedzialny również za zamordowanie dwóch innych pielęgniarek na terenie stanów Maryland i Wirginia. Jeffcoat oczekuje na proces w Pensylwanii, obecnie przebywa w zakładzie karnym o zastrzonym rygorze w Collegeville.

Christine powróciła na stronę Google i sprawdziła trzeci link. Otworzył się ten sam artykuł opublikowany w innej filadelfijskiej gazecie. Dalsze przeglądanie sieci nie przyniosło nowych rezultatów. Nie przerywając jedzenia, wróciła na główną stronę „Inquirera”, pełną wiadomości związanych z kampanią prezydencką. Zerknęła na telewizor z gadającymi głowami komentatorów, u dołu ekranu przesunął się tekst z wiadomościami na temat zbliżających się wyborów. Następnie pojawił się materiał o bombardowaniu na Środkowym Wschodzie, potem relacja z wybuchu w Kabulu i kolejna porcja komentarzy politycznych dotyczących elekcji. Sprawa Jeffcoata najwyraźniej zeszła na dalszy plan.

Nagle zadzwonił telefon, na wyświetlaczu pojawiło się imię Marcusa. Po chwili wahania odebrała.

– Halo?

– Cześć, jesteś w drodze do domu? – zapytał irytująco chłodnym głosem, pozbawionym skruchy. Christine mogła się tego spodziewać, jej mąż nie był osobą łatwo zmieniającą zdanie. Poczowała suchość w ustach, więc upiła łyk wody.

- Nie, zatrzymałam się, żeby coś zjeść.
- O, świetnie. Cóż, właśnie dzwonili z Raleigh. Jest problem na budowie, wzywają mnie.
- Christine wiedziała, że ma na myśli budowę kompleksu biurowego w Karolinie Północnej.
- Muszę tam być jutro rano, dlatego wyjeżdżam dziś wieczorem. Kupiłem bilet na ostatni lot. Nie masz nic przeciwko temu?
- Nie – powiedziała z mimowolną złością.
- Oboje musimy ochłonać.
- Nie sądzę, aby to było możliwe w moim przypadku, Marcusie – prychnęła.
- Porozmawiamy po moim powrocie.
- Już się nie mogę doczekać. – Napiła się jeszcze wody. Potrafiła być uszczypliwa i nie była z tego dumna.
- Zastanawiałem się nad tym, co powiedziałaś na temat pozwu.
- I przyznałeś mi rację?
- Nie – urwał. – Zadzwoiłem do Gary’ego. Zaprasza cię jutro o dziesiątej rano.
- Nie zamierzam się z nim spotkać.
- Myślę, że powinnaś. Miałem zamiar pójść z tobą, ale muszę jechać. Będziesz go mogła o wszystko wypytać.
- Nie mam żadnych pytań.
- Słuchaj, rozmawiałem z nim. Powiedział, że mieszanie w to kliniki nie jest konieczne. Wyjaśni ci szczegóły na spotkaniu. – Głos Marcusa nieco złagodniał. – Bardzo bym chciał, żebyś do niego poszła. Jeżeli naprawdę jesteś tak bardzo przeciwna pozywaniu kliniki, nie zrobimy tego. Zgoda? Nie użyjemy Davidowa jako narzędzia w rozgrywce z Homestead. Zanim podejmiesz jakąkolwiek decyzję, powinnaś przynajmniej zapoznać się z faktami.
- Christine odstawiła butelkę z wodą.
- Dobrze, pójdę, ale niczego nie obiecuję.
- Rozumiem. – Westchnął ze zniecierpliwieniem. – Wyślę ci adres esemesem i dam znać Gary’emu, że będziesz.
- O której wychodzisz? – Postanowiła nie przypominać mu o badaniu ultrasonograficznym. Wolała pójść sama.
- Za parę minut. Wypuściłem psa do ogródka i nakarmiłem kota.
- Dzięki. – Christine przełknęła ślinę. Jej mąż miał dobre serce i zawsze

sądziła, że będzie wspaniałym ojcem. Poczwała łyzy napływające do oczu. „Dobrze, że nie zdjęłam okularów przeciwsłonecznych”, pomyślała. Ludzie wokół prawdopodobnie brali ją za niewidomą.

– No dobrze. Dobranoc. Gdy wyląduję, będzie już za późno, żeby do ciebie zadzwonić. Obudziłbym cię.

– Nie ma sprawy. Bezpiecznego lotu.

– Kocham cię – powiedział po chwili milczenia, ale nie brzmiało to zbyt wiarygodnie.

– Ja ciebie też – odpowiedziała mu tym samym tonem. Rozłączyła się i odsunęła tacę. Miała mętlik w głowie. Zależało jej na wyjaśnieniu sprawy nie mniej niż Marcusowi, była ciekawa jutrzejszej rozmowy z adwokatem, chociaż nie cieszyła się na to spotkanie. Jej myśli powędrowały z powrotem do Homestead, niemal bezwiednie odnalazła jego profil zapisany w telefonie. Przecież musiała się w nim kryć jakaś wskazówka, cokolwiek, co pozwoliłoby połączyć anonimowego dawcę z Zacharym Jeffcoatem.

Przejrzała notatki z wywiadu i przeszła do pisemnej ankiety wypełnionej przez dawcę.

Opisz swoją osobowość. Jesteś: dowcipny, nieśmiały, odważny, zuchwały, poważny, obowiązkowy, ciekawski, impulsywny itp.?

Uważam się za osobę poważną, co nie oznacza, że jestem pozbawiony poczucia humoru. Znajduję przyjemność w wielu dziedzinach życia. Lubię czytać i uczyć się nowych rzeczy. Interesuję się różnymi kulturami, architekturą, systemami państwowymi i prawnymi.

Christine pomyślała, że tak nie mówi człowiek zdolny do zabicia kogokolwiek, a tym bardziej kilku osób. Z drugiej strony mógł być doskonałym kłamcą. Przeczytała kolejne pytanie i odpowiedź:

Jakie masz zainteresowania i zdolności?

Uwielbiam czytać i zgłębiać różne dziedziny wiedzy, dlatego postanowiłem zostać lekarzem i naukowcem. Nie jestem ani tak pewny siebie, ani szalony, by twierdzić, iż odkryję lekarstwo na raka, lecz uważam, że najlepiej przysłużę się ludzkości, gdy wykorzystam swój potencjał w medycynie. Jestem świadom realiów rządzących lekarską

profesją, układów politycznych i problemów finansowych związanych z ubezpieczeniami zdrowotnymi, ale lekarze ratują ludzkie życie, i ja również chciałbym to robić. Chcę, żeby to, co robię, miało jakiś sens.

Co chciałbyś robić za pięć lat?

Jak wyżej. Dodam, że chciałbym założyć kiedyś własną rodzinę. Mam dziewczynę, spotykamy się od roku, ale ona nie jest i w najbliższym czasie nie będzie gotowa na dzieci.

Christine przerwała na moment. W żadnym z artykułów o Jeffcoacie nie zauważyła wzmianki o narzeczonej ani rodzinie, ale może dlatego, że dotychczasowe doniesienia były lakoniczne. Kiedy czytała te odpowiedzi po raz pierwszy, podziwiała dojrzałość chłopaka. Dziś zastanawiała się, ile z tego wszystkiego jest prawdą. Wątpiła, by bank sprawdzał takie informacje. Wróciła do ankiety.

Jak oceniasz swoje umiejętności w podanych dziedzinach.

Matematyka.

Uwielbiam matematykę. Brałem pod uwagę studia matematyczne.

Mechanika.

Mam zdolności manualne. Nieźle sobie radzę z drobnymi naprawami w mieszkaniu. Uważam się za złotą rączkę.

Sport.

Muszę przyznać, że do wysportowanych nie należę. Jestem wysoki i często dostawałem propozycje dołączenia do szkolnych drużyn koszykarskich, ale mnie to nie interesuje. Nie przepadam za grami zespołowymi, jestem raczej typem samotnika. Nie mam rodzeństwa, a moim ulubionym sportem są szachy. Jestem dobrym szachistą dzięki zdolności strategicznego myślenia. Zauważyłem, że w kwestionariuszu nie ma pytań o tego typu gry, co uważam za błąd.

Ostatnia odpowiedź najbardziej spodobała się Marcusowi, ponieważ zobaczył w niej siebie z czasów wczesnej młodości, gdy należał do studenckiego klubu szachowego. Po raz drugi czytała wypowiedzi dawcy 3319 bardziej krytycznie, ale wciąż nie mogła doszukać się cech brutalnego kryminalisty. Sprawiał wrażenie myślącego, inteligentnego chłopaka z lekkim

kompleksem wyższości. Nie wiedziała, czy tak mówią seryjni mordercy, ale wiedziała, że Marcus wypowiada się bardzo podobnie.

Kreatywne pisanie.

Nie leży w kręgu moich zainteresowań.

Literatura.

Jak wyżej. Czytam, żeby poszerzać wiedzę o świecie. Nie interesuje mnie beletrystyka ani poezja.

Nauka.

Jest oczywiście moją mocną stroną. Zapamiętywanie nowych informacji przychodzi mi bez trudu, co z pewnością pomoże mi w studiowaniu medycyny.

Ulubiona książka, film lub płyta.

Moją ulubioną powieścią jest *Kosmos* Carla Sagana. A filmem – *Przebudzenia*, bo pokazuje, ile dobrego mogą zdziałać lekarze, choć ma smutne zakończenie. Rzadko słucham muzyki.

Christine wypila resztę wody, usiłując okiełznać natłok myśli. Zestawiała słowa Lucy o cechach seryjnych morderców z tym, co mówił Marcus o genach wojownika, i z odpowiedziami dawcy. Zostało już tylko jedno, najważniejsze pytanie:

Dlaczego chcesz zostać dawcą nasienia?

Jak już wspominałem wcześniej, zależy mi na tym, żeby pomagać ludziom. W miarę możliwości. Chcę pomóc osobom chorym lub bezpłodnym i mogę to zrobić w prosty sposób. Nie wiem, czy powinienem o tym pisać, ale niebagatelną rolę odgrywają tu pieniądze, ponieważ muszę opłacić czesne za studia medyczne, a rodzice nie mogą wspomóc mnie finansowo.

Christine ponownie otworzyła „Philadelphia Inquirer”. Obok nazwiska autora artykułu o Zacharym Jeffcoacie, którym był William Magni, widniały jego dane kontaktowe: adres mejlowy, pseudonim na Twitterze oraz numer telefonu. Pod wpływem impulsu wybrała numer dziennikarza.

– Redakcja, słucham – usłyszała w słuchawce kobiecy głos.

Christine przełknęła nerwowo ślinę.

- Chciałabym rozmawiać z Williamem Magnim.
- Kto mówi?

Zatrzymała wzrok na swoim kubku.

- Timson. Christine Timson.
- Chwileczkę. – Rozległo się kliknięcie przełączanej rozmowy. Serce Christine biło jak szalone. – W czym mogę pomóc?
- William Magni?
- Tak.
- Czytałam pański artykuł o Zacharym Jeffcoacie, mordercy pielęgniarek.
- Ach, tak. O co chodzi? – zapytał ze zniecierpliwieniem dziennikarz.
- Myślę, że to mój były sąsiad, i próbuję ustalić, czy się nie mylę. Wie pan, skąd on pochodzi?
- Nie, dostałem tę historię z drugiej ręki.

Christine nie miała pojęcia, co to dokładnie znaczy.

- Kto ją napisał jako pierwszy?
- Prawdopodobnie jakiś niezależny dla AP.

Christine wiedziała, że AP oznacza agencję prasową Associated Press.

- Co to znaczy „niezależny”?
- Freelancer. Każdy, kto chce podzielić się jakąś informacją. Osoba spoza środowiska dziennikarskiego. Jakiś czujny obywatel – prychnął Magni, rozbawiony własnym żartem. – Innymi słowy, ktoś, komu się wydaje, że jest dziennikarzem. W dzisiejszych czasach każdy może robić wszystko. Nic dziwnego, iż zalewają nas dezinformacje.

Christine nie podjęła dyskusji.

- Czy Jeffcoat studiował medycynę?
- Nie wiem. Powtarzam: ja nie zebrałem tych informacji.
- A wie pan, czy miał dziewczynę? Ten, którego ja znałam, został przyjęty na uczelnię medyczną i miał dziewczynę.
- Przykro mi, nie wiem. – Magni zaszeleścił jakimiś papierami.
- Czy Jeffcoat ma adwokata?
- Tego także nie wiem. Proszę zapytać się w sądzie.
- A jego rodzina? Czy przy odczytywaniu zarzutów był obecny ktoś z rodziny?
- Nie mam pojęcia. Muszę kończyć.
- Ostatnie pytanie. Czy zamierza pan dalej śledzić tę sprawę?

– Facet siedzi w Graterford. Do rozpoczęcia procesu nie wypłynie nic godnego uwagi. A proces rozpocznie się tuż przed wyborami prezydenckimi. To nie jest robota dla mnie.

– Rozumiem. Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas. Do widzenia.

Po zakończeniu rozmowy, wciąż pogrążona w myślach, Christine zabrała torebkę i odstawiła tacę. W jej głowie krystalizował się pewien plan.

ROZDZIAŁ 12

Zapłakana i zmęczona poszła wcześniej do łóżka. Leżała na kołdrze w dresie i T-shircie z Murphym przytulonym z jednej strony, Lady z drugiej. Od godziny wstrzymywała się z pójściem do toalety, aby ich nie obudzić.

– Nie wierzę, że naprawdę to powiedział – szepnęła Lauren, gdy wreszcie udało im się porozmawiać.

– Ja wierzę. Nie chce tego dziecka. – Christine wydmuchała nos i wyrzuciła zużytą chusteczkę do kosza, który zapobiegliwie postawiła obok łóżka na wypadek porannych mdłości. „Na dziś już dosyć mazania się”, postanowiła.

– Tak tylko mówi.

– Powiedział to, co myśli.

– Chyba za bardzo się przejmujemy – westchnęła Lauren. – Nie jesteście pierwszą ani jedyną parą na świecie, w której partnerzy inaczej przeżywają ciążę. Josh nie był gotów zostać ojcem, gdy zaszłam w pierwszą ciążę. Pamiętasz?

– Ale się starał. Oboje pragnęliście tego dziecka. Marcus go nie chce i nie będzie gotów.

– Musi. Nie ma innego wyjścia.

– Nie musi. Jeżeli tego nie poczuje, nie ma na to rady. – Sięgnęła po kolejną chusteczkę, znów zaczynała się rozklejać. Miała dość rozczulania się nad sobą, wołała działać.

– Przykro mi, że was to spotkało.

– Mnie też. – Christine nieobecność Marcusa była na rękę, potrzebowała teraz domu tylko dla siebie. Wokół panowała cisza i spokój, zapaliła światło w sypialni, reszta pomieszczeń tonęła w ciemnościach. O dach uderzały krople letniego deszczu, za oknami od czasu do czasu zrywał się wiatr.

– Zrozumiał, że aborcji nie bierzesz pod uwagę.

– Owszem. Zrozumiał – potwierdziła gorzko i cisnęła do kosza kolejną moką chusteczkę.

– Tak naprawdę wcale jej nie chciał. Po prostu zastanawiał się, co możecie zrobić.

– On też tak twierdzi, ale mimo wszystko... – Wzrok Christine powędrował w stronę ustawionego na kanał CNN telewizora z wyciszonym dźwiękiem. U dołu ekranu przesuwiał się pasek z informacją: „Demokraci ogłosili nową reformę edukacji”. Włączyła telewizor w nadziei, że podadzą nowe wiadomości o Zacharym Jeffcoacie. Jak dotąd nic się nie pojawiło. Zdała sobie sprawę, że zapomniała powiedzieć Lauren o rozmowie z dziennikarzem, tak wiele się dziś wydarzyło.

– Co zamierzasz?

– Spotkam się z tym adwokatem. Nie mam wyboru. Chcę wiedzieć, czy Jeffcoat jest naszym dawcą, więc muszę współpracować z Marcusem. – Zawahała się, nim wyznała, co ją najbardziej przeraża. – Nie wiem, co z nami będzie, Lauren. Czy moje małżeństwo się sypie?

– Nie! Oszalałaś? Zawsze możecie na siebie liczyć. Nie widziałam, żebyście się kiedykolwiek kłócili. Josh i ja wam zazdrościmy.

Christine nie zdobyła się na uśmiech.

– Nawet się nie kłócimy. Po prostu mamy odmienne zdanie, a to jeszcze gorsze. Jak mogę od niego oczekiwać, żeby był dobrym ojcem dla dziecka, którego nie zdoła pokochać? Jakie małżeństwo to przetrwa? Poza tym dziecko nie powinno się wychowywać w takich warunkach. Przeszłam przez piekło, żeby zająć w ciąży. On także.

– Faktycznie, dał sobie rozciąć jajka – jęknęła Lauren.

– Pragnęliśmy dziecka. To było najbardziej oczekiwane dziecko na świecie. Ale nie dla niego, już nie. Jest przekonany o genetycznym podłożu skłonności do agresji i znajdzie lekarza, który podziela jego poglądy. – Podejrzewała, że przedsiębiorczy Marcus już na lotnisku wykonał kilka telefonów, aby znaleźć innego genetyka. – Nawet gdyby zmienił zdanie, co mi po takiej wymuszonej miłości?

Lauren westchnęła.

– Musimy być zaangażowani. Nie chcę, by coś nas podzieliło. Dlatego postanowiłam pójść do tego adwokata. Może się okazać, że Jeffcoat wcale nie jest naszym dawcą.

– Może pójdę z tobą? Mam czas i chętnie to zrobię. Dzieciaki mają jeszcze jutro szkołę.

– Świetnie. Jestem też umówiona na USG. Usłyszę bicie serca. – Christine

nie cieszyła się na to badanie tak jak wcześniej. Pójdzie bez Marcusa i będzie słuchać bicia serca dziecka, którego jej mąż nie chce.

– Och, proszę cię, weź mnie ze sobą. Nie możesz tam iść całkiem sama.

– Dzięki, będzie mi różnie – odpowiedziała wzruszona. – Wciąż nie mogę uwierzyć. Wszystko dzieje się za szybko. Nasze życie runęło w gruzy w mgnieniu oka.

– Jeszcze będzie dobrze, kochanie.

– Myślisz? – zapytała bez przekonania. Popatrzyła na ekran z dyskutującymi komentatorami politycznymi i przeczytała przesuwający się podpis: „Republikanie popierają projekt nowej ustawy o zatrudnieniu”.

– Tak. Nie może być inaczej, pasujecie do siebie.

– Raczej pasowaliśmy. Nie chcę składać pozwu przeciwko Davidowowi, ale nic innego nie zadowoli Marcusa. Próbuję ocalić nasze małżeństwo, tak to widzę. – Przełknęła nerwowo ślinę, czując bolesny ucisk w klatce piersiowej.

– Wasze małżeństwo nie jest zagrożone.

– Nie chcę rozwodu. Kocham Marcusa. Naprawdę.

– Wiem – powiedziała ciepło Lauren.

– Ale nie zrezygnuję dla niego z dziecka – oznajmiła stanowczo.

– Trzymaj się. Zobaczymy, co powie adwokat.

– Tak, adwokaci zawsze są tacy pomocni.

Christine i Lauren parsknęły śmiechem.

ROZDZIAŁ 13

Popatrzyły na siebie porozumiewawczo, siadając w oryginalnie urządzonej poczekalni kancelarii adwokackiej Leonardo & Associates. Wycinki prasowe, zalaminowane i powieszane na ścianach, informowały, że Gary Leonardo słynął z waleczności na sali sądowej i był jednym z najlepszych prawników w sprawach dotyczących zaniedbań lekarskich, dorobił się nawet przydomka Lew z Connecticut. Nazwa firmy została wyryta na lśniącej tablicy z brązu w kształcie głowy lwa. Szklany blat stolika podpierały dwa połączone lwy. Podstawy lamp stojących obok skórzanych foteli, na których usiadły kobiety, miały kształt ryczących lwów.

- Myślisz, że lubi lwy? – zażartowała Lauren, nachylając się ku Christine.
- Spozregawcza jesteś – przyznała z wymuszonym uśmiechem, doceniając wysiłki przyjaciółki, która próbowała ją rozweselić.
- Wzbudza postrach. Król sądowej dżungli – prychnęła cicho Lauren. – Connecticut może być bardzo niebezpiecznym miejscem. Wszyscy ci finansowi drapieżcy i tak dalej. Poza tym jest bardzo męski.
- Najwyraźniej.
- Ma mnóstwo spermy, z którą nie wie, co zrobić. – Lauren zamilkła, ponieważ zza biurka wstała właśnie atrakcyjna, ciemnowłosa recepcjonistka o miłym uśmiechu.
- Gary zaprasza panie do siebie – powiedziała, wskazując gestem drzwi gabinetu.
- Dziękujemy – odpowiedziały jednym głosem, wstały i podążyły za szczupłą dwudziestoparolatką w czerwonej sukience, przy której obie wyglądały niemodnie: Christine w koszuli w niebieską kratkę, niebieskiej bawełnianej spódnicy i najlepszych sandałach, Lauren w luźnej, beżowej sukience z muślinu, granatowym blezerze i najwygodniejszych butach. Oba stroje byłyby odpowiednie na zebranie rodzicielskie.
- Witam, drogie panie! – huknął Gary Leonardo, praktycznie wciągając

Christine za rękę do gabinetu. – Teraz znam już całą rodzinę! Zapraszam! Proszę siadać!

– Hm, dziękuję. – Christine uśmiechnęła się niepewnie. Gary sprawiał na niej wrażenie kogoś, kto poważnie przedawkował kofeinę. Jego ciemne oczy błyszczały ożywieniem, odsłaniał w uśmiechu garnitur wybielonych zębów. Był mocno opalony, choć lato dopiero się zaczynało, a jego włosy miały podejrzanie intensywny czarny kolor. Wyglądał elegancko w ciemnym, dobrze skrojonym garniturze, śnieżnobiałej koszuli i jedwabnym krawacie w egzotyczne wzory. Niski wzrost nie ujmował mu autorytetu, emanował siłą płynącą z życiowej energii, niczym Al Pacino z dyplomem prawnika.

– Muszę panią przeciągnąć na właściwą stronę! – Popatrzył na nią szelmowsko spod zmrużonych powiek. – Jeszcze mnie pani nie polubiła, ale to się zmieni! – Zwrócił się do Lauren: – A pani...

– Lauren Weingarten, najlepsza przyjaciółka.

– Najlepsza przyjaciółka! Jakże się cieszę! Witam! – Rozpromienił się Gary, potrząsając dłonią Lauren. – Najlepsza przyjaciółka to ważna osoba, coś o tym wiem. Moja żona, Denise, też ma najlepszą przyjaciółkę. We dwie organizują mi życie. Rządzą całym moim światem. Jedna jest moim słońcem, druga księżycem. Proszę sobie wygodnie usiąść.

– Dziękuję. – Christine zajęła czarny skórzany fotel. Lauren poszła jej śladem.

– Napiją się panie kawy? Albo dietetycznej coca-coli? Na pewno. – Gary zwrócił się do recepcjonistki: – Thereso, przynieś nam dietetycznej coli, dobrze?

– Ja poproszę wodę – powiedziała Christine, patrząc na recepcjonistkę, która odwzajemniła uśmiech i wyszła.

– Christine, nie chcę, żebyś wyciągnęła błędne wnioski, Theresa jest moją siostrzenicą. Moja żona, Denise, pracuje ze mną jako asystentka. Przedstawiłbym ją, ale wyszła na spotkanie z klientem. Nic nie kombinuję, jestem monogamiczny do szpiku kości.

– Dobrze wiedzieć. – Obie kobiety odpowiedziały uśmiechem. Gary obszedł energicznie swoje gigantyczne biurko, antyk z rzeźbionego mahoni, pasujący do regałów pękających w szwach od kodeksów, notatników, dokumentów, rodzinnych fotografii, zdjęć lwów, figurek lwów, gumowych lwów, wśród lwiej kolekcji znalazła się nawet maszynka z cukierkami zwieńczona głową tytułowego bohatera kreskówki *Król Lew*.

– Witajcie w mojej jaskini! – Gary rozłożył ręce i opadł na swój fotel z czarnej skóry, najwyższy w pomieszczeniu. Popatrzył na Theresę, która wniosła połączoną tacę, na której stały dwie szklanki z napojami i jedna z lodem, a obok leżały serwetki.

– Dziękuję – powiedziały jednocześnie Christine i Lauren.

– Proszę bardzo. – Theresa wyszła i zamknęła za sobą drzwi, w tej samej chwili Gary nagle spowaźniał i przeszedł do sedna.

– Christine, jest pani przeciwna procesowi. Dlaczego? Wyjaśni mi pani? – Otworzył dłonie. – Zamieniam się w słuch.

– Doktor Davidow w niczym nie zawinił. Polecił nam najlepszy bank nasienia w kraju, ten sam, z którego korzystała jego siostra. – Christine przerwała na moment. – Poza tym lubię go jako człowieka. Nie chcę mu zaszkodzić.

– Przekonała mnie pani. – Adwokat wzruszył ramionami. – I tak miał być tylko pośrednikiem.

– Przekonałam pana?

– Tak. – Posłał jej swój śnieżnobiały uśmiech. – Zależy mi na pani komforcie psychicznym. Nie mam zwyczaju wywierać presji na klientach. Lekarz jest bezpieczny. Homestead natomiast to zupełnie inna sprawa. Moja rada? Pozwać drani.

– Dlaczego?

– Najpierw postaram się zarysować tło. – Uniósł do góry palec wskazujący wypielęgnowanej dłoni. – Otóż moja rodzina przyjechała do Ameryki z Włoch w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku i osiedliła się w Mystic. Mój dziadek był hydraulikiem, ojciec był hydraulikiem, brat jest hydraulikiem. Ja nie chciałem zostać hydraulikiem. Wiedzą panie dlaczego?

– Dlaczego?

– Za niska stawka. – Gary znów wzruszył ramionami. – Nikomu nie zależy. Nikt nie będzie płakał. Nikt nie robi nic złego. Nikt nie robi nic dobrego. Rozumiej panie?

– Rozumiem – odpowiedziała Christine. Nie było to trudne.

– Ja też – dodała Lauren.

– Poza tym mało prestiżowy zawód. Hydraulik nie zostanie nikim wielkim. Gdybyście panie nie zauważyły, nikomu nie zaimponuję wzrostem. Mikrus ze mnie. – Wskazał na swoją sylwetkę. – Więc rozumiem ludzi, na których patrzy się z góry. Jestem zuchwały, lojalny i walczę w obronie słabszego. – Wskazał

zdjęcia lwów, którymi obwieszono były ściany. – Sam je zrobiłem. Co roku jeżdżę na safari. Botswana, Serengeti, zwiedziłem niemal całą Afrykę, ciągnę ze sobą żonę. I jej najlepszą przyjaciółkę też, odkąd się rozwiodła. Taki nasz rytuał. Nie strzelam do zwierząt, nie mógłbym zabić lwa, jestem wegetarianinem, robię tylko zdjęcia i kolekcjonuję wspomnienia. – Dotknął palcem czoła. – Zapamiętuję każdego lwa, któremu robię zdjęcie. Przewodnik stada troszczy się o wszystkich członków. Jesteście teraz moimi lwiatkami. – Zmarszczył czoło. – Wydaje wam się, że jesteście w Connecticut, ale to dżungla.

Christine wyczuła, że zmierza do jakiejś ważnej konkluzji. Przynajmniej taką miała nadzieję.

– Pozwolę sobie przedstawić fakty dotyczące przemysłu dystrybucji nasienia. Bo, proszę mi wierzyć, to jest przemysł. Gigantyczny biznes. Moim zdaniem pozbawiony jakichkolwiek zasad. Dżungla. – Adwokat ściągnął usta. – Nie istnieją żadne wymogi ani przepisy regulujące proces naboru i sprawdzania dawców w tym kraju. Wytyczne Agencji do spraw Żywności i Leków dotyczą wyłącznie chorób zakaźnych, wenerycznych i wirusa HIV. Dawca numer 3319 przeszedł odpowiednie testy.

Christine ożywiła się na wzmiankę o dawcy. Zdała sobie sprawę, że adwokat przeczytał ich historię medyczną, dostarczoną prawdopodobnie przez Marcusa.

– Istnieją tylko dwie profesjonalne instytucje powiązane z bankami nasienia – Amerykańskie Towarzystwo Medycyny Reprodukcyjnej i Amerykańskie Stowarzyszenie Banków Tkanki, które mają coś wspólnego z monitorowaniem i kontrolowaniem dawców. Przedstawiają swoje rekomendacje odnośnie do dodatkowych testów, na przykład genetycznych, ale to tylko rekomendacje, nie wymogi. Te instytucje nie dysponują wystarczającą władzą, żeby cokolwiek wymusić. – Oczy Gary’ego ciskały pioruny. – W praktyce handel nasieniem to wielomiliardowy interes, który rządzi się własnymi prawami. Ci ludzie są królami własnej dżungli, sami ustalają zasady.

„Być może go nie doceniłam”, pomyślała Christine. Przy całej swej pompatyczności Gary obdarzony był przenikliwym umysłem.

– Podsumowując... – powiedział, wskazując na Christine. – Nie istnieją absolutnie żadne przepisy zobowiązujące Homestead lub jakikolwiek inny bank nasienia do badań psychologicznych dawców. A zatem oszczędzają sobie wydatku. Nikt im nie każe wydawać pieniędzy na dodatkowe testy, więc z nich

rezygnują. W tym interesie zależy im przede wszystkim na maksymalizacji zysków i minimalizacji wydatków.

Christine z wysiłkiem przełknęła ślinę.

– Zatrudniają miłe panie, które rozmawiają z kandydatami. Zazwyczaj studentki lub świeżo upieczone absolwentki. Czy posiadają wystarczające kwalifikacje? Nie. Nie mają wykształcenia psychologicznego czy wiedzy z zakresu zdrowia psychicznego. Ani nawet tytułu magistra socjologii. – Na twarzy adwokata odmalował się niesmak. – Czy sama rozmowa wystarczy? Oczywiście, że nie. W żadnym razie nie spełnia wymogów testu psychologicznego. To nie są żadne testy psychologiczne. Kandydaci po półtoragodzinnym wywiadzie nie są poddawani profesjonalnym testom osobowości przeprowadzanym przez wykwalifikowanego specjalistę w dziedzinie zdrowia psychicznego.

„Trudno nie przyznać mu racji”, pomyślała Christine.

– Wiele placówek, w tym Homestead, korzysta z testu Myers-Briggs, który nie może zastąpić prawdziwej ewaluacji psychologicznej. Ten test określa jedynie styl osobowości i temperament, nie jest narzędziem do wykrywania patologii.

– Co to oznacza?

– Że Myers-Briggs nie wykaże, czy kandydat cierpi na depresję, zaburzenia lękowe, słyszy głosy, cierpi na uzależnienia lub skłonności kompulsywne i tym podobne. Niektóre banki każą wypełniać swoim dawcom bezwartościowy test, który ma niby określać cechy osobowości. Prawdopodobnie widywała go pani na stronach internetowych banków?

– Tak – przypomniała sobie.

– Żaden z tych wywiadów ani testów nie spełnia standardów psychologicznych ani psychiatrycznych. Sympatyczna pani z dyplomem magistra nauk humanistycznych nie jest w stanie wykryć ani tym bardziej powstrzymać socjopaty.

Po plecach przeszedł Christine zimny dreszcz. Lauren popatrzyła na nią, ale obie milczały.

– Jedną z cech profesjonalnego testu diagnostycznego jest wiarygodność i powtarzalność. Nazywa się to „rzetelnością powtarzalności testu”. Innymi słowy, jeżeli za pierwszym razem badanie wykaże u dawcy zaburzenia lękowe, powtórne wypełnienie kwestionariusza da nam ten sam wynik. Kobiety, które chcą oddać swój materiał genetyczny, przechodzą rutynowo

takie testy, natomiast dawcy nasienia nie muszą.

– Z czego to wynika?

– Pobranie komórki jajowej jest procedurą znacznie bardziej inwazyjną. Kobieta dostaje serię zastrzyków hormonalnych, a następnie poddaje się zabiegowi pobrania komórek.

– To poważne przedsięwzięcie – domyśliła się Christine.

– Owszem, a spermę oddawano do niedawna anonimowo. Przed powstaniem banków nasienia można było kupić próbkę bezpośrednio od dawcy i samemu zaaplikować.

Christine słyszała o tym od laborantek w klinice.

– Innymi słowy, płyną z prądem i lekceważą fakt, że pominiawszy różnice w pozyskiwaniu gamety – plemnika lub komórki jajowej – procedury bezpieczeństwa chroniące klientów powinny być jednakowe, a dawcy nasienia poddawani rutynowym badaniom psychologicznym, jak to się standardowo odbywa w przypadku pobrania komórki jajowej – dowodził z przejęciem adwokat. – Co więcej, banki nie muszą spełniać żadnych wymogów odnośnie do prowadzenia bazy danych. Pacjenci lub klienci tacy jak pani nie są zobowiązani do informowania banku o narodzinach, wadach genetycznych dziecka. Banki nie muszą składać raportów żadnej instytucji w rodzaju Agencji do spraw Leków i Żywności. Jeżeli materiał genetyczny jest wadliwy, nie muszą o tym wiedzieć, mogą go dalej sprzedawać. – Potrząsnął głową. – Co gorsze, nie istnieją zewnętrzne ograniczenia liczby sprzedanych próbek tego samego materiału genetycznego. Jeden dawca może mieć dziesiątki potomków. Wszystko zależy od banku. Niektóre ograniczają się do sprzedaży siedemdziesięciu próbek, ale słyszałem o takich, gdzie liczba dochodzi do stu siedemdziesięciu.

Christine się wzdrygnęła.

– Sprzedawanie mniejszej ilości tego samego materiału genetycznego się nie opłaca. Testy kosztują. Większość banków dba o zwrot tych kosztów i zobowiązuje dawcę do dostarczania próbek przez cały rok.

Nie wiedziała o tym. Zakładała, że dawcy oddają nasienie tylko raz. Kręciło jej się od tego wszystkiego w głowie. Lauren z pewnością także.

– Prawo dżungli uderza w osoby takie jak pani. Kobiety, które bardzo chcą zostać matkami. Jesteście bezbronne, słabe. Niektóre z was walczą. Pozywają banki. Pewna placówka z Wyoming sprzedała dwudziestoletnią próbkę. Dziecko urodziło się z mukowiscydozą. Dwadzieścia lat temu nie

przeprowadzano testów na mukowiscydozę. Znam sprawę podobną do waszej, dotyczącą banku Xytex. Zna go pani? Duża placówka, czterdzieści lat na rynku.

– Tak. Moja klinika z nimi współpracuje.

– Słyszała pani, że w zeszłym roku zostali pozwani przez parę jedнопłciową, dwie kobiety, ponieważ dawca nasienia, które kupiły, zachorował na schizofrenię, rzucił studia i został aresztowany za włamanie?

– Kurczę. – Ta historia brzmiała odrobinę podobnie do ich sytuacji. – Skąd te kobiety wiedziały, że chodzi o ich dawcę?

– Bank podał im tożsamość dawcy przez pomyłkę, w wiadomości mejlowej. Zabawiły się w detektywów. Miały nazwisko, poszperały w sieci i odkryły prawdę.

– Mój Boże.

– Nawiasem mówiąc, anonimowe oddawanie materiału genetycznego – komórek jajowych i nasienia – jest nielegalne w Wielkiej Brytanii, wiedziała pani? Nie pozwalają na to. Ciekawe, prawda? – Gary pokiwał głową. – Ale wracam do tematu, Xytex zastosował się do obecnych standardów rekrutacji. Pytano dawcę o choroby w rodzinie do trzech pokoleń wstecz, przeprowadzono badanie lekarskie, badania krwi, kilka podstawowych testów genetycznych. Ale żadnej ewaluacji psychologicznej.

– Czy ta para wygrała proces?

– Owszem. – Adwokat zrobił pauzę. – Co ilustruje kolejny problem w tej ich dżungli. Nawet najlepsze banki, takie jak Homestead, nie aktualizują zebranych informacji. Nie sprawdzają ich ze stanem faktycznym. Nie interesują się, czy któryś dawca zachorował. Nawet nie próbują tego weryfikować. Profil dawcy 3319, który pokazał mi pani mąż, to zaledwie migawka. Rozumie pani?

– Rozumiem – przyznała zgnębiona. Przecież nawet nie mieli pewności, czy dawca rozpoczął studia medyczne.

– Nie istnieje badanie krwi ani marker, które pomogą wykryć chorobę psychiczną. Tego rodzaju ewaluacja jest zatem trudna, powolna i – co najważniejsze – droga. Coś paniom przeczytam. – Adwokat obrócił się twarzą do komputera, postukał w klawiaturę i przeczytał z monitora: – „W miarę rozwoju genetyki banki nasienia zwiększają zakres badań, ale sprawdzenie wszystkich danych wiązałoby się z ogromnymi kosztami”, oznajmił rzecznik Amerykańskiego Towarzystwa Medycyny Reprodukcyjnej.

Christine westchnęła z rozpaczą. Zrozumiała, dlaczego Marcus namawiał ją, żeby tu przyszła.

– Sama pani widzi, rzecz rozbija się o pieniądze. To korporacja. Równie dobrze mogliby sprzedawać trampki. I tak nie dostrzegają różnicy. – Gary zmarszczył brwi. – Mogliby zatrudnić wykwalifikowanego psychologa, ale tego nie robią. Klinika, której jest pani pacjentką, posiada takiego specjalistę, dawczyni komórek jajowych poddawane są odpowiedniej ocenie psychologicznej. Plus dla nich. Natomiast w ogóle nie zajmują się dawcami spermy. Zastanawia panią dlaczego?

– Dlaczego? – Zamrugała zaskoczona.

– Davidow podejmuje się tylko tego, co może zrobić dobrze. Unika ryzyka. Ruszyła nowa fala procesów o zaniedbania lekarskie. Leczenie niepłodności jest stosunkowo nową specjalizacją, coraz bardziej popularną, zwłaszcza po zalegalizowaniu małżeństw jedнопłciowych.

Christine już wiedziała, do czego zmierzał.

– Rozumie pani zatem, czemu doradzam wstąpienie na drogę sądową? Postępowanie banku jest nieetyczne. Jego władze panoszą się w swojej dżungli i krzywdzą ludzi. Nie pozwolę, żeby uszło im to na sucho. – Zawiesił głos. – Decyzja należy do państwa, ja natomiast sugeruję wniesienie pozwu z tytułu zaniedbania oceny psychologicznej dawcy. A także z powodu złamania warunków umowy, która zobowiązuje bank do należytej staranności działania.

– Dobrze, ale skąd weźmiemy dane dawcy? W jaki sposób dowiemy się, czy naszym dawcą rzeczywiście jest Zachary Jeffcoat?

– To będzie jeden z naszych warunków. Wyjawienie nazwiska dawcy i odszkodowanie finansowe. Im więcej takich procesów, tym szybciej zmienią sposób działania. Ale ja nie bronię całego świata. Bronię was. O was walczę.

– Rozumiem.

– Musimy omówić jeszcze jedną kwestię. Osobistą.

Christine nie wyobrażała sobie nic bardziej osobistego niż to, o czym rozmawiali do tej pory.

– Pani mąż powiedział, że nie bierze pani pod uwagę przerwania ciąży. – Otworzyła usta, ale powstrzymał ją gestem. – Nawiązuję do tego tylko po to, żeby porozmawiać o terminach.

– Co z nimi? – zapytała ostrożnie.

– Sprawa nie rozpocznie się z dnia na dzień. Mogę wysłać pozew w przyszłym tygodniu. Mają trzydzieści dni na odpowiedź. Potem poproszą o więcej czasu. Odmówimy. Zamierzam ich przyprzeć do muru już na starcie.

– Więc dlaczego wspominał pan o terminach?

– Ponieważ minie trochę czasu, zanim pozna pani nazwisko dawcy. W najlepszym wypadku miesiąc lub dwa, zwłaszcza jeśli oszczędzimy Davidowa. Gdybyśmy mieli na nich haka w postaci Davidowa, poszłoby szybciej. Mógłby na nich wpłynąć, nawet jeśli twierdzi inaczej. Ale skoro nie planuje pani aborcji, tak bardzo nam się nie spieszy.

– To prawda – przyznała, wciąż nieco zszokowana.

– Moje pytanie brzmi: po co pani informacja, czy Jeffcoat jest dawcą, skoro nie zamierza pani wykorzystać tej wiedzy? Chodzi mi o dokonanie aborcji.

– Jakie to ma znaczenie? – zapytała zbita z tropu.

– Bitwa w sądzie jest forsowna. Wymaga wytrwałości. Chcę, żeby moi klienci mieli w sobie siłę, motywację. – Zmierzył ją krytycznym wzrokiem. – Musi pani zeznawać z przekonaniem. Inaczej tylko mi pani nabruździ.

– Wciąż mam nadzieję, że to nie Jeffcoat jest naszym dawcą. A chcę mieć pewność.

– Dobrze, rozumiem. Wszyscy byliby zadowoleni. – Potrząsnął głową. – Założmy jednak przez chwilę, że otrzyma pani inną odpowiedź. Jak pani zareaguje? Wycofa pozew?

– Och. – Serce Christine zamarło. Nie brała pod uwagę innej odpowiedzi. Adwokat zauważył jej wahanie i kontynuował swój wywód.

– Oto dlaczego chce pani poznać odpowiedź, nawet niepomysłną. Powinna pani wiedzieć, ponieważ dziecko może być biologicznym potomkiem Jeffcoata, a wtedy jego wychowanie wymagać będzie stałej czujności i opieki psychologa. Dorocznych testów pozwalających wykryć problemy natury psychologicznej we wczesnym stadium. Jeżeli pojawią się niepokojące sygnały, trzeba rozpocząć terapię, która kosztuje. – Gary wygiął palce. – Nie państwo powinni ponieść koszty, lecz Homestead, ponieważ to przez ich zaniedbanie dziecko urodziło się chore psychicznie. Potrzebuje pani informacji, czy dawca 3319 i Jeffcoat są tą samą osobą bez względu na odpowiedź. Rozumie pani?

– Tak. – Nawet nie myślała o badaniach i ewentualnej terapii dziecka w przyszłości. – Jak wygląda przebieg takiego postępowania na drodze sądowej?

– Faza przedprocesowa i wymiana informacji między stronami, potem proces, o ile do niego dojdzie, w co wątpię.

– Mam zeznawać?

– Tak, na samym początku. Nie mogę się doczekać. Będzie pani doskonałym

świadkiem. – Adwokat się rozpromienił, a Christine wykrzywiła się w grymasie.

– Skąd ta pewność? Nigdy nie składałam zeznań.

– Patrzę na panią i widzę uroczą kobietę w ciąży. Nauczycielkę. Jest pani pewniakiem.

– Nie zdobyła się na uśmiech.

– Denerwuję się.

– Przygotuję panią, będę obok. Trochę nerwów nie zaszkodzi. – Wzruszył ramionami. – A nawet doda pani wiarygodności, pokaże pani wrażliwość i podatność na zranienie. Nasz znak dla przeciwnika, że jeśli dojdzie do procesu, ława przysięgłych zobaczy bezduszną korporację, która krzywdzi miłą ciężarną nauczycielkę.

– Marcus też będzie zeznawał?

– Oczywiście. Jego również przygotuję. On nie okaże zdenerwowania. Jest niezwykle opanowanym człowiekiem. Pani jest naszym głównym atutem. To pani wzbudza sympatię. Dzięki pani pójdą na ugodę i powiedzą nam to, co chcemy wiedzieć.

– Naprawdę tak pan uważa? – Christine poczuła się rozdarta, ponieważ słowa adwokata wzbudziły w niej nadzieję.

– Owszem. Ostatnia rzecz... Jeśli dojdzie do ugody, będziemy musieli przystać na klauzulę poufności. Cała sprawa, fakt istnienia ugody, odszkodowanie, tożsamość dawcy, wszystko to będziecie państwo musieli zachować dla siebie. Żadnych wpisów na Facebooku, nic z tych rzeczy. – Gary popatrzył surowo na Lauren. – Nawet najlepsi przyjaciele nie mogą zostać wtajemniczeni. A jeśli stanie się inaczej, ja nic o tym nie wiem. Jasne?

– Jasne – odpowiedziały jednogłośnie.

Adwokat skupił całą swoją uwagę na Christine.

– Wchodzi w to pani? Mogę na panią liczyć?

Popatrzyła na Lauren, która uniosła oba kciuki do góry, choć z niewesołą miną.

– Mamy wsparcie najlepszej przyjaciółki? A więc? – zwrócił się ponownie do Christine.

– Dobrze – odparła. Miała nadzieję, że nie popełnia błędu.

ROZDZIAŁ 14

Z gabinetu Gary’ego Leonarda wyszła z mieszanymi uczuciami, ale trzymała je na wodzy. Położyła się na leżance, przykryta od pasa w dół papierowym prześcieradłem, w oczekiwaniu na lekarkę. Jej ciążę prowadziła doktor Terry Frazier, niezwiązana z kliniką doktora Davidowa. Lauren stała obok, wcześniej towarzyszyła jej we wstępnym wywiadzie z pielęgniarką.

– Pewnie umierasz z głodu – powiedziała z uśmiechem. – Po badaniu zapraszam cię na obiad do Clam Cottage. Uczymy to jakąś pyszną smaženiną.

– Co będziemy świętować?

– Pierwsze USG. – Uśmiechnęła się. – To ważna okazja.

– Racja. – Christine próbowała się rozluźnić. Przecież powinna być szczęśliwa. Urodzi dziecko, spełni marzenie swojego życia. Usiłowała odegnąć ponure myśli o dawcy i sprawie sądowej.

– Przykro mi, że Marcus nie mógł przyjść. – Lauren popatrzyła na nią ze współczuciem.

– Wiem. – Przez chwilę chciała do niego napisać, ale nie zrobiła tego. Nie odezwał się do niej cały dzień, zastanawiała się, co porabia i jak się miewa. Miała nadzieję, że jego milczenie nie oznacza pogłębienia się dystansu między nimi. Tyle już razem przeszli, ale teraz nastąpił prawdziwy kryzys. Muszą go jakoś przezwyciężyć. Christine popatrzyła na Lauren. – Ale cieszę się, że ty przyszłaś.

– Ja też, kochana. Wiem, że się martwisz, ale dobrze robisz, że pozywasz Homestead. Powinnaś wiedzieć, kto jest dawcą. Bez względu na to, czy to dobra, czy zła wiadomość.

– Słusznie. Będę miała szansę się przygotować.

Ktoś dyskretnie zapukał. Po chwili dołączyła do nich doktor Frazier, sześćdziesięcioletnia Afroamerykanka o okrągłej twarzy, we wspaniałej aureoli siwych włosów i okularach bez ramki. Z ciepłym uśmiechem patrzyła na obie kobiety.

– Przepraszam, że musiały panie czekać. Mamy dziś same pilne przypadki. Jedna z moich pacjentek zaczęła rodzić, więc zaraz po tym badaniu jadę do szpitala. – Lekarka umyła ręce środkiem dezynfekującym i włożyła gumowe rękawiczki. – Nie musimy zgadywać daty poczęcia. Z karty wynika, że do zapłodnienia doszło szesnastego kwietnia, tak?

– Zgadza się – potwierdziła Christine. Lekarka wiedziała o dawcy, ale nie znała ostatnich szczegółów. Po krótkim namyśle Christine postanowiła to przemilczeć. Nie chciała zepsuć tej chwili.

– To pani pierwsze USG, prawda?

Christine skinęła głową.

– Usłyszę dziś bicie serca dziecka?

– Taki jest plan – odpowiedziała z lekkim wahaniem lekarka, którą wieloletnie doświadczenie nauczyło, że nie każde badanie wykrywa bijące serce, należy być zatem przygotowanym na najgorsze i spodziewać się najlepszego.

– Dobrze.

– Zaczynamy. – Doktor Frazier usiadła na obrotowym taborecie i zwróciła się do Christine. – Poczujecie lekki ucisk, nic więcej. Proszę patrzeć na monitor, tam będzie gwóźdź programu.

– Dobrze. – Obróciła głowę w stronę czarnego jeszcze ekranu i poczuła przyspieszone bicie własnego serca. Wielokrotnie oglądała tę scenę w filmach, czytała o niej w książkach i zastanawiała się, czy sama kiedykolwiek będzie kobietą w ciąży poddawaną badaniu. Udało się. Doskwierał jej brak Marcusa u boku, ale na szczęście miała niezawodną Lauren.

– Ultrasonograf, jak być może się orientujecie, pokaże nam dziecko za pomocą fal dźwiękowych – tłumaczyła lekarka, podczas gdy monitor ożył. Christine poczuła niewielki dyskomfort, była zarazem zdenerwowana i podekscytowana, bo nie bardzo wiedziała, na co patrzy.

– Czy to dziecko?

– Cierpliwości. – Obraz się zmienił, lecz wciąż był zamazanym zbiorem szarych i czarnych kropek.

– Badanie jest bezbolesne dla dziecka, prawda? – Nie mogła oderwać oczu od monitora, uważnie obserwowała szaro-czarne plamy.

– Tak, jest całkowicie bezinwazyjne – zapewniła ginekolożka, naciskając jakieś przyciski. Obraz zwiększył się dwukrotnie, a Christine poczuła wilgoć

pod powiekami.

– To bicie serduszka! – zawołała uszczęśliwiona. – Prawda? Ten ruch na monitorze?

– Tak. – Lekarka nacisnęła kolejne przyciski. – Możemy potwierdzić ciążę na sto procent.

– Boże mój! Niesamowite! Widzisz, Lauren?

– Widzę! – Przyjaciółka ścisnęła ją za rękę. – Masz dzidziusia, Christine.

– Mam! – Oczy Christine wezbrały łzami. – Naprawdę mam!

– Widzi pani okrąg z szarą obwódką? – Doktor Frazier wskazała miejsce na monitorze. – To błona śluzowa wyściełająca macicę.

– Aha. – Christine otarła oczy.

– W środku, tam gdzie widać czerń, są wody płodowe, a biała plamka na ich tle to właśnie dziecko. Przypomina ósemkę, prawda? Albo dwa połączone ze sobą okręgi.

Pokiwała głową, zbyt wzruszona, aby odpowiedzieć.

– Na tym etapie ciąży główka jest mniej więcej tej samej wielkości, co reszta ciała. Czasem widać załączki kończyn, ale trudno je dostrzec na monitorze. Pulsowanie, jak się pani domyśliła, to serduszko.

– Ach. – Christine otarła kolejne łzy wzruszenia.

– Wszystko wygląda idealnie. Jest pani w dziewiątym tygodniu ciąży. – Doktor Frazier dotknęła kilku przycisków w urządzeniu. – Zrobię jeszcze pomiary i kończymy.

– Dziękuję – chlipnęła Christine oczarowana delikatnym pulsującym kształtem na monitorze. Przypominał kruchego motylka trzepoczącego skrzydłami. Ogarnęła ją obezwładniająca potrzeba chronienia tego życia za wszelką cenę. Nigdy nie czuła się równie szczęśliwa i silna zarazem.

– Gotowa na wielki finał? – Lekarka uderzyła w jeden z przycisków, aparatura wydała delikatny dźwięk. – Pierwsze zdjęcie dziecka – powiedziała starsza kobieta i podała jej wydruk.

– Niesamowite! – Przyszła matka ze łzami w oczach ujęła zdjęcie drżącymi palcami. Czuła się niemal, jakby trzymała już żywe dziecko, materialny dowód spełnienia marzeń. W duchu złożyła sobie przysięgę, że będzie kochać to dziecko, otaczać je opieką i chronić przed całym złem świata. Ponieważ małeństwo, które w sobie nosiła, nie było żadnym dzieckiem Rosemary, tylko jej własnym.

Christine otarła oczy, ocknęła się z rozmarzenia i ubrała. Na recepcji

zapłaciła za wizytę, po czym poszła razem z Lauren do samochodu. Rozmawiały ze sobą tak jak zawsze, przekomarzały się, wymieniały wrażeniami po badaniu, a jednak Christine doznawała wrażenia, że przebywa w jakimś innym świecie, dostępnym tylko dla niej i dla życia, które w niej rosło. Nigdy wcześniej nie czuła niczego podobnego, uderzyła ją myśl, że dopiero teraz w pełni zdała sobie sprawę, jakim cudem jest ciąża. Cudem, który przydarzył się właśnie jej. Wsiadła do samochodu Lauren, pojechały aleją wysokich drzew i eleganckich domów do restauracji.

Christine nadal trwała w czymś w rodzaju stanu łaski, kiedy siadała przy stoliku w Clam Cottage. Wszystkie emocje, których doznawała, rezonowały w jej wnętrzu. W tej chwili nie wyobrażała sobie niczego wspanialszego i ważniejszego niż bycie matką. Jakby spełniło się największe marzenie duszy, istniejące, jeszcze zanim zamieszkała w ciele.

– Christine? Podasz mi keczup, proszę? – Lauren zmarszczyła brwi i pochyliła głowę, patrząc na przyjaciółkę oddzieloną od niej laminowanym blatem stołu. – Ziemia do Christine. Trzeci raz proszę cię o keczup.

– Przepraszam – odparła z uśmiechem.

– Co się dzieje?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami skonsternowana, ale szczęśliwa. – Nie zdawałam sobie sprawy, że USG może być przeżyciem duchowym.

Lauren parsknęła śmiechem.

– Mój Boże, miałaś niezły wyrzut hormonów.

– Dziękuję, że ze mną poszłaś – powiedziała ze wzruszeniem, mrugając, żeby nie rozpłakać się po raz kolejny.

– Cieszę się, że mogłam przy tym być. – Lauren odgryzła duży kęs kanapki z homarem, gorącej i ociekającej masłem.

– A cieszysz się ze swojej kanapki z homarem?

– Nieziemsko.

– Ja się nieziemsko cieszę z moich krążków cebulowych – oświadczyła Christine, pogryzając niebiański przysmak, cienko krojoną cebulkę w lekkim cieście. – Są tak pyszne, że aż strach.

– Jemy za dwie.

– I nikomu nic do tego.

Clam Cottage był o wiele mniej efektownym przybytkiem, niż sugerowała jego nazwa. Jedna sala mieściła dziesięć plastikowych stolików ustawionych w kręgu pod oknami. Kasa, lada i kuchnia usytuowane były po prawej stronie.

Na czarnej tablicy widniało wypłowiałe, napisane kredą menu, którego nikt nie czytał, ponieważ wszyscy stali bywalcy znali je na pamięć. Na ekranie plazmowego telewizora rozgrywała się bez dźwięku opera mydlana, którą goście oglądali, choć nie było napisów. Christine poczuła ulgę, że nie są to wiadomości, choć myśli o Jeffcoacie i tak kładły się cieniem na jej szczęściu.

– Dziś mam wolne – powiedziała Lauren z ustami pełnymi homara. – Teściowa przejęła dziś opiekę nad dziećmi. Kupmy coś dla maluszka.

– Dobry pomysł – zgodziła się z roztargnieniem Christine, spoglądając na scenę miłosną pięknych bohaterów opery mydlanej. – Skąd oni biorą tych ludzi? Nie wyglądają na prawdziwych.

– Z agencji modeli. – Lauren spojrzała na ekran. Kolejna scena rozgrywała się w gabinecie jakiegoś prawnika wśród atrap książek. – To Dan, pracuje w biurze prokuratora.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Christine. – Oglądasz ten serial?

– Oczywiście. Że nie. – Lauren parsknęła śmiechem.

– Kiedy znajdujesz czas na oglądanie oper mydlanych?

– Nagrywam sobie odcinki. Oglądam, kiedy dzieci odrabiają lekcje. – Lauren wskazała ekran. – Dan właśnie przegrał dużą sprawę. Morderca umknął sprawiedliwości.

– Och. – Christine natychmiast pomyślała o Jeffcoacie.

– Dan sypia z bliźniaczą siostrą owego mordercy, czego nie jest świadom, mimo łudzających podobieństw w wyglądzie rodzeństwa.

Wpatrywała się w ekran i myślała o Zacharym Jeffcoacie zamkniętym w więziennej celi jednego z filadelfijskich zakładów.

– Aktorzy, którzy ich grają, naprawdę są bliźniętami dwujajowymi. Takie bliźniaki nie są identyczne, ale bywają podobne.

– Aha. – Nie mogła się skoncentrować na serialu. Po wizycie u Gary'ego w jej głowie powstał załazek planu, który właśnie się krystalizował. – Będzie mi trudno wytrzymać te dwa miesiące, zanim wyjdzie na jaw, czy Jeffcoat jest naszym dawcą.

– Sądy są opieszale.

– A tymczasem nie znamy odpowiedzi na proste pytanie.

– Wiem, okropna sytuacja.

– Istnieje inny sposób.

– Jaki?

Christine postanowiła zaryzykować i wyjawic swój pomysł.

– Usiłujemy ustalić, czy dawca 3319 to Zachary Jeffcoat. Jaki jest najprostszy sposób? Co powtarzamy codziennie naszym uczniom?

– Żeby nie dłubali w nosie?

– Mówimy: „Jeśli czegoś nie wiecie, zadawajcie pytania”.

– Ale komu? – Lauren zmarszczyła brwi. – Davidow nie wie, a bank ci nie powie.

– Ktoś jeszcze wie. Zachary Jeffcoat.

– Co masz na myśli? – W oczach Lauren malowało się zdumienie.

– Jeffcoat wie, czy oddawał nasienie. Jeżeli tak, zna swój numer referencyjny. Więc najszybciej i najprościej zapytać samego Jeffcoata.

– Jak?

– Po prostu tam pojechać. Jest w Filadelfii, nie na Marsie.

– Upadłaś na głowę? – Lauren patrzyła na przyjaciółkę z przerażeniem. – On siedzi w więzieniu.

– Co z tego? Więźniów można odwiedzać. Nie musiałabym czekać dwóch miesięcy ani pozywać Homestead. Mogłabym zwyczajnie zapytać Jeffcoata.

– Poważnie rozważasz taką możliwość?

– Dlaczego nie? – Christine poczuła przypływ energii.

– To seryjny morderca. Jest niebezpieczny.

– Siedzi w więzieniu. Znasz bezpieczniejsze miejsce na rozmowę z seryjnym mordercą? Im dłużej o tym myślę, tym więcej dostrzegam plusów takiego rozwiązania. Po prostu pojedę i zapytam.

– Powiesz mu, kim jesteś?

– Nie wiem. Zdecyduję na miejscu. – Przypomniała sobie rozmowę z dziennikarzem, Williamem Magnim. – Z kim rozmawiają więźniowie oprócz rodziny i przyjaciół? Podam się za dziennikarkę.

– Nie. Nie. Nie. To szalony pomysł. A jeśli odmówi?

– Trudno. – Wzruszyła ramionami. – Nic nie stracę. Do Filadelfii jedzie się tylko kilka godzin. Gdybym wyjechała jutro rano, mogłabym być na miejscu już po południu.

– Nie! – zawołała Lauren i dodała ciszej: – Nie możesz, nie powinnaś. To zbyt przerażające.

– Nie widzę zagrożenia. W każdej chwili mam możliwość wycofania się z rozmowy. On za mną nie pojedzie. Poza tym nie wie, gdzie mieszkam.

– Marcus nigdy ci nie pozwoli...

– Nie musi wiedzieć. Wraca dopiero w poniedziałek.

- Chcesz zataić przed nim wyprawę do więzienia?
 - On nie pytał mnie o zdanie, zanim poszedł do adwokata. – Christine wzruszyła ramionami. Im dłużej oswajała się z tą myślą, tym mniej szalona jej się zdawała.
 - Ale ty jesteś w ciąży.
 - Z kim? – Z nagłą żarliwością nachyliła się nad stołem. – Właśnie widziałam bijące serce swojego dziecka i chcę wiedzieć, kto jest jego ojcem. Muszę poznać odpowiedź, czy to Zachary Jeffcoat. Chcę się dowiedzieć, czy moje małżeństwo można jeszcze uratować. Dlaczego nie miałabym udawać detektywa jak tamta para, o której opowiadał Gary?
 - Ale wyprawa do więzienia? Ty uczysz w podstawówce.
 - Wyobraź sobie, że to szkolna wycieczka. W miejsce z fatalnie ubranymi ludźmi.
- Lauren zacisnęła usta w cienką kreskę, co nadało jej twarzy komiczny wyraz smutnego emotikona.
- Nie możesz jechać sama.
 - Owszem, mogę.
 - Nie, nie możesz.
 - Więc zrób coś z tym – odparła Christine i mrugnęła porozumiewawczo.

ROZDZIAŁ 15

– Mamo, jestem! – zawołała wesoło. Wiedziała, że rodzice są w kuchni i słyszeli, jak wchodziła. Wciąż zostawiali otwarte drzwi, co doprowadzało Christine do szału. Miasteczko Middletown, gdzie się wychowała, było co prawda bezpiecznym miejscem, ale oni sprawiali wrażenie coraz bardziej bezbronnych, a domu pilnował jedynie podstarzały chihuahua, Ralf Paszczak. Martwiła się o nich, tym bardziej że ojciec chorował na alzheimera. Czuła się ostatnio tak, jakby mogła stracić wszystko w każdej chwili. Zaryglowała drzwi przed wszystkimi niebezpieczeństwami tego świata.

– Jesteśmy w kuchni! – odpowiedziała mama, zupełnie niepotrzebnie. Odkąd Christine sięgała pamięcią, prawie nie korzystali z innych pomieszczeń. Siadali we troje przy stoliku z laminowanym blatem w skąpanej w słońcu kuchni, którą zawsze uważała za niezwykle przytulną, nie dostrzegając, że była zagracona. Nie zdawała sobie sprawy, jak maleńki był w istocie jej dom, dopóki nie zaczęła odwiedzać kolegów i koleżanek ze szkoły. Budynek pokryty z zewnątrz białymi deskami mieścił dwie sypialnie, „szwalnię” i jedną łazienkę z wanną, na piętrze. U innych dzieci oprócz kuchni były pokoje gościnne i jeszcze salon. Christine uważała to za zbędne, bo w domu Murrayów kuchnia pełniła funkcję pokoju gościnnego i salonu.

– Cześć, kochani! – Christine zostawiła torebkę, płócienną torbę, kluczyki i telefon na blacie obok piecyka. Podeszła do matki, która wstała, aby ją przytulić. Siedzący obok tata również wyciągał obie ręce na powitanie.

– Moja dziewczynka! Jak się czujesz, skarbie? – zapytała z troską i wypuściła córkę z objęć. Georgina, z domu Maldonado, była przed laty licealną królową piękności w rodzinnym miasteczku Providence. Ze swoim szczerym, przyjaznym uśmiechem, ciepłymi, brązowymi oczami i sprężystymi ciemnymi włosami, zazwyczaj związanymi w dziewczęcy kucyk, do dziś do złudzenia przypominała aktorkę Sally Field.

– Dobrze, mamo. A wy?

– My też dobrze. – Matka Christine skończyła w minionym tygodniu sześćdziesiąt pięć lat, ale energią dorównywała osobom o połowę od siebie młodszy i olśniewała uśmiechem. Dbała o kondycję fizyczną, regularnie korzystając z bieżni, która stała w piwnicy. Jedynie kosmyki siwych włosów nad czołem świadczyły o tym, że ostatnie trzy lata były dla niej ciężkie. Z żalu i współczucia Christine pękało serce, ponieważ tata zachorował wkrótce po tym, jak oboje rodzice przeszli na emeryturę. Od tego czasu mama z oddaniem się nim opiekowała.

– Zamykajcie na klucz drzwi wejściowe. Bardzo was proszę.

– Oj tam. – Mama machnęła ręką. – Usiądź, daj stopom odpocząć. Zawsze jesteś w biegu.

– Pamiętasz, mamó? Odeszłam z pracy.

– Ojej, już? – zapytała z zaskoczeniem Georgina i odgarnęła z czoła niesforną grzywkę. – Jak się z tym czujesz? Jest ci smutno?

– Nie, w porządku.

– No i dobrze. Nie mogę się doczekać wnuka.

– Ja też czekam z utęsknieniem na rozwiązanie. – Christine obeszła stolik, żeby uściskać ojca, chociaż nie była pewna, czy ją rozpoznaje. Niekiedy pamiętał tylko jej imię, zapominając, że jest jego jedynym dzieckiem. Siedział na swoim zwykłym miejscu obok mamy, z gazetą, której nie czytał. Na papierowym talerzyku w kwiatki leżała podwójna grzanka z roztopionym serem pocięta na małe kwadraciki. Tata trzymał w dłoni plastikowy widelec, bo chociaż mama zaczęła go karmić, żeby oszczędzić czas, nie pozwalała strasznej chorobie odebrać mu wszystkiego i wciąż dawała mu do ręki plastikowe sztucce.

– Paul, Christine nas odwiedziła. – Georgina z uśmiechem pochyliła się nad mężem. – Chciałaby się z tobą przywitać. Zobacz, to Christine.

– Cześć, tato. To ja, Christine. – Podeszła tak blisko, że czuła jego oddech. Na początku uważała, że nie powinny go traktować jak dziecko, lecz z czasem okazało się to konieczne. Razem z matką uczestniczyły w szkoleniu organizowanym przez szpital jako część programu wspierania opiekunów osób chorych. Prowadziła je kobieta, która nie tylko miała odpowiednie przygotowanie, ale także zajmowała się w domu chorym mężem.

„Lepiej nie zadawać konkretnych pytań typu: »Jadłeś już?« albo »Byłeś u lekarza?«. Chory nie zna odpowiedzi i może go to zdenerwować. Poprzestańcie na pytaniach, na które nie ma dobrej lub złej odpowiedzi. »Jak

się czujesz?«, »Podać ci szklanę wody?«”.

– Cześć, tato – powiedziała z uśmiechem. – To ja, twoja córka, Christine. Jak się czujesz? Masz dobry dzień?

– Co? – Ojciec podniósł na nią brązowe oczy o opadających powiekach. Wydawał się rozkojarzony, nie była pewna, czy ją rozpoznał. Miał zaledwie sześćdziesiąt pięć lat, ale choroba bezlitośnie go postarzyła. Zmarszczki na czole się pogłębiły, podobnie jak linie pomiędzy orlim nosem a ładnie wykrojonymi ustami. Czarne włosy gęsto przetykane siwizną były ostrzyżone na jeża. Mama mówiła, że dla ochłody, a przy tym taka fryzura ułatwiała jej pielęgnację.

– Tato, to ja, Christine, twoja córka. Wspaniale cię widzieć. Kocham cię.

– Christine? – Uśmiechnął się spierzchniętymi wargami. – Christine.

– Tak, tato! – odparła uradowana i pocałowała policzek z delikatnym zarostem. Pod koniec dnia na jego twarzy zawsze pojawiał się cień zarostu, tak było i dawniej, i teraz. Mama goliła go tylko raz dziennie, rano, nie zwracając sobie głowy wieczornym zarostem, który z biegiem lat stał się siwy.

– Kochanie. – Matka dotknęła jej ramienia. – Porozmawiaj z nim o dziecku.

– Tato, dzidzius ma się świetnie – powiedziała posłuszna wskazówkom.

– Pozwól mu dotknąć brzucha. Poprzednim razem bardzo się z tego ucieszył. Mówił mi o tym. Rozmawialiśmy.

– Naprawdę? – Poczła przypływ nadziei, choć wiedziała, że to jeszcze jedna z okrutnych sztuczek tej podstępnej choroby. Nie sposób przewidzieć, co dotrze do chorego. Sposób, który zadziałał w poniedziałek, w środę może zawieść na całej linii. Trzeba próbować różnych rzeczy. Utrata kontaktu z tatą była dla Christine bardzo bolesna, była przecież jego oczkiem w głowie od dnia swoich narodzin.

– Tato? – Ujęła wolną dłoń ojca i położyła na swoim brzuchu. – Tato, czujesz dzidziusia? Mam w brzuchu dziecko. Będziesz dziadkiem.

– Christine, Christine – powtarzał, nie cofając dłoni i patrząc na nią z ciepłym uśmiechem. Kiedyś uczył literatury w lokalnym liceum, jemu zawdzięczała miłość do książek i czytania. Zabierał ją ze sobą do biblioteki, tam uzależniła się od jego ulubionych brytyjskich powieści kryminalnych. Uczniowie nazywali go Sherlockiem Holmesem. Christine nie posiadała się z żalu, gdy patrzyła, jak ten genialny umysł i czułe serce znikają z dnia na dzień. Przeżywała żałobę po tacie, choć przecież nie umarł. Nie mieli już

wspólnych wspomnień o wyprawach do Lyman Orchards po szarlotkę ze świeżych jabłek, którą oboje uwielbiali, ani o dorocznych pielgrzymkach do Gillette Castle, posiadłości w East Haddam należącej do Williama Gillette'a, aktora teatralnego, który grał rolę Sherlocka Holmesa. Christine próbowała się cieszyć każdym dniem, dopóki ojciec żył, dlatego przyjechała dziś mimo zmęczenia. Nie wiedziała, ile jeszcze z nimi będzie, ile dni im zostało.

– Coś wam przywiozłam. – Poszła po torebkę. – Mamo, padniesz, jak ci pokażę. Popatrz.

– Co? – Georgina sięgnęła po okulary do czytania w jaskrawoczerwonej oprawie. Nazywała je okularami à la Sally Jessie Raphael, chociaż nikt już nie pamiętał, kto to taki. Wciąż przechowywała swoją koszulkę Hartford Whalers, drużyny, która przestała istnieć w latach dziewięćdziesiątych, co nie miało znaczenia dla prawdziwych kibiców, jakimi byli rodzice Christine.

– To wydruk, miałam dziś badanie. – Mama pochwyciła kartkę, którą Christine wyjęła z torebki. Jej ciemne oczy rozbliły.

– Miałaś dziś USG? Cudownie!

– Widziałam serduszko. Wszystko dobrze. – Wskazała wyraźny, biały kształt przypominający ósemkę. – Widzisz, to dziecko. Rączki i nóżki są mniej więcej tej samej wielkości.

– Kochanie, bardzo się cieszę! – rozpromieniła się przysza babcia. – To już oficjalna wiadomość!

– Wiem. Popłakałam się.

– Oczywiście! – zaśmiała się mama Christine, patrząc roziskrzonym wzrokiem na córkę. Oddała jej wydruk. – Pokaż tacie.

– Tato, to jest zdjęcie. Miałam dziś USG. – Christine pokazała wydruk ojcu. – To białe to jest dziecko. Widzisz... – Przerwała, gdy się odwrócił. Zapatrzył się na zagracony kuchenny blat z krzyżówkami, gazetami, pocztą, rachunkami, brązowymi flakonikami zawierającymi jego lekarstwa, pieczołowicie posegregowane przez mamę i pozamykane w strunowych torebkach.

– Tato? – Spróbowała po raz ostatni i dała za wygraną. Odłożyła zdjęcie. Kolejna dobra rada, jaką dostały na szkoleniu, brzmiała: „Reagować na sygnały pacjenta”. Christine nauczyła się tego w bolesny sposób.

„Rozdrażnienie, wrogość, a nawet agresja są powszechne wśród osób cierpiących z powodu utraty pamięci. Nie należy traktować ich osobiście ani pozwolić, aby raniły nasze uczucia. To jeden z objawów choroby, proszę o tym pamiętać. Trzeba wychwytywać sygnały przed wybuchem wrogości

i reagować, modyfikując zachowania, które drażnią chorego”.

– Kochanie, masz ochotę na grillowany ser? – Mama już pędziła w stronę kuchenki.

– Pewnie, dziękuję.

– Co powiedział Marcus, kiedy zobaczył dziecko?

– Nie mógł ze mną pójść, wyjechał służbowo. Byłam z Lauren.

– O, będzie żałował, że przegapił takie ważne wydarzenie – powiedziała Georgina. Wciąż miała charakterystyczny akcent mieszkańców stanu Rhode Island.

– Chwileczkę, to jeszcze nie koniec prezentów. Przyniosłam jeden dla ciebie. – Wyjęła z płóciennej torby książeczkę Dr. Seussa. – Widziałaś? To nowość.

– Ojej! – Mama odwróciła się od lodówki i przyjęła prezent. Powiodła opuszkami palców po niebieskiej okładce. – Jak to możliwe? Przecież Dr. Seuss od dawna nie żyje?

– Jego żona znalazła i opublikowali. Czyż to nie wspaniale?

– Cudownie, kochanie. – Georgina otworzyła książkę na pierwszej stronie. – Prawdziwa gratka! Dr. Seuss nie pisze wyłącznie dla dzieci.

Christine uśmiechnęła się. To były słowa, które ojciec powtarzał jak mantrę, gdy była mała: Książki Dr. Seussa są nie tylko dla dzieci. W szkolnej bibliotece Nutmeg Hill ich nie brakowało, Christine już o to zadbała.

– Tata będzie zachwycony.

– Tak właśnie pomyślałam. – Christine pokiwała głową. Mama czytała ojcu przed snem, ale powieści kryminalne były już dla niego zbyt trudne. Reagował rozdrażnieniem, złością albo po prostu zasypiał. Cieszyły go książeczki dla dzieci, pełne obrazków i rymowanek.

– Siadaj, zrobię ci kanapkę. – Pozwoliła się posadzić jedynie dlatego, żeby sprawić przyjemność mamie, która zajęła się przyrządzaniem posiłku. Rozmawiały o zakończeniu roku i innych bieżących sprawach, od czasu do czasu próbowały zainteresować rozmową chorego, który kiwał głową z uśmiechem, lecz ostatecznie powrócił do wpatrywania się w kuchenny blat. Okna kuchni wychodziły na południe, więc pomieszczenie było nasłonecznione w ciągu dnia, lecz w godzinach przedwieczornych szybko zapadał tu półmrok.

– Proszę, kochanie. – Jak za dawnych czasów, gdy przychodziły do niej koleżanki, mama postawiła przed córką papierowy talerzyk z grzanką z serem i chipsami ziemniaczanymi.

- Mniam, dziękuję.
- Wszystko w porządku? Jesteś trochę smutna. – Georgina usiadła obok córki i popatrzyła na nią z troską. – Czy to dlatego, że zrezygnowałaś z pracy? Na pewno jest ci trudno.
- Trochę – przyznała, wdzięczna za tę wymówkę. Sięgnęła po połówkę grzanki przekrojonej na dwa równe trójkąty posmarowane musztardą.
- Gdy Pan Bóg zamyka drzwi, otwiera okno.
- Na pewno. – Christine odgryzła kęs pysznej kanapki.
- Będziesz miała sporo na głowie, kiedy pojawi się dziecko. – Twarz matki rozpromieniła się. – Nie możesz się już doczekać, prawda?
- Oj, tak.
- Mama wsparła się łokciami o blat stołu i pochyliła ku Christine.
- Wiesz już, czy to chłopczyk, czy dziewczynka? Chyba jeszcze tego nie widać?
- Nie wiem – odparła, patrząc na matkę podejrzliwie. – Mamo, czy dla ciebie ma znaczenie, jakiej płci będzie dziecko?
- Nie. A dla ciebie?
- Też nie. Cieszę się, że w ogóle jest.
- Ja także! – Mama klasnęła w dłonie i wykonała mały taniec radości, nie wstając z krzesła. – Wyobrażasz sobie te wspaniałe chwile, kiedy zaczniesz tu biegać maluszek? Naprawdę myślę, że to bardzo dobrze wpłynie na twojego ojca.
- Możliwe – odparła niezobowiązująco. Nie chciała podsycać jej nadziei, ponieważ w głębi duszy obie wiedziały, że ojciec już nie wróci i nawet dziecko nic tu nie zmieni. Nie potrzebowały szkolenia, żeby to zrozumieć.
- Marcus nadal marzy o chłopcu?
- Christine poczuła niepokój. Nie kontaktowała się z Marcusem od jego wyjazdu, on także nie dzwonił. Tęskniła za codziennymi rozmowami z mężem. Mimo wszystko nie mogła mu powiedzieć o swoich planach odwiedzenia Zachary’ego Jeffcoata w filadelfijskim więzieniu.
- Nigdy nie powiedział, że marzy o chłopcu. Wspomniał tylko o wspólnej grze w golfa.
- Na jedno wychodzi. – Georgina Murray przewróciła oczami. – Nie jestem głupia.
- Dziewczynki też grywają w golfa, mamo.
- Nie wyobrażam sobie twojego męża grającego w golfa z kobietą. Teraz

grywa z jakimiś? Nie! – zachichotała. Christine zawtórowała matce.

– Mamo, mogę ci zadać trudniejsze pytanie? Czy naprawdę nie ma dla ciebie znaczenia, że użyliśmy cudzej spermy?

– Najmniejszego – odrzekła bez wahania.

– Dlatego że dziecko będzie miało połowę moich genów?

– Nie. – Wzruszyła ramionami. – Dla mnie równie dobrze moglibyście adoptować dzieciaczka z Chin. Obojętne, czy jest tylko twoje albo tylko jego. Wiesz czemu, kochanie? – Przerwała i zamyśliła się. – Im człowiek jest starszy, tym lepiej rozumie, co naprawdę ma w życiu znaczenie. To cały mój świat. – Wskazała męża i córkę. – Wszystko, co się dla mnie liczy, co kiedykolwiek miało znaczenie, jest tutaj, przy tym stole. Dopóki mamy siebie, nic mi nie potrzeba. Twoje dziecko, nieważne, czy chłopiec, czy dziewczynka, też usiądzie z nami przy tym stole i będziemy je kochać całym sercem!

Christine poczuła ogromną ulgę. Rozmyślała o tym, co spotkało rodziców i jej własne małżeństwo. Obaj mężczyźni zostali zdradzeni przez własne ciała, ojciec zachorował na alzheimera, u Marcusa zdiagnozowano bezpłodność. Bez tych doświadczeń nie zdawałaby sobie sprawy, do jakiego stopnia choroba i jej konsekwencje mogą wpłynąć na całą rodzinę, zmienić ją na zawsze.

Później, kiedy pili kawę, a mama ostrożnie studziła każdą łyżeczkę płynu przed podaniem ojcu, pomyślała, że miłość może pokonać niemal każdą przeszkodę. Prawdziwa, niezłomna, trwająca całe życie miłość. Miała przed sobą namacalny dowód jej istnienia. Swoich rodziców.

Musiała pojechać do Pensylwanii, choćby po to, żeby ratować własne małżeństwo.

ROZDZIAŁ 16

Christine wkładała naczynia do zmywarki, gdy zadzwonił leżący na blacie telefon. Na wyświetlaczu pojawiło się stare zdjęcie Marcusa, które zrobiła podczas ich pierwszej wyprawy do jego rodzinnego domku letniskowego w Presque Isle. Nilssonowie byli zapalonymi żeglarzami, Marcus również. Uwielbiał pracować przy łodzi, zrobiła mu zdjęcie, kiedy szlifował kadłub papierem ściernym przy włączonym na cały regulator magnetofonie. Christine lubiła tę fotografię, bo Marcus wyglądał na niej na całkowicie odprężonego. Uśmiechał się szeroko, beztrósco, jego dwudziestojednoletnie, muskularne ciało emanowało seksapilem. Byli w sobie wtedy szaleńczo zakochani, a cały świat stał przed nimi otworem. Poczwała ucisk w gardle, który zignorowała, i odebrała telefon.

– Christine? Jak się masz?

– W porządku. – Jak każda żona Christine potrafiła natychmiast odgadnąć nastrój męża po tonie jego głosu. Wciąż miał do niej żal, ale był zbyt zmęczony, aby się złościć. – A ty?

– Miałem okropny dzień.

– Domyślam się. – Odebrała słowa Marcusa jako formę przeprosin za to, że nie zadzwonił wcześniej.

– Rozmawiałaś z Garym?

– Tak, Lauren ze mną poszła. – Mogłaby się założyć, że dzwonił wcześniej do Gary’ego, ale nie miała ochoty na gierki, też była zmęczona. – Jego zdaniem powinniśmy złożyć pozew przeciwko Homestead, ale zgodził się zostawić w spokoju Davidowa. Powiedziałam, że w to wchodzę.

– Wspaniale, dziękuję. Wiem, że poszłaś dla mnie na ustępstwo, i doceniam to.

– Proszę bardzo. – Starał się być miły, co wywołało w niej pokusę opowiedzenia o dzisiejszym badaniu. Wolała jednak nie ryzykować kolejnej kłótni, poza tym i tak musiała go okłamać w pewnej sprawie. – Wiesz, skoro

ciebie nie ma, postanowiłyśmy z Lauren wybrać się na babską wyprawę do New Jersey.

– Naprawdę? Co się dzieje?

– Pamiętasz, że jej rodzice mają domek letniskowy na plaży?

– A, rzeczywiście – odpowiedział z roztargnieniem. „Nie pamięta”, domyśliła się Christine. Sama o tym zapomniała. Nie zdołały wymyślić innej, równie przekonującej wymówki.

– No właśnie, rodzice Lauren mają domek w Long Island, z którego latem korzysta na zmianę cała rodzina.

– Aha.

– Lauren zazwyczaj przypada ostatni tydzień lata, czyli najgorsza pora, bo jako ostatnia musi posprzątać przed wyjazdem i wszystko pozamykać. Tym razem otwiera sezon, co jest znacznie łatwiejsze. Zaprosiła mnie, więc zamierzam zrobić sobie weekendową przerwę i odpocząć po ostatnich wydarzeniach.

– Oczywiście, dobry pomysł – przyznał łagodnie.

– Tak. – Ogarnęło ją poczucie winy. – Więc postanowione. Jessica może po sąsiedzku zaopiekować się zwierzakami.

– Świetnie.

– Wyjedziemy jutro rano i wrócimy w niedzielę.

– Ja będę w domu dopiero w niedzielę wieczorem. Pamiętasz o urodzinach mojego ojca w poniedziałek?

– Oczywiście. – Przewróciła oczami, rozmawiając przez telefon, mogła sobie na to pozwolić. Nie darzyła sympatią teścia, nieznośnego Frederika Nilssona.

– Pójdziemy na kolację. Zamówiłem stół w jego ulubionej tajskiej restauracji, więc nie będziesz musiała gotować. Dobrze zrobiłem?

– Doskonale.

– No dobrze, pójdę już spać. Jestem skonany.

– Ja też.

– Kocham cię. – Na chwilę wrócił dawny Marcus.

– Ja ciebie też kocham – odparła wzruszona, ale w jej głosie wciąż pobrzmiwała nieufność.

– Dobrej nocy. Ucałuj ode mnie Murfika.

– A co z Lady? – zapytała automatycznie, ponieważ była to ich rutynowa wymiana zdań. Marcus faworyzował psa.

– Jej nie. Jedź jutro ostrożnie. Do Jersey daleka droga. Dobranoc.
– Dobranoc. – Stała nieruchomo obok otwartej zmywarki. Okłamała Marcusa dwukrotnie, katolickie wychowanie dawało o sobie znać poczuciem winy. Skłamała co do celu podróży, poza tym przemilczała USG. Wcześniej zawsze była z mężem szczerą.

Popatrzyła przez kuchenne okno na ciemne podwórko, nagle zapaliło się światło, co oznaczało, że Murphy uruchomił fotokomórkę i czeka przed drzwiami na wpuszczenie do domu. Wsypała proszek i włączyła zmywarę, następnie poszła wpuścić psa, aby mogli razem pójść na górę i zakończyć ten okropny dzień.

ROZDZIAŁ 17

Podróż do Pensylwanii wydłużyła się do piętnastej, ponieważ kierowca był w ciąży i musiał co godzinę robić postój, aby skorzystać z toalety i zjeść frytki w McDonalddie, sałatki w Sbarro oraz ciasto cytrynowe z lodami w Starbucksie. Na bezchmurnym niebie świeciło słońce, Christine i Lauren jechałoby się całkiem przyjemnie, gdyby nie napięcie spowodowane celem podróży.

Przejechały przez miasteczko Collegeville dwupasmową, krętą drogą numer dwadzieścia dziewięć, potem minęły domy w stylu kolonialnym, wzgórza i pastwiska pełne koni. Po pewnym czasie wiejski krajobraz zastąpiła ogromna, otwarta przestrzeń. Christine przeczuwała, że zbliżają się do więziennych zabudowań.

- Jesteśmy prawie na miejscu – powiedziała, zerkając na przyjaciółkę.
- Skąd wiesz? Wygląda na kolejną wieś.
- Przeczytałam w internecie, że teren więzienia ma prawie siedemset hektarów.
- Czyli totalne pustkowie. Co jeszcze przeczytałaś?
- To największe więzienie o zaostrzonym rygorze w stanie Pensylwania.
- Świetnie. Jak już odwiedzać więzienie, to największe.
- Przebywa w nim trzy tysiące siedmiuset dorosłych mężczyzn skazanych za poważne przestępstwa, bo tylko takie osoby trafiają do placówek o zaostrzonym rygorze. Poza tym mieszczą się tu cele śmierci. Tylko dwa więzienia w całym stanie przyjmują więźniów skazanych na karę śmierci.
- Wymarzony cel letnich wycieczek.
- Mają nawet stronę na Facebooku.
- Ach! – roześmiała się Lauren. – Facebook dla zbrodniarzy.
- Wstawili zdjęcie profilowe z koalą. – Christine mocniej wcisnęła pedał gazu, gdy dostrzegła w oddali ogromny, betonowy gmach.
- Dlaczego akurat z koalą?

- Nie mam pojęcia.
- Jesteś pewna, że Jeffcoat zgodzi się z nami spotkać?
- Wpisałam nas wcześniej na listę odwiedzających, a on ją zaakceptował, więc tak.
- Musi bardzo tęsknić za towarzystwem.
- Albo zależy mu na kontakcie z prasą. Pamiętaj, że jesteśmy dziennikarkami.
- Dobrze. Bez komentarza.

Zamilkły, bo zbliżały się do budynku więzienia. Mimo braku drogowskazu Christine skręciła w prawo, bo tak podpowiedział jej głos z GPS. Wjechała na asfaltową jezdnię pośrodku pola, która kończyła się rozwidleniem. Po prawej stronie był parking dla odwiedzających, po lewej piętnastometrowy, betonowy mur zakończony drutem kolczastym i więzienna brama. Na każdym rogu znajdowała się wieżyczka strażnicza.

- Rany boskie – skrzywiła się Lauren. – Możemy już jechać do domu?
- Jeszcze nie – odparła Christine i wjechała na parking w połowie wypełniony samochodami. Zaparkowała i wyłączyła silnik. – Nie możemy ze sobą zabrać torebek ani telefonów, ale wymagają okazania dowodów tożsamości. Podobno mają specjalne szafki na kluczyki samochodowe. Pozwolą nam wnieść notesy, ale długopisów już nie.
- Mogę wziąć swój pistolet?
- A masz? To byłaby jedyna rzecz, której o tobie nie wiem. – Zerknęła na Lauren, wyjmując z portfela prawo jazdy.
- Oczywiście, że nie. Jestem Żydówką. Moją bronią jest słowo.
- W takim razie doskonale sobie poradzisz jako dziennikarka. – Podała jej nowiutki notes. – Proszę.
- Racja. Zapomniałam. – Lauren przyjęła notes i wyjęła swoje prawo jazdy.
- Pamiętaj, ja zadaję pytania, ty notujesz. Dostaniemy ołówki od strażnika. – Christine wyjęła kluczyki ze stacyjki i wysiadły z samochodu.
- Zaczyna się. – Lauren opadły ramiona.
- Dziękuję, że się zgodziłaś. – Christine podążyła za przyjaciółką, starając się zapanować nad zdenerwowaniem.
- W porządku. Będzie dobrze. A na pewno ciekawie. – Lauren poklepała ją po plecach.
- Co najmniej. – Posłała przyjaciółce niepewny uśmiech, zrównała się z nią i razem szły w stronę więzienia, które z bliska wydawało się jeszcze większe i groźniejsze. Betonowy mur był stary i pokryty plamami, drut kolczasty

połyskiwał w słońcu. Przyciemnione okna wieżyczek strażniczych nie pozwalały dostrzec siedzących w środku ludzi. W powietrzu panowała niemal opresyjna wilgoć, a może to tylko wyobraźnia płatała Christine figle.

Na parkingu przed budynkiem więzienia stał czarny van z białym napisem „Biuro koronera hrabstwa Montgomery”, a także rząd pustych okratowanych furgonetek do transportu więźniów. Kobiety weszły po schodach na ganek z brudnym, betonowym okapem i podeszły do sfatygowanych drzwi z drewna o szybach pokrytych smugami.

Christine otworzyła jedno skrzydło i przepuściła Lauren, po czym ruszyła za nią do obskurnej recepcji. Szerokie, prostokątne pomieszczenie z małymi oknami po jednej stronie było słabo oświetlone migającym światłem jarzeniówek. W środku panował zaduch; jeżeli zakład posiadał klimatyzację, jej działanie było znikome. Na staroświeckiej drewnianej ławie pod napisem „Zakaz wchodzenia w odzieży ze spandeksu i bluzach z kapturami” siedziała garstka odwiedzających, pogrążonych w cichej rozmowie. Podłogę pokrywało beżowe linoleum, a pod jedną ze ścian stał rząd starych, beżowych szafek. Miało się wrażenie, że czas zatrzymał się tutaj w latach sześćdziesiątych. Małomiasteczkowa atmosfera dziwnie kontrastowała z funkcją tego miejsca.

Przy ogromnym drewnianym biurku na wprost drzwi siedziała funkcjonariuszka w czarnym uniformie z żółtymi naszywkami departamentu więziennictwa, który wyglądał nieco osobliwie zestawiony z jej jasnobrązowymi włosami związanymi w dziewczęcy kucyk różową frotką. Christine podeszła do biurka, położyła na ladzie swoje prawo jazdy i przedstawiła siebie oraz Lauren.

– Przyjechałyśmy do Zachary’ego Jeffcoata. Jesteśmy na liście odwiedzających.

– Nie ma sprawy. Proszę się wpisać. – Funkcjonariuszka więzienna podsunęła im z uśmiechem staroświecką listę. Christine wpisała swoje nazwisko, podczas gdy Lauren pokazywała prawo jazdy. Strażniczka po dokładnym ich obejrzeniu oddała oba dokumenty.

– Przyjechały panie aż z Connecticut?

– Tak.

– Dla której gazety panie piszą?

Christine nakazała sobie w duchu zachowanie spokoju.

– Pracuję jako freelancerka.

– Aha. Już dziś było dwóch dziennikarzy.

– Naprawdę? – Christine poczuła się zaskoczona, ale też uświadomiła sobie, że jej kamuflaż jest bardzo wiarygodny.

– Pan Jeffcoat to prawdziwa gwiazda wśród naszych pensjonariuszy. Udało mu się trafić na listę najbardziej poszukiwanych przestępców. Nieczęsto takich gości, powinien siedzieć w Chester, ale tam nie mają wystarczającego nadzoru, a on został uznany za niebezpiecznego. – Strażniczka podsunęła Lauren jej prawo jazdy. – Zaczął już dostawać listy, czekały na niego, zanim przyjechał. Zrozumie pani, kiedy tylko go zobaczy. – Kobieta uniosła do góry wydepilowaną brew i wskazała gestem rząd szafek pod ścianą. – Proszę zostawić tam kluczyki. Zaraz go przyprowadzą. Dopiero co wrócił do celi po odwiedzinach dziewczyny.

– Jego dziewczyna tu była?

– Tak. Minęły się z nią panie. Ładna, ruda. – Strażniczka mrugnęła porozumiewawczo. – Zajęty chłopak.

Christine i Lauren wymieniły znaczące spojrzenia, następnie schowały kluczyki do jednej z szafek i zajęły miejsca na drewnianej ławie. Recepcja mieściła w sumie dziesięć takich ławek, połowę zajmowali ludzie różnych ras i rozmiarów. Do uszu Christine docierały strzępki rozmów prowadzonych w różnych językach, rozpoznała tylko angielski i hiszpański, reszta była trudna do odgadnięcia. Dzieci wierciły się, wymachiwały nóżkami albo bawiły się zabawkami. Zalała ją fala przygnębienia, ponieważ widok tych maluchów nasuwał jej myśl o własnym dziecku. Jakie życie je czeka, jeśli Jeffcoat okaże się biologicznym ojcem? Odruchowo dotknęła brzucha i zmówiła modlitwę, by nie skończyło tutaj, w zakładzie karnym o zaostrowym rygorze.

– Zachary Jeffcoat! – zawołał strażnik, wychyliwszy się przez drzwi po lewej stronie.

Christine i Lauren wstały jednocześnie i podeszły do brudnych, metalowych drzwi wskazanych przez strażnika, który otworzył je z głośnym skrzypnięciem. Razem weszły do wąskiej salki ze starym, drewnianym stołem i skrzyniami oraz wykrywaczem metali.

– Proszę zdjąć paski, buty, biżuterię i umieścić je w skrzyniach. Notesy także.

Wykonały polecenie. Obie miały na sobie – tak jak się wcześniej umówiły – dżinsowe spodnie, białe koszule, ciemne, rozpinane swetry i buty na płaskim obcasie. Przeszły przez bramkę do wykrywania metalu, odebrały swoje notatniki i dwa żółte ołówki wręczone im przez nadzorcę, który następnie

postawił stempel na prawej dłoni każdej z kobiet. Otworzono przed nimi jedne zamknięte drzwi, potem kolejne, wszystko pod baczynym okiem strażników za przyciemnianą szybą. Dwie kobiety w eskorcie więziennego personelu dotarły do wąskich, betonowych schodów wiodących w dół. Ściany w tej części budynku składały się z pomalowanych pustaków. Im niżej schodziły, tym powietrze stawało się gorętsze, jakby trafiły do samego piekła. Stojący wiatrak ze skrzydłami z brudnego białego plastiku niewiele pomógł, tylko mieszał gorące powietrze.

Krótki korytarz wiódł do jasno oświetlonego pokoju odwiedzin w kształcie litery „L”, wypełnionego niepasującymi do siebie krzesłami. Młode kobiety, dzieci i starsze panie rozmawiały z więźniami w brązowych kombinezonach, którzy nie mieli na sobie kajdanek. „Kontakt fizyczny dozwolony wyłącznie podczas powitania i pożegnania”, informowała tablica. Porządku pilnował młody, krzepki strażnik więzienny ubrany w białą koszulę z krótkimi rękawami i czarne spodnie z szarym pasem z boku. Siedział na drewnianym krześle, które stało na podwyższeniu pod ścianą, i uważnie obserwował pomieszczenie spod daszka czarnej czapki, u jego boku trzeszczał nadajnik.

– Tędy proszę. To jest główna sala odwiedzin. Panie przejdą dalej. – Dozorca więzienny poprowadził je pomiędzy krzesłami. Christine zwróciła uwagę na niezwykle graffiti przedstawiające romantyczny kamienny mostek i niebieską wstążkę rzeki.

– Cóż za niespodziewany widok – powiedziała, wskazując malowidło.

– To sztuczne tło do zdjęć więźniów z rodziną.

– Aha. – Christine przyglądała się pracom plastycznym zdobiącym ścianę obok malowidła, prawdopodobnie wykonanym przez więźniów. Dzieła przedstawiały ocean skąpany w księżycowym świetle, sielankowy krajobraz, Elvisa, skrzydła orła z napisem „Eagles” oraz martwą naturę z czerwonym winem i serem.

– Jeśli lubi pani graffiti, polecam obejrzeć to na zewnątrz, które zrobił dla nas klub artystyczny – poradził strażnik i wskazał głową na lewo.

Christine spojrzała we wskazanym kierunku. Wysokie okna ukazywały widok na dziedziniec ze starymi stołami piknikowymi i zniszczonymi biało-niebieskimi parasolami. Po jednej stronie znajdował się plac zabaw dla dzieci z jaskrawożółtą zjeżdżalnią i niebieskimi drabinkami, który mógłby napawać optymizmem, gdyby nie szara ściana z betonu zwieńczona kolczastym drutem. Zdobilo ją graffiti z bawiącymi się dziećmi i napisem: „Dbaj o swoje

dziecko”.

Christine znów pomyślała o trzepoczącym na monitorze ultrasonografu serduszku, delikatnym jak babie lato. Jej serce biło coraz szybciej z każdym krokiem, który zbliżał ją do miejsca spotkania z Jeffcoatem, domniemanym ojcem. Nigdy by nie uwierzyła, że kiedykolwiek pozna dawcę nasienia, a już z pewnością nie w takim miejscu, z jednej strony czuła podekscytowanie, z drugiej przerażenie, ponieważ miała go zobaczyć w więzieniu.

– Wejdą panie do specjalnej kabiny. Jeffcoat objęty jest specjalnym nadzorem. Nie ma możliwości kontaktu fizycznego z więźniem.

– Ach, rozumiem. – Christine usiłowała powściągnąć emocje i odzyskać jasność myślenia.

– Tutaj. – Strażnik przystanął przed dwoma wbudowanymi w ścianę kabinami z pomalowanego na biało metalu i otworzył drzwi do pierwszej z nich. – Proszę poczekać w środku na przyprowadzenie więźnia.

Christine i Lauren wcisnęły się do pomieszczenia, w którym ledwie można było oddychać z powodu panującego wewnątrz gorąca. Usiadły na dwóch metalowych krzesłach naprzeciwko porysowanej przegrody z pleksiglasu z wyciętym otworem, pod którą znajdowała się metalowa lada. Po drugiej stronie, niespełna metr od nich, stało puste krzesło.

Strażnik zamknął drzwi.

Christine położyła notatnik i przygotowała się na najgorszą lub najlepszą wiadomość w całym swoim życiu.

ROZDZIAŁ 18

Starła się wyciszyć i uspokoić. Drzwi po drugiej stronie kabiny otworzyły się i wprowadzono Jeffcoata. Miał ręce skute kajdankami na plecach. Był wysoki, jasnowłosy i tak przystojny, że w pomarańczowym więziennym kombinezonie wyglądał jak źle obsadzony aktor.

Zachary Jeffcoat był postawny, krótki rękaw więziennego drelichu odsłaniał muskularne ramiona, ale Christine skupiła wzrok na jego twarzy, którą porównywała z zapamiętaną fotografią dawcy. Miał szeroko rozstawione oczy, okrągłe, niebieskie, nos prosty, lekko zadarty na końcu, małe usta o wąskich wargach, gęste jasne włosy o popielatym odcieniu.

Wniosek, który jej się nasunął, był jednoznaczny i przerażający. Mężczyzna wyglądał jak dawca 3319 na fotografii z Homestead. Całą sobą protestowała przed zaakceptowaniem tej myśli. Była oszołomiona, natłok emocji utrudniał koncentrację. Czuła strach i zmieszanie, a zarazem szczerą ciekawość, potrzebę poznania prawdy. Paraliżowała ją świadomość, że być może patrzy właśnie na ojca swojego dziecka.

Oblała się potem, upał i zaduch panujące w pomieszczeniu nie ułatwiały sytuacji. Jej serce biło jak oszalałe. Miała mętlik w głowie i wypieki na twarzy. Zastanawiała się, czy dziecko odziedziczy wygląd po Jeffcoacie, czy też po niej, i jaka będzie kombinacja cech ich dwojga, skomplikowany amalgamat wad i zalet tworzący człowieka.

Jeffcoat uniósł głowę, ich oczy spotkały się na ułamek sekundy, zanim strażnik obrócił go, żeby rozpiąć kajdanki. Christine rozpoznała spojrzenie z migawki CNN, gdy siedział w radiowozie. Uświadomiła sobie z porażającą jasnością, że oto ma przed sobą seryjnego mordercę. Miała ochotę płakać, krzyczeć, awanturować się i wytaczać procesy komu się da, taką trwogą napawała ją myśl, iż być może nosi w sobie dziecko tego człowieka. Nakazała sobie spokój. Nie chciała tracić czasu, więzienny regulamin dopuszczał dwadzieścia pięć minut rozmowy z osadzonym, obowiązywał wszystkich

oprócz adwokata. Musiała dziś poznać prawdę, w taki czy inny sposób.

– Dzień dobry. Nazywam się Zachary Jeffcoat. – Rozmasował nadgarstki, spojrzał jej w oczy i skinął głową, prawie nieśmiało, zanim usiadł. – Pani jest dziennikarką? Christine Nilsson?

Wzdrygnęła się, ale powściągnęła emocje.

– Tak, jestem freelancerką.

– Z którą gazetą pani współpracuje?

– Właściwie z żadną. – Przygotowała sobie wcześniej odpowiedź, jak najbardziej zbliżoną do prawdy, na wypadek gdyby postanowił sprawdzić w sieci. – Wyszukuję tematy, które mnie interesują, piszę, a potem sprzedaję gotowy artykuł. Tym razem rozważam napisanie książki. Na co dzień jestem nauczycielką, uczę dzieci czytać, uwielbiam książki. Myślę, że ta byłaby doskonała.

– Rozumiem. Dobrze. – Pokiwał głową i westchnął z wyraźnym napięciem. Ściągnął usta. – Próbuje pani czegoś nowego.

– Tak. – Położyła na ladzie swój notatnik i wskazała Lauren. – To jest moja przyjaciółka, Lauren Weingarten. Ona także pracuje w szkole, ale towarzyszy mi w zbieraniu materiałów.

– Dzień dobry, Zachary, jeżeli mogę tak się do pana zwracać – odezwała się sztywno Lauren.

– Naturalnie. – Jeffcoat patrzył na Christine, marszcząc brwi pod jasną grzywką. – Proszę posłuchać, ja nie jestem seryjnym mordercą. Przysięgam. Nie jestem „Mordercą pielęgniarek” czy jak go tam nazywają. Nie zabiłem Gail Robinbrecht. Nikogo nie zabiłem, nie byłbym do czegoś takiego zdolny. Jestem niewinny i muszę stąd wyjść.

– Jest pan niewinny? – powtórzyła, tracąc grunt pod nogami. Nie spodziewała się, że od razu przejdą do sedna.

– Całkowicie, absolutnie niewinny. Przysięgam. – Uniósł otwartą dłoń.

– Przede wszystkim zanim zaczniemy... Czy ma pan adwokata?

– Tak, z urzędu, nazywa się Mira Farooz. Jeszcze się do mnie nie odezwała. Słyszałem, że to typowe dla obrońców z urzędu, którzy prowadzą po kilkadziesiąt spraw jednocześnie. Ja potrzebuję dobrego prawnika. Prywatnego. Pomoże mi pani takiego zdobyć? Muszę stąd wyjść.

– Przykro mi, nie mogę. – Christine zapisała nazwisko adwokatkę, starając się zebrać myśli. Jeffcoat zaskoczył ją swoją prośbą.

– Powtórzę pani to samo, co powiedziałem innym dziennikarzom. Jestem

niewinny, musi mi pani pomóc. – Zachary nachylił się ku niej z przejęciem po swojej stronie szyby. – Gliny myślą, że ją zabiłem, bo znaleźli mnie w mieszkaniu Gail, ale ona już nie żyła, kiedy przyszedłem. Sam zadzwoniłem na policję. Po co miałbym ich wzywać, gdybym był winny? Nic nie zrobiłem.

„Zadzwonił na policję”, zanotowała Christine. Nie miała czasu zastanawiać się, czy Zachary Jeffcoat postępuje rozsądnie, wtajemniczając ją w szczegóły swojej sprawy. Próbowwała zadawać pytania typowe dla prawdziwej dziennikarki.

– Dobrze pan znał Gail Robinbrecht?

– Nie. Spędziliśmy ze sobą jedną noc tuż przed tym, jak została zamordowana. Nic więcej. – Zachary zacisnął wargi i pokręcił głową. – Mam, lub raczej miałem, dziewczynę. Wiem, że postąpiłem okropnie, zdradzając ją. Źle się z tym czuję. Ale nie mógłbym nikogo zabić.

– Jak ma na imię pańska dziewczyna? – zapytała z ożywieniem. Dawca 3319 także wspominał, że jest w związku. Być może była to ta sama kobieta.

– Nie wiem, czy powinienem ją w to mieszać. Nie życzy sobie, by pisano o niej w gazetach. – Zachary zaczerwienił się, a Christine przypomniała sobie opis z jego profilu internetowego na stronie banku spermy. Mlecznobiała, zdrowa cera.

– Nie podam jej imienia, skoro pan sobie tego nie życzy. Ale dlaczego?

– Myślę, że mogłaby mieć kłopoty. Studiuje medycynę.

Christine nerwowo przełknęła ślinę. Zatem partnerka Zachary’ego Jeffcoata jest studentką medycyny. Miała nadzieję, że to tylko zbieg okoliczności. Dawca 3319 również wspominał o uczelni medycznej.

– A jeśli obiecuję, że zachowam je dla siebie, poda mi pan jej nazwisko?

– Nie. Nie życzyłaby sobie tego. Była tu przed chwilą, żeby ze mną zerwać. – Zmarszczył brwi, jego policzki ponownie się zaróżowiły. – Rozumiem ją. Musi się odciąć od tego wszystkiego. Ze względu na rodzinę, karierę. Zresztą... od dawna nam się nie układało.

– Och. Przykro mi. – Christine przypomniała sobie słowa strażniczki o wizycie dziewczyny Jeffcoata. Zastanawiała się, jakie jeszcze pytania mogłaby zadać, żeby ustalić, czy życiorys Zachary’ego przypomina życiorys dawcy 3319.

– Czy uczęszcza na którąś z uczelni w Pensylwanii?

– Tak. Temple.

„Temple Med”, zapisała.

– Mieszkacie razem?

– Nie, ona mieszka w mieście, w Filadelfii, a ja Phoenixville. Spędzam u niej po kilka dni, kiedy mogę. – Zawahał się. – Musimy o niej rozmawiać? To jej nie dotyczy, rozmawiajmy o mnie.

Christine skinęła głową. Czas mijał, trzeba się skupić.

– Dobrze. Po pierwsze, ile ma pan lat?

– Dwadzieścia cztery i właściwie nawet nie znałem Gail Robinbrecht. Poprosiłem ją o numer telefonu i dostałem go. Byliśmy razem ostatniej nocy przed jej śmiercią. Umówiliśmy się na kolejne spotkanie, ale kiedy tam dotarłem, już nie żyła. Policja zastała mnie w jej mieszkaniu i uznała za sprawcę.

– Ma pan jakiegokolwiek podejrzenia, kto mógł ją zamordować?

– Nie, nawet jej nie znałem, to była przygoda na jedną noc. Nic więcej. Ja tego nie zrobiłem.

Christine postanowiła przejść do sedna.

– Proszę mi o sobie powiedzieć. Nie o morderstwie. O sobie.

– No dobrze, skoro pani prosi. – Zachary zmarszczył brwi. – Jestem jedynakiem, moi rodzice nie żyją. Ojciec był pastorem, matka miała się różnych zajęć, by podreperować domowy budżet. Jak wiadomo, pastory nie zarabiają kokosów. Zanim zmarła, pracowała w szkolnej kafeterii w liceum.

Dawca 3319 także opisał swoich rodziców jako ludzi religijnych. Życzył sobie pozostać anonimowy właśnie z ich powodu, gdyż nie zaakceptowałby jego decyzji o oddaniu nasienia.

– A gdzie się pan wychował, jeśli mogę o to zapytać?

– Przeprowadzaliśmy się wielokrotnie, ojciec zmieniał parafie. Należeliśmy do Kościoła baptystów, jechaliśmy tam, gdzie nas wysłano. Przed ukończeniem trzynastego roku życia mieszkałem w dwunastu stanach.

– O rety. Wymieni pan kilka? – Christine była ciekawa, czy jednym z nich jest Nevada. Dawca napisał w kwestionariuszu, że pochodzi z Nevady, ale nie wspominał o częstych przeprowadzkach.

– Zaraz... Nowy Meksyk, Arizona, potem dłużej w Kalifornii i Kolorado.

– Sporo zmian dla małego dziecka. – Poczwała ulgę, bo nie wymienił Nevady, chociaż lista była niekompletna. – Czy określiliby pan swoje dzieciństwo jako szczęśliwe?

– Nie – odpowiedział bez cienia żalu. – Nie było okropne, ale do wspaniałych nie należało. Miałem bardzo surowych rodziców. Nie

tworzyliśmy szczęśliwej rodziny. Na pierwszym miejscu stawiali dyscyplinę. Dużo ode mnie wymagali. Mieli nadmierne oczekiwania.

– Musiało być ciężko – powiedziała Christine bez zastanowienia. Jej słowa zabrzmiały dziwnie naturalnie. Lata pracy w zawodzie nauczycielki wyrobiły w niej empatię, której nie mogła się wyzbyć z dnia na dzień.

– Pod pewnymi względami. Mimo wszystko ich rozumiem. Nie zawsze tacy byli.

– Zmienili się?

– Hm, no tak – przyznał z wahaniem. – Chce pani to umieścić w swojej książce?

Uśmiechnęła się uspokajająco.

– Nie, nic nie ukaże się w druku bez pańskiej zgody. To zostanie między nami. Po prostu chciałabym pana lepiej poznać i zrozumieć.

– Cóż, zgoda. Rodzice zmienili się po śmierci mojej młodszej siostry.

Christine zamrużyła z zaskoczeniem. Profil dawcy 3319 nie zawierał tych informacji.

– Powiedział pan, że jest jedynakiem.

– Miałem młodszą siostrę. Bellę. Zginęła, kiedy miała cztery latka. To było potworne – westchnął Zachary. Jego usta zacisnęły się w cienką linię. – Mieszkaliśmy wtedy na nowym osiedlu w Denver. Za budynkiem stała ściana oporowa. Po ulewnych deszczach zbierała się tam woda.

Zesztywniała z napięcia, domyśliwszy się zakończenia. Mimo wszystko fakt, że dawca 3319 nie wspominał o tym wydarzeniu w swoim profilu, napawał ją nadzieją. Wciąż istniała szansa, iż Zachary Jeffcoat nigdy nie współpracował z Homestead.

– Mama pracowała wtedy na dwie zmiany. W dzień w kafeterii, wieczorami jako salowa w szpitalu.

„Matka pracowała w szpitalu”, zanotowała Christine.

– Tamtego dnia była strasznie zmęczona po nocnej zmianie. Bawiła się z Bellą. Siedziały na kocu przed domem i czytały książeczki, jak zwykle. Pamiętam to, bo często do nich dołączałem. – Zachary przełknął ślinę. – W każdym razie zasnęła. Zdrzemnęła się na kocu. Tamtej nocy spała zaledwie dwie godziny. Bellę najprawdopodobniej zaciekawiała woda, spadła z murku i utonęła.

– Ogromnie mi przykro – powiedziała ze współczuciem, które ją samą zaskoczyło. Opowieść Jeffcoata miała w sobie silny ładunek emocjonalny. Na

chwilę zapomniała o celu wizyty.

Lauren potrząsnęła głową.

– Straszna tragedia. Bardzo panu współczuję.

– Dziękuję. Znalazłem je, kiedy wróciłem do domu z tatą. Mama jeszcze spała, pierwszy dotarłem do Belli. Wskoczyłem do wody, ale było już za późno. Coś niewyobrażalnego. Biedna Bella, biedna mama. – Zachary pokręcił głową z rozpaczą. Gdy patrzyła na żal malujący się na przystojnej twarzy, Christine nie potrafiła uwierzyć, że siedzi przed nią seryjny morderca.

Podjął opowieść na nowo, ściszone głosem:

– Po tym, co się stało, nasza rodzina już nigdy się nie pozbierała. Rozpadliśmy się. Ojciec doszukiwał się sensu, woli Boga i tym podobnych. Mama również była kobietą silnej wiary, modliła się i modliła o przebaczenie.

– Chłopak zamrugał, aby powstrzymać łzy cisnące się do błękitnych oczu. – Sama sobie nie potrafiła wybaczyć. Ale to nie była jej wina. To był wypadek, który mógł się przytrafić każdemu. Była tylko człowiekiem. Przpracowanym człowiekiem, pracowała zbyt wiele za zbyt niskie stawki, miała za dużo na głowie. Popadła w depresję. Oboje rodzice zginęli w wypadku drogowym przed dwoma laty. Uderzył w nich pijany kierowca.

– Bardzo mi przykro – powtórzyła Christine. Nie spodziewała się takiej poruszającej historii.

Zachary potrząsnął głową i zacisnął usta.

– Tamtego dnia przestałem wierzyć w Boga. Miałem tylko dziesięć lat, wystarczająco dużo, żeby zwątpić w istnienie Wszechmogącego, który pozwolił umrzeć mojej siostrze.

Christine była wstrząśnięta poruszającą historią młodego mężczyzny. Pamiętała, że dawca 3319 zapytany o wyznanie określił się jako agnostyk bądź ateista. Może właśnie z powodu tragicznej śmierci siostry. Zachary Jeffcoat mógł być dawcą 3319.

– W każdym razie nie mam do nich żalu. To było trudne dla całej rodziny. Ucieszyłem się z wyprowadzki. Przenieśliśmy się wtedy do Nevady. Skończyłem średnią szkołę w Reno.

„Nevada”.

– Gdzie pan mieszkał później? Wyjechał pan na studia?

– Tak, dobrze się uczyłem. Jestem niezły z przedmiotów ścisłych. Lubię matematykę.

Nie dała po sobie poznać, jak bardzo jest przerażona. Dawca 3319 pisał

o zdolnościach matematycznych i upodobaniu do nauk ścisłych. Nie musiała już zadawać pytań, aby zachęcić Zachary'ego do mówienia.

– Ukończyłem Uniwersytet w Arizonie z wyróżnieniem *magna cum laude*. – Pozwolił sobie na przelotny uśmiech, który Christine odwzajemniła, spragniona dobrych wiadomości.

– Brawo, to nie lada osiągnięcie. Jaki kierunek pan wybrał?

– Chemię.

„Tylko spokojnie”, upomniała się w myślach Christine. Dawca 3319 ukończył taki sam kierunek.

– Co pan robił po studiach?

– Poszedłem do pracy, żeby uzbierać pieniądze na studia medyczne. Słaby pomysł, zarabiałem grosze.

Wstrzymała oddech na wzmiankę o studiach medycznych, wiedziała, że Lauren również. Nie przerywała mu.

– Dostałem się na Akademię Medyczną w Nebrasce, do Creighton. Bardzo się cieszyłem, że zostanę lekarzem. Chciałem prowadzić badania, odkryć lekarstwo na jakąś chorobę.

– Na przykład? – Uśmiechnęła się z przymusem, tocząc ze sobą wewnętrzną walkę. Wszystko, co mówił Zachary Jeffcoat, przypominało informacje podane przez dawcę, a Christine nie mogła tego zaakceptować. Po prostu nie mogła.

– Cokolwiek, co pomoże społeczeństwu. Przyczyni się do postępu medycyny. Problemem było wysokie czesne, sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów rocznie. Nie miałem szansy na kredyt studencki tej wysokości. Do tego koszt podręczników, co najmniej trzysta dolarów na semestr, nawet używanych albo e-booków. – Zachary nachylił się ku szybie. Rozmowa toczyła się swobodniej, kiedy najtrudniejszy temat już omówili. – Imałem się każdego zajęcia, jakie byłem w stanie zdobyć. Pakowałem zakupy w supermarkecie, udzielałem korepetycji, pracowałem jako asystent najniższego szczebla. Mimo wszystko nie dałem rady zebrać pieniędzy na studia. Dostałem się, ale tylko tyle, nigdy nie studiowałem medycyny.

– Wielka szkoda. – To wyjaśniało, dlaczego w wiadomościach nie pojawiła się informacja, że zatrzymany jest studentem medycyny. Nigdy nie podjął studiów. A dawca 3319? Czy to jedna i ta sama osoba?

– Mam nadzieję, że kiedyś wrócę na uczelnię, ale najpierw muszę się stąd wydostać. – Mężczyzna zmarszczył brwi. Cała jego postawa wyrażała desperację. – Jestem niewinny, złapali niewłaściwego człowieka, przysięgam.

Miałem przed sobą całe życie, przyszłość. Nie powinienem być w więzieniu, nie pasuję tu. Nie wyobraża sobie pani, jakie to przerażające miejsce. – Piękne oczy Zachary’ego rozbłysły nadzieją. – Błagam, powiem pani wszystko, co pani chce. Czy mogłaby mi pani pomóc zatrudnić prywatnego adwokata?

– Nie wiem – odparła, po raz kolejny zaskoczona jego prośbą. – Przyszłam, żeby o panu napisać...

– Przecież nie jest pani prawdziwą dziennikarką... – Przerwał i popatrzył przeproszająco na Christine. – Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Etatowi dziennikarze muszą przestrzegać określonych zasad, tak mi powiedzieli. Pomagając mi, sprzeniewierzyliby się etyce zawodowej, odpowiadają przed swoimi pracodawcami. Pani pracuje na własny rachunek.

– Nie znam żadnego miejscowego adwokata. Mieszkam w innym stanie. Może pan kogoś zna albo mógłby się dowiedzieć?

– Z więzienia nie dam rady. Tutaj mają tylko obrońców z urzędu, a oni nie są wystarczająco dobrzy. – Popatrzył nagle na obie kobiety. – Proszę, pomogą mi panie? Zapłacę. Pracowałem jako przedstawiciel handlowy firmy sprzedającej sprzęt medyczny. Zarabiałem sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów rocznie.

– Sprzęt medyczny? – Pomyślała o pile chirurgicznej znalezionej w bagażniku jego samochodu, o której pisano w gazetach.

– Tak. Pracuję w Brigham Instruments w West Chester. Firma produkuje sprzęt medyczny i narzędzia chirurgiczne. Mam trochę oszczędności po dwóch latach pracy. – Zachary oparł obie dłonie o ladę i przysunął twarz bliżej szyby. – Błagam, pomóżcie mi znaleźć dobrego adwokata. Możecie jechać do West Chester albo poszukać online. Potrzebuję dobrego adwokata z hrabstwa Chester. – Popatrzył błagalnie w oczy Christine. – Żaden inny reporter nie poprosił, żebym opowiedział o sobie. Od razu widać, że jest pani wrażliwą osobą.

– Dziękuję – powiedziała, dziwnie wzruszona.

– Dostanie pani ode mnie w zamian wywiad na wyłączność. Będę współpracował z panią i tylko z panią podczas pisania książki. Udzielę każdej informacji, jakiej sobie pani zażyczy. Odpowiem na każde pytanie.

„Odpowiem na każde pytanie”. Christine poczuła nieodpartą pokusę.

W tym momencie wtrąciła się Lauren:

– Panie Zachary, muszę o to zapytać: prasa podała informację o znalezieniu

w pańskim bagażniku obciążających dowodów, takich jak piła chirurgiczna do przecinania kości.

– Moja praca polega na przewożeniu takich rzeczy. – Błękitne oczy popatrzyły błagalnie. – Bagażnik samochodu, którym jeżdżę, przypomina wnętrze sali operacyjnej. Zawsze mam przy sobie jakieś narzędzia do demonstracji. Pokazuję je lekarzom i chirurgom. Nie służą mi do mordowania ludzi.

– Wyjaśnił pan to policji? – zapytała Lauren po chwili milczenia.

– Adwokatka mi odradziła. Powiedziała, żebym nie odzywał się do policjantów ani słowem. Nie odpowiadał na pytania. Powiedziałem paniom więcej niż policji.

Christine niemal mu uwierzyła. Uderzyła ją szczerłość w jego oczach i głosie. Sprawiał wrażenie autentycznie zrozpaczonego i zdesperowanego. Zbita z tropu, nie wiedziała, czy powinna ufać własnemu osądowi. Ponadto wciąż nie uzyskała pewności, czy to on jest dawcą 3319.

Lauren przejęła inicjatywę.

– Zachary, a co z innymi rzeczami odkrytymi w pańskim bagażniku? Łopata, workiem na śmieci. Dziennikarze nazwali to „ekwipunkiem mordercy”...

– To nie był żaden „ekwipunek mordercy” – zaprotestował żarliwie. – Mój rejon obejmuje środkową Pensylwanię. Była pani tam kiedyś zimą? Nie sposób się przedostać przez zasy bez łopaty. Worki na śmieci podkładam pod opony, kiedy utknę w śniegu. Praktycznie mieszkam w tym samochodzie, mam w nim wszystko, czego potrzebuję do przetrwania. – Przeniósł wzrok z Lauren na Christine. – Przysięgam na grób mojej siostry, że nie zabiłem Gail Robinbrecht ani nikogo innego, bez względu na to, co mówią. Przypisali mi winę tylko dlatego, że tam byłem. Nigdy nikogo nie zabiłem. Nie jestem seryjnym mordercą! – Pokręcił głową udręczony. – Dziennikarze polują na sensacje, które dobrze się sprzedają. Nie przedstawiono mi żadnych dowodów. Ani FBI, ani policjanci z żadnego z tych stanów nie kontaktowali się ze mną ani z moją adwokatką. Wszystko to nieprawda! Wszystko!

Nagle po drugiej stronie pleksiglasowej szyby rozległo się głośnie pukanie do metalowych drzwi. Więzienny strażnik sięgnął po kajdanki z nierdzewnej stali przyłączone do szerokiego pasa.

– Czas minął, Jeffcoat.

– Idę. – Wstał z ociąganiem, zgnębiony i załamany. – Błagam panią, Christine, niech mnie pani stąd wyciągnie. Dostanie pani moją historię na

wyłączność. Proszę mi znaleźć adwokata.

– Rozumiem – odparła wytrącona z równowagi. Nie zdążyła mu zadać najważniejszego pytania, a nie mogła wrócić do domu bez odpowiedzi. – Może porozmawiamy jutro rano? Czy to możliwe?

Lauren popatrzyła na nią w milczeniu.

– Tak, tak, kiedy pani sobie życzy. – Zachary złożył dłonie na plecach, aby ułatwić strażnikowi założenie kajdanek. – Możemy rozmawiać nawet codziennie, tylko niech mi pani pomoże. Błagam.

ROZDZIAŁ 19

Christine wychodziła z budynku poruszona do głębi. Otarła spocone czoło i oblizwała spierzchnięte usta. Szły razem z Lauren za pozostałymi odwiedzającymi w stronę drzwi. Na zewnątrz zderzyła się ze ścianą gorącej wilgoci, wokół nie było ani jednego drzewa, które zapewniłoby odrobinę schronienia przed palącym słońcem. Zeszły po schodach i minęły autokary do transportu więźniów, które wciąż stały puste, a włączone silniki emitowały gorące powietrze.

Christine powoli dochodziła do siebie. Nie rozmawiały, ponieważ nie były same na parkingu. Przed nimi szła trójka ludzi, mężczyzna, kobieta i małe dziecko, maszerujące z różowym królikiem pod pachą. Christine zauważyła ich wcześniej w poczekalni. Zwróciła uwagę, że dziewczynka nie nadąża za kobietą, która narzuciła szybkie tempo. Nigdy nie zrozumie bezmyślnego okrucieństwa niektórych matek, lekceważących cenny dar, jaki otrzymały.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Lauren, gdy dogoniła przyjaciółkę; kobieta, mężczyzna i dziecko skręcili w lewo, w stronę poobijanego minivana. Schodziły spadzistą, asfaltową drogą w dół, kierując się ku parkingowi dla odwiedzających.

– Sama nie wiem. Chyba tak. To było dziwne.

– Dlaczego nie zapytałaś? Stchórzyłaś? – Lauren popatrzyła na nią ze zdziwieniem swoimi brązowymi oczami. Kosmyki mokrych, długich, ciemnych włosów przylepiały jej się do karku.

– Nie. Przepraszam. Nie stchórzyłam. Miałam plan. – Christine otarła mokre od potu czoło. Wciąż przetwarzała ostatnie wydarzenia. – Przygotowałam grunt, wypytując o szczegóły, które mogłam porównać z profilem dawcy. Opowieść o śmierci siostry wytrąciła mnie z obranego toru.

– Zauważyłam, że coś się z tobą dzieje. Tak nagle ucichłaś.

– Strasznie mi go było żal. Z powodu tego, co spotkało jego biedną siostrę i mamę.

– No i? Myślisz, że to on?

Christine nie odpowiedziała, obezwładniona falą emocji, które zwały się na nią wszystkie w tym samym momencie i wycisnęły z oczu łzy. Zatrzymała się porażona. Miała ochotę krzyczeć. To zbyt wiele. To niemożliwe. Ukryła twarz w dłoniach, mimo że trzymała w nich kluczyki samochodowe.

– Ojej, kochanie. – Lauren przytuliła ją łagodnie.

– Myślę, że to on – usłyszała własny głos, jej serce przemówiło, pękając z bólu. – Myślę, że jest naszym dawcą. Ojcem mojego dziecka.

– Nie wiesz tego z całą pewnością – pocieszyła ją i wypuściła z objęć. – Nie wiesz.

– O mój Boże. – Z trudem powstrzymywała płacz. Musiała zachować zimną krew. Opuściła ręce, odsłaniając twarz. – Jak to się mogło stać? To się nie może dziać naprawdę.

– Możliwe, że się nie dzieje. Dopóki nie zapytasz go wprost, nie będziemy wiedziały. – Lauren przytrzymała Christine za ramiona i patrzyła jej w oczy.

– Pamiętaj, jeszcze nic nie wiadomo na pewno.

– Racja, jeszcze nic nie wiadomo na pewno – powtórzyła bezwiednie, próbując przekonać samą siebie.

– Mnóstwo osób ma sobowtóra. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu napisała do mnie Britney Keen, znasz ją. Widziała mnie w kinie, a ja byłam wtedy w domu.

– Racja, ludzie bywają do siebie podobni – przyznała Christine. Lauren zdjęła ręce z jej ramion.

– Jedźmy stąd.

– Tak, dobrze, racja. – Christine otarła twarz i ruszyła naprzód, a Lauren za nią.

– Dlaczego uważasz, że Jeffcoat jest twoim dawcą? Bo zdał na medycynę?

– Tak. Poza tym skończył chemię, ma ścisły umysł, wygląda jak mój dawca, jego rodzice byli religijni... – Przerwała wyliczanie i spróbowała zebrać myśli.

– To o niczym nie przesądza.

– Wiem, ale powiedział też, że miał się różnych zajęć, żeby zarobić na opłacenie studiów medycznych. A w ankiecie banku spermy wspomniał, iż oddaje nasienie dla pieniędzy, żeby zapłacić za studia.

– Większość studentów potrzebuje pieniędzy w trakcie nauki.

– Tak, ale kiedy znalazłam się z nim w jednym pomieszczeniu, miałam takie

przeczucie...

– Nie byłaś w tym samym pomieszczeniu. – Lauren z troską popatrzyła na koleżankę.

– W pewnym sensie byłam, byliśmy. W każdym razie poczułam, że to ojciec dziecka.

– O rany, teraz mówisz jak nawiedzona – prychnęła Lauren, dotrzymując kroku Christine, kiedy schodziły na parking.

– Wiem, wiem, zwykłe przeczucie. Głos intuicji. – Zdawała sobie sprawę, że to nieracjonalne, ale tak czuła. Nie mogła już dłużej wypierać tego przekonania. Z tego miejsca widziały już parking i stojący w słońcu samochód.

– Jakieś ciężowe hokus-pokus?

– Nieważne, poczułam z nim jakąś więź. Poczułam, że jest ojcem. – Christine z rezygnacją podniosła rękę i otworzyła samochód.

– Tylko biologicznym.

– Dokładnie. – To właśnie miała na myśli. – A ty jak uważasz? Jest dawcą 3319?

– Szczerze? – westchnęła Lauren. – Nie chcę dolewać oliwy do ognia, ale nie wykluczam takiej możliwości. Fakty z jego życiorysu pasują do profilu dawcy.

– O, nie. – Christine odetchnęła głęboko, tłumiąc łzy. Usiadła za kierownicą i uruchomiła silnik, żeby jak najszybciej włączyć klimatyzację na pełną moc. Termometr na desce rozdzielczej pokazywał trzydzieści sześć stopni.

Lauren zajęła fotel dla pasażera.

– Wszystko będzie dobrze. Coś wymyślimy.

– Tak. – Christine upiła łyk wody z butelki pozostawionej w samochodzie. Była gorąca. – Przepraszam, że umówiłam się z nim na jutro bez porozumienia z tobą. Zdążymy przyjechać rano, zanim wyruszymy w drogę powrotną. Nie gniewasz się?

– Pewnie, że nie. – Lauren przerwała. – Wiesz, co mi nie daje spokoju? Nie rozumiem, czemu opowiedział nam o swojej siostrze.

– Zapytałam go. Poprosiłam, żeby opowiedział o dzieciństwie.

– Nie. W każdym razie nie wprost. Pytanie brzmiało: opowiedz coś o sobie, a on zdecydował się podzielić smutną historią z dzieciństwa.

– Przypuszczalnie poczuł się swobodnie w naszym towarzystwie. – Upał wreszcie przestał się dawać we znaki i Christine znów była sobą. – Pomiędzy ważną informację, gdyby nam nie powiedział.

- Niekoniecznie. Staram się zachować obiektywizm. – Lauren zacisnęła usta w surową kreskę i popatrzyła na przyjaciółkę. – Wierzysz w jego niewinność? Christine westchnęła, zaczynała odczuwać zmęczenie.
- Nie ufam teraz własnej ocenie. Brakuje mi dystansu.
- Rozumiem.
- Ale przecież on może być niewinny. Odniosłam wrażenie, iż ten człowiek raczej nikogo nie zabił. – Christine popatrzyła badawczo na swoją zmartwioną przyjaciółkę. – A ty wierzysz, że jest niewinny?
- Nie wykluczam tego. Ale co my właściwie wiemy o seryjnych mordercach? – Lauren wypuściła powietrze z głośnym sykiem, zniechęcona.
- Tak. – Serce Christine nadal wyskakiwało z piersi. – Jestem w rozsypce.
- Ruszajmy. – Lauren pocieszająco poklepała ją po ramieniu. – Dasz radę prowadzić?
- Tak – odpowiedziała i ruszyła w stronę drogi wyjazdowej.
- Pojedziemy do hotelu? Zameldujemy się i zjemy kolację?
- Jeszcze nie – odparła Christine i wjechała na trasę dwadzieścia dziewięć.

ROZDZIAŁ 20

Christine napiła się wody i wcisnęła przycisk kończący połączenie. Po zjedzeniu sałatki i frytek kupionych w McDonalddie jej samopoczucie znacznie się poprawiło. Siedziały w samochodzie zaparkowanym na krawężniku niedaleko sądu w West Chester i dzwoniły. West Chester było urocze, pełne modnych butików i kawiarnianych ogródków. Małeńka dzielnica biznesowa stanowiła istny labirynt jednokierunkowych uliczek. Panowała tu atmosfera typowego miasteczka uniwersyteckiego, West Chester przypominało Christine rodzinne Middletown z Uniwersytetem Wesleyan. Podróż zajęła im godzinę, po drodze obdzwoniły miejscowych adwokatów specjalizujących się w prawie karnym, których Lauren wyszukała przez internet. Niestety, w sobotę o siedemnastej trzydzieści już nikogo nie zastały w biurze.

Christine westchnęła ze smutkiem. Właśnie nagrała się na pocztę głosową szóstemu prawnikowi.

– Bez powodzenia. Ktoś nam jeszcze został?

– Kilka osób. Spójrz. – Lauren pokazała jej wyświetlacz telefonu, nie przerywając jedzenia. Na podłodze pod tylnym siedzeniem piętrzyły się pozostałości po wielu posiłkach, teraz dołączyły do nich serwetki, puste opakowania po keczupie i zgnieciona papierowa torba.

– Już się robi. – Christine wybrała numer mecenas Melindy Norate, która – jak informowała nota na jej stronie – praktykowała od dwudziestu dwóch lat, reprezentowała zbrodniarzy z wiejskich terenów hrabstwa Chester, przypuszczalnie byli wśród nich złodzieje koni. Historyczna tabliczka z brązu niedaleko miejsca, gdzie zaparkowały samochód, głosiła: „Hrabstwo Chester założone w 1682 roku przez Williama Penna”.

– Nie do wiary, że to robimy.

– Szukamy dla niego adwokata? Słyszałaś, co powiedział. Odpowie na każde pytanie, jeśli mu pomożemy. Jutro znajdę sposób, żeby go zapytać, czy jest dawcą 3319. – Christine wyprostowała się, bo połączenie nie zostało

przekierowane na pocztę głosową.

– Melinda Norate, słucham. – W słuchawce rozległ się nieco zbolący głos kobiety.

– Dzień dobry! – powiedziała Christine pełna nadziei. Włączyła tryb głośnomówiący, żeby Lauren mogła uczestniczyć w rozmowie. – Dzwonię w imieniu Zachary’ego Jeffcoata, potrzebuje adwokata. On...

– Jest seryjnym mordercą, który zabił Gail Robinbrecht.

– Rzekomo – odparła zaskoczona Christine. – Zgodziłaby się pani reprezentować Jeffcoata?

– Nie.

– Jest pani adwokatem w sprawach karnych, prawda?

– Owszem, ale jestem zajęta. Dlatego pracuję w sobotnie popołudnie. – Przerwała. – Nie uda się pani znaleźć dla Jeffcoata prawnika w tym mieście.

– Dlaczego?

– Pani jest tutejsza?

– Nie.

– West Chester jest typowym małym miasteczkiem. Wszyscy tutaj się znają. Gail Robinbrecht miała mnóstwo przyjaciół, pracowała w miejscowym szpitalu. Nie widziała pani, że wszyscy noszą białe wstążki?

– Nie, dopiero przyjechałam.

– Ktokolwiek zdecyduje się bronić jej mordercy przed sądem, może zapomnieć o kolejnych klientach. Na zawsze. Zostanie społecznym pariasem.

Christine zawahała się.

– A jeżeli Zachary Jeffcoat jest niewinny? Przecież zasługuje na uczciwy proces.

– Teoretycznie tak, ale prawo to również biznes... – Norate nie dokończyła myśli.

– Zna pani kogoś, kto nie odmówi?

– Proszę zapytać Francisa Xaviera Griffitha. Mówią na niego Griff. Powoli wycofuje się na emeryturę, ale jest najlepszy.

Christine nabrała nadziei.

– Tutejszy?

– Tak.

– Dlaczego on może się zgodzić, podczas gdy inni nie?

Norate zachichotała.

– Proszę do niego zadzwonić, sama się pani przekona. Niech się pani nie

zraża jego sposobem bycia.

– Dobrze. – Otworzyła internet w swoim telefonie. – Dziękuję.

– Powodzenia.

Rozłączyła się, odszukała stronę poleconego adwokata, z podstawowymi informacjami i bez zdjęcia, wybrała numer i czekała na połączenie.

– Griff – powiedział z urazą męski głos po drugiej stronie słuchawki.

– Dzień dobry panu. – Przedstawiła się. – Dzwonię w imieniu Zachary’ego Jeffcoata, który potrzebuje adwokata. Został oskarżony o zamordowanie Gail...

– Wiem, kto to jest. Jestem stary, a nie głupi. Kim pani jest? Członkiem rodziny?

Skrzywiła się. W pewnym sensie była rodziną Jeffcoata.

– Jestem niezależną dziennikarką i...

– Boże, miej mnie w opiece. Już bycie dziennikarzem to pech. Ale bycie niezależnym dziennikarzem oznacza, że nikt nie chciał cię zatrudnić.

Christine i Lauren wymienili spojrzenia.

– Słyszałem, że Jeffcoat ma obrońcę z urzędu.

– Owszem, ale potrzebuje prywatnego adwokata. Zgodzi się pan go reprezentować?

– Nie wiem. Usiłuję przejść na emeryturę. Moja córka twierdzi, że jeżeli to zrobię, cała rodzina ze mną zwariuje. I tak wariują. Na jedno wychodzi.

Christine nie znalazła na to odpowiedzi.

– Cóż, proszę się wstrzymać z przejściem na emeryturę, jest nam pan potrzebny.

Westchnął ciężko.

– Nie przez telefon. Niech pani przyjdzie w poniedziałek rano.

– Mogę teraz? Jutro wyjeżdżam. Pańska kancelaria mieści się na Market Street. Jesteśmy niedaleko, obok sądu.

– Dobrze. Szybko, zanim się rozmyślę.

– Do zobaczenia za pięć... – Nie zdążyła dokończyć zdania, bo odłożyła słuchawkę.

Pięć minut później Christine i Lauren siedziały już w biurze, które różniło się od siedziby Gary’ego Leonarda niczym mysia dziura od jaskini lwa. Kancelaria „F.X. Griffith” zajmowała jedno pomieszczenie na tyłach pierwszego piętra szeregowego budynku, najprawdopodobniej wynajęte od agencji nieruchomości. Średniej wielkości pokój z jednym oknem, brązowym

regałem na książki, szarą szafką na akta, niepozornym, drewnianym biurkiem, na którym stał nie najnowszy komputer, oraz dwoma skórzanymi fotelami naprzeciw biurka, zajętymi teraz przez Christine i Lauren. Na regale stały wyblakłe fotografie członków rodziny, oprawione w skórę kodeksy miały podarte grzbiety i poprzecierane okładki. Spora część oprawionych w ramki, wiszących na ścianie dyplomów i certyfikatów pamiętała lata siedemdziesiąte.

– Proszę mnie wprowadzić w sprawę. – Griff zmrużył szaroniebieskie oczy za szklami okularów w rogowej oprawie. Jego białe, sztywne włosy sterczały na wszystkie strony i dobrze komponowały się z krzaczastymi brwiami. Brązowe plamy na skroniach, sieć głębokich zmarszczek wokół oczu oraz bruzdy sięgające zapadłych ust sugerowały wiek około siedemdziesięciu pięciu lat. Opalone policzki i mały, czerwony nos nadawały prawnikowi wygląd krzepkiego matuzalema.

– Niedawno rozmawialiśmy z Zacharym. Poprosił nas o znalezienie prywatnego adwokata.

– obrońca z urzędu nie wystarczy jaśnie panu? – Griff miał na sobie sfatygowaną koszulkę polo i workowate spodnie khaki. Oparł się o biurko, eksponując ramiona pokryte siwymi włosami.

– Na to wygląda, potrzebuje lepszego.

Starszy mężczyzna zmarszczył brwi.

– obrońcom z urzędu niczego nie brakuje. Sam tak zaczynałem.

Była ciekawa, kiedy to było, ale nie zapytała.

– Cóż... Zależy mu na prywatnym obrońcy.

– Powinno mu zależeć na miejscowym obrońcy. – Pochylił się i podniósł brudną gumkę recepturkę. – Najlepiej, żeby go bronił ktoś, kto mieszka w Chester County, zna tutejszych sędziów i palestrę. I wie, jak dobrać ławę przysięgłych, co do ludzi przemawia, a co nie. Potrafi do nich dotrzeć, mówi ich językiem. Ma ten sam akcent.

Christine zwróciła uwagę na jego charakterystyczny dla mieszkańców wsi sposób artykulacji.

– Zatem przyjmuje pan sprawę?

– Wyciąga pani pochopne wnioski.

Christine poczuła się zagubiona.

– Dobrze. Może mi pan coś o sobie opowiedzieć? Ile spraw o morderstwo ma pan na swoim koncie?

Zmarszczył brwi i zamyślił się.

– Straciłem rachubę.

– Poda pan chociaż przybliżoną liczbę? – nalegała Christine, próbując ocenić jego wartość jako prawnika.

– W młodości prowadziłem do trzydziestu spraw rocznie, broniłem oskarżonych o poważne przestępstwa. Od pięćdziesięciu lat siedzę w prawie karnym. Proszę sobie policzyć.

Zrozumiała.

– Ile spraw pan wygrał?

– Kto by to liczył? Na pewno nikt, kogo warto znać. – Uniósł do góry palec wskazujący. – Chwileczkę. Cztery.

– Wygrał pan tylko cztery sprawy? – Zerknęła strapiona na Lauren.

Griff potrząsnął głową.

– Nie. Cztery sprawy zagrożone wyrokiem kary śmierci. Tylko takie się zapamiętuje. We wszystkich czterech przypadkach udało mi się zamienić karę śmierci na dożywocie bez prawa do wcześniejszego zwolnienia. To cztery zwycięstwa. – Staruszek pokiwał głową z zadowoleniem. – Dwóch moich chłopaków siedzi w Graterford. Ale raczej nie prosiłbym ich o referencje.

Christine zadrzała.

– Ma pan asystentów do pomocy?

– Kiedyś miałem, teraz pracuję sam.

– Da pan sobie radę w pojedynkę z taką sprawą?

– Jeffcoat nie ma pieniędzy na sztab prawników, prawda? To jest dzieciak z biednej rodziny.

– Owszem. A ma pan przynajmniej praktykanta albo sekretarkę? – Christine nie zauważyła nawet żadnej recepcji.

– Umieć odebrać telefon. Pani zobaczy. – Podniósł słuchawkę sfatygowanego beżowego aparatu telefonicznego.

– Ma pan telefon komórkowy, prawda?

– Nie mam. Ani adresu mejlowego. Rząd zakłada podsłuchy w komórkach i przegląda wiadomości mejlowe. NSA się do tego otwarcie przyznaje. Wie pani, od czego to akronim? Nie Słuchajcie Agentów. – Griff ukazał w uśmiechu pożółkłe zęby. – Politycy – to dopiero są zbrodniarze. Codzienne lekceważenie Czwartej Poprawki. Nielegalne przeszukania i rekwizycja mienia. Podstępne wyłudzenie informacji. Wszystko, przed czym przestrzegali ojcowie założyciele tego kraju. Dlaczego społeczeństwo się na to godzi? Nie mam pojęcia. Ja się nie godzę.

- Więc jak pan pracuje?
- Korzystam z edytora tekstów na komputerze. Sam piszę dokumenty. Nie składam ich przez internet. Nie miałbym nawet strony reklamowej, ale wnuk mi założył.
- Ale internet pan ma? – Istniały przecież granice szaleństwa.
- Nie. Za duże ryzyko ataku hakerskiego. Od lat to powtarzam, a dziś w kółko gadają o tym w telewizji. Wszystkich atakują hakerzy. – Griff wskazał drzwi. – W razie jakichkolwiek zastrzeżeń zapraszam na zewnątrz. A mnie zostawcie w spokoju. Idę na emeryturę. Bołą mnie halluksy. Mam już dwa. Moje stopy przypominają trójnogi.
- Christine nie odebrała tego jako żartu.
- Przejdźmy do interesów. Jeffcoat ma czym zapłacić? Wolność ma swoją cenę. Moja zaliczka jest niska, bo nie ponoszę żadnych kosztów. Pięć tysięcy. Normalna stawka to piętnaście. W Filadelfii dwadzieścia pięć.
- Powiedział, że zapłaci. Co go dalej czeka?
- Adwokat złączył palce, składając dłonie w piramidkę.
- Za dziesięć dni, jeśli nie wystąpimy o odroczenie, oskarżenie przedstawi sprawę *prima facie* podczas wstępnego posiedzenia sądu.
- Co to znaczy?
- Nie zna pani łaciny?
- Nie znam.
- Fatalnie – prychnął z dezaprobatą stary prawnik. – *Prima facie* oznacza „na pierwszy rzut oka”. Oskarżenie zaprezentuje swoje pierwsze wrażenia po przestudiowaniu dowodów przeciwko Jeffcoatowi, wystarczające, aby wszcząć przeciwko niemu postępowanie za napaść ze skutkiem śmiertelnym. Następnie zostanie ustalona data spotkania, podczas którego formalnie postawią zarzuty i przyjmą warunki ugody obrończej, a my poprosimy prokuraturę o obowiązkowe ujawnienie dowodów.
- To znaczy? – Christine musiała go ciągnąć za język.
- Zdjęcia z miejsca zbrodni, wyniki autopsji, badań krwi i materiału genetycznego, opisy dowodów sądowych i tym podobne. Przekażą je nam, ale dopiero później. Tak czy inaczej, Jeffcoat będzie musiał pójść na ugodę. Niebawem zgłosi się FBI i Centralne Biura Śledcze z Marylandu i Wirginii, żeby go przesłuchać w sprawie pozostałych morderstw. Lubię pogrywać z rządem. – Uśmiechnął się krzywo. – A jeszcze bardziej z prasą. Okrzyknęli go już seryjnym zabójcą i zamknęli drogę do uczciwego procesu.

Lauren postanowiła się wtrącić.

– Co FBI ma wspólnego z tym wszystkim?

– FBI zawsze wściubia nos w nie swoje sprawy. W przypadku wielokrotnych zabójstw na terenie kilku stanów każdy zajmuje się tym, które miało miejsce w jego rejonie. FBI nie powinno się do tego mieszać, chyba że chodzi o morderstwo na terenie rządowym, typu indiański rezerwat, budynek federalny, park narodowy, baza wojskowa, lub dotyczy obywatela Stanów Zjednoczonych przebywającego za granicą. Teraz szukają pretekstu. Pamiętacie panie Cunanana, szalonego strzelca, który zabił w dziewięćdziesiątym siódmym sławnego włoskiego projektanta?

Christine wyteżyła pamięć.

– Giannię Versace?

– Właśnie. FBI wkroczyło, ponieważ facet zabił także stróża z jednego parku w New Jersey. Okazuje się, że w samym sercu miejskiego parku jest maleńki rządowy cmentarz. Dzięki temu federalni mieli pretekst, żeby włączyć się w sprawę. Ostatecznie Cunanan popełnił samobójstwo, więc do procesu nie doszło.

Christine słuchała z zaciekawieniem. Griff był bardzo dobrze poinformowany.

– Niezależnie od tego, czy znajdą jakiś punkt zaczepienia w sprawie Jeffcoata, ich behawioryści będą współpracować ze wszystkimi trzema jurysdykcjami. Filadelfijski profiler spotka się ze śledczymi z obu stanów i prokuraturą w Chester. Możliwe, że zaangażuje się też jednostka z Quantico.

– Mężczyzna przewrócił oczami. – Wielkie zamieszanie. Przedstawiciel Jeffcoata będzie go musiał chronić przed FBI i innymi jurysdykcjami. Tymczasem jednak odłożyłbym na bok Maryland i Wirginię, skupił się na sprawie Robinbrecht. Przystudiował wszystkie fakty. Zdecydował, czy przyjmujemy ugodę, czy czekamy na proces.

Przeczuwała, że Griff przyjmie zlecenie, chociaż jeszcze nie powiedział tego wprost.

– Sama sprawa będzie wystarczająco trudna. Do prasy przeciekły już obciążające informacje, na przykład o „ekwipunku mordercy”.

– On potrafi to wyjaśnić. Jest przedstawicielem handlowym Brigham Instruments.

– Czyżby? – Uniósł do góry swoje zabawne brwi.

Skinęła głową.

Stary adwokat milczał dłuższą chwilę.

– Słyszałam, że niewielu prawników w mieście przyjęłoby tę sprawę. – Christine przerwała ciszę. – Co pana od nich odróżnia?

– Nie obchodzi mnie ludzkie gadanie. Liczy się dla mnie tylko sprawiedliwość. Konstytucja. Prawa jednostki w starciu z opresyjnym, skorumpowanym aparatem państwowym. Adwokat nie jest wart złamanego grosza, jeśli drży przed opinią publiczną. – Griff przerwał zabawę recepturką i popatrzył na obie kobiety. – A jakie panie mają w tym interesy?

– Spotkałam się z Jeffcoatem, aby zebrać materiał na artykuł lub książkę. – Omal nie powiedziała „z Zacharym”. Od kiedy nazywała go w myślach po imieniu? – Obiecał mi wyłączność w zamian za załatwienie prawnika.

– Rozmawiała z nim pani o faktach dotyczących sprawy?

– Tak.

– I czego się pani dowiedziała?

Christine odpowiedziała zgodnie z prawdą. O randce Zachary’ego z Gail Robinbrecht i o tym, jak znalazł ją martwą w jej domu. Griff słuchał z kwaśną miną.

– Nie powinien był mówić o sprawie. Jeśli mnie zatrudni, doradzę mu, żeby już z panią nie rozmawiał. Nigdy więcej.

– Stawia mnie pan w trudnej sytuacji – stwierdziła.

– I co z tego? – prychnął. – Mam dbać o interesy klienta, nie pani.

– Dlaczego nie powinien ze mną rozmawiać?

– Ponieważ treść tych rozmów może zostać ujawniona, pani notatki także. Może pani zostać powołana na świadka przez oskarżenie. Nie jest pani w stanie zagwarantować mu poufności. – Griff wskazał Lauren. – Byłyście razem?

– Tak.

– W takim razie obie możecie zostać powołane na świadków. Niezależnie od tego, czy pozwolę Jeffcoatowi zeznawać, czy też nie. Omawianie czegokolwiek z kimkolwiek poza mną przyniesie mu więcej szkody niż pożytku, tylko ja – lub mój pełnomocnik – jestem w stanie zagwarantować poufność. Przy okazji zapytam, skąd panie są?

– Z Connecticut.

– W jaki sposób dowiedziałyście się o sprawie? Z telewizji?

– Tak – odpowiedziała zmęczona kłamstwami.

– Proszę się nie zdziwić, jeśli FBI zapuka do pani drzwi. Albo do jej

przyjaciółki.

– Po co? – Nie była w stanie wyobrazić sobie reakcji Marcusa na widok agentów FBI w ich domu.

– Żeby panią przesłuchać w ramach śledztwa. Mają do tego prawo.

– Skąd będą wiedzieli, gdzie mnie szukać? – Domyśliła się odpowiedzi, zanim skończyła zadawać pytanie.

– Wpisała się pani na listę odwiedzających. Okazała dowód tożsamości. To FBI. Nawet oni trafiają, jeśli mają adres. – Roześmiał się, rozbawiony własnym żartem. – Jeżeli po procesie zechce pani napisać książkę, droga wolna. Jeffcoat się zgadza, ja nie mam nic do powiedzenia. Na razie jednak nie ma takiej możliwości. – Griff pochylił się nad biurkiem. – Proszę zdecydować, przyjmę sprawę, ale pani nie będzie miała swojej książki. Zależy pani na Jeffcoacie czy na książce? Kogo lub czego chce pani bronić?

Szybko podjęła decyzję.

– Muszę się z nim zobaczyć jeszcze raz. Jutro rano. Żeby mu o panu powiedzieć.

– Ostatni raz?

– Tak.

– Zgoda. – Zmierzył ją wzrokiem przez dwuogniskowe szkła okularów. – Przedkłada pani jego dobro ponad swoje?

– Na to wygląda. – Czuła na sobie przenikliwe spojrzenie Lauren.

– Hm! Mogę pani zaufać, że nie poruszy pani kwestii istotnych dla sprawy? – Pogroził jej sękatym palcem.

– Tak.

– Daje pani słowo?

– Tak.

– Łatwo poszło – prychnął pogardliwie. – Na pewno jest pani dziennikarką?

ROZDZIAŁ 21

Wyszły na ulicę przed budynkiem, w którym mieściła się kancelaria Griffitha. Christine, pogrążona w myślach, analizowała przebieg niedawnej rozmowy. Słońce nadal mocno przygrzewało, w powietrzu panowała wilgoć. Na chodnik z czerwonej cegły padał cień wysokich drzew, oferujących jedyne wytchnienie od upału. Minęły wystawę sklepu z antykami, pełną ozdobnych, mosiężnych podkładek pod drzwi, i salon fryzjerski ze staroświeckim szyldem. Miasteczko ożyło, gęstniał tłum na ulicach, trzymające się za ręce pary zmierzały niespiesznie do licznych restauracji, młodzi ludzie z plecakami, smartfonami i mrożonymi napojami w jednorazowych kubkach przemierzali tanecznym krokiem chodniki. Christine dostrzegła białe wstążki w klapach wielu ubrań, a w oknie niejednego sklepu wywieszono kartkę z napisem: „Tęsknimy za tobą, Gail”.

– Misja zakończona sukcesem – oznajmiła po chwili Christine. – Znalazłyśmy Zachary’emu adwokata.

– Tak, i nawet go polubiłam.

– Polubiłaś zgryźliwego Griffa?

Christine roześmiała się. Minęły atelier fryzur z szyldem reklamowym oferującym zniżki dla studentów, ponieważ West Chester było miasteczkiem uniwersyteckim.

– Zna się na rzeczy, chociaż przypomina jednego z tych zgryźliwych muppetów z łoża szyderców.

– Statlera i Waldorfa? – zaśmiała się Lauren. – Rzeczywiście. Cały Waldorf.

– Otóż to. – Uśmiech na twarzy Christine nagle zbladł. – Zostało nam tylko jedno spotkanie z Zacharym. Muszę go jutro zapytać.

– Dasz radę. Jesteś zbyt miłą osobą, żeby ktokolwiek uwierzył w bajkę o reporterskiej ciekawości. Założę się, że Waldorf już cię sprawdza w internecie.

– On nie używa internetu, zapomniałaś? – Samochód stał zaparkowany za

rogiem, na końcu uliczki, niedaleko banku.

– Na pewno jesteś zmęczona. Pojedźmy do hotelu.

– Dobrze. – Christine wyjęła kluczyki i otworzyła samochód. – Słyszałaś, co powiedział Griff? O tym, że nic nie mają na Zachary’ego w sprawie tych pozostałych morderstw. On mówił dokładnie to samo.

– Co to według ciebie oznacza? Że nie jest seryjnym mordercą?

– Możliwe. – Sama nie wiedziała, do czego zmierza. Nie miała już siły porządkować splątanych emocji.

– Zabicie jednej osoby to i tak za dużo.

– Jestem tego samego zdania. – Christine podeszła do tylnego zderzaka samochodu i czekała, aż ulica będzie pusta, żeby wsiąść. – A jeśli on jest niewinny? Jeżeli kto inny zabił Gail? Wydaje się dość sympatyczną osobą, nie wygląda na socjopatę, prawda?

– Właśnie znalazłyśmy mu dobrego prawnika – odparła Lauren, zanim wsiadła do samochodu.

– Niepokoję się. – Christine przekręciła kluczyk w stacyjce, uruchamiając przy tym klimatyzację.

– Weźmiesz prysznic i odpoczniesz, a wtedy na pewno poczujesz się lepiej. Mnie też to dobrze robi. – Lauren zapięła pas bezpieczeństwa. – Och, marzę o wytarciu się ręcznikiem, którego nie będę musiała prac, i włożeniu szlafroka ładniejszego niż mój domowy.

Christine słuchała jej nieuważnie, włączyła się do ruchu i zatrzymała na czerwonym świetle. Droga, którą jechały, wiodła w kierunku autostrady i z powrotem do Colledgeville.

– Ciekawe, czy nasz hotel ma pełną obsługę. Chcę, żeby ktoś mi przyniósł jedzenie prosto do łóżka. Jak w szpitalu.

Christine miała mętlik w głowie, czuła, że potrzebuje krytycznego słuchacza.

– Problem polega na tym, że jest zbyt wiele możliwości, a ja nie wiem, które są prawdziwe.

– Na przykład?

– Zacznijmy od pytania, czy Zachary to dawca 3319. Obie uważamy, że mógłby nim być, ale opieramy się głównie na intuicji i paru faktach.

– Nielicznych faktach.

– Właśnie. – Wpatrywała się w płonąca czerwień sygnalizacji świetlnej. – Jutro dowiemy się prawdy, której się boję.

– Że to jednak on?

– Tak. – Przyszło jej do głowy coś jeszcze. – Tylko dlatego, że został oskarżony o morderstwo, że nazywają go seryjnym mordercą. Jeżeli jest niewinny, chciałabym, żeby właśnie on okazał się dawcą. Polubiłam go. Jest inteligentny, sympatyczny i bardzo przystojny.

– Rozumiem cię.

– Więc nie zwariowałam? – Światło zmieniło się na zielone i Christine nacisnęła pedał gazu.

– Skądże. Jestem z ciebie dumna, świetnie sobie radzisz w tej trudnej sytuacji, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że żywisz się głównie nasyconymi tłuszczami.

– Ha. – Zerknęła na tabliczkę z nazwą ulicy. – Warwick Street? Skąd ja znam tę nazwę?

– Nie wiem.

– Przeczytałam gdzieś. – Zahamowała powoli. Kierowca jadący za nimi nacisnął klakson. – Ach, tak, w artykule prasowym online. Gail Robinbrecht mieszkała przy Warwick Street. Tutaj została zamordowana.

– Dziwne – skrzywiła się Lauren.

– Nie tak bardzo. To małe miasteczko, prawie wszędzie można dojść pieszo. – Christine zatrzymała samochód, a inni kierowcy wymijali ją z obu stron. Nie mogła oderwać oczu od tabliczki. – Znajdziesz jej adres? W telefonie?

– Czyli nie jedziemy do hotelu?

– Jeszcze nie. – Christine znów nabrała wiatru w żagle. – Nie jesteś ciekawa? – Ruszyła i skręciła w Warwick Street.

– Pytasz, czy bardziej interesuje mnie zwiedzanie miejsca zbrodni, czy relaks w hotelu? Wybieram odpowiedź numer dwa. – Lauren zaśmiała się i zerknęła na ekran telefonu. – Proszę. Robinbrecht mieszkała pod numerem trzysta pięć.

– Dzięki. – Droga prowadziła nieco z górki na osiedle zadbane szeregowców w stylu kolonialnym z wiktoriańskimi gankami. Każdy budynek był taki sam: fasada z cegieł, drewniane okiennice w gustownych odcieniach błękitu, brązu i żółci, większość drzwi ozdobiona wieńcami, na schodkach kolorowe doniczki z niecierpkami i petuniami. Wybudowane w osiemnastym i dziewiętnastym wieku budynki nie miały podwórek, schody wychodziły prosto na chodnik, przypominały Christine okolice starszych Mystic i Marblehead.

– Ładnie tu.

Christine skupiła wzrok na następnej przecznicy, przed jednym z budynków

panował niezwykle ruch.

– Myślę, że to numer trzysta pięć. Jej dom.

– Kurczę. Trwa chyba coś w rodzaju ostatniego pożegnania, spory tłum...

– Chyba tak. – Uzmysłowała sobie, że chociaż śmierć Gail Robinbrecht z rąk seryjnego mordercy nie była już tematem z pierwszych stron gazet, jej historia pozostała boleśnie żywa w miasteczku West Chester.

– Popatrz, spotkanie żałobne. – Lauren wskazała prawą stronę ulicy. Christine podjechała bliżej urokliwego trzypiętrowego budynku z okiennicami w kolorze mchu, przy którym paliły się świece, leżały kwiaty, maskotki i transparenty oraz stali ludzie. Ulica zastawiona była zaparkowanymi samochodami, niektóre stały tuż pod numerem trzysta pięć, z włączonymi światłami migania.

– Bardzo smutne. – Lauren potrząsnęła głową. – Nie chcę nawet myśleć, że człowiek może być takim potworem.

– Ja też nie – odpowiedziała, zastanawiając się, czy Zachary mógł być potworem i czy to dziedziczna przypadłość. Wymijała podwójnie zaparkowane auta i zerknęła na transparenty. Przeczytała odręcznie zrobiony napis: „Tęsknimy za tobą, Gail”, opatrzony mnóstwem podpisów. Na jednym z transparentów widniało zdjęcie uroczej, młodej kobiety, Christine domyślała się, że to Gail, ale ze swojego miejsca nie widziała wielu szczegółów.

– Jesteś pewna? – Lauren patrzyła na nią pytająco. – Przypomniała mi się Sabrina. Pamiętasz.

– Tak – wykrztusiła przez zaciśnięte gardło. Sabrina Bryfogle była najukochańszą nauczycielką czwartych klas, zmarła w zeszłym roku na raka piersi. Cała kadra nauczycielska pogrzyżała się w żałobie po jej stracie, a uczniowie potrzebowali pomocy psychologicznej. Na boisku posadzono pamiątkowe drzewo. Christine nigdy nie zapomni tych wszystkich łez wylanych na pogrzebie Sabriny.

– Nienawidzę raka.

– Ja też go nienawidzę.

– Ale jeszcze bardziej nienawidzę morderstw.

– Też. Nienawidzę tego, że ludzie umierają. – Christine pomyślała o swoim ojcu. Skręciła na najbliższym rogu i rozglądała się za miejscem parkingowym, choć wcale nie była przekonana, czy chce je znaleźć. – Może nie powinnyśmy się zatrzymywać. Nie chcę cię na to narażać.

– Nic mi nie będzie – zapewniła Lauren z ożywieniem. – Skoro już tu

jesteśmy... Zobacz, jest miejsce, tam z tyłu.

– No dobrze, dzięki. Sama nie wiem, czego tu szukam, po prostu jestem ciekawa. – Zaparkowała na rogu, wyjęła kluczyk ze stacyjki, po czym wysiadły z samochodu i ruszyły chodnikiem w stronę numeru trzysta pięć. Minęły kobietę z czerwonymi włosami i papierosem w zębach, która zamiatała chodnik.

– Dzień dobry – powiedziała przyjaźnie Christine.

Kobieta zmarszczyła brwi i wyprostowała się. Miała przekrwione niebieskie oczy i zaczerwieniony nos, jak ktoś, kto pije dużo alkoholu. Była ubrana w koszulkę zespołu Ramones, krótkie spodenki i różowe klapki, jej ramiona zdobiły niewyraźne tatuaże.

– Idziecie do Gail?

– Tak.

– Jesteście z Connecticut?

– Skąd pani wie? – zapytała zdumiona Christine.

– Z tablicy rejestracyjnej. – Wskazała miotłą w kierunku samochodu. – Widuję najróżniejsze, ludzie przyjeżdżają z jeszcze dalszych okolic. Wczoraj byli jacyś z Quebecu. Nawet jej nie znali. Ludzie ekscytują się nieszczęściem. To chore.

– To nie tak – broniła się Christine. – Ja myślę, że chcą okazać swoje wsparcie.

– Hm. – Odwróciła się plecami i wróciła do zmiatania ulicy, ale mówiła jeszcze sama do siebie: – Co w tym niby takiego wspierającego? Przyjeżdżają, żeby sobie obejrzyć miejsce, w którym została zamordowana kobieta. Całe miasto o tym mówi. Każdy powtarza to samo: „Dopiero co tu była, niedawno z nią rozmawiałem”. Wszyscy zamykają drzwi na klucz. Nigdy nie musieliśmy zamykać drzwi na klucz. Nigdy!

Spojrzały po sobie i ruszyły dalej. Dotarły do przerwy pomiędzy szeregowcami i wąskiej asfaltowej uliczki biegnącej za domami, z których każdy zdawał się mieć podwórko na tyłach. Pod ogrodzeniami ogródków stały ponumerowane niebieskie kontenery na śmieci. Sąsiadów dzieliły zazwyczaj wysokie płoty z pomalowanego na biało drewna lub żelaza. Niektórzy mieli ogrodowe meble na tle wypielęgnowanej zieleni, inni murowane podjazdy.

Christine przytłaczał coraz większy smutek. Zaczynała żałować swojej decyzji. Na zewnątrz zebrała się niewielka grupa smutnych ludzi, pochylali głowy nad pastelowym stosem kart z kondolencjami, pachnącymi świecami,

świecami wotywnymi, zniczami i mnóstwem pluszowych SpongeBobów, którego Gail musiała bardzo lubić, co oznaczało, że miała poczucie humoru. Christine poczuła wzruszenie. Patrzyła na transparenty ze zdjęciami młodej pielęgniarki w szpitalnym fartuchu, uśmiechniętej dziewczyny na tle ukwieconego wzgórza, sfotografowanej w trakcie pieszej wycieczki z koleżankami, albo tulącej grubego, pręgowanego kota na tle regału pełnego książek.

Pękało jej serce. Modliła się, aby to nie Zachary był odpowiedzialny za brutalną śmierć tej uroczej kobiety. Po chwili przypomniała sobie, że przecież nie wie jeszcze, czy chłopak jest dawcą 3319. Mógł nim być kto inny. Niezależnie od odpowiedzi, czuła się okropnie z myślą, że Zachary mógłby zabić Gail, że ktokolwiek mógł to uczynić. Docierały do niej strzępki rozmów żałobników.

– ...jak to się mogło stać...

– ...była taka oddana...

– ...nigdy nie zapomnę, jak czule opiekowała się moim synem po operacji usunięcia migdałków...

– ...była najlepsza, wyjątkowa...

Jakaś kobieta wybuchnęła nagle płaczem, zakryła zaczerwienioną twarz chusteczką, inna kobieta zaczęła ją pocieszać. Zapewne były koleżankami z pracy Gail, obie miały na sobie szpitalne stroje z identyfikatorami Chesterbrook.

Dostrzegła łzy w oczach Lauren i dotknęła ramienia przyjaciółki.

– Chodźmy – powiedziała łagodnie.

– Dobrze. – Oddaliły się niepewnym krokiem.

– Przepraszam, że cię tu zaciągnęłam.

– Nie szkodzi. Człowiek zaczyna inaczej patrzeć na życie, prawda?

– Co masz na myśli? – zapytała, kiedy skręciły za róg, zbliżając się do samochodu.

– Uświadamia sobie, jakie jest krótkie i cenne. Trzeba je przeżyć w taki sposób, aby być z siebie dumnym. – Lauren otarła załzawione oczy i zamrugnęła. – To wszystko. Nic więcej nie mam.

– Tyle wystarczy. – Christine poklepała przyjaciółkę po plecach. Miały przed sobą wytatuowaną kobietę, która wciąż zamiatała, mamrocząc pod nosem. Obeszły ją szerokim łukiem, ponieważ uznały, że jest albo pijana, albo chora psychicznie, ale ona przerwała zamiatanie, odwróciła się

i wyprostowała, a następnie przygwoździła je gniewnym spojrzeniem.

– I co, dziewczęta? Pooglądałyście sobie? Fajnie było?

– Doprawdy, bardzo proszę... – zaczęła Christine, unosząc rękę. Kobieta spiorunowała ją wzrokiem.

– Uroniłyście parę łez, wyplakałyście się? Chlip, chlip, jakie to smutne.

Lauren podniosła otwartą dłoń w obronnym geście.

– Proszę przestać, pani zachowanie jest nie na miejscu...

– Czyżby? – Nieznajoma uderzyła miotłą o ziemię. – Skąd, do diabła, możecie wiedzieć? Nie znacie jej! Myślicie, że skoro pracowała jako pielęgniarka, to była święta! Ale ja wam mówię, nie była aniołem! Puszczala się na prawo i lewo!

– Przepraszam, musimy już iść – wybąkała wstrząśnięta Christine. Nie miała zamiaru słuchać oszczerstw na temat zmarłej. Odeszły szybkim krokiem w stronę samochodu.

– Tam mieszkała! – Kobieta pomachała miotłą, wskazując ogródki na tyłach szeregowca. – Tamten bliźniak z żółtymi drzwiami na drugim piętrze. O, tam po schodach. Tam mieszkała!

Christine obejrzała się, żeby spojrzeć na jaskrawożółte drzwi. Nie wiedziała, że Gail Robinbrecht mieszkała w dwupoziomowym mieszkaniu. Tej informacji nie podała żadna z gazet. Na górę prowadziły kręte schody z niemalowanego drewna, wyróżniały się na tle ceglanej ściany.

– Tak jest! Przypatrz się uważnie! – krzyczała kobieta. – Mieszkam naprzeciwko jej drzwi. Mam kuchnię na wprost jej kuchni. Wiecie, ilu różnych facetów wchodziło i schodziło po tych schodach nocami? Tabuny!

Christine poczuła wściekłość, mimo to nie mogła przestać słuchać. Zauważyła, że na tyłach wielu domów dobudowano drewniane schody, a więc wszystkie musiały być dwupoziomowe z oddzielnymi wejściami.

– Jeden za drugim, każdy inny. Ze wszystkimi spała! – Kobieta pokręciła głową i zacisnęła usta w cienką linię, wyrażając swoją dezaprobatę. – To się musiało tak skończyć. Wpuszczać tylu obcych mężczyzn do domu? Taka święta była nasza Gail!

Christine była zdegustowana zachowaniem sąsiadki, ale jednocześnie zaczęła się zastanawiać, jak jej zeznania wpłynęłyby na sytuację Zachary'ego. Niewykluczone, że tamtej nocy nie on jeden został zaproszony do domu Gail. Być może nie kłamał i naprawdę zastał ją martwą.

– Ktoś, kto mieszka od ulicy, nie zobaczy tego, co ja! A wiecie, co ja myślę?

To zakłamana szmata była! Tak się kończy igranie z ogniem! Tak właśnie...

– Jak się pani nazywa? – przerwała jej Christine.

– Linda Kent. Po mężu! Jestem wdową!

– Ja nazywam się Christine Nilsson. Zauważyła pani coś podejrzanego lub dziwnego w noc morderstwa? Zauważyła pani jakiegoś mężczyznę na schodach? Może więcej niż jednego?

– Jeśli widzę coś podejrzanego, natychmiast zgłaszam! Dzwoniłam na policję! Powiedzieli, że oddzwonią i spiszą zeznanie. – Z dzikim spojrzeniem zamachnęła się miotłą. – Wynocha! Jazda do Connecticut!

Christine odwróciła się i czym prędzej wróciła do samochodu.

Ta kobieta była pijana lub chora psychicznie.

Niewykluczone też, że miała rację.

ROZDZIAŁ 22

Christine zadzwoniła do Griffa, gdy tylko wsiadła do samochodu. Wyjechała na główną ulicę i włączyła zestaw głośnomówiący, aby Lauren mogła uczestniczyć w rozmowie.

Adwokat odebrał po dwóch sygnałach.

– Co?

– Przed chwilą byłam przy Warwick Street przed domem Gail Robinbrecht. To dwupoziomowy budynek z osobnym wejściem od tyłu. Jedna z sąsiadek twierdzi, że wielu mężczyzn odwiedzało Gail wieczorami.

– Poszła pani na miejsce zbrodni? – zdziwił się stary prawnik.

– Cóż, niezupełnie. Nie mogłam wejść do środka, policja zapieczętowała mieszkanie. – Za szybą przesuwają się drzewa i domki jednorodzinne. – Pomyślałam, że ta informacja może się panu przydać w przygotowaniu linii obrony. Nasuwa się przypuszczenie, iż Zachary – to znaczy Jeffcoat – nie jest jedynym podejrzanym. Być może sąsiadka mówiła prawdę.

Lauren przewróciła oczami, nie dawała wiary wywodom Lindy Kent.

– Przygotowanie obrony jest moim zadaniem. Pod warunkiem że zostaną zatrudniony.

– Wiem, chciałam tylko pomóc. Na pewno zostanie pan zatrudniony. – Zobaczyła w oddali dzielnicę bankową i przyspieszyła. – Sąsiadka nazywa się Linda Kent, mieszka na Daley Street. Poinformowała policję o swoich spostrzeżeniach, ale nikt do niej nie oddzwonił...

– Muszę kończyć. Proszę się odezwać po wizycie u Jeffcoata. Chcę wiedzieć, czy mi zapłaci. – Griff przerwał. – Ani słowa na temat sprawy. Ta rozmowa zostaje między nami.

– Dlaczego? – Skręciła w prawo, na główną ulicę, i włączyła się w sznur samochodów wyjeżdżających z miasta. Chodniki były pełne spacerowiczów oglądających wystawy sklepowe, przed drzwiami restauracji ustawiały się kolejki. Przez otwarte drzwi baru dobiegały dźwięki muzyki folkowej, nad

wejściem powieszono baner z napisem: „Życzymy studentom wspaniałych wakacji!”.

– Przecież powiedziałem. Jest pani idiotką czy co? Wasze rozmowy nie są poufne. Można je wykorzystać w trakcie procesu.

– Dobrze, dobrze. Rozumiem. – Zerknęła na Lauren, która walczyła ze sobą, żeby się nie roześmiać w głos.

– Boże wszechmogący! Ależ pani jest uparta!

– Po prostu ciekawa.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. – Griff odłożył słuchawkę, a Christine nacisnęła przycisk kończący połączenie.

Lauren parsknęła śmiechem.

– Wkurzasz go.

– Bo jestem ciekawa? To zaleta.

– I pierwszy stopień do piekła. Nie słyszałaś?

– Aha. – Christine przyspieszyła, skorzystawszy z tego, że na drodze zrobiło się luźniej, i wyjechała na autostradę.

Po godzinie dotarły do hotelu, zameldowały się w recepcji, na zmianę wzięły prysznic, przebrały się w jednakowe szlafroki, zamówiły do pokoju dwie sałatki greckie bez cebuli i włączyły nową komedię z Melissą McCarthy. Taktownie przemilczały temat ostatnich wydarzeń, Christine czuła narastający niepokój. Oglądała film, próbując odsunąć od siebie myśli o Zacharym, Gail Robinbrecht i dwóch pozostałych zamordowanych pielęgniarkach, ale one ciągle jej towarzyszyły. Musiała jeszcze zadzwonić do Marcusa, a wzdygała się przed kolejnymi kłamstwami.

Za przyciemnionymi szybami dużych hotelowych okien zapadł zmrok, Christine wiedziała, że nie może już dłużej odkładać tego telefonu. Gdy na ekranie pojawiły się napisy końcowe, wyłączyła dźwięk pilotem. Lauren popatrzyła pytająco, wyglądała na zmęczoną, przez cały film odpowiadała na esemesy mamy, męża i synów, którzy wybierali się na mecz poza miastem i nie mogli znaleźć czystych skarpetek, nowych korek albo antydepresantów dla psa.

– Dzwonisz do Marcusa? – zapytała z westchnieniem.

– Nie wymigam się.

– Radzę ci, żebyś nie przeciągała tej rozmowy. Kiepsko kłamiesz.

– Dzięki. – Christine sięgnęła po telefon, a Lauren wstała z cichym jęknięciem.

– Zostawię cię. Pójdę do łazienki.

– Możesz zostać.

– Żartujesz? – Obejrzała się przez ramię z uśmiechem. – Mogę sobie w spokoju posiedzieć na sedesie? Czekałam na to cały dzień.

– Miłej zabawy! – zawołała za przyjaciółką, która zatoczyła się do toalety, i wybrała numer Marcusa.

– Cześć, kochanie. Co słyhać? – Odebrał po drugim sygnale. Z jego głosu nadal przebijał chłód.

– Dobrze, jestem tylko zmęczona – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Chciałam powiedzieć ci dobranoc. Oczy mi się same zamykają.

– Nie będę cię zatrzymywał – zapewnił pospiesznie. Christine zrobiło się przykro na myśl, że nie ma ochoty z nią rozmawiać.

– Jak sprawy na budowie?

– Ten sam burdel co zawsze. Kryzys zażegnany, ale straciliśmy trochę czasu, a wiesz, jak to jest. Rosną koszty. Jaką macie pogodę? Byłaś na plaży?

– Nie, pomagam Lauren w przygotowaniu domu. Trzeba wyjąć całą pościel i ręczniki, pozamiatać... – Czym prędzej otworzyła aplikację pogodową i sprawdziła pogodę w Long Beach Island, w New Jersey. „Częściowe zachmurzenie”, przeczytała. – Zresztą to nie był dobry dzień na opalanie.

– Szkoda. U nas pada od rana. Moje spodnie od garnituru będą do wyrzucenia.

– Niedobrze – odpowiedziała, coraz bardziej przygnębiona. Nie mogła uwierzyć, że rozmawiają o pogodzie.

– Czyli zgadzasz się złożyć pozew przeciwko Homestead? – Jego głos zabrzmiał cieplej, co tylko wzmogło poczucie winy Christine, więc ziewnęła demonstracyjnie, aby zakończyć rozmowę.

– Nie, ale nie rozmawiajmy o tym teraz, dobrze? Padam z nóg. Muszę się położyć.

– Rozumiem – odpowiedział sztywno. – Śpij dobrze i dbaj o siebie.

– Kocham cię – powiedziała, choć zwykle on mówił to pierwszy.

– Ja ciebie też.

Christine rozłączyła się i odrzuciła telefon na bok. Zamknęła oczy obezwładniona falą smutku. Nie chciała dłużej rozmyślać o Marcusie, Zacharym ani w ogóle o niczym przykrym. Położyła rękę na brzuchu, skupiając się na dziecku, ponieważ ono było najważniejsze i najwspanialsze. Z każdym dniem coraz większe i silniejsze. W jej własnym ciele.

Oddychała miarowo, rozluźniła mięśnie i odpłynęła w sen, zanim znów zaczęła się martwić.

Co przyniesie jutro.

ROZDZIAŁ 23

Christine i Lauren czekały na Zachary'ego w tej samej ciasnej kabinie. W pomieszczeniu panował zaduch, ale ona już dziś wymiotowała. Wzięła też prysznic i włożyła różową sukienkę, którą miała na sobie podczas pierwszej wizyty u doktora Davidowa. Wybrała ją, ponieważ to był jeden z najładniejszych codziennych strojów, jakie posiadała. Bez plam od długopisu i kleju, z którymi zwykle wracała ze szkoły. Wydawał się odpowiedni na tę okazję. Dzień, w którym pozna odpowiedź na pytanie, czy Zachary Jeffcoat jest dawcą 3319.

– Wiesz już, jak zadasz pytanie? Jak poruszysz ten temat? – Twarz Lauren błyszczała od potu. Przed wyjściem z hotelu wzięła prysznic, ale musiała potem włożyć wczorajsze ubrania, nie miała czasu spakować niczego dla siebie przed wyjazdem, zajęta pakowaniem sportowych toreb dla trzech chłopców oraz wyprawieniem w podróż dwóch psów, które potrzebowały leków przeciwdepresyjnych.

– Spróbuję go rozkręcić, jakby był jednym z moich uczniów.

– Coś ty? Czyli jak?

– Znasz moje metody. Pozwalam im czytać, cokolwiek zechcą, byle czytali. Powstrzymuję się od krytykowania. Wzmacniam ich samoocenę, tworzę bezpieczne i twórcze środowisko do nauki. – Christine przemyślała wszystko wczoraj wieczorem. – Tutaj zrobię podobnie. Pozwolę mu mówić o czymś, co kocha, żeby poczuł się rzeczywiście dobrze. Dopiero wtedy poruszę temat, który mnie naprawdę interesuje.

– Brzmi dobrze. – Lauren uśmiechnęła się, dodając otuchy przyjaciółce. – Chcesz poćwiczyć na mnie?

– Nie, dzięki. – Christine denerwowała się nie tylko pytaniem, które miała zadać, gnębiła ją również świadomość, iż jest to jej ostatnie spotkanie z Zacharym Jeffcoatem. Nie podobała jej się myśl, że już nigdy go nie zobaczy. Trwała w dziwnym emocjonalnym zawieszeniu pomiędzy przyciąganiem

a odrazą. Przewracała się wczoraj z boku na bok, wizualizując przebieg ostatniej rozmowy. Obsesyjnie wracała do niej myśl, że on przecież może być niewinny. Linda Kent powiedziała, iż Gail Robinbrecht odwiedzało wielu mężczyzn.

– Denerwujesz się. Widzę. – Lauren zacisnęła usta. – Może powiedz mu prawdę? Po prostu przyznaj się, że nie jesteś dziennikarką i przyjechałaś tylko po to, żeby sprawdzić, czy jest twoim dawcą.

– Nie chcę.

– Dlaczego? To łatwiejsze niż naprowadzanie go. Co z tego, że się dowie o kłamstwie? Nigdy więcej go nie zobaczysz.

„Nigdy więcej go nie zobaczysz”. Christine nie podobało się brzmienie tych słów.

– Tylko ty i moi rodzice wiecie, że korzystaliśmy z banku spermy. Nikomu więcej nie powiedzieliśmy. Nawet rodzinie Marcusa. Wolałabym zachować to w sekrecie.

– Ach, no tak.

– Marcus chce powiedzieć wszystkim dopiero po urodzeniu dziecka. Nie ma pojęcia, że zwierzyłam się rodzicom. Więc oficjalnie wiesz tylko ty.

– Czuję się wyróżniona – uśmiechnęła się Lauren.

– Słusznie. – Zdawała sobie sprawę, że przyjaciółka stara się rozładować napięcie. – Czułabym się dziwnie, gdybym powiedziała mu o tym w takiej sytuacji. Wolę, żeby jak najmniej osób wiedziało.

– Już rozumiem. – Lauren pokiwała głową. – Ścisłe tajne. Nie męczą cię te rodzinne sekrety? My też je mamy. Ciotka wie o rzeczach, o których nie wie matka, matka wie coś, czego nie wie siostra. Trudno nadążyć.

– Czasem to konieczne. – Christine dostrzegła w oddali jasną głowę Zachary’ego i wyprostowała się na twardym krześle. – Idzie.

– Zachowaj spokój. Dasz radę.

– Oby. – Uśmiechnęła się, napotkawszy wzrok Zachary’ego. Wyglądał na szczerze zadowolonego z jej obecności.

– Widzę go.

Strażnik rozkuł więźnia i wprowadził do zabezpieczonej kabiny.

– Dzień dobry, Christine. Cześć, Lauren – przywitał się z uśmiechem Zachary, zajmując miejsce po drugiej stronie szyby. – Ładnie wyglądacie.

– Dziękujemy. – Christine położyła przed sobą przybory do pisania dla podkreślenia swojej dziennikarskiej wiarygodności. – Przynoszę wspaniałe

wieści. Znalazłyśmy dobrego prawnika.

– Cudownie! – rozpromienił się Zachary. – Jak dałyście radę tak szybko?

– Postarałyśmy się. Ma duże doświadczenie w sprawach karnych i pochodzi z West Chester. Nazywa się Francis Griffith, ale wszyscy mówią na niego Griff. Zna sprawę i bardzo chciałby się w nią zaangażować. Dał mi dla pana wizytówkę. Niestety, nie pozwolono mi jej wnieść, więc będę musiała mu powiedzieć, żeby skontaktował się z panem. Czy wyraża pan zgodę?

– Oczywiście. Mówi pani o nim, jakby go znała.

– Rozmawialiśmy tylko raz, ale zdążyliśmy go obie polubić. Jeśli chodzi o pana sprawę...

– Powiedziała mu pani, że jestem niewinny, prawda? – przerwał z ożywieniem. – Nie chcę jednego z tych cynicznych adwokatów, którym nie przeszkadza bronienie morderców. Jestem niewinny.

Christine pomyślała o Lindzie Kent i szybko zmieniła temat.

– Mogę zapytać, jak dobrze znał pan Gail Robinbrecht?

– Naprawdę jej nie znałem, już pani mówiłem.

– Poznał ją pan tamtego wieczora, kiedy zginęła? – podjęła zakazany temat, mimo ostrzeżeń Griffa. Nie umiała się powstrzymać.

– Tak.

– Przed spotkaniem wymienialiście wiadomości mejlowe lub esemesy?

– Nie, spotkałem ją w kawiarni, zaczepiłem, powiedziała, że ma wolny wieczór, więc się umówiliśmy. Nie wziąłem nawet jej numeru.

– Skąd pan wiedział, gdzie mieszkała? – Poczwała na sobie ostrzegawczy wzrok Lauren.

– Podała mi adres.

– Miała chłopaka, spotykała się z kimś innym?

– Nie mam pojęcia. Wiem jedynie, że nie była zamężna. Dlaczego pani pyta?

– Z czystej ciekawości. – Unikała karcącego spojrzenia przyjaciółki. – Wracając do tematu: powtórzyłam adwokatowi wszystko, co usłyszałam od pana. Okazał zrozumienie. Poproszę go, by przyszedł albo skontaktował się z panem. Na pewno będzie wiedział, co zrobić.

– On pewnie tak. Ja nie. Podobno mogę odbierać mejle, ale nie podali mi adresu. Wszystkie wiadomości podlegają cenzurze.

– Och, nawet te od prawnika? Griff mówił, że są chronione tajemnicą obrończą.

– Nie wiem. Powiedzieli mi, że dostaję listy głównie od dziennikarzy

i kobiet, które regularnie pisują do więźniów w celach śmierci. – Zachary przewrócił oczami jak marudny nastolatek.

– Kolejna rzecz, o jakiej wspomniał Griff, to zaliczka. Wynosi pięć tysięcy.

– O nie – skrzywił się chłopak.

– Mam nadzieję, że to nie problem. Obiecałam, że mu pan zapłaci.

– Ale pięć kawałków? Nie spodziewałem się tak wysokiej sumy. Nie wiem, skąd wezmę tyle pieniędzy. Mam zaoszczędzone jakieś dwa tysiące trzysta. Byłoby więcej, gdybym nie musiał spłacać kredytu studenckiego. Mogłaby pani znaleźć kogoś tańszego?

– Raczej nie, dziś jest niedziela. Zresztą Griff twierdzi, że to i tak niewiele, a ja mu wierzę.

– Zgodzi się na mniejszą kwotę? – Zachary uniósł brwi i spojrzał z nadzieją na Christine. – Później powinien dostać więcej, jak prawnicy w telewizji, którzy pobierają procent od wygranej sprawy.

– To zupełnie co innego. Dotyczy tylko spraw cywilnych – wyjaśniła wzruszona jego naiwnością.

– Mogłaby mi pani udzielić pożyczki? Dołożyć resztę do moich dwóch tysięcy trzystu dolarów?

– Nie wiem – wyjąkała zakłopotana.

– Oddam. Po napisaniu książki będzie sobie pani mogła odliczyć tę sumę od mojego honorarium. Zamierzała mi pani przecież zapłacić, tak?

– Muszę się nad tym zastanowić.

Zachary zwrócił się do Lauren:

– A pani mogłaby coś dołożyć? Oddam z zysków ze sprzedaży książki, przysięgam. Na razie nie mam możliwości zarobienia na dobrego obrońcę.

– Raczej nie. – Lauren nerwowo wierciła się na krześle. Christine poczuła się winna, że postawiła ją w tak niekomfortowej sytuacji.

– Zachary, Lauren tylko mi pomaga jako asystentka. W dodatku za darmo. Jeżeli ktokolwiek miałby ponieść koszty, powinnam to być ja.

– Może pani?

– Powtarzam: muszę pomyśleć. Zastanowię się nad tym po powrocie do domu.

– Da mi pani znać?

– Tak – obiecała, żeby zakończyć wątek finansowy. – Tymczasem odłożmy rozmowę o pieniądzach, ponieważ mam panu do zakomunikowania coś ważniejszego. Według Griffa nie możemy więcej rozmawiać. Od tej pory

kwestie związane ze sprawą może pan omawiać wyłącznie z nim.

– Dlaczego? – Zachary zrobił smutną minę.

– Treść wszystkich tych rozmów, jak i moich notatek, oskarżenie może wykorzystać w sądzie. Nie jest chroniona tajemnicą adwokacką. – Christine wskazała znacząco swój notes. Przećwiczyła w myślach tę część rozmowy.

– Nie możemy się więcej spotykać? – Jego twarz wyrażała rozczarowanie.

– Nie, to ostatni raz – odpowiedziała, skrywając własny zawód.

– A książka?

– Będzie musiała poczekać. Teraz najważniejsze jest pańskie dobro. Tak twierdzi Griff, a ja się z nim zgadzam. – Christine mówiła szczerze.

– Ale ja lubię z panią rozmawiać. Lubię panią. – Przeniósł wzrok na Lauren i z powrotem na Christine. – Obie panie lubię. Miło porozmawiać z kimś normalnym.

– Ja też lubię nasze rozmowy. – Starła się trzymać emocje w ryzach, przyszła tu w konkretnym celu, z misją. – Zainteresowała mnie pańska historia, cieszę się, że mogłam pana lepiej poznać. Natomiast nie wybaczyłabym sobie, gdybym naraziła pana interesy z powodu książki. To nie byłoby w porządku. Nie umiałabym potem spojrzeć w lustro.

– To bardzo altruistyczne podejście. – Zamrugał zaskoczony. – Doceniam pani troskę.

– Dziękuję. – Christine poczuła wyrzuty sumienia, ale nadała twarzy neutralny wyraz. – Nie powinien się pan spotykać z nikim innym, żadnymi reporterami ani pisarzami.

– Nawet z filmowcami? – Zachary zmarszczył brwi. – Byli u mnie tacy z Los Angeles. Obiecali, że jeszcze wrócą.

– Nawet z nimi.

– Ale jeden zna kolegę J.J. Abramsa. Mają znajomości wśród naprawdę sławnych ludzi.

– Rozumiem, ale Griff powiedziałby nie.

– Oni na sto procent mieliby pieniądze na adwokata. Chcieli nakręcić o mnie film, kupić prawa do mojej historii. Powiedzieli, że załatwią mi agenta i wszystko.

– Niech pan porozmawia o tym z Griffem. – Zawahała się. – W każdym razie radził, żebym już pana nie odwiedzała, a dziś ograniczyła się do tematów dotyczących pańskiej przeszłości i nie nawiązywała do sprawy. W porządku. Chcę, żeby ta książka była przede wszystkim o panu, więc najbardziej mnie

interesuje, co pana ukształtowało.

– Fajnie – rozpogodził się.

– Zaczynamy. – Christine wzięła do ręki ołówek. – Po pierwsze, pozwolę sobie wyznaczyć, że obie byłyśmy wczoraj poruszone pańską opowieścią o siostrze. Nie musimy do tego wracać, nie chcę rozdrapywać pańskich ran.

– Dobrze, dziękuję.

– To zadziwiające, że wbrew przeciwnościom losu zdołał pan dostać się na studia i ukończyć je z wyróżnieniem.

– Tak, proszę nie zapominać o *magna cum laude*.

– Ja też ukończyłam studia z wyróżnieniem. Ojciec żartował, że to dlatego, że byłam najgłośniejsza.

Roześmieli się wszyscy troje. Christine zauważyła, że Zachary wyraźnie się rozluźnił.

– Wspomniał pan, że zawsze marzył o skończeniu medycyny. Dlaczego? – Czekala na odpowiedź z uniesionym ołówkiem.

– Chcę pomagać ludziom. Myślę, że leczenie innych daje dużą satysfakcję.

– Można powiedzieć, że pan również jest altruistą.

– Raczej tak. – Popatrzył na nią ciepło swoimi błękitnymi oczami. Niezaprzeczalnie łączyła ją z nim jakaś więź.

– A ulubiony przedmiot w szkole?

– Hm. – Uśmiechnął się i lekko przechylił głowę na bok. – Na pewno bym polubił anatomię. Moja dziewczyna miała na pierwszym roku zajęcia z anatomii. Pomagałem jej w nauce, przepytywałem ją, bo trzeba dużo zapamiętać. Raz nawet zabrała mnie ze sobą do labu, choć to wbrew regulaminowi.

– Do labu? – powtórzyła zaskoczona nagłą zmianą tematu.

– Laboratorium anatomicznego. Uwielbiałem ten przedmiot, chociaż jest najtrudniejszy. Wymaga spędzania wielu godzin w laboratorium, preparowania, oglądania. Moja dziewczyna pokazała mi, jak to wygląda. Zwłoki najpierw leżą na brzuchu, potem przewraca się je na plecy i widać twarz denata. Przez to sytuacja staje się jeszcze bardziej realna. – Zachary przerwał, ale wyraz jego twarzy pozostał taki sam, niemal rozmarzony. – Opowiadała, że otworzyli klatkę piersiową, rozcięli kończyny górne, potem dolne, brzuch, potem odpiłowali nogę...

– Ona odpiłowała nogę nieboszczyka?! – zawołała Lauren.

Christine zaniepokoiła beznamietność Zachary'ego, ale nie dała nic po sobie

poznać, żeby go nie spłoszyć.

– Tak, musieli, żeby wyizolować miednicę. Potem zajęli się twarzą, która składa się z maleńkich kości i mięśni. Oczy, jama nosowa, kanał uszny, mnóstwo struktur nerwowych, zwłaszcza nerw twarzowy ze wszystkimi rozgałęzieniami. – Na chwilę zatonął we wspomnieniach. – Potem przy użyciu piły do kości otworzyła czaszkę i wyjęła mózg. Był jej potrzebny do zajęć z neurologii w semestrze wiosennym.

Christine zrobiło się niedobrze, nie tylko z powodu drastyczności opowieści, ale też pasji, z jaką Zachary rozprawiał o szczegółach ludzkiej anatomii.

– Trudno by mi było tego słuchać podczas kolacji, a co dopiero zobaczyć na własne oczy.

– Ja potrafiłem się zdystansować. Zwłoki leżały w oddzielnych, metalowych skrzyniach, przy każdym denacie wisiała kartka z informacją o wieku, zawodzie i przyczynie zgonu. Nie wiedziała nawet, jak nałożyć ostrze skalpela na trzonek, musiałem jej pokazać.

– Skąd pan wiedział?

– Z pracy. O skalpelach wiem wszystko. Brigham produkuje trzydzieści siedem rodzajów na trzech liniach produkcyjnych. Różnią się ceną i przeznaczeniem. – Pokiwał głową. – Pierwsze nacięcie, w zależności od miejsca i grubości tkanki, wykonuje się innym ostrzem. Nie będę was zanudzał, to specjalistyczne informacje, ale po przebiciu naskórka skalpel powinien wejść gładko w ciało, dopóki nie natrafi na barierę kości lub mięśni. Do wyjątków należy twarz, trudno się ją obiera. Tłuszcz jest żółty i lepki, niemal jak dojrzałe mango.

– Fuj – wyrwało się Christine, zanim zdążyła nad sobą zapanować. Nie powinno jej dziwić, że przyszły student medycyny rozkoszuje się omawianiem szczegółów ludzkiej anatomii, ale przeszył ją zimny dreszcz. Lauren musiała mieć podobne odczucia, bo odsunęła się od szyby.

– Żałuje pani, że zapytała? – Uśmiechnął się, szykując do kontynuowania tematu. – Moja dziewczyna pokazała mi notatki z zajęć. Wyczytałem, że podstawą jest znalezienie właściwego pasma twarzoczaszki, warstwy powięzi, miejsca, gdzie łatwo oddzielić poszczególne mięśnie. Podobno znalezienie właściwego pasma przesądza o tym, czy sekcja będzie trwała dwie godziny, czy też cztery, i to z użyciem kleju.

– Kleju? – Christine myślała, że się przesłyszała.

– Tak, każdy student medycyny ma zapas superglue – zachichotał ze

znawstwem. – Przydaje się przy zerwaniu nerwu podczas odsuwania mięśnia albo przypadkowego przecięcia niewłaściwego pasma. Odrobina dobrego kleju i nerw wraca na swoje miejsce. – Zachary rozparł się na krześle, wyraźnie odprężony. – Wie pani, co by mi sprawiło największą przyjemność? Preparowanie serca. To musi być najfajniejsze. Chciałbym prowadzić badania naukowe na sercu.

– Dlaczego? – zapytała zszokowana, przypominając sobie szczegóły śmierci Gail Robinbrecht i pozostałych dwóch kobiet zmarłych od pojedynczej rany kłutej w lewą komorę serca. Nie mogła zrozumieć, czemu Zachary o tym mówi. Przecież na pewno czytał jakieś doniesienia prasowe na ten temat. Nie przerywała mu jednak, pochyliła się nad notatkami, by ukryć emocje.

– Najpierw trzeba przeciąć żebra, żeby otworzyć klatkę piersiową, potem osierdzie, czyli błonę, która okala serce. – Zachary przeciął powietrze dłonią, jakby trzymał w niej wymaginywany skalpel. – Następnie, pojedynczo, główne naczynia krwionośne. Naczynia wieńcowe, aortę, tętnicę płucną. Wtedy, po odseparowaniu organu od struktur łączących go z ciałem, można go wyjąć z worka osierdziowego. – Zamilkł, uśmiechając się od ucha do ucha. – I człowiek trzyma w rękach ludzkie serce.

– Skąd pan to wie? – zapytała z przerażeniem Christine. – Od swojej dziewczyny?

– Tak. Miałem też okazję uczestniczyć jako obserwator w operacji na otwartym sercu. Chirurgi wyrazili zgodę na obecność moją i mojego szefa, żebyśmy mogli zobaczyć, jak nasze narzędzia sprawują się na sali operacyjnej. Najbardziej zaskoczyło mnie to, że serce jest takie małe. Naprawdę maleńkie jak na organ, który utrzymuje nas przy życiu. O wiele mniejsze od płuc i wątroby. – Błękitne oczy Zachary'ego rozbłysły w uniesieniu. – Bada się powierzchnię, cztery jamy, unaczynienie prawego przedsionka, prawej komory i zastawkę trójdzielną. – Narysował pętlę w powietrzu. – Idziemy dalej do arterii płucnej i płuc, zawracamy przez żyłę płucną i zastawkę mitralną lub dwudzielną do lewego przedsionka i lewej komory. Lewa komora stanowi centrum dowodzenia. Pompuje krew do całego organizmu przez główną aortę.

Christine nie mogła tego dłużej znieść.

– Zdaje pan sobie sprawę, że w taki sposób została zamordowana Gail Robinbrecht? Wszystkie trzy ofiary zmarły od ciosu ostrym narzędziem w lewą komorę serca.

– Tak. W gazetach piszą, że morderca musiał być lekarzem lub studentem

medycyny. Cóż, jeśli tak, to kiepskim – oznajmił z wyższością. – Można kogoś zabić ciosem w lewą komorę, ale ten sposób wymaga użycia sporej siły. Serce jest schowane pod płucami, lewa komora znajduje się na dole po prawej stronie, o tu, w miejscu nazywanym koniuszkiem serca. – Zachary wskazał swoją klatkę piersiową. – Morderca musiałby wycelować między drugą a piątą przestrzeń międzyżebrową po lewej stronie, po czym skierować ostrze do góry, żeby trafić w koniuszek serca.

Christine zachowała zimną krew, a Zachary kontynuował, nieświadom wrażenia, mrozącego słuchaczkom krew w żyłach.

– Odstępy między żebrami są niewielkie, około trzech centymetrów, dlatego trudno wcelować za pierwszym razem bez uderzenia w kość. Ostatecznie do tego służą żebra, chronią śródpiersie i worek osierdziowy przed zewnętrznymi uszkodzeniami – mówił z błyskiem zachwyty w oczach. – Ludzkie ciało jest cudownie zaprojektowane. Wszystko to, żeby chronić serce, utrzymać organizm przy życiu. Rzecz jasna można kogoś pozbawić życia w ten sposób, ale to bez sensu. – Wzruszył ramionami. – Co tylko potwierdza moją niewinność. Jestem mądrzejszy od tego mordercy. Gdybym chciał kogoś zabić ostrym narzędziem, celowałbym w tętnicę szyjną albo w prawą nerkę. Wtedy człowiek wykrwawia się na śmierć.

Christine miała mętlik w głowie. Znajomość anatomii nie oznaczała przecież winy Zachary’ego. Co więcej, on sam twierdził, iż osoba z prawdziwą, rzetelną znajomością budowy ciała człowieka wybrałaby inne modus operandi, a więc był niewinny.

– I jeszcze jeden problem z ciosem w lewą komorę bądź w jakąkolwiek inną część serca: to bardzo wytrzymały organ. W pierwszym momencie zaciśnie się, żeby zamknąć ranę, lecz im większe uszkodzenie, tym więcej będzie krwi pompowanej na zewnątrz ciała z każdym uderzeniem serca.

Wzdrygnęła się.

– Następnie serce zacznie bić coraz mocniej i szybciej, żeby dostarczyć więcej krwi do organizmu. Oczywiście większość wycieknie na zewnątrz, ale to jednak piękna rzecz. Nasz organizm został skonstruowany tak, aby chronić serce, a ono za wszelką cenę będzie ratować siebie i cały organizm. Wiedza, jak to wszystko działa, pozwala naprawdę docenić piękno ludzkiego ciała, prawda? – zapytał Zachary, ocknąwszy się z rozmarzenia. – Wiele bym dał za możliwość studiowania medycyny, podjąłbym się każdej pracy, żeby zarobić na chesne.

Christine dostrzegła okazję przekierowania rozmowy na tory, które ją najbardziej interesowały.

– Co pan robił, by zdobyć pieniądze?

– Wszystko. Pracowałem na trzech etatach. Byłem bileterem w kinie, udzielałem korepetycji z matematyki i kelnerowałem. Sprzedałem materac na eBayu. Sprzedałem samochód. Nawet własne osocze.

– Można sprzedać osocze? – Christine wyczuwała, że wkrótce pozna odpowiedź na najważniejsze pytanie.

– Pewnie, krew też sprzedawałem. A nawet... – Christine wstrzymała oddech, ale Zachary nie dokończył zdania.

– Co jeszcze pan sprzedał? – spytała z pozorną lekkością, choć jej serce uderzało jak młot pneumatyczny.

– Powiem, ale pod warunkiem, że nie wspomni pani o tym w swojej książce. – Chłopak obejrzał się przez ramię i nachylił konspiracyjnie. – Sprzedawałem spermę. Nazywają to oddawaniem, nie wiem czemu, skoro za nią płacą.

Christine zamarła. Ćwiczyła wczoraj w myślach swoją reakcję na odpowiedź, którą usłyszy. Nagle wiedza znalazła się w zasięgu dłoni. Umierała z chęci poznania prawdy, a jednocześnie panicznie się jej bała. „Weź się w garść”, nakazała sobie w duchu.

– Był pan dawcą spermy? Zawsze się zastanawiałam, jak to działa.

– Pewnie pani wie – zachichotał Zachary. – Cóż, może to dziwne, ale co tam. Naprawdę dobrze płacili. Umowę z dawcą podpisują na rok. Pomyślałem, że przy okazji komuś pomogę, a naprawdę potrzebowałem tych pieniędzy. Rodzice by mnie zabili, gdyby się dowiedzieli. Według nich, jeśli ktoś nie może mieć dzieci, nie powinien ich mieć. Uznaliby, że przeciwstawiam się boskiej opatrności. Więc nikomu nie powiedziałem.

Christine poczuła zawroty głowy. Wszystko, co mówił, pokrywało się z informacjami zamieszczonymi na profilu dawcy. Musiała dowiedzieć się więcej.

– Ile panu zapłacili?

– Zarobiłem tysiąc dolarów i polubiłem personel banku.

– Banku? – zapytała, udając nieznaną tematu.

– Banku spermy. Nazywa się Homestead.

– Ach? – Zacisnęła dłoń na ołówku.

– Mieli laboratorium blisko uczelni. Zgodzili się ukryć moją tożsamość, inaczej bym się nie zdecydował. Dostarczyłem im dwa zdjęcia, ponieważ

nalegali. Opublikowali je na swojej stronie internetowej, ale bez nazwiska.
Przydzielają dawcom numery.

- Numery?
- Tak.
- A panu jaki przydzielili?
- Dlaczego pani pyta? – Zmarszczył brwi.
- Z ciekawości.
- Miałem numer 3319.

ROZDZIAŁ 24

Gdy usłyszała ostateczne potwierdzenie, że Zachary jest jej dawcą, ich dawcą, ojcem dziecka, jego biologicznym ojcem, mózg Christine zapłonął milionem myśli, zelektryzował zmysły, doprowadzając do przeciążenia całego organizmu.

Nie wiedziała, co powiedzieć, co zrobić, świat zaczął się od niej oddalać, podobnie jak przed paroma dniami, gdy oglądała wiadomości i doznała wrażenia przebywania poza własnym ciałem, słyszała słowa, a jednocześnie obserwowała siebie z boku. Bała się, że zwymiotuje, zemdleje, wybuchnie płaczem lub odkryje karty w jakiś inny sposób.

Miała wrażenie, że minęło dziesięć minut, lecz w rzeczywistości była to zaledwie chwila. Lauren przejęła kontrolę nad sytuacją. Przysunęła się z uśmiechem do szyby i zadała Zachary'emu jakieś pytanie. On z uśmiechem odpowiedział. Christine była zbyt wstrząśnięta, by rozumieć, co się wokół niej dzieje. Serce waliło jak młotem, w ustach zaschło na wiór, oblała się zimnym potem.

Potwierdziły się jej najgorsze przeczucia, od początku miała rację, Zachary był dawcą 3319. Nie wiedziała, co dalej. Ojciec dziecka, które w sobie nosiła, został zatrzymany za morderstwo, wręcz serię morderstw, i – choć nie wykluczała jego niewinności – mógł równie dobrze być diabłem wcielonym.

Strażnik podszedł do więźnia oddzielonego od kobiet pleksiglasową szybą. Christine uświadomiła sobie, że czas wizyty dobiegł końca, musi zostawić Zachary'ego, pożegnać się z nim. Zmobilizowała wszystkie siły, żeby wrócić do rzeczywistości, ale czuła się strasznie rozdarta, dwie sprzeczne emocje zderzały się ze sobą na podobieństwo gargantuicznych fal. W jednej chwili dowiedziała się, że Zachary jest jej dawcą i że nigdy więcej go nie zobaczy.

Chłopak odwrócił się do strażnika, który wyciągnął kajdanki. Tymczasem Lauren kontynuowała rozmowę, a Zachary jej odpowiadał. Uśmiechali się oboje. Christine chciała się przyłączyć, ale nie potrafiła. Przeżyła zbyt silny

wstrząs. Kajdanki zabrzęczały, Zachary wyciągnął rękę, zamek zatrzasnął się z głośnym kliknięciem. Ten dźwięk wytrącił Christine z transu. Zdała sobie sprawę, że jeśli teraz nie weźmie się w garść, straci jedyną okazję, żeby się z nim pożegnać.

– Zachary? – Wstała z krzesła.

– Do widzenia, Christine. – Uśmiechnął się. – Proszę, czy pożycz mi pani te pieniądze na adwokata? Po procesie napiszemy książkę i zapłacę z mojego honorarium. Bardzo proszę.

– Skontaktujemy się z Griffem – odpowiedziała za nią Lauren. – Trzymaj się, Zachary. Wszystkiego dobrego. Do widzenia! – Lauren zwróciła się do Christine i popatrzyła na nią nagle.

– Do widzenia, Zachary – powiedziała posłusznie przez zaciśnięte gardło.

– Bardzo proszę! – zawołał jeszcze Zachary, wyprowadzany za łokieć przez strażnika.

Lauren ujęła przyjaciółkę pod rękę i wyprowadziła z kabiny niemal w ten sam sposób, w jaki strażnik eskortował więźnia. Christine, która nadal była zszokowana i oszołomiona, pozwoliła się poprowadzić Lauren przez salę ze zbieraniną krzesel, wystawą prac plastycznych więźniów oraz dużymi oknami po prawej stronie wychodzącymi na podwórko i graffiti „Dbaj o swoje dziecko”.

„Miałem numer 3319”.

Strażnik pilnujący drzwi głównej sali odwiedzin poprowadził je w ciszy po schodach i przez bramkę z wykrywaczem metali, aby się upewnić, że niczego nie przemycą. Następnie Lauren powiodła Christine do poczekalni pełnej ludzi rozmawiających w różnych językach. Wyjęła z kieszeni klucz, otworzyła szafkę i sięgnęła po kluczyki samochodowe, gdy tymczasem Christine zmagą się z burzą emocji. Przeszły przez mroczne pomieszczenie i wyszły przez podwójne, przeszklone drzwi na oślepiające słońce.

– Tędy, kochanie – szepnęła Lauren. Minęło je dwóch umundurowanych strażników więziennych.

Christine osłoniła oczy przed rażącym światłem i odetchnęła głęboko, choć duszne, wilgotne powietrze utrudniało oddychanie.

– Będzie dobrze, Christine. – Lauren ścisnęła ją za rękę i zamilkła, ponieważ na parkingu było pełno ludzi.

Christine pokiwała głową. Starła się odzyskać panowanie nad sobą, nie myśleć o tym, czego się przed chwilą dowiedziała i co to dla niej oznacza.

Świadomie stawiała każdy kolejny krok, który oddalał ją od Zachary'ego. Z jednej strony chciała znaleźć się jak najdalej stąd, z drugiej – czuła niezaprzeczalną więź z człowiekiem, który był ojcem jej dziecka.

Widok samochodu – zaparkowanego na samym przedzie parkingu, ponieważ przyjechały tak wcześnie – pomógł jej wrócić do rzeczywistości. To był jej samochód. Spłacała co miesiąc raty kredytu. Miała swoje życie w Connecticut. Męża, kredyt na dom, psa i kota. Wracała do siebie. Do domu. „Miałem numer 3319”.

Jednocześnie rozumiała, że zewnętrzne okoliczności kształtują nasz wewnętrzny świat. Zachary stał się częścią niej, dziecko, które nosiła, było w połowie jego dzieckiem. Przewrotność tej sytuacji, poczucie odgradzenia przy jednoczesnym połączeniu, pogłębiała zagubienie, niszczyła ją psychicznie, utrudniała rozeznanie we własnych uczuciach. Mimo wszystko szła dalej przed siebie.

Lauren otworzyła samochód, po czym zaprowadziła przyjaciółkę na siedzenie pasażera. Dopiero wtedy Christine zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie prowadzić, i rozpłakała się. Niezawodna jak zawsze Lauren przypięła ją pasami, bez których prawdopodobnie zsunęłaby się na podłogę, gdy wyjechały na trasę numer dwadzieścia dziewięć, kierując się ku domowi.

ROZDZIAŁ 25

Czekała na Marcusa, krzątając się po kuchni. Znajdowała coraz to nowe zajęcia, żeby tylko nie iść na górę. Nawet się nie przebrała po powrocie do domu, nie płakała już, ale tylko dlatego, że nie miała już siły. Była ogromnie wdzięczna Lauren, która zachowała się w ten weekend jak prawdziwa przyjaciółka, za co Christine nie omieszkała jej podziękować, gdy ścisnęły się na pożegnanie przed jej domem. Zgodnie stwierdziły, iż czas powiedzieć o wszystkim Marcusowi, lecz niekoniecznie we dwie.

Przejrzała rachunki i wytarła kosz na śmieci. Nie znosiła tego robić, zwykle starała się ignorować przykre zapachy, gdy zmieniała worek. Czasem walczyła z nimi odświeżaczami do powietrza, lecz nigdy nie mogła się zdobyć na to, żeby umyć plastikowe wiadro tak jak teraz, gdy niezdarnie szorowała je pod kranem w kuchni, obracała z wysiłkiem, aby opłukać.

Zapach śmieci przyprawił ją o mdłości, zmieszał się z hormonami i lękiem przed rozmową z Marcusem. Minęła dwudziesta pierwsza trzydzieści, dla Christine pora snu, odkąd zaszła w ciążę, ale jakiś wewnętrzny głos nie pozwalał jej pójść na górę. Nakazywał aktywność. Wołała porozmawiać z mężem twarzą w twarz, niż leżąc w łóżku. Do powrotu Marcusa była jakby zawieszona w próżni, miała wrażenie, że cały dom wstrzymał oddech. Prawdopodobnie ponosiła ją wyobraźnia. Murphy jak zwykle nie zdawał sobie z niczego sprawy, spał na swoim legowisku zwinięty w kłębek, dotykając podłogi tylną częścią ciała, ponieważ na środku pościania panoszył się kot.

Christine wylała resztki wody z pojemnika na śmieci. Aby nie marnować papierowych ręczników, chwyciła ścierkę i, zanurzwszy całą rękę we wnętrzu wiadra, wycierała je, tak że zmoczyła rękaw sukienki.

W tej samej chwili usłyszała odgłos otwieranych drzwi, Murphy natychmiast uniósł głowę, najwyraźniej nie spał tak mocno, jak sądziła Christine. Lady przewróciła się tylko na drugi bok.

– Kochanie?! – zawołał Marcus i zabrzączał odkładanymi na stolik kluczykami, po czym podprowadził torbę na kółkach do schodów, aby ją później wnieść na górę. Zawsze wykonywał rutynowo te same czynności, dzięki temu rzadko coś gubił. Christine martwiła się, jak taki uporządkowany człowiek przyjmie jej chaotyczną relację.

– Jestem w kuchni! – Rozłożyła ścierkę na granitowym blacie. Miała zamiar odwrócić kosz i zostawić go na noc do wyschnięcia.

– Hm – mruknął do siebie, zdziwiony, że jeszcze się nie położyła. Usłyszała jego kroki, podeszwy półbutów uderzały o posadzkę powoli i miarowo, długonogi Marcus nigdy nie musiał się spieszyć, aby wszędzie zdążyć na czas.

– Cześć – powiedziała. Właśnie miała się odwrócić, kiedy kosz przechylił się niebezpiecznie i podskoczyła, żeby go przytrzymać.

– Pomogę ci. – Stał za nią. Zbyt blisko, Christine nie była na to gotowa. Ponadto podejrzewała, że po wysłuchaniu jej relacji Marcus zapragnie znaleźć się jak najdalej od niej. Zrobiła krok w tył i zwróciła się w jego stronę.

– Dobrą miałeś podróż? – zapytała oparta o blat. To pytanie uświadomiło jej dobitnie, jak bardzo źle jest między nimi.

– Kochanie? – Patrzył na nią z osobliwą mieszaniną zdziwienia, niepokoju i czułości. – Coś się stało? Płakałaś?

– Tak. – Przełknęła nerwowo ślinę, bo nie wiedziała, od czego zacząć.

– Skarbie, posłuchaj mnie. Nie kłóćmy się już więcej. – Zrobił krok w jej kierunku i westchnął pojednawczo. – Rozmyślałem przez całą drogę. W samolocie najlepiej mi się myśli. Najlepsze pomysły przychodzą mi do głowy właśnie podczas lotów, sama wiesz.

Skinęła głową.

– Wiem, ale...

– Naprawdę uważam, że tak będzie najlepiej. Rozmawiałem dzisiaj z Garym, pozew jest gotowy. Jesteśmy jutro umówieni na złożenie podpisów i można zaczynać. Pozew dotyczy wyłącznie Homestead, ani słowa o Davidowie...

– Marcus.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, ale tak postanowiłem. Założenie sprawy przeciwko Homestead jest korzystne dla nas obojga. Ktoś inny będzie działał w naszym interesie, to nam oszczędzi dużo stresu. Nie dokładajmy sobie zmartwień, kłócąc się między sobą.

Christine chciała mu przerwać, lecz Marcus był zdeterminowany, by

dokończyć myśl.

– Pozwólmy Gary’emu się tym zająć, od tego są prawnicy. Mamy pieniądze, zapłacimy, ile trzeba. Poszczujmy go na tych ludzi, niech się dowie, kto jest naszym dawcą. To jego praca, nie nasza.

– Marcus – powiedziała już bardziej stanowczo, ale on zdawał się jej nie słyszeć.

– Zbyt wiele tu niewiadomych. Wpadamy w panikę z powodu hipotetycznej sytuacji. Może się okazać, że Jeffcoat nie jest naszym dawcą, a my zachowujemy się, jakby nim był. Nie ma sensu się denerwować, dopóki...

– Muszę ci coś powiedzieć. – Zebrała się na odwagę. Wysunęła spod blatu wysoki stołek z drewna wiśniowego, bo poczuła, że musi usiąść. Przemknęły jej przez głowę sceny z filmów, w których osoba przekazująca złe wieści mówi swojemu rozmówcy: „lepiej, żebyś usiadł”, tymczasem to ona musiała usiąść. Uzmysłowała sobie bowiem w tym momencie, iż gorsza od usłyszenia najstraszniejszej wiadomości w życiu jest tylko konieczność jej przekazania.

– Coś się stało?

– Tak.

– Co? – Wyprostował się. Wyglądał teraz jak typowy ojciec rodziny z przedmieścia, którym chciał zostać, ubrany w niebieską koszulę i spodnie khaki, ale coś w jego postawie sprawiało, że budził w niej uczucia opiekuńcze. Patrząc na zwieszane po bokach ręce i odsłoniętą klatkę piersiową, poczuła, że nie chce go skrzywdzić, i przypomniała sobie słowa Zachary’ego o tym, jak ludzkie ciało zostało zaprojektowane, aby chronić serce. Jednak uświadomiła sobie, że ostatecznie nic nie jest w stanie ochronić ludzkiego serca, żaden mięsień, żadna kość, nic.

Wzięła głęboki oddech.

– Pojechałam w ten weekend do Graterford. Widziałam się z Zacharym Jeffcoatem. Przyznał się, że jest dawcą 3319. Nie potrzebujemy adwokata ani sprawy sądowej. Znamy odpowiedź.

Marcus zamrugnął dwukrotnie, poza powiekami nie poruszył żadną inną częścią ciała, przez chwilę wydawało się, że upadnie do tyłu, jakby był wycięty z kartonu.

– Wiem, że to szokująca, potworna wiadomość, ale taka jest prawda. Chciałam wiedzieć i dowiedziałam się.

– To ma być żart? – zapytał cicho. Murphy, który czekał na powitalne pieszczoty pana, zwiesił łeb, wyczuwając napięcie.

- Nie – odpowiedziała po prostu. – Zaraz ci wszystko opowiem...
- Chwileczkę. – Marcus powstrzymał ją gestem. – Chcesz powiedzieć, że nie byłaś w Jersey?
- Nie byłam w Jersey.
- Na twarzy Marcusa pojawił się grymas. Równie dobrze mogła mu zadać cios w serce. Fakt, że go okłamała, wstrząsnął nim jeszcze bardziej niż wiadomość o tym, iż Zachary Jeffcoat okazał się ich dawcą.
- Lauren była z tobą?
- Tak, pojechaliśmy razem.
- Jak tam dotarliście? Gdzie nocowaliście?
- Moim samochodem, a zatrzymaaliśmy się w pensjonacie nieopodal więzienia – wyjaśniła. Rozumiała, że wypytywanie o szczegóły ułatwia Marcusowi oswojenie tematu przed podjęciem najważniejszego wątku.
- Czyli gdzie? Na obrzeżach Filadelfii?
- W Collegeville. Na wsi.
- Więc dzwoniłaś do mnie z hotelu niedaleko więzienia, tak?
- Tak.
- Skrzywił się po raz kolejny, ale musieli przez to przejść.
- Lauren powiedziała Joshowi, gdzie jest?
- Tak – przyznała Christine. – Przepraszam, że cię okłamałam, Marcusie. Przykro mi, to nie było w porządku, zdaję sobie sprawę. Ale najważniejsze, że się dowiedziałam. On jest naszym dawcą, powiedział mi, nie musiałam nawet pytać wprost. Nie wie, kim jestem...
- Co mu powiedziałaś? Przedstawiłaś się? – Marcus zmarszczył brwi, na jego twarzy malował się ból, choć głos pozostał spokojny, a pytania wyważone. Christine wiedziała, że dzięki temu opanowaniu jest tak skuteczny w swojej pracy. Wkraczał na teren budowy, zadawał właściwe pytania, identyfikował problem i proponował rozwiązanie. Jednak w tej sytuacji nie istniało dobre rozwiązanie, żadne rozwiązanie.
- Podałam nazwisko, ale nie wyjawiałam prawdziwego powodu wizyty. Nie wie, że jest naszym dawcą.
- Rozmawiałaś z nim osobiście? – Marcus otworzył szeroko oczy ze zdumienia. – Poszłaś do więzienia i spotkałaś się z seryjnym mordercą?
- Nie jest seryjnym mordercą, nie postawiono mu zarzutów w sprawie pozostałych...
- Ty tak poważnie? Nie wierzę własnym uszom. – Odstąpił krok do tyłu,

oszołomiony. – Spotkałaś się sama z seryjnym mordercą?

– Lauren ze mną poszła...

– Lauren z tobą poszła. Ty i Lauren rozmawiałyście z seryjnym zabójcą i ustaliłyście, że to właśnie jego nasienie kupiliśmy. Po prostu zapytałaś, tak?

– Tak i...

– Użyłaś podstępu? Nie powiedziałaś mu, po co przysłałaś i dlaczego chcesz wiedzieć? Posłużyłaś się fałszywą tożsamością? – Marcus otworzył usta i wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

– Mamy odpowiedź na nasze pytanie, znamy prawdę...

– Skąd możesz wiedzieć, czy powiedział ci prawdę? Może kłamał? Przecież to kryminalista, seryjny morderca. – Kręcił głową, nie mogąc otrząsnąć się z szoku.

– Nie kłamał. Nie miał powodu. Nie chciał mi powiedzieć. Musiałam go naprowadzić...

– Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. To do ciebie niepodobne! Nigdy nie zrobiłaś niczego podobnego.

– Nigdy nie byłam w podobnej sytuacji. Chyba nie potrzebujemy w związku z tym całego zamieszania w sądzie. Wiemy już, kto jest naszym dawcą. Może Gary zadzwoniłby do nich po prostu z informacją, że odkryliśmy prawdę. Moglibyśmy zawrzeć jakieś porozumienie, na wypadek gdyby dziecko potrzebowało diagnostyki i pomocy psychologicznej.

– Dlatego tam pojechałaś? Żeby uniknąć sprawy w sądzie?

– Nie, pojechałam tam, ponieważ musiałam się dowiedzieć. Nie mogłam dłużej żyć w niepewności i znalazłam sposób. – Christine szukała właściwych słów, miała problem z uporządkowaniem myśli. – Wiedziałam, że się zdenerwujesz i jak dziwnie to wszystko wygląda. Przepraszam, że skłamałam. Ale spotkałam się z nim, dwa razy...

– Dwa razy? – Marcus znów pokręcił głową.

– To miły chłopak, inteligentny. Uroczy. Dobrze się z nim rozmawia.

– Uroczy? – Poczzerwieniał ze złości. – Kochanie, Ted Bundy też był uroczy.

– Nie wierzę. Po prostu nie wierzę.

– On nie jest jak Ted Bundy. Zachary jest...

– Zachary? Przeszliście na ty? On nazywa cię Christine? Zachary i Christine?

– Marcus. Rozmawialiśmy...

– Nie rozumiem, co tobą kierowało. Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz po usłyszeniu takich wieści. – Odsuwał się od niej. Nie był zły, raczej

załamany.

– Mam świadomość, jakie to trudne, ale teraz przynajmniej wiemy, kto jest naszym dawcą. Znamy jego nazwisko, wiemy, jak wygląda. Mam wątpliwości, czy został słusznie oskarżony o morderstwo. Możliwe, że jest niewinny i...

– Ja nie chcę wiedzieć, kto jest dawcą! – Marcus wycofywał się coraz dalej, przygnieciony ciężarem tych wieści.

– Co ty mówisz? Oczywiście, że chcesz. – Wstała zdeorientowana.

– Nie. Byłem zadowolony z tej anonimowości. Nie rozumiesz?

– Nie rozumiem. Sam postanowiłeś pozwać bank, wydobyć informacje.

– Gary miał to zrobić, prawnicy. Ludzie w garniturach rozmawiający ze sobą przez telefony. Korporacje, agencje ubezpieczeniowe... – Marcus wciąż kręcił głową. – A nie moja żona podczas spotkania oko w oko z mordercą.

– Co za różnica kto i kiedy? Najważniejsze, że wiemy i...

– Nie chcę być okłamywany. Nie życzę sobie, żebyś się z nim spotykała i na własną rękę dowiadywała się, kto jest prawdziwym ojcem twojego dziecka.

Christine poczuła suchość w ustach, słysząc zazdrość w głosie męża. Spodziewała się, że będzie zły, nawet wściekły, ale nie przewidziała zazdrości i bólu.

– Marcus, to nie tak...

– Nosisz jego dziecko, Christine. Spotkałaś się z człowiekiem, z którym jesteś w ciąży.

Wreszcie zrozumiała i poczuła się strasznie.

– Przepraszam, Marcusie...

– Podczas terapii mnóstwo czasu poświęciliśmy na rozmowy o tym, że dawca jedynie dostarcza materiał genetyczny. Chciałem, aby tak pozostało. Taką zawarliśmy umowę. – Patrzył na nią z wyrzutem i kręcił głową, wycofując się w stronę drzwi. – Zachary'emu zależało na anonimowości i wiesz co? Mnie też. Odpowiadało mi to.

Szła w jego stronę, pragnęła go jakoś pocieszyć, widziała, jak bardzo cierpi.

– Marcus, źle na to patrzysz.

– Wcale nie. Nie umawialiśmy się, że pobiegiesz spotkać się z nim w tajemnicy przede mną. – Niebieskie oczy Marcusa zapłonęły gniewem. – Czyją jesteś żoną? Czyją kobietą? Jego czy moją?

– Oczywiście, że twoją...

– Ale jesteś z nim w ciąży. Z Zacharym. Nie obchodzi cię nawet, że siedzi w więzieniu za zamordowanie pielęgniarek. Jesteś po jego stronie.

- Nie ma żadnych stron...
- Owszem, są! Ty jesteś po jednej, ja po drugiej. Poprawka, ty, Zachary i dziecko jesteście po jednej, a ja po drugiej.
- Bzdura! – zawołała Christine, ale Marcus był już na korytarzu.
- Zostaw mnie. Po prostu daj mi spokój.
- Poszła za nim.
- Marcus, przepraszam. Nie pomyślałam. Nie chciałam, żeby tak wyszło.
- Cóż, wyszło, jak wyszło. – Wszedł do dużego pokoju i zapalił światło. – Jestem zmęczony po całodziennym podróży i piekielnym weekendzie w pracy. Będę spał na kanapie, chcę zostać sam.
- Możemy o tym porozmawiać...
- Nie chcę z tobą rozmawiać. Muszę sobie wszystko przemyśleć w samotności. – Wyciągnął rękę, nie pozwalając jej się do siebie zbliżyć. Stała bez ruchu. Podszedł do nich zdezorientowany Murphy, powoli machając ogonem. Nikt nigdy nie wchodził do dużego pokoju.
- Na pewno?
- Zdecydowanie. – Wskazał schody. – Proszę, idź na górę, ja zostanę na dole. Rano pojedziemy do Gary'ego.
- Dobrze – powiedziała z rozpaczą.
- Gwizdnął na psa.
- Chodź, Murph.

ROZDZIAŁ 26

Czekali na adwokata. Zajęli skórzane fotele naprzeciwko rzeźbionego biurka. Theresa podała im kawę w filiżankach z prawdziwej porcelany. Od rana zamienili ze sobą nie więcej niż dwa słowa, unikali się podczas przygotowań do wyjścia z domu. Christine włożyła niebieską szmizjerkę, a Marcus, który po spotkaniu szedł do pracy, szary garnitur i jedwabny krawat. Christine miała zamiar wrócić do domu, toteż przyjechali dwoma samochodami, co było prawdziwym błogosławieństwem, ponieważ wspólna podróż mogłaby się okazać nie do zniesienia.

– Witajcie, Nilssonowie! – zakrzyknął radośnie Gary i klasnął w dłonie, po czym obszedł biurko i opadł na swój ergonomiczny tron. – Przepraszam za spóźnienie!

– Miło cię widzieć, Gary – powiedział sztywno Marcus.

– Dzień dobry, Gary – dodała Christine.

– Cieszę się, że przyszliście. Uwielbiam takie błyskawiczne załatwianie spraw. – Gary otworzył brązową teczkę i wyjął dwa dokumenty zabezpieczone koszulkami. Jeden podsunął Marcusowi, drugi Christine. – Wyłumaczę wam wszystko po kolei, żebyście wiedzieli dokładnie, co zawierają.

– Gary – powiedział z kamiennym spokojem Marcus. – Zanim zaczniemy, wysłuchaj Christine.

Prawnik popatrzył stropiony na Christine.

– Nie mówcie, że się rozmyśliliście.

– Chodzi o coś innego. – Spięła się. – W tę sobotę pojechałyśmy z Lauren do Graterford. Odwiedziłyśmy w więzieniu Zachary’ego Jeffcoata. Nie wie, kim jestem, udawałam dziennikarkę. Przyznał się, że jest dawcą 3319.

– Poważnie? – Gary zamrugał powiekami, wyraźnie zdumiony, ale po chwili jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– To prawda – przyznała, nieco zdezorientowana. Nie oczekiwała pozytywnej reakcji. Spodziewała się raczej, że Gary będzie równie wściekły,

jak Marcus, tylko mniej zazdrosny, a właściwie wcale.

– Nieprawdopodobne! Udałaś się prosto do źródła, co? Uwielbiam taką niezależność. Nie spodziewałem się tego po tobie, szanowna pani.

– Ja też nie. – Roześmiała się mimowolnie, dając upust napięciu.

– Gdybym miał tylko takich klientów, poszedłbym z torbami – zachichotał prawnik.

Marcus z niedowierzaniem przenosił wzrok z jednego na drugie.

– Odbiło wam, do cholery?

– Poczekaj. – Gary uniósł dłoń. – Chcę poznać wszystkie fakty...

– Jakich jeszcze faktów potrzebujesz, Gary? – Pokręcił głową. – Nie zdajesz sobie sprawy z ryzyka? Nie rozumiesz, że naraziła się na niebezpieczeństwo? To więzienie o zaostrzonym rygorze, sprawdziłem w sieci. Wiesz, co za bestie tam siedzą?

– Prr, zatrzymaj się. Zwolnij, przyjacielu. – Gary już bez uśmiechu pochylił się nad biurkiem. – Wspominałem o rodzinnym upodobaniu do zawodu hydraulika. To dotyczy rodziny ojca. Po stronie matki dominowali kryminaliści. Drobnica, żadna tam mafia. Nie każdy Włoch należy do mafii, wiesz?

– Do czego zmierzasz?

– W więzieniu też siedzą ludzie. Od małego odwiedzałem w zakładzie wujka, a potem bratanka. Porządne chłopy. Popełnili w życiu kilka błędów. Jednego wsadzili za defraudację, drugiego za pobicie.

Marcus wyraźnie się zjeżył.

– Mam prawo martwić się o bezpieczeństwo żony.

– Twojej żonie nic nie groziło. Odwiedziła więźnia. Ludzie robią to codziennie. Nie paradowała nago po spacerniaku.

– Gary, facet jest seryjnym mordercą.

– Za kratkami. Facet jest seryjnym mordercą za kratkami. – Wskazał swoje zdjęcia z Serengeti. – Lew wsadzony za kratki nikogo nie skrzywdzi.

– Daj już spokój z tymi swoimi lwami. Rozmawiamy o mojej żonie. Pojechała tam bez mojej wiedzy.

Gary nawet nie mrugnął.

– Rozumiem, wolałbyś, żeby twoja małżonka nie podejmowała takich decyzji bez uzgodnienia z tobą, ale to osobna kwestia. Nie mieszaj ze sobą tych dwóch spraw.

– Ale to zaszkodzi sprawie, prawda? – Marcus odsunął papiery.

– Wręcz przeciwnie, jeszcze pomoże. – Gary podsunął mu dokument jeszcze raz. – Skoro Jeffcoat przyznał się, że jest dawcą 3319, będę próbował przekonać Homestead, iż zrezygnował z klauzuli poufności. Innymi słowy, nie muszą już chronić jego tożsamości, gdy sam ją ujawnił. Skoro on nie przestrzega umowy, oni także nie muszą.

Christine była zaskoczona i zadowolona. Nie sądziła, że zaszkodziła sprawie, ale też nie spodziewała się, iż jej pomogła.

Marcus zeszywniał.

– Ale użyła podstępny, zdobyła tę informację pod fałszywym pretekstem.

– To bez znaczenia z prawnego punktu widzenia. – Gary zmarszczył brwi. Marcus wyglądał na nieprzekonanego i niezadowolonego. – Marcus, wszystko zależy od sądu. To prawo kontraktowe. Homestead nie chciał uchylić klauzuli poufności z powodu pisemnej umowy z Jeffcoatem. W momencie, gdy druga strona umowy, czyli Jeffcoat, sama ujawnia swoje dane, jedyna osoba, która mogłaby pozwać bank za złamanie umowy, odpada z gry. Jeffcoat nie miałby szans na wygranie procesu za złamanie umowy, którą sam złamał wcześniej. Sąd z góry odrzuciłby taki pozew.

Marcus potrząsnął głową z konsternacją.

– Co z tego wynika w takim razie? Co teraz? Nadal chcę wkroczyć na drogę sądową. Chcę, aby bank poniósł konsekwencje swego zaniedbania. Zrujnował nam życie, małżeństwo.

Christine nerwowo przełknęła ślinę. Marcus miał rację. Ich małżeństwo było zrujnowane, ona także to czuła, nie mogła dłużej udawać przed samą sobą. Przechodzili kryzys. To wszystko działo się naprawdę. Przytrafiło się im. Jej. Ich rodzinie.

Gary jedynie wzruszył ramionami.

– Kto mówi o rezygnacji? Nie rezygnujemy. Wykonam telefon, przekonamy się, jak szybko i sprawnie możemy to załatwić. Mam zamiar poinformować Homestead, że ich dawca nie dotrzymał warunków umowy i muszą pójść z nami na ugodę. Po cichu. Bez rozgłosu. Tak jak wcześniej, nikt się nie dowie, zapłacą nam za milczenie.

Marcus się nie odezwał.

Christine walczyła z natłokiem myśli.

– Sądzisz, że zgodzą się na ugodę?

– Ja na ich miejscu bym się zgodził. – Gary zamilkł na moment. – Ale, ale, ale. Jest mały szkopuł. Wszystko zależy od tego, co powie ich ubezpieczyciel

i firma matka. Jeżeli odmówią, po prostu złożymy pozew, tak jak planowaliśmy. Nic nie tracimy. – Przysunął sobie klawiaturę i wcisnął kilka klawiszy. – Pozwólcie, że wrócę na chwilę do poprzedniego wątku. Christine, zamieniam się w słuch. Czego się dowiedziałas od Jeffcoata? Co dokładnie mówił?

Christine opowiedziała o uczelni medycznej, na którą Zachary się dostał, ale nie rozpoczął studiów z powodów finansowych. O jego głęboko wierzących rodzicach. Nawet o śmierci młodszej siostry. Gary zapisywał wszystko w komputerze, a Marcus przysłuchiwał się chciwie. Łudziła się, iż zmięknie po wysłuchaniu całej historii. Wyjaśniła, w jaki sposób Zachary wyjawiał jej swój numer dawcy. Nie wspomniała o wizycie przed domem Gail Robinbrecht, bo wydawało jej się to zbędne, niezwiązane z głównym tematem, a bała się, że rozwścieczy Marcusa. Pilnowała się też, żeby nie nazywać Jeffcoata po imieniu.

– To wszystko? – Gary popatrzył wyczekująco, jego drobne, szczupłe palce zawisły w gotowości nad klawiaturą.

– W zasadzie tak.

Marcus popijał resztki kawy w milczeniu, głośno stukając filiżanką o spodek.

Adwokat wrócił do pisania.

– Christine, czy Jeffcoat ma adwokata? Chciałbym wiedzieć, kim jest mój przeciwnik.

– Dostał obrońcę z urzędu, ale chyba zatrudni prywatnego adwokata. – Uświadomiła sobie, że Zachary rozmawia z Griffem właśnie teraz, w tym samym czasie, kiedy oni rozmawiają z Garym.

Prawnik zapisał sobie tę informację.

– Skąd wiesz? Od niego?

– Wydaje mi się, że ma zamiar zatrudnić miejscowego prawnika z West Chester. Francisa Griffitha.

– Dobrze wiedzieć. – Gary zanotował te informacje. – Griffith jest specjalistą od prawa karnego, tak?

– Tak – przyznała świadoma, że Marcus waży każde jej słowo. Nagle w jej torebce zabrzączał telefon. – Przepraszam, powinnam była wyłączyć.

– Żaden problem, nie jestem telefonicznym faszystą – uspokoił Gary, zajęty pisaniem.

Christine wyjęła aparat z kieszonki i zerknęła na wyświetlacz. Dzwonił

Griff. Odrzuciła połączenie, ale nie na tyle szybko, by Marcus się nie zorientował.

– Zaczekaj – warknął. – Czyżby o wilku mowa? Griff? Skrót od Griffith? Dzwoni do ciebie adwokat Jeffcoata?

– Tak. – Wsunęła telefon do torebki, a w duchu udzieliła sobie reprimendy za wpisanie Griffa na listę kontaktów.

– Po co? Skąd ma twój numer telefonu?

– Pomogłam Jeffcoatowi go zatrudnić – wyznała.

– Jak to „pomogłaś”?

– Miał tylko obrońcę z urzędu, a wolał kogoś miejscowego, więc pomogłam go znaleźć.

Gary przerwał pisanie, przysłuchiwał się rozmowie. Jego czarne włosy lśniły w słońcu.

Marcus zmarszczył brwi.

– Nie znałaś przecież żadnego miejscowego prawnika, prawda?

– Zadzwoiłam w kilka miejsc, nie było trudno – odrzekła, nie wdając się w szczegóły.

Rozchylił usta.

– Z jakiej racji mu pomagałaś?

– Obiecał, że w zamian powie mi wszystko, co chcę wiedzieć, a mnie zależało na informacji, czy jest naszym dawcą, więc się zgodziłam. – Zerknęła na Gary’ego, który przysłuchiwał się ze skrzyżowanymi rękami.

Marcus popatrzył na nią z błyskiem złości w oczach.

– Dałaś się zmanipulować seryjnemu mordercy, nie widzisz tego?

– Nie zgadzam się z tobą – próbowała się z nim spierać.

Gary uniósł rękę.

– Marcusie, pozwól, że ja się tym zajmę. Pozostanmy przy kwestiach prawnych.

– Dlaczego? Wolno mi rozmawiać z własną żoną.

– Christine, czy Jeffcoat poprosił cię, żebyś pomogła mu znaleźć adwokata? – zapytał Gary.

– Tak.

– Prosił o coś jeszcze?

– Tak. – Zawahała się. – O pożyczanie połowy sumy zaliczki, która wynosi pięć tysięcy dolarów.

– Co? – Marcus odwrócił się gwałtownie w jej stronę. – Jak mogłaś choćby

o tym pomyśleć?

– Nie zrobiłam tego.

– Ale rozważałaś, tak? Jak mogłaś?

– Jak mogłam tego nie rozważać? – Uznała, że nadszedł czas, żeby zaczęła się bronić. – A jeśli jest niewinny? Jeśli siedzi w więzieniu za zbrodnię, której nie popełnił? Nasz dawca może spędzić resztę życia w więzieniu, niesłusznie oskarżony. Mam się do niego odwrócić plecami?

– Tak – odpowiedział natychmiast Marcus.

– Tak – dodał Gary sekundę później. Mężczyźni popatrzyli na siebie, po czym Gary ponownie zwrócił się do Christine: – Pozwól, że ci wyjaśnię, jak to wygląda z prawnego punktu widzenia. Właśnie masz zamiar wytoczyć sprawę Homestead z powodu zaniedbania, jakiego się dopuścili, sprzedając spermę Jeffcoata. Nawet jeśli Jeffcoat teoretycznie jest stroną w tym sporze, jego interesy są sprzeczne z naszymi. On będzie trzymał z bankiem.

– Próbowałem jej to wytłumaczyć – wtrącił Marcus.

– Rozumiem, dlaczego do niego pojechałaś – kontynuował adwokat. – Przywiozłaś cenne informacje. Ale moja rada brzmi, żebyś na tym poprzestała. Ani kroku dalej. Zrozumiano?

– Zrozumiano.

– Dobrze. – Gary pochylił się nad klawiaturą z nagłym ożywieniem. – To była porada prawna, a teraz moja osobista rada. Odwiedziłem znacznie więcej więzień niż ty. Znam wielu więźniów. Poznałem rzezimieszków wszystkich maści. Każdy, co do jednego, zapewnia o swojej niewinności.

– Właśnie – wtrącił ponownie Marcus.

Prawnik zignorował go, jego ciemne oczy były utkwione w Christine.

– Nawet mój wujek i bratanek zeznawali przed komisją do spraw zwolnień warunkowych, że są niewinni. Kłamali, mogę cię zapewnić. Jeffcoat znalazł się w bardzo poważnych tarapatach, spróbuje wszystkiego, także kłamstwa i manipulacji, żeby się z nich wydostać.

– Poprosił o dwa i pół tysiąca na prawnika, nie o gwiazdkę z nieba.

– To początek. Może dopiero się rozkręca. Poza tym niekoniecznie będzie chciał od ciebie pieniędzy. Może potrzebuje życzliwego słuchacza. Przyjaciela. Jesteś miłą osobą, a on czasu ma pod dostatkiem.

Marcus przerwał i zwrócił się do Gary'ego:

– Ona nawet nie bierze pod uwagę, że mógł skłamać i wcale nie jest naszym dawcą. Dlaczego mamy mu wierzyć na słowo?

– Ani nam to w głowie, Marcusie – odpowiedział ze spokojem prawnik. – Kiedy zadzwonię do Homestead, powiem im, co wiemy i skąd. Zażądam, żeby potwierdzili lub zdementowali nasze informacje.

– Słusznie. – Marcus pokiwał głową i oparł się o fotel. – Wykorzystuje ją, a ona się na to godzi.

– Nieprawda, Marcusie. – Popatrzyła na niego.

– *Silenzio*. – Gary nakazał im gestem, by byli cicho. – Musicie dojść do jakiegoś porozumienia. Walczyście w tej samej drużynie. Idźcie na kawę, pogadajcie. Przebrniecie przez to wspólnie, zobaczycie. Na dziś kończymy.

– Dziękuję. – Marcus wstał. Wreszcie poczuł, że ma wsparcie.

Telefon znów zadzwonił, na wyświetlaczu pojawił się pseudonim adwokata Jeffcoata, a Christine nacisnęła czerwoną słuchawkę.

Marcus zmarszczył brwi.

– Proszę, żebyś do niego nie oddzwaniała.

– Dlaczego? – Wstała i podniosła torebkę.

– Niech Jeffcoat sam pilnuje swoich spraw. Załatwiłaś mu prawnika i wystarczy.

Christine nie znosiła, by ktokolwiek wydawał jej polecenia.

– Griff nie będzie go reprezentował, jeśli nie zapłaci zaliczki.

– To nie jest nasz problem.

Gary uniósł się z fotela z wymuszonym uśmiechem.

– Dobrze już. *Basta!* Wynocha z mojego biura, zwariowane dzieciaki. Idźcie na kawę. Dogadajcie się jakoś. Wierzę w was.

Christine nie podzielała jego wiary.

ROZDZIAŁ 27

– To było pouczające – powiedział Marcus z westchnieniem, kiedy wyszli na zewnątrz. Kancelaria Gary’ego mieściła się w ceglany budynku biurowej części Main Street połączonej z dzielnicą najdroższych butików w mieście. Ekskluzywne sklepy sąsiadowały z biurami projektantów wnętrz, cukiernią specjalizującą się w wypiekaniu ślubnych tortów i antykwariatem sprowadzającym zabytkowe meble z Anglii, tak ekskluzywnym, że na jego wystawie wywieszono tabliczkę: „Wstęp tylko dla umówionych klientów”.

– Marcus, on ma rację. Powinniśmy usiąść na chwilę i porozmawiać.

– Nie mogę, spieszę się. Tam zaparkowałem. – Wskazał nieduży parking między restauracjami otwieranymi dopiero w porze lunchu. Promienie słońca padały na świeżo zamiecione, czyste chodniki, okoliczne sklepy właśnie otwierały podwoje. Ładna, długowłosa dziewczyna rozwijała markizę w biało-granatowe pasy nad wejściem do sklepu z ręcznie robionymi czekoladkami, jej bujna fryzura falowała wdzięcznie za każdym razem, gdy przekręcała staroświecką, mosiężną korbę.

– Odprowadzę cię do samochodu. Porozmawiamy po drodze.

– Nie. Gdzie twoje auto? Nie powinnaś tyle chodzić, a poza tym nie ma już o czym gadać.

– Proszę cię. Przecież...

– Jestem spóźniony. Muszę pędzić do pracy.

– Marcus, prowadzisz własną firmę, nikt cię nie wyrzuci, jeśli zaczniesz chwilę później. Widzę przecież, że jesteś wkurzony.

– Tak, jestem. Co zamierzasz z tym zrobić? – Popatrzył na nią, zaciskając usta.

– Nic, ale spróbuję ci wytłumaczyć...

– Nie musisz, ja wszystko rozumiem. I nie akceptuję tego.

– Czego konkretnie? – zapytała przygnębiona.

– Wszystkiego. Twojego wyjazdu. Spokoju, z jakim to przyjęłaś. Nawet jego

spokojnej reakcji. – Wskazał brodą w kierunku kancelarii Gary’ego. – Wydaje mi się, że rozumie. Tobie też się tak wydaje. Nic nie rozumiecie.

– Wy tłumacz mi.

– Załatwiłaś Jeffcoatowi adwokata. Ten adwokat do ciebie wydzwaniał. Nazywasz go „Griff”? Zastanawiałaś się nawet nad zapłaceniem mu z naszych pieniędzy. Jak twoim zdaniem mam się z tym wszystkim czuć?

– Nie ruszyłabym wspólnych pieniędzy, tylko własne. Zresztą, nie zdecydowałam się na to.

– Jeszcze – warknął. Młoda sprzedawczyni popatrzyła w ich stronę.

– Przykro mi, że to dla ciebie takie trudne.

– Raczej upokarzające.

– Nie masz powodu, żeby czuć się upokorzonym.

– Ale tak właśnie się czuję. – Popatrzył na nią zranionym, zmęczonym wzrokiem. – Przerabialiśmy to podczas terapii: nie powinnaś mi mówić, jak powinienem się czuć. Czy nie tego mnie uczyłyście, ty i Michelle?

– Masz rację. Przykro mi, że czujesz się upokorzony. – Zrobiło jej się żal Marcusa. Wyglądał na pokonanego, nie było już w nim złości. – Nie chciałam cię upokorzyć.

– Dobrze, choć nie w tym rzecz.

W tym momencie zadzwonił telefon Christine.

– Przepraszam, odrzucę połączenie.

Marcus postąpił krok w jej stronę.

– Zobacz, kto dzwoni. Może ten prawnik? Chcę wiedzieć.

– Dobrze. – Nastroszyła się, ale wyjęła telefon z torebki. Rzeczywiście to był Griff.

Marcus zrobił zaciętą minę.

– Kurczę, naprawdę mu zależy na pieniądzach. Zapłacisz mu?

– Nie wiem. – Odrzuciła połączenie drżącymi palcami.

– Nie dawaj mu ani centa, Christine. Ani jednego centa – pouczył ją ostro.

– Nie mów do mnie takim tonem – zachnęła się.

– Jakim? Troskliwym? Próbuję być dobrym mężem, dbać o twoje bezpieczeństwo.

– Wydaję własne pieniądze, na co mi się podoba, i odbieram telefony, od kogo chcę. Sama podejmę decyzję w sprawie zaliczki, ale to nie jest nasz największy problem. – Usiłowała znaleźć sposób na dotarcie do Marcusa. – Nie możemy ignorować faktów. Skorzystaliśmy z nasienia dawcy, to była

nasza wspólna decyzja. Znamy jego nazwisko. Nie możemy udawać, że nie istnieje.

Odsunął się od niej i machnął ręką, jakby odpędzał dokuczliwą muchę.

– Jadę do pracy. Wszystko się zawaliło w ten weekend, muszę coś zaradzić.

– Porozmawiamy wieczorem?

– Wieczorem idziemy na kolację z tatą i Stephanie, zapomniałaś? Dziś są jego urodziny.

– Ach, rzeczywiście. – Christine zapomniała lub wyparła tę informację. Wieczór w towarzystwie teściów będzie doskonałym zwieńczeniem wspaniałego dnia.

– Kupiłem mu kij golfowy. Dokupisz kartkę? Masz czas, prawda? Na razie. – Odszedł, nie czekając na odpowiedź.

– Na razie! – zawołała za nim. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że zaparkowała po drugiej stronie budynku. Odwróciła się i ruszyła w przeciwnym kierunku, odpychając wszelkie symboliczne skojarzenia, jakie jej się nasuwały.

ROZDZIAŁ 28

Siedziała w zaparkowanym samochodzie, wystawiając twarz na podmuch klimatyzacji. Napiła się mrożonej herbaty, którą kupiła po drodze. Miała jeszcze pół godziny. Zerknęła na telefon. Pierwsze nieodebrane połączenie od Griffa było o dziewiątej czterdzieści pięć, prawdopodobnie zadzwonił tuż po spotkaniu z Zacharym. Musiała podjąć decyzję w sprawie zaliczki.

Rozmyślała. Po rozmowie z Garym nie była pewna, czy powinna wykładać jakiegokolwiek pieniądze, ale mimo wszystko chciała oddzwonić do Griffa, wbrew zakazowi Marcusa. Sama go prosiła o kontakt, znikanie bez wyjaśnienia nie było w jej stylu, nawet jeśli wyjaśnienie odbiegało od prawdy. Upiła kolejny łyk zimnego napoju, rozważając telefon do Lauren. Chciała ją zapytać o zdanie, w drodze powrotnej niewiele rozmawiały, Christine wypłakała się i zasnęła. Odnalazła urocze zdjęcie Lauren wśród ulubionych kontaktów. Każdy powód był dobry, żeby zadzwonić do najlepszej przyjaciółki na świecie.

– Cześć, kochanie! – Lauren odebrała po pierwszym sygnale. – Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Jak się czujesz?

– Bywało lepiej. Właśnie wyszłam od Gary’ego.

– Nakrzyczał na ciebie? A jak poszło wczoraj? Mów szybko, muszę zawieźć Seta do ortodonty.

– Podsumowując: nie nakrzyczeli na mnie, ale nie chcą, żebym kontaktowała się z Griffem i zapłaciła zaliczkę. Griff do mnie dzwonił.

– Co powiedział?

– Nie mogłam odebrać. Marcus był obok. Pokłóciliśmy się.

– O nie – jęknęła Lauren.

– O tak – westchnęła Christine.

– Christine, ja też uważam, że pomaganie Jeffcoatowi w zapłaceniu zaliczki to zły pomysł. Przekroczenie pewnej granicy, której – moim zdaniem – przekraczać nie powinnaś.

– Rozumiem, ale chyba mogę zadzwonić do Griffa i mu to powiedzieć? Według Marcusa i Gary’ego nie mogę. Kazali mi się wycofać. Strasznie mną rządzą.

– Brzydko. – Lauren cmoknęła z dezaprobatą. – Nikt nie ma prawa ci rozkazywać. Więc chcesz zadzwonić do Griffa?

– Tak.

– Zadzwoń, ale niech to będzie ostatni raz. – Umilkła na chwilę. – Przyznam, że wykład Zachary’ego o anatomii przyprawił mnie wczoraj o ciarki. To było upiorne, nie zaprzeczysz. Zaczęłam się zastanawiać, czy na pewno jest niewinny.

– Wiem. Z drugiej strony gdyby rzeczywiście był mordercą, unikałby tego tematu.

– Widzę, że przekonał cię do siebie całkowicie.

– Nie, ale raczej skłaniam się ku myśli, że jest niewinny, dlatego parszywie bym się czuła, gdybym teraz się wycofała. Gary mnie rozumie, a Marcus jest zły. Nie masz czasu, żeby wysłuchać całego streszczenia wczorajszej rozmowy.

– Teraz nie, ale później chcę usłyszeć wszystko. Zadzwoń do mnie.

– Dobrze. Po kolacji z teściami.

– Będziesz ucztować w towarzystwie jaśnie wielmożnego Frederika i jego księżniczki? Szczęściara.

– Żebyś wiedziała. Cześć, kocham cię.

– Ja ciebie też. – Christine nacisnęła czerwoną słuchawkę, upiła kolejny łyk herbaty i odnalazła numer Griffa wśród nieodebranych połączeń.

– Griff. – Stary prawnik odebrał po drugim sygnale.

– Dzień dobry, mówi Christine. Czy spotkał się pan już z Zacharym?

– Tak, wezmę tę sprawę, kiedy dostanę zaliczkę.

– Jeżeli o to chodzi... – Zawahała się. – Nie wiem, czy zdołam pomóc.

– Dziewczyna obiecała pożyczyć mu połowę.

– Naprawdę? – zapytała zdezorientowana. – Myślałam, że ze sobą zerwali i...

– Pff – prychnął ze zniecierpliwieniem adwokat. – Nie mam czasu na ploteczki. Interesuje mnie sąsiadka Robinbrecht, która widywała u niej wielu mężczyzn. Zauważyła coś w noc morderstwa?

– Odniosłam takie wrażenie, ale nie chciała mi nic powiedzieć.

– Jak ona się nazywa?

– Linda Kent. Mieszka tuż za rogiem, równoległe do Warwick Street, nie znam numeru domu.

– A więc to ona. Mieszkała pod trzysta dwanaście. Byłem tam. Nie żyje.

– Co? – wyjąkała wstrząśnięta Christine.

– Miała wypadek późnym wieczorem w sobotę.

– Jaki wypadek?

– Spadła ze schodów i skręciła kark.

– Straszne. – Christine miała świeżo w pamięci widok tamtych schodów i uliczki, mogła sobie wyobrazić całą scenę. – Wiadomo, dlaczego spadła? Co się stało?

– Prawdopodobnie się pośliznęła. Sąsiedzi zeznali, że piła jak smok. Oszacowali czas zgonu na dwunastą w nocy.

– Co robiła na schodach w środku nocy?

– Skąd niby mam wiedzieć? – zachnął się Griff.

– Powiedziała mi, że miała doskonały widok na schody prowadzące do domu Gail Robinbrecht, na tyłach budynku. To jedyne wejście do jej mieszkania, prawda?

– Tak. Typowe dla West Chester. Agencja podzieliła domy na dwie części.

– Dziwne, że pani Kent zginęła kilka dni po tragicznej śmierci sąsiadki z naprzeciwka... – zastanawiała się na głos Christine. – Mogła coś zobaczyć albo morderca tak podejrzewał. Kent bez przerwy obserwowała tamte schody i wejście do mieszkania Gail. Skoro powiedziała mnie, zupełnie obcej osobie, z iloma jeszcze osobami podzieliła się taką wiadomością? Może z każdym, kto tamtędy przechodził, jak Lauren i ja?

– O rety. Domysły. Muszę kończyć.

– Niech pan zaczeka. Proszę pomyśleć, morderca miał motyw, żeby zlikwidować osobę, która mogła go widzieć tamtej nocy. To podważyłoby zarzuty przeciwko Zachary'emu. Lindę Kent zabił ktoś, kto bał się zdemaskowania – mówiła z przejęciem. – Zachary siedzi w więzieniu, więc wiadomo, że to nie on. Warto się temu przyjrzeć, prawda? Moim zdaniem można to wykorzystać jako argument dla obrony.

– Obronę Jeffcoata proszę zostawić mnie...

– Jasne. Zwracam tylko uwagę na ten niezwykły splot wydarzeń.

– Nie zamierzam dyskutować na temat sprawy. I zakończę tę rozmowę, dopóki jestem w stanie zachowywać się jak dżentelmen...

Christine nie dała za wygraną.

- Ostatnie pytanie. Czy po spotkaniu z Jeffcoatem wierzy pan w jego niewinność? Chciał adwokata, który mu uwierzy.
- Niech się cieszy z tego, co ma – burknął Griff i się rozłączył.

ROZDZIAŁ 29

Christine nie miała pomysłu, co ze sobą zrobić po zakończeniu rozmowy z Griffem. Ostatecznie zajęła się wyrywaniem chwastów w ogrodzie, bowiem to zajęcie pomagało jej przegonić natrętne myśli. Dręczyło ją podejrzenie, iż śmierć Lindy Kent nie była przypadkowa. Musiała oczyścić umysł. Wyrwała kolejny chwast i wrzuciła do czerwonego wiaderka.

Uprawiała ogród od trzech lat, od momentu, kiedy postanowili szukać przyczyn swojej bezdzietności. Chciała patrzeć, jak coś rośnie, nawet jeżeli będzie to tylko mała roślinka. Ogród urządziła obok podjazdu, żeby Christine mogła go widzieć za każdym razem, gdy wracała z pracy.

Ich dom stał prostopadle do uliczki, a wysoki żywopłot zapewniał dodatkową osłonę, toteż Christine mogła pracować w swobodnym stroju – dziś miała na sobie koszulkę bez ramiączek i krótkie spodenki – nawet bez biustonosza, w którym było jej bardzo niewygodnie. Przed ciążą nie miała takich problemów, ale w zeszłym tygodniu, zanim świat stanął na głowie, z wielkim zadowoleniem zauważyła, że jej sylwetka nabiera coraz bardziej kobiecych kształtów. W normalnej sytuacji spędziłaby popołudnie na poszukiwaniach w internetowych sklepach stanika dla matek karmiących, ale wydarzenia ostatnich dni odebrały jej radość z kompletowania wyprawki dla dziecka.

Otrząsnęła z ziemi korzeń wyrwanej rośliny przed wrzuceniem do wiadra. Ogród dopiero zaczynał rozkwitać, zapowiadało się piękne lato. Zasadziła wyłącznie rośliny wieloletnie, które kwitną co roku, ponieważ miała nadzieję, że szybko zajdzie w ciążę i nie da rady poświęcić ogrodnictwu tyle samo czasu. Starania o dziecko trwały dłużej, niż się spodziewała, a ona polubiła krnąbrne jeżówki o delikatnych fioletowych i różowych płatkach i rudbekie, których jaskrawożółte kwiaty wyglądały jak ostrzegawcze światełka na tle różnorodnych klombów.

Wyrwała kolejny chwast. W innej części ogrodu zasadziła fioletowawe

zawilce japońskie, wysokie, białe floksy i błękitne ostróżki, na które czekała z niecierpliwością. Kocimiętka zaczęła już wschodzić, Christine cieszyła się, że ma przynajmniej jeden gatunek roślin, którego nie zjedzą króliki ani jelenie. Na szczęście mogła się nacieszyć zapachem świeżej ziemi i żółtych róż, bo nie zaczęła jeszcze spryskiwać ogrodu środkiem odstraszającym, wydzielającym odór zgniłych jajek – cena, którą płaci każdy ogrodnik.

Usunęła spomiędzy jeżówek kolejnego roślinnego intruza. Uwielbiała wyrwać chwasty. Uważała, że w ten sposób czuwa nad ogrodem jako całością, a podczas tej pracy zapominała o zmartwieniach. Jednak dziś było inaczej, nie umiała wejść w swój zwykły rytm. Zadrzała, gdy wyobraziła sobie, jak ktoś spycha ze schodów biedną Lindę Kent.

Zastanawiała się, co sąsiadka zamordowanej Gail robiła na schodach w sobotnią noc. Wyszła na papierosa? Podziwiała gwiazdy? Nie przypominała sobie, czy na klatce schodowej Lindy Kent stały doniczki z kwiatami. Może wyszła je podlać? Albo otworzyć komuś drzwi. Ale komu?

Wizualizowała sobie tę straszną scenę. Ktoś puka do drzwi mieszkania, kobieta idzie otworzyć. Być może wcześniej wypła kilka drinków. Widzi mężczyznę, znajomego lub nie, zakładając, że to był mężczyzna. A jeśli gość nie przyszedł w przyjaznych zamiarach? Zepchnął ją ze schodów? Czy sąsiedzi cokolwiek słyszeli? Czy ktoś coś widział?

Pielęła pogrążona w myślach. Nie znała odpowiedzi na żadne z tych pytań. Nie pamiętała latarni oświetlających uliczkę za domami. Agencja ochrony czuwająca nad bezpieczeństwem osiedla mogła zamontować światła z czujnikami ruchu. Ewentualny świadek mógł nie zawiadomić policji, która uznała to zdarzenie za wypadek i nawet nie przesłuchała sąsiadów. Jeżeli Linda Kent nie zdążyła powiedzieć policjantom o mężczyznach odwiedzających Gail Robinbrecht, nie mieli powodu, by doszukiwać się w jej śmierci udziału osób trzecich.

Christine odrzuciła kolejny chwast, zastanawiając się, czemu marnuje czas na przydomowe zajęcia. Ach, tak, musiała jeszcze przetrwać kolację z teściami.

ROZDZIAŁ 30

Siedziała sama przy restauracyjnym stoliku nad szklanką wody z lodem i czekała na pozostałych. Droga restauracja o nazwie Bangkok Dream była ulubionym lokalem ojca Marcusa. Ściany od podłogi aż po sufit zdobiły draperie z pomarańczowego jedwabiu oraz japońska grafika z czerwonymi kaligrafiami po bokach. Wypolerowane stoliki z tekowego drewna, każdy wyposażony w elegancki stojak na pałeczki, połyskiwały w świetle wiszących, halogenowych lamp. Ani kuchnia tajska, ani japońskie sushi oraz inne azjatyckie smakołyki, które tu serwowano, nie nęciły Christine w jej obecnym stanie, ich zapach wręcz ją drażnił. Marzyła o mocnej margaricie, ale oczywiście nie mogła jej zamówić. Dziecko będzie miało wystarczająco utrudniony start.

W tle rozbrzmiewały dźwięki hinduskich sitarów, odpowiednio egzotyczne dla mieszkańców przedmieść. Wszystkie stoliki były zajęte przez elegancko ubranych gości, głównie pary w średnim wieku. Christine poczuła ulgę, że zdecydowała się na jeden ze swoich najbardziej luksusowych strojów. Z ogrodu poszła pod prysznic, żeby spłukać z siebie pot. W umyte włosy wtarła nawet odrobinę marokańskiego olejku dla połysku. Miała na sobie najładniejszą letnią sukienkę z zielonego jedwabiu, ucieszyła się, że nie nosi jeszcze ubrań dla ciężarnych. Nie wystroiła się dla Marcusa ani dla jego ojca, choć Frederik Nilsson należał do mężczyzn, na których kobiety lubią robić wrażenie. Chciała ładnie wyglądać, żeby poprawić sobie humor po ciężkim dniu.

Uniosła głowę, kiedy ktoś otworzył drzwi restauracji i wpuścił do środka promienie słońca. Dostrzegła w progu sylwetkę Marcusa, a tuż za nią niemal identyczną sylwetkę Frederika, za którym podążała jego żona Stephanie. Christine uśmiechnęła się i pomachała przyjaźnie, a Marcus odmachał. Ruszył w stronę stolika, podczas gdy jego ojciec i Stephanie zostali z tyłu, by przywitać się z właścicielem lokalu, który podszedł uścisnąć dłoń Frederika.

Frederik Nilsson był bowiem jedną z najjaśniejszych gwiazd na architektonicznym firmamencie miasta. Mieszkał w Avon i prowadził własne biuro projektowe w Hartford, Nilsson International. Zaczynał karierę od projektowania szklanych domów dla milionerów z Greenwich i Darien. Zyskał rozgłos i wielu nowych klientów po tym, jak jeden z jego domów trafił na łamy „Architectural Digest”, chociaż Christine jego projekty kojarzyły się z dziełami czwartoklasistów. Sam Frederik reklamował swój styl jako „skandynawski”. Cóż, jej zdaniem klienci słono przepłacali.

Naprawdę nie miała teściowi za złe jego sukcesów, choć wolałaby, aby dla dobra Marcusa nie obnosił się z nimi w tak prostacki sposób. Frederik uważał, że praca architekta jest sztuką przez duże S, podczas gdy inżynierowie i konstruktorzy to nudziarze i wyrobownicy. Ale zapewniał nieszczerze, iż nic podobnego, konstruktor jest równy architektowi. Niemniej jednak Marcus wyczuwał rozczarowanie ojca swoim wyborem zawodu. Sytuacja zaogniła się przed pięcioma laty, kiedy odmówił pracy w firmie Frederika, który potraktował to jako osobisty afront. Od tamtego czasu trwała między nimi napięta rywalizacja.

– Cześć, kochanie. – Marcus nachylił się i pocałował ją lekko w policzek. Uświadomiła sobie, że to ich pierwszy dotyk od trzech dni.

– Cześć, cieszę się, że jesteś.

– Boże, co za dzień. – Usiadł, ale unikał kontaktu wzrokowego. Christine wyczuwała rezerwę. Od momentu rozstania po wyjściu od adwokata nie wymienili nawet esemesa.

– Urwanie głowy?

– Jeszcze jakie. Ale przynajmniej w Karolinie Południowej sytuacja została opanowana. – Rozluźnił krawat. – Tata jest dziś w doskonałym humorze.

– Dobrze – powiedziała, starając się nadać głosowi przyjazny ton i zamaskować ulgę. Frederik miał wybuchowy temperament, a jego humory często psuły atmosferę spotkania. Niczego nie wymuszał, po prostu wszyscy przywykli do uległości.

Frederik i Stephanie zbliżali się do stolika. Frederik udawał, że wszystkich zna. Z uśmiechem pozdrawiał gości przy mijanych stolikach, obracał głowę to w jedną, to w drugą stronę, potrząsając bujną czupryną jasnych włosów. Miał charyzmę oraz siłę perswazji, roztaczał wokół siebie aurę człowieka, którego warto znać, ubrany w drogi, ciemnoszary garnitur od włoskiego krawca, podkreślający szczupłą budowę ciała, i koszulę z czarnego jedwabiu, rozpiętą

pod szyją, bez krawata. Spojrzenie jego błękitnych oczu było przenikliwe i inteligentne, ich jasny kolor kontrastował z ciemną opalenizną. Pokazywał w uśmiechu duże, białe zęby, które kojarzyły się Christine z Kennedym i nie było to skojarzenie pochlebne.

– Christine! Jak się miewa nasza dziewczynka?! – huknął. Pochylił się i pocałował Christine w policzek.

– Świetnie, dziękuję. Wszystkiego najlepszego!

– Nie przypominaj mi nawet. Sześćdziesiąt pięć to ograniczenie prędkości, a nie wiek dla mężczyzny!

Christine roześmiała się, po czym zwróciła z uśmiechem do Stephanie, która mimo metra osiemdziesięciu wzrostu stała schowana za plecami męża.

– Cześć, Stephanie! Miło cię widzieć!

– Wzajemnie! – zapewniła nowo przybyła i zajęła miejsce przy stole. Christine polubiła Stephanie, gdy już pogodziła się z faktem, że jest ona typową żoną trofeum, o dwadzieścia pięć lat młodszą od męża. Panna Wooten była trenerką pilates, kiedy zwróciła na siebie uwagę Frederika, który zapisał się na jej zajęcia po urazie kręgosłupa. Stephanie chętnie usuwała się przy mężu na drugi plan, pozwalając mu błyszczeć, była miła, troskliwa i miała duszę artystki.

– Wyglądasz nieziemsko! – zachwyciła się Christine. Młoda macocha Marcusa pracowała niegdyś jako modelka na europejskich wybiegach, miała wspaniałą, egzotyczną urodę, niebieskie oczy w kształcie migdałów, długie brązowe włosy, dziś upięte w elegancki, gładki kucyk. Nie nałożyła prawie żadnego makijażu poza błyszczkiem do ust, pozwalając swojemu pięknu błyszczeć naturalnym blaskiem. Delikatne, złote koła zdobiły jej uszy, była wzorem niewymuszonego wdzięku w wiązanej na szyi sukni z szarobrązowej dzianiny, opinającej każdy centymetr jej smukłej, baletowej sylwetki, aż po rzymskie sandały na płaskich obcasach.

– Jak się czujesz? – zapytała Stephanie z uroczym uśmiechem.

– Dziękuję, całkiem nieźle, gdyby nie poranne mdłości – odpowiedziała, zadowolając się półprawdą.

Frederik wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Co za wspaniałe urodziny w towarzystwie dwóch pięknych kobiet! Christine, Marcus mówi, że odeszłaś ze szkoły. Czym wypełnisz czas do porodu?

– Nadrobię zaległości w czytaniu.

– Wspaniały pomysł! Nie powinnaś się przemęczać ze względu na dziecko. – Obejrzał się przez ramię. – Gdzie ten przekłety kelner? Chcę zacząć świętowanie! Zamówiłem szampana!

– Na pewno wkrótce podejdziesz, tato – uspokoił go Marcus, rozglądając się po sali.

Frederik pochylił się gwałtownie nad stołem, tak że zagrzechotały szklanki.

– Miałem w tym tygodniu niesamowite przeżycie. Byłem w G pięć.

– Wow! – powiedział z uznaniem jego syn. – Super. G pięć?

– Co to takiego? – zainteresowała się Christine. – Ma coś wspólnego z punktem G? – zażartowała.

Frederik zachichotał.

– Odrzutowiec. Gulfstream V. Najnowszy model. Niesamowity.

Stephanie przewróciła pięknymi oczami.

– Zaczyna się. Chłopcy i ich zabawki.

– Jak ci się leciało, tato? – wypytywał Marcus. Christine doceniła starania męża, który chciał sprawić ojcu przyjemność w jego urodziny.

– Fantastycznie. Żadnych turbulencji. Nigdy nim nie leciałeś, Marcusie?

– Nigdy.

Ugryzła się w język, żeby nie pouczyć teścia, iż klienci Marcusa nie wysyłają po niego prywatnych odrzutowców, o czym zresztą ten doskonale wiedział.

– Wnętrze kabiny to prawdziwe dzieło sztuki. Doskonałe wykończenia.

Stephanie uśmiechała się przebiegle.

– Christine, powinnaś teraz zapytać o właściciela tego cudu. On na to czeka, nie zazna spokoju, póki nie spytasz.

– Frederiku, czyj to był samolot? – zapytała z uśmiechem Christine.

– Zanim odpowiem na twoje pytanie, czuję się w obowiązku podkreślić, iż osoba ta jeszcze nie zdecydowała się na moje usługi. Bierze pod uwagę kilka firm. Zastrzelę się, jeśli wybierze tych partaczy z Scheller Whiting. – Frederik ponownie zerknął do tyłu. Kelner już pędził w ich stronę z butelką szampana i białą serwetką przewieszoną przez ramię. – Doczekaliśmy się!

– No dobrze, ale czyj to był samolot? – dopytywała Christine.

– Ponadto, gwoli ścisłości, nie jestem pewien, czy samolot należy do niej, czy tylko go wypożyczyła. Wiele osób z Hollywood zastrzega sobie w kontraktach transport prywatnymi odrzutowcami i wytwórnice wypożyczają im je na czas współpracy. Mało kto kupuje własny.

Christine zerknęła na Stephanie, która odpowiedziała uśmiechem.

Tymczasem Frederik kontynuował niezrażony.

– Taki nowy GV musi kosztować fortunę, a trzeba jeszcze wziąć pod uwagę koszty utrzymania. Musiałaby często latać, żeby taki wydatek się opłacał.

– Panie Nilsson, bardzo przepraszam, że pan czekał – powiedział kelner, który właśnie podszedł do ich stolika. Zademonstrował etykietę wyuczonym gestem, opierając butelkę o ramię przykryte białą serwetką. – Czy akceptuje pan wybór?

– Nie. – Jubilat nie krył zniecierpliwienia. – Zamawiałem Salon rocznik dziewięćdziesiąty szósty. To specjalna okazja.

– Proszę wybaczyć, panie Nilsson. – Kelner odwrócił się na pięcie i pognął z powrotem.

Frederik pokręcił głową z dezaprobatą.

– Salon rocznik dziewięćdziesiąty szósty. Nic innego nie wchodzi w rachubę. Prawdziwy sommelier nie popełniłby takiego błędu. Ten gatunek jest produkowany w Szampanii. Mają własną winnicę. Roczniki trafiają do sprzedaży bardzo późno...

– Tato, mówiłeś, że... – przerwał mu Marcus, aby odwrócić uwagę ojca, który gotów był zrobić z igły widły, wyolbrzymiając pomyłkę kelnera.

– Ach, tak. – Frederik odgarnął włosy z czoła, nader gęste jak na mężczyznę w jego wieku. Delikatna siwizna na skroniach sprawiała, że wydawał się bardziej dystyngowany. – Na czym skończyłem?

– Opowiadałeś o kliencie, który przysłał po ciebie GV – podpowiedział Marcus.

– Rzeczywiście. Chodzi o rudereę na wzgórzach Hollywood, z widokiem na Los Angeles. Ponad trzy hektary ziemi, w całości zalesionej. Fenomenalne miejsce. Nocna panorama jest nie do opisanania.

– Dowiemy się wreszcie, czyj to był samolot? – zapytała Christine. Jej relacje z teściem były najlepsze, gdy wchodziła w rolę naiwnego słuchacza i pozwalała sobie tłumaczyć rzeczy, które już wiedziała albo jej nie interesowały.

– Zaraz. – Frederik uniósł swój długi, szczupły palec. Stopniował napięcie, by publiczność spijała słowa z jego ust. – Nie mogę wam powiedzieć nic więcej na temat zlecenia, ponieważ podpisałem klauzulę poufności. Traktujcie takie sprawy poważnie, nawet w rozmowie z członkami rodziny.

– Oczywiście – przytaknął pospiesznie Marcus. Tymczasem Christine

pomyślała o innej klauzuli poufności, tej, która zapewniała Zachary'emu anonimowość. Zastanawiała się, co teraz robi, wyobrażała go sobie w więzieniu. Nie była pewna, czy Griff jest wystarczająco doświadczony i zaangażowany, by doprowadzić do uniewinnienia. Jego odpowiedź na pytanie, czy wierzy w niewinność swojego klienta, była niepokojąca.

– Muszę wam powiedzieć, że przez ostatnie sześć, siedem lat podpisałem więcej takich umów, niż jestem w stanie zliczyć – kontynuował jubilat. – Kiedyś podpisywało się je dopiero po przyjęciu zlecenia, najwcześniej po obejrzeniu działki. Teraz wymagają tego po pierwszej rozmowie telefonicznej z asystentem niższego szczebla.

– Doprawdy – rzekł Marcus, gdy zobaczył, że ojciec znów niecierpliwie rozgląda się po sali w poszukiwaniu kelnera.

– Na pewno zaraz wróci – dodała uspokajająco Christine. – Jestem strasznie ciekawa, do kogo należał odrzutowiec.

Frederik zmarszczył brwi.

– Gdzie nasz szampan? To szczególny wieczór! Musimy go uczcić!

– I uczcimy – zapewniła go Christine.

Marcus pokiwał głową.

– Dopiero zaczynamy, tato. Przed chwilą usiedliśmy.

– Mam ważną wiadomość i nie chcę dłużej czekać – oświadczył zagniewany Frederik.

– Jaką wiadomość, tato?

– Właśnie dostałem od ukochanej najpiękniejszy prezent urodzinowy. – Jubilat zaprezentował w uśmiechu cały garnitur zębów. – Zgadnijcie co.

– Tylko nie nowy kij golfowy – zmartwił się Marcus.

– GV? – rzuciła Christine.

Frederik zarechotał.

– Jesteśmy w ciąży! Stephanie będzie miała dziecko!

– Co takiego? Naprawdę?! – zawołała Christine, oszołomiona niecodzienną nowiną. Przecież Stephanie i Frederik mówili, że nie chcą dzieci. Zawładnęły nią sprzeczne emocje. Dla niej i Marcusa poczęcie dziecka było drogą przez mękę, dlatego teraz nie mogła poczuć natychmiastowej radości, a Marcus zapewne miał z tym jeszcze większy problem. Frederik Nilsson po raz kolejny udowodnił swoją wyższość nad synem. Tym razem nieświadomie, bo ani on, ani Stephanie nie znali szczegółów zmagania Marcusa i Christine z bezpłodnością. Wiedzieli jedynie, że długo starali się o dziecko, aż wreszcie

się udało. I na tym koniec.

– Gratulacje! – zawołał Marcus po chwili. Uśmiechał się, jednocześnie marszcząc brwi, jakby górna część twarzy przeczyła emocji, którą usiłował okazać. – Czyli będę miał... braciszka? W wieku trzydziestu pięciu lat?

Frederik wybuchnął śmiechem.

– Lepiej późno niż wcale.

– Ha! – Stephanie uśmiechnęła się szeroko. – Twój ojciec uważa, że to bardzo zabawne, ale mnie nie jest do śmiechu. Już teraz mam poranne mdłości, męczę się błyskawicznie i ciągle jem, a kiedy przestaję, chce mi się płakać.

– Prawda? – zawtórowała Christine, odzyskując panowanie nad sobą. – To my... – Omal nie powiedziała: „siedzimy na bombie”. – Na nas spada cała ciężka praca. Który tydzień?

– Wyprzedziłaś mnie tylko o jeden! – zawołała Stephanie z nietypowym dla siebie przejęciem. – Jesteśmy razem w ciąży!

– O Boże! – zaśmiała się, bo zaskakująca nowina zaczęła się jej podobać.

– Zobaczysz, będziemy się świetnie bawić! – Christine po raz pierwszy słyszała piskliwy ton w ustach Stephanie. – Wszystko mi wytłumaczysz. Jesteś ekspertką. Masz biblioteczkę pełną książek o ciąży i rodzicielstwie. Prawdopodobnie nie ma takiej rzeczy, której nie wiesz!

– Kochana, znam te książki na pamięć, mogę recytować na wrywki.

– Nie spodziewałam się aż takiej radości, ale strasznie się cieszę! – śmiała się Stephanie.

– Poczekaj na pierwsze USG, to dopiero niesamowite przeżycie. Usłyszysz bicie serca dziecka i zobaczysz je na monitorze. – Zbyt późno przypomniała sobie, że Marcus przecież nie wie o badaniu. Zerknął na nią z zaskoczeniem, ale się nie odezwał. Jego twarz zastygła w uśmiechu, ale głębokie bruzdy na czole pozostały.

Zwrócił się do ojca:

– Tato, muszę przyznać, że jestem zaskoczony. Nie wiedziałem, że planujecie dzieci.

– Sam jestem zaskoczony! – Frederik zabawnie wytrzeszczył oczy. – Nie planowaliśmy! To była wpadka! Chwila nieuwagi i bam!

– Tak po prostu? – Marcus nadal się uśmiechał, lecz Christine domyślała się, co przeżywa. Nie tylko z powodu mieszanych uczuć towarzyszących niespodziewanej nowinie, iż zostanie starszym bratem w wieku trzydziestu pięciu lat.

– Tak po prostu! W moim wieku! Masz pojęcie?! – Frederik dumnie wypiął pierś i zamachał rękami jak kogut. – Kukuryku!

Stephanie skrzywiła się i wymierzyła mężowi żartobliwego kuksańca.

– Frederik, zachowuj się kulturalnie. Przynosisz mi wstyd.

– Gratulacje, tato – powtórzył Marcus. – Muszę przyznać, że niespodzianka urodzinowa robi wrażenie. Udało ci się mnie zaskoczyć.

– Nie nudzisz się z tatusiem, co? – roześmiał się Frederik, odchylając głowę do tyłu i pokazując drapieżne uzębienie. – Przy odrobinie szczęścia dożyję chwili, gdy dzieciak pójdzie do średniej szkoły, chociaż pewnie będę się poruszał w chodziku!

Stephanie skinęła radośnie głową.

– Znasz powiedzenie: „Chcesz rozśmieszyć Pana Boga, opowiedz mu o swoich planach”?

Nilsson senior objął szczupłe ramiona swej żony i pocałował ją w czubek głowy.

– Bardzo się cieszę z tej niespodzianki. Jesteśmy szczęśliwi. Prawda, kochanie?

– Prawda. – Stephanie podarowała mężowi przepiękny uśmiech.

– Ojeej. – Christine pokiwała głową, ignorując ukłucie zazdrości. Stephanie i Frederik byli wniebowzięci, tego samego pragnęła dla siebie i Marcusa.

– Gdzie ten przekłety kelner? – Frederik obejrzał się za siebie, podczas gdy Stephanie popatrzyła na Christine i spoważniała.

– Przepraszam, Christine – powiedziała nerwowo. – Nie chciałam sprawić ci przykrości.

– Mnie? W jaki sposób? – zdziwiła się Christine.

– Bo... – Stephanie zerknęła na Marcusa. – Marcus powiedział nam o przyczynie waszych problemów z zajściem w ciążę. O tym, że twój organizm nie wytwarza wystarczająco dużo komórek jajowych.

Christine zamarła, wstrząśnięta kłamstwem męża.

Stephanie zacisnęła błyszczące usta.

– To brak wycucia z mojej strony, że przechwalam się błyskawicznym zajściem w ciążę. Przepraszam. Wiesz, że was kochamy.

Uśmiech Frederika również zbladł. Zmarszczył przyprószone siwizną jasne brwi w niecodziennym wyrazie współczucia.

– Tak, kochamy was. Nie chcieliśmy się przed wami popisywać. Wiem, że

mam takie tendencje, ale Stephanie stara się mnie wychować.

– Nie szkodzi. – Christine przykleiła sobie uśmiech do twarzy.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy, co, Christine? Nilssonowie rozmnażają się jak króliki! Nasi potomkowie przejmą władzę nad światem. – Obrócił głowę do tyłu. – Tylko gdzie, do jasnej cholery, przepadł nasz kelner?

ROZDZIAŁ 31

– Marcus?! – zawołała, gdy tylko weszła do domu. Dusila w sobie emocje przez całą drogę, ponieważ oboje przyjechali swoimi samochodami. Rzuciła torebkę i kluczyki na stolik w korytarzu i rozejrzała się po cichym wnętrzu. W kuchni zastała jedynie Lady, która wskoczyła na blat i wygięła ogon w znak zapytania.

– Marcus? – Podeszła do rozsuwanych drzwi na podwórze za domem. Jedno ze skrzydeł było uchylone, na dziedzińcu pod dachem paliło się światło. Wyszła na zewnątrz, detektor ruchu natychmiast uruchomił kolejną lampę, która rzuciła promień białego światła na środek trawnika, gdzie stał Marcus z telefonem w dłoni, jego rysy były podświetlone od dołu. Murphy kręcił się w pobliżu ogrodzenia, widoczny tylko dzięki fluorescencyjnej, czerwonej zawieszce przy obroży. Chłodny, spokojny wieczór kontrastował z nastrojem Christine.

– Marcus, dlaczego okłamałeś swojego ojca i Stephanie? – Wzburzona podeszła do męża.

– W jakiej sprawie? – Opuścił dłoń z telefonem i odwrócił się do niej.

– Doskonale wiesz. Przynajmniej nie kłam.

– Chodzi ci o powody naszych problemów z poczęciem dziecka?

– Powiedziałeś ojcu, że wszystkiemu winne są moje jajniki.

– Co za różnica? – odpalił. W tym samym momencie detektor ruchu wyłączył światło i jego twarz skryła się w mroku. Noc była czarna, bezksiężycowa i bezgwiezdna.

– Taka jak między kłamstwem a prawdą.

– Ale dlaczego to ma jakiegokolwiek znaczenie? – pytał ostrym tonem. – Sama przecież mówiłaś, że nie ma znaczenia, kto zawinił. Z jakiej racji przejmujesz się tym, co oni myślą?

– Zgodziłam się, kiedy postanowiłeś nic im nie mówić, ponieważ są twoją rodziną, nie moją. Ale kłamstwo jest zupełnie czym innym. Perfidnie ich

okłamałeś, to nie w porządku.

– I kto to mówi? Okłamywałaś mnie przez cały weekend, zataiłaś przede mną swoją wyprawę. – Marcus wsunął telefon do kieszeni. – Nie dlatego się wściekasz. Jesteś zła, bo obwiniasz mnie za to, że nie możemy mieć własnych dzieci. Nieważne, co mówisz, mnie obarczasz winą.

– Nieprawda.

– Owszem, prawda. Oboje to wiemy. Ja też uważam, że to moja wina – mówił podniesionym głosem. – Potrafisz zrozumieć, jak ja się czuję, wysłuchując przechwałek ojca, który właśnie przypadkowo zapłodnił swoją drugą żonę, podczas gdy ja nie mogę dać nam dziecka? Wiesz, jakie to uczucie dla mężczyzny? Dla męża?

– Wiem, ale tu nie o ciebie chodzi.

– Oczywiście, że o mnie. Gdybym mógł mieć dzieci, nie znaleźlibyśmy się w tym szambie z Jeffcoatem. Nie nosiłabyś dziecka z DNA seryjnego mordercy. Nie urodzisz małego Nilssona. Dlatego jesteś wściekła.

– Nie, to ty się wściekasz z tego powodu. Ty masz z tym problem, nie ja.

– Świetnie. A ty się cieszysz, że nosisz dziecko Zachary’ego. Swojego nowego chłopaka.

– Jak śmiesz?! – wybuchnęła gniewem. Miała dosyć jego zazdrości, kompleksów. Miała dosyć Marcusa. – Chcesz wiedzieć, co mnie smuci? Siedziałam dziś naprzeciwko twojego ojca i Stephanie i podziwiałam, jak bardzo on ją wspiera. Oboje są jednakowo podekscytowani ciążą, chociaż nawet jej nie planowali. Ona jest w sytuacji, o jakiej ja marzyłam.

– Przecież właśnie to powiedziałem! Chciałaś normalnej ciąży i jesteś zła z powodu komplikacji. Czujesz się oszukana, bo musieliśmy skorzystać z banku spermy.

– Nie. – Christine wreszcie rozszyfrowała własne odczucia. – Jestem na ciebie zła, bo mnie nie wspierasz.

– Przecież cię wspieram. Podwożę cię do samochodu. Robię zakupy, kupuję wszystko, na co masz ochotę. Podaję ci wodę. Przytrzymuję włosy, kiedy wymiotujesz...

– Mam na myśli wsparcie emocjonalne. Od początku byłeś słabo zaangażowany, a teraz, kiedy dowiedziałeś się o Zacharym – tak, mówię na niego po imieniu – nie możesz tego zaakceptować. Chciałeś, żebym usunęła ciążę. – Wypowiedziawszy głośno swoje myśli, nie mogła się już wycofać. – Nazywasz to wsparciem?

- Ja już nie chcę...
- Ograniczasz się do niezbędnego minimum. Tymczasem ja chciałabym, żebyś podzielał moje radości i smutki. Przechodzimy trudne chwile. Mieliśmy pecha, ale tylko ja robię coś, żeby naprawić sytuację...
- Jak? Odwiedzając Zachary'ego w więzieniu? Pożyczając mu pieniądze? Troszcząc się, żeby miał adwokata?
- Tak. Między innymi. Po prostu udałam się do źródła, jak powiedział Gary. Czuję z nim jakąś więź, chcę mu pomóc – przyznała, doznając kolejnego objawienia. – Moje odwrócenie się od Zachary'ego w niczym nie pomoże. On jest naszym dawcą i musimy zdecydować, co robić. Razem...
- Jak to co? Wytoczmy sprawę tym łajdakom!
- To o wiele za mało. Najważniejsze jest teraz dobro dziecka, które będzie wymagało naszej opieki. – Christine widziała wszystko wyraźniej niż wcześniej. – Marcus, gdybyśmy odkryli, że nasze dziecko ma mukowiscydozę, wspieralibyśmy się nawzajem. Razem kupowalibyśmy niezbędne sprzęty. Leki, nawilżacze powietrza. Odwiedzalibyśmy najlepszych specjalistów, na jakich nas stać. Stworzylibyśmy plan przed urodzeniem dziecka. Między chorobą psychiczną czy jakąkolwiek inną nie ma różnicy.
- Oczywiście, że jest!
- Nie, nie ma. Zresztą, mniejsza z tym. Niedługo zostanę matką, a ty wyraźnie nie chcesz być ojcem.
- Przecież według ciebie Zachary jest ojcem. Dlatego do niego pojechałaś.
- Żeby ustalić, czy jest naszym dawcą, biologicznym ojcem. – Marcus częściowo miał rację, ale nie zamierzała mu tego przyznać. – Żałuję, że nie mogliśmy pojechać razem. Że masz takie podejście. Chciałam go poznać, dowiedzieć się czegoś o nim, poznać historię medyczną rodziny, zapytać, czy ktoś cierpiał na choroby psychiczne...
- Wiemy o nim więcej, niż większość par dowiaduje się o sobie przed ślubem. Mamy historię medyczną trzech pokoleń.
- To nie to samo, co spotkanie w cztery oczy – powiedziała pospiesznie. – Znajomość internetowa nie jest tym samym, co prawdziwa randka.
- Wybacz, że nie mam ochoty randkować z Zacharym. Wybacz, że umieram ze wstydu i upokorzenia, że się złoścę, podczas gdy ty myślisz wyłącznie o sobie!
- Bardzo się mylisz. – Wzbierała w niej gorycz i niechęć. – Bez przerwy myślę o tobie. Od dnia, w którym usłyszeliśmy diagnozę, martwię się o twoje

uczucia. Dbam, żeby – broń Boże – niczym cię nie urazić, ponieważ czujesz wstyd i upokorzenie. Okłamałam wszystkich w szkole, nawet Lauren powiedziałam prawdę dopiero wtedy, kiedy nie mogłam już dłużej utrzymać tajemnicy. Wszyscy wokół chronią twoje uczucia, twoją dumę, ponieważ nie jesteś w stanie zaakceptować swojej przypadłości. Nie dociera do ciebie, że to problem biologiczny, jak każdy inny, i nie odbiera ci męskości. Mam już po dziurki w nosie zamartwiania się o ciebie. Dość. Jestem zmęczona chronieniem twojego wizerunku. Dorośnij wreszcie, do cholery! – Christine była nieugięta. – Wiesz, co jeszcze do mnie dotarło? Ojcostwo to decyzja. Nie musi mieć nic wspólnego z genami. Zachary jest dawcą materiału genetycznego, ale z tego, co teraz widzę, moje dziecko nie ma ojca...

– Ja jestem jego ojcem!

– Więc zacznij się zachowywać, jak przystało na ojca. Musi ci zależeć na tym dziecku, musisz o nie dbać...

– Zależy mi. Właśnie dlatego chcę wytoczyć sprawę Homestead.

– Wcale nie. Chcesz wytoczyć sprawę Homestead, bo jesteś wściekły. Na nich za wybranie Jeffcoata. Na siebie za bezpłodność. Jesteś wściekły na cały świat i zamierzasz się wyżyć na Homestead. Nie zależy ci na dziecku.

– Ty natomiast twierdzisz, że zależy ci na dziecku, podczas gdy tak naprawdę troszczysz się głównie o Zachary'ego. Sama powiedziałaś o więzi, jaka cię z nim łączy. Jak ja mam zaakceptować coś takiego?

– Mówisz, jakby ciebie nic z nim nie łączyło – powiedziała w przypiływie natchnienia. – Skoro dziecko jest nasze, twoje, ty także masz coś wspólnego z Jeffcoatem. Dzielisz ze mną tę więź.

– O czym ty mówisz? Czego ode mnie oczekujesz?

– Zachary siedzi w więzieniu za zbrodnię, której być może nie popełnił. Jest naszym dawcą, nie odwrócę się do niego plecami.

– Nie zrobiłaś tego. Załatwiłaś mu prawnika!

– I nie zamierzam teraz umywać rąk. – Christine dojrzała do stawienia czoła własnym uczuciom. – Boję się o niego. Szkoda mi tego człowieka, bo myślę, że jest niewinny. On nikogo nie zabił...

– Nie bądź naiwna, Christine. Słyszałaś, co powiedział Gary.

– Tak czy inaczej, muszę się sama przekonać. – Podjęła decyzję. Nie będzie beczynnym siedziała w domu i pielęgnowała obsesyjnie myśli o Zacharym podczas pielienia ogródka. – Wrócę tam i spróbuję mu pomóc. Upewnię się, że ma wszystko, czego potrzebuje...

- Co?! Chyba żartujesz?!
- Proszę cię, żebyś pojechał ze mną.
- Nie! – warknął. – Wykluczone. Nigdzie się nie wybieram.
- Proszę cię. Pojedźmy razem. – Szukała argumentu, który mógłby go przekonać. Miała cień nadziei, że wspólne działanie może uratować ich małżeństwo. – Chcesz powiedzieć naszemu dziecku, kiedy dorośnie, że jego biologiczny ojciec odsiaduje wyrok za morderstwo, choć jest niewinny? A my mogliśmy mu pomóc, lecz zdecydowaliśmy inaczej? Wiesz, jak to może wpłynąć na dziecko? Potrafisz myśleć o przyszłości? Nie jesteś w stanie przeboleć faktu, że potrzebowaliśmy dawcy?
- Przestań, Christine. Prosisz o zbyt wiele. Za dużo ode mnie wymagasz.
- Ja mogłam zaakceptować sytuację, czemu ty nie możesz? Marcusie. Nie umiem udawać, że on nie istnieje. Pojadę tam z tobą czy bez ciebie.
- Nie możesz!
- Jesteś moim mężem, nie przełożonym. – Christine skrzyżowała ręce na klatce piersiowej. – Jedziesz ze mną albo nie. Twój wybór.

ROZDZIAŁ 32

Rano Christine wjeżdżała już do New Jersey. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał dziewiątą piętnaście. Poprzedniego wieczora poszła na górę bez słowa, Marcus spał na dole w towarzystwie Murphy'ego i Lady. O świcie spakowała trochę ubrań i niezauważona wymknęła się z domu o piątej trzydzieści. Marcus miał najtwardszy sen w historii ludzkości, a pies mu pod tym względem dorównywał. Kotka zapewne widziała, że pani wychodzi, ale wcale się tym nie przejęła.

Krople deszczu uderzały o przednią szybę samochodu, wycieraczki pracowały miarowo. Christine zapomniała już o porannych mdłościach i doskonale sobie radziła za kierownicą, pokonując wyjątkowo pustą o tej porze trasę I-95 na południe w bardzo dobrym czasie. Marcus nie napisał ani nie zadzwonił, ona także nie zamierzała się z nim kontaktować.

Poczekwała na dogodną chwilę, żeby bezpiecznie wybrać numer mamy, która podniosła słuchawkę po pierwszym sygnale.

- Cześć, Christine. Jak się dziś czujesz?
- Wspaniale. Co porabiacie?
- Tata je śniadanie. Trochę się zdenerwował, bo nie mamy już keczupu.
- Ale jak ty się czujesz? – dopytywała Christine. Jej mama z takim oddaniem pełniła rolę opiekunki, że odruchowo stawiała siebie na drugim planie.
- Dobrze.
- Wyspałaś się? – Christine wiedziała o problemach matki z bezsennością.
- Wyjątkowo. Włączyliśmy na noc klimatyzację. Co u ciebie?
- Świetnie się bawię – skłamała z lekkim poczuciem winy. Nie chciała jej niepotrzebnie martwić. – Wracam na parę dni do domku letniskowego Lauren. Posiedzę jeszcze trochę, odpocznę po zakończeniu roku szkolnego.
- Wspaniały pomysł! Cieszę się! Masz mnóstwo na głowie, zasłużyłaś na przerwę. Marcus do ciebie dołączy?
- Niestety, musi pracować. A Lauren nie może zostawić dzieci.

- Będziesz całkiem sama?
- Tak, nie mogę się doczekać. Kupiłam stos książek i będę czytać do nieprzytomności na plaży.
- O, to rzeczywiście brzmi cudownie – westchnęła tęsknie Georgina.
- Chciałabym, żebyś pojechała ze mną, mamó. – Jej rodzice nie mieli wakacji, odkąd dowiedzieli się o chorobie taty, pięć lat temu. Zmiana scenerii i codziennych rytuałów źle wpływała na chorego, więc zostawali w domu.
- Innym razem.
- Tak, innym razem – powtórzyła, doskonale wiedząc, że nie będzie żadnego innego razu. Jej matka również była tego świadoma. Po prostu chciały się nawzajem pocieszyć.
- Będę kończyć, kochanie. Powinnam pomóc tacie przy śniadaniu.
- Mogę się z nim przywitać?
- Nie w tej chwili, dobrze, córeczko? Chciałabym, żeby zjadł.
- Oczywiście. Pozdrów go i powiedz, że go kocham.
- Dobrze. Kocham cię. Jedź ostrożnie. Rób postoje, jeśli poczujesz zmęczenie. I nie wchodź do wody po jedzeniu.
- Christine uśmiechnęła się do siebie.
- Dobrze, mamusiu.
- Żartownisia – zaśmiała się matka i odłożyła słuchawkę. Christine dotknęła wyświetlacza telefonu przymocowanego uchwytem do deski rozdzielczej, zakończyła połączenie i wybrała numer Lauren. Przyjaciółka odebrała po trzecim sygnale.
- Christine! Przepraszam, że tak długo czekałaś. Usiłuję wepchnąć do samochodu dwa rowery, pedał jednego utknął między szprychami drugiego i nie mogłam ich rozplątać. – W głosie Lauren pobrzmiwała nutka irytacji. – Mówiłam Joshowi, że potrzebujemy bagażnika na rowery, ale czy ktoś w tym domu mnie słucha? Nie.
- Jeden z tych poranków?
- Tak. Czyli jak zwykle. A co u ciebie?
- Powiem, jeśli obiecasz się nie martwić, bo jestem już w drodze.
- Dokąd?
- Mój teść zostanie po raz drugi ojcem, wytatuowana alkoholiczka, którą poznałyśmy w West Chester, nie żyje, a ja jadę z powrotem do Pensylwanii.
- Co?! – zawołała zdumiona Lauren. Najbliższe pięćdziesiąt kilometrów podróży upłynęło Christine na wyjaśnianiu, co się wydarzyło od ich ostatniej

rozmowy. Lauren zareagowała tak, jak można się było spodziewać: „Jesteś pewna? Ale uważaj na siebie. Nie wiem, czy to dobry pomysł”. Nie powiedziała: „Odczekaj godzinę po posiłku, zanim wejdiesz do wody”, ale była blisko. Christine opowiedziała o szczegółach swojego planu, który nie narażał jej na żadne niebezpieczeństwo poza stratą czasu, co Lauren wreszcie niechętnie przyznała. Wierzyły w siebie nawzajem, dlatego właśnie były najlepszymi przyjaciółkami.

– Obiecay, że będziesz ostrożna.

– Będę. Jestem. Ale czy tobie śmierć tej Kent nie wydaje się podejrzana?

– Dlaczego tak uważasz, skoro policja nie ma podejrzeń?

– Nie mają podstaw do podejrzeń. Nie wiedzą, co widziała. Nikt się z nią nie skontaktował w tej sprawie.

– Prawda.

– Załóżmy, że Kent została zamordowana, ponieważ zobaczyła kogoś na schodach tamtej nocy, kiedy zginęła Gail Robinbrecht, albo sprawca myśli, że go wtedy widziała. W takim razie Zachary nie jest seryjnym mordercą.

– Przerażasz mnie tymi swoimi teoriami o morderstwach i seryjnych zabójcach.

– Zdarzają się.

– Nie w naszym świecie. Nasz świat to dzieci, rowery, kredki i klasówki.

Christine uśmiechnęła się. Ten świat nie był już jej światem, nie wiedziała, gdzie teraz przynależy. Zrezygnowała z pracy nauczycielki, zmagając się z problemami w szczęśliwym do niedawna małżeństwie. Chciała być matką. Matką właśnie tego dziecka, które nosi, ale ta pętla prowadziła ją z powrotem do Zachary’ego Jeffcoata.

– Martwię się o ciebie i Marcusa.

– Ja też. – Deszcz bębnił o szyby i dach samochodu. – Może to zabrzmie dziwnie, ale między innymi dlatego zdecydowałam się na wyjazd. Chciałabym mieć zignorować istnienie Zachary’ego. Nie zaznam spokoju, dopóki nie spróbuję mu pomóc.

– A jeśli nie będziesz w stanie?

– Przynajmniej spróbuję. Inaczej będzie mnie to męczyło. Wiesz, jaka jestem.

– Ciekawska.

Christine uśmiechnęła się.

– Ale co z Garym? Nie zaszkodziś waszej sprawie?

– Nie sądzę. Po prostu wykazę się zaradnością i niezależnością.

Lauren westchnęła.

- Ile czasu zamierzasz tam spędzić?
- Parę dni? Będę improwizować. Jeśli zadzwoni do ciebie moja matka, jestem w twoim domku letniskowym na wybrzeżu Jersey.
- Ten domek jest szalenie przydatny jak na miejsce, które przez większość roku stoi puste – zachichotała Lauren. – Co powiedziałaś Marcusowi?
- Prawdę. Wie, dokąd jadę.
- I jak zareagował?
- Jest wściekły. Trudno – powiedziała z siłą, której wcale w sobie nie czuła.
- A jeśli zapyta?
- Nie sądzę. Ale gdyby jednak, niech zadzwoni do mnie na komórkę. Zarezerwowałam pokój w hotelu Warner, w West Chester.
- Tam jest jakiś hotel?
- Tylko ten jeden, w budynku, w którym dawniej mieściło się kino.
- A więc bez jacuzzi.
- No raczej. Ładnie się prezentuje na zdjęciach w internecie. – Christine docisnęła hamulec, kiedy ulewa przybrała na sile, a jadąca z naprzeciwka ciężarówka spryskała ją błotem. – Powinnam kończyć. Coraz mocniej pada.
- Bądźmy w kontakcie. Zadzwonię do ciebie niedługo sprawdzić, czy wszystko w porządku.
- Na razie. Kocham cię.
- Ja ciebie też. – Christine zakończyła połączenie. Został jej ostatni telefon. Griff odebrał po pierwszym dzwonku.
- Christine. Nie mam czasu.
- Możemy się spotkać dziś po południu? – zapytała z nadzieją.

ROZDZIAŁ 33

Christine szła korytarzem do biura Griffa, przygotowując się na spotkanie. Ułożyć plan to jedno, a wcielić go w życie – zupełnie co innego, zwłaszcza jeśli trzeba najpierw przekonać mrukliwego Griffa. Otworzyła drzwi w momencie, kiedy adwokat odkładał słuchawkę telefonu.

– Co tu robisz? – Zmarszczył brwi, a Christine zarejestrowała z ulgą, że wygląda lepiej niż poprzednim razem. Niemal udało mu się ujarzmić włosy jakąś pomadą i miał na sobie białą koszulę, czerwono-niebieski krawat i biało-niebieski bawełniany garnitur. Przypominał Atticusa Fincha z demencją.

– Dziękuję za spotkanie, Griff. Wystroiłeś się.

– Pytałem cię?

– Nie, chciałam być miła. – Christine usiadła. – Powinieneś kiedyś spróbować.

– Nie mam czasu.

– Pracujesz nad przygotowaniem obrony Zachary’ego? – Popatrzyła na biurko, na którym panował rozgardiasz: porozrzucane ołówki, długopisy, żółte notatniki wypełnione odręcznym pismem. Po prawej stronie klawiatury stał harmonijkowy organizator pełen dokumentów i kserokopii.

– Nie twój interes.

– Widziałeś się z nim?

– Po co przyszłaś? Jestem zajęty.

– Doskonale. – Christine wyjęła z torebki brązową kopertę i podsunęła ją Griffowi. – Moje CV. Jestem mężatką, mam trzydzieści dwa lata, przez ostatnie dziesięć prowadziłam zajęcia wyrównawcze z czytania dla dzieci w szkole podstawowej.

– Co mnie to obchodzi? – Nawet nie spojrzał na kopertę.

– Chcę zostać twoją asystentką. Nie wezmę pieniędzy.

– Nie. – Odsunął kopertę. – Żegnam.

– Dlaczego? – Christine spodziewała się takiej reakcji. – Jesteś zajęty, potrzebujesz pomocy. Powiedziałeś, że pracujesz sam. Nie musi tak być.

– Chodzi o twoją książkę. Powiedz prawdę.

– Nie – zapewniła. – Postawiłam interesy Zachary’ego na pierwszym miejscu, prawda? Już o tym rozmawialiśmy. Po prostu chcę mu pomóc i interesuje mnie ta sprawa.

– Dlaczego? – Griff zmrużył oczy za wyjątkowo czystymi szklami okularów.

– Uważam, że Zachary tego nie zrobił.

Griff chrząknął znacząco.

– To dowodzi, że nie masz kwalifikacji, żeby zajmować się prawem karnym.

– Jesteś przekonany o jego winie? Spotkałeś się z nim.

– Nie będę z tobą rozmawiał na temat sprawy.

– Dobrze. Ale mam kwalifikacje. Asystentka nie musi posiadać wykształcenia prawniczego. Wystarczy mi dyplom z metodyki nauczania. Zrobiłam licencjat na Uniwersytecie Connecticut. Mogę się wszystkiego nauczyć. Zresztą, do większości zadań wystarczy zdrowy rozsądek.

– Zdrowy rozsądek jest czymś pośrednim pomiędzy inteligencją a głupotą, jak powiedział Wolter.

– Na szczęście jego tu nie ma. Po tym, co spotkało Lindę Kent, nabrałam przekonania, że dzieje się tu coś podejrzanego. Chcę dotrzeć do prawdy.

– Nie. Do widzenia. – Griff zignorował dzwoniący telefon.

– To praktyczne rozwiązanie. Sam nie dasz rady ogarnąć wszystkiego, a na zatrudnienie ludzi brakuje funduszy. Ktoś musi zbadać sprawę Lindy Kent. – Wskazała dzwoniący telefon. – Zapewne to FBI, przedstawiciele władz innych stanów też będą chcieli z tobą rozmawiać, sam mówiłeś, prawda?

Griff zacisnął spierzchnięte wargi, ale nie odpowiedział. Telefon zamilkł.

– Obiecuję lojalność i dyskrecję. Nie znajdziesz nikogo bardziej odpowiedzialnego ode mnie. Poza tym nawiązałam już dobre stosunki z Zacharym Jeffcoatem.

Mówiła dalej, korzystając z jego milczenia.

– W przeciwieństwie do niektórych wiem to i owo o obsłudze komputera. FBI i policja będą potrzebować kontaktu mejlowego. Nie wszyscy lubią dzwonić, zwłaszcza że i tak nie odbierasz. Bądź realistą, pomyśl o Zacharym. Powrót do średniowiecza nie działa na korzyść klienta. Pozwól sobie pomóc.

– Nie sądzę. – Griff pokręcił głową, telefon ponownie się rozdzwonił.

– Odbierzesz?

– Nie.

Christine uniosła się, wyciągając rękę po słuchawkę.

– Pozwól, że ja to zrobię. Przyjmę wiadomość.

– Nie. Siadaj. Wiem, kto to.

– Kto?

– Nie twoja sprawa.

– Dlaczego nie chcesz odebrać?

– Jeśli ktoś do ciebie dzwoni, zawsze ma w tym własny interes, zapamiętaj to sobie. – Griff uniósł sękaty palec. – Ludzie osiągaliby znacznie więcej, gdyby ignorowali sprawy dzwoniących i zajmowali się własnymi. Tak jak ja. Wiem, co mam do zrobienia, i nie zamierzam tracić czasu na odbieranie telefonów. Najważniejszy w tej chwili jest mój klient.

Christine przystąpiła do realizacji planu B.

– Zamierzam przeprowadzić własne śledztwo, czy ci się to podoba, czy nie. Nie powstrzymasz mnie.

– Rób, co chcesz. Po co mi zawracasz głowę? – Griff wzruszył ramionami w zbyt luźnej marynarce, zapewne pamiętającej czasy młodości.

– Ponieważ wszystko, co odkryję jako twoja pracownica, będzie poufne, prawda? Nie będę musiała o tym mówić FBI ani zeznawać przed sądem. Tego mnie nauczyłeś, mam rację?

Griff nie odpowiedział, zmarszczył tylko krzaczaste brwi.

– Ale jeśli zacznę działać na własną rękę, wszystko pozostanie jawne. Będę musiała odpowiadać na pytania, będę mogła o tym rozmawiać, z kim zechcę. Mogę oddać do druku wszystko, co uznam za stosowne, pójść do gazety albo opublikować w tym nowym, strasznym wynalazku zwanym internetem. – Christine zrobiła pauzę dla większego efektu. – Zatrudnij mnie – to jedyny sposób, by zyskać kontrolę. Tak czy inaczej, ja zrobię swoje. Zachary skorzysta na naszej współpracy, rywalizacja może mu zaszkodzić.

– To szantaż.

– Nie. Propozycja. – Odezwało się w niej nauczycielskie powołanie, choć uczeń nie był już młody. – Nasza współpraca leży w interesie Zachary’ego. Oboje chcemy, żeby został uniewinniony. Co ty na to?

Griff westchnął zgnębiony. Telefon przestał dzwonić.

– Griff, nie masz pieniędzy. Nie masz ludzi. Jedna osoba tego wszystkiego nie ogarnie. Proszę, bądź rozsądny. Wykorzystaj mnie.

Stary adwokat zacisnął usta.

Christine czekała.

– Proszę?

– Będziesz robić, co ci każę – odpowiedział po chwili.

– Dobrze. – Serce Christine podskoczyło z radości.

– Nie pisz i nie rozmawiaj o sprawie z nikim poza mną. Żadnych książek, Facebooków, przecieków. Mam twoje słowo?

– Tak.

– Obowiązuje cię klauzula 1.6 o poufności informacji. Cokolwiek odkryjesz, pracując dla mnie, jest objęte tajemnicą obrończą. Nigdy o tym nie zapominaj.

– Dobrze. – Christine pochyliła się do przodu. – Widziałeś się już z Zacharym?

– A ty zaczynasz od zadawania pytań? – Griff uniósł opadające powieki i otworzył szeroko oczy.

– Jeśli mamy razem pracować, powinniśmy wymieniać informacje. Współpraca, Griff. – Miała wrażenie, jakby rozmawiała z wyjątkowo owłosionym czwartoklasistą.

– Byłem u niego w niedzielę.

– Co o nim myślisz?

– To bez znaczenia.

– Nie ma znaczenia, co o nim myślisz?

– Właśnie. – Griff popatrzył jej w oczy i zacisnął usta w cienką, pomarszczoną linię.

Christine odpuściła.

– Twoim zdaniem jest niewinny?

– To również bez znaczenia. Jestem jego adwokatem, nie Stwórcą.

Nie miała pojęcia, co chciał przez to powiedzieć.

– Zapytałeś?

– Oczywiście, że nie.

Patrzyła na niego zdumiona.

– O czym rozmawialiście w takim razie?

Griff westchnął teatralnie.

– Zapytałem, co się zdarzyło w noc morderstwa. Opowiedział mi tę samą historię, co tobie. Zrobiłem notatki. – Wskazał notesy. – Gdzieś tu powinny być.

– Nie spytałeś, czy to zrobił?

– Mam powtórzyć? – skrzywił się adwokat. – Tak będzie wyglądała nasza

współpraca? Zadręczysz mnie na śmierć tymi samymi pytaniami?

– Zachary zadzwonił tamtej nocy na policję. Osobiście zgłosił morderstwo Gail.

– No i? – Griff wzruszył ramionami. – Typowe u seryjnych morderców. Robert Durst zadzwonił na policję. Dusiciel z Wichita tak samo. Lubią pogrywać z gliniarzami. Drażnić ich. Manifestować swoją wyższość.

Powstrzymała go gestem.

– Niech ci będzie, przejdźmy dalej. Wprowadź mnie w temat. Co jeszcze zrobiłeś do tej pory?

– Złożyłem formularz uczestnictwa w sprawie, który informuje zainteresowanych, że jestem obrońcą Zachary’ego. Wykreśliłem z więziennej listy odwiedzających wszystkich poza mną. Ciebie wpiszę z powrotem. Poszedłem na miejsce zbrodni.

Christine sapnęła z przejęcia.

– Byłeś w mieszkaniu Robinbrecht?

– Mieszkanie Robinbrecht jest miejscem zbrodni, więc tak. – Mętne, szare oczy Griffa patrzyły na nią z irytacją. – Jak to możliwe, że ja sobie radzę bez aparatu słuchowego, a ty nie?

– Wszedłeś tam?

– A jak myślisz? Zadzwoniłem do biura prokuratora. Oficerowie śledczy mnie tam zabrali i pilnowali, kiedy się rozglądałem. Taka jest procedura.

– Znalazłeś cokolwiek, co może nam pomóc?

– Nie.

– Żałuję, że mnie tam nie było. – Christine nie umiała sobie wyobrazić, jak wyglądało miejsce zbrodni, a chciała wiedzieć.

– Możesz pojechać. Umówię cię na jutro.

– Naprawdę? – Serce zabiło jej szybciej. To ponure przedsięwzięcie, ale może zdoła odkryć coś, co przegapił Griff.

– Moment. – Wyciągnął spod stosu akt jednoobiektywową lustrzaną i podał jej nad biurkiem, zahaczając przy tym długim paskiem o papiery. – Zrobiłem zdjęcia.

– Dzięki. – Wstała i sięgnęła po aparat. Zerknęła na tył, żeby obejrzeć fotografie, ale nic nie znalazła. – Nie jest cyfrowy?

– Nie jest. Widzisz to? – Griff poruszył artretycznymi palcami. – Angielskie słowo *digital*, cyfrowy, wywodzi się od łacińskiego *digitus*, palec.

– Tak? – Christine usiadła. – Człowiek uczy się codziennie czegoś nowego.

– Ja nie, ale ty – owszem. – Machnął ręką, wskazując aparat. – Oddaj do wywołania. Pierwsze polecenie służbowe.

– Dobrze, ale najpierw chciałabym zrobić co innego. Właściwie natychmiast.

– Nie słuchasz mnie – burknął z niezadowoleniem Griff.

– Słucham, tylko nie wykonuję poleceń.

– Obiecałaś, że będziesz je wykonywać.

– Nic podobnego. – Christine nie ślubowała posłuszeństwa nawet mężowi, i całe szczęście, jak się okazało. – Powiem ci, co mam zamiar zrobić, a ty dasz mi swoje błogosławieństwo. Zgoda?

– Nie.

Zignorowała odpowiedź Griffa i wtajemniczyła go w swoje plany.

ROZDZIAŁ 34

Christine oddała kliszę do wywołania w pobliskiej drogerii i pojechała na Warwick Street. Dotarła tam o idealnej porze, o osiemnastej wciąż jeszcze było widno, a mieszkańcy wracali do domów z pracy. Zwróciła uwagę, że niektórzy parkują samochody na podjazdach przed domami, podczas gdy inni skręcają w prawo i wjeżdżają w wąską uliczkę na tyłach.

Zatrzymała samochód w odległości kilku domów od mieszkania Gail Robinbrecht, wyjęła kluczyk ze stacyjki, zabrała torebkę i wysiadła. Przystanęła przed numerem trzysta jeden, dwa domy od Gail, i omiotła wzrokiem całą Warwick Street. Wszystkie budynki, od numeru trzysta jeden do narożnego trzysta dziewięć, były takimi samymi szeregowcami z czerwonej cegły. Różniły się jedynie kolorami okiennic, zasłon oraz roślinnością wokół.

Pod numerem trzysta jeden królowały petunie w ładnych doniczkach dobranych pod kolor czarnych drzwi. W oknach na pierwszym piętrze paliło się światło. Christine pokonała dwa stopnie i zapukała, napominając się w myślach, że ma udawać pracownicę kancelarii adwokackiej. To taka nauczycielka z wyższą pensją, pocieszała się w duchu.

Po chwili otworzył jej przystojny, choć nieco niechlujny, młodzieniec w fioletowej koszulce uniwersyteckiej, spodenkach gimnastycznych i czerwonych słuchawkach Dr. Dre.

– Cześć – powiedział, odsłaniając jedno ucho.

– Dzień dobry, nazywam się Christine Nilsson, pracuję jako asystentka w jednej z miejscowych kancelarii adwokackich. – Podała mu służbową wizytówkę Griffa.

– Aha. Phil Dresher. – Chłopak zawiesił słuchawki na szyi, muzyka była tak głośna, że Christine słyszała wrzaski rapera.

– Phil, chciałabym ci zadać kilka pytań na temat Lindy Kent, która mieszkała na sąsiedniej Daley Street pod numerem trzysta pięć. Znałeś panią Kent?

– Słabo. Znam sąsiadów na swojej ulicy. Czasem urządzamy wspólne

imprezy, jest fajnie. Ale nie utrzymuję kontaktów z ludźmi z Daley Street.

– Być może słyszałeś, że pani Kent miała w niedzielę wypadek. Spadła ze schodów i się zabiła.

– Tragedia. Nie wiedziałem. – Phil zrobił zatroskaną minę.

– Prowadzimy śledztwo w tej sprawie. Czy coś zwróciło twoją uwagę tamtej nocy? Może usłyszałeś jej krzyk albo widziałeś upadek? – Christine właściwie nie skłamała. Zacznie od pytań o Lindę Kent zamiast o Gail Robinbrecht. Sąsiedzi będą skłonni do mówienia, gdy uznają, że chodzi o odszkodowanie za wypadek, a nie sprawę o morderstwo.

– Raczej nie. O której?

– Myślimy, że około północy.

– Nie, nic nie słyszałem.

– Czy do mieszkania zwykle dochodzą odgłosy z tamtej strony? Twoje okna wychodzą na tyły budynku?

– Tak, wynajmujemy całość. Wydaje mi się, że wszystkie domy mają okna po tamtej stronie.

– Masz podwórko?

– Tak.

– Czyli gdyby były jakieś hałasy, usłyszałbyś je?

– Niekoniecznie. – Wskazał słuchawki. – Zakładam je, kiedy się uczę albo słucham muzyki. Moi trzej współlokatorzy grają w gry, mamy włączoną klimatyzację i pozamykane okna, żeby sąsiedzi nie narzekali na hałasy. Każdy pretekst jest dobry, aby się pozbyć studentów z tej części miasta. – Phil obejrzał się za siebie. – Mogę pokazać ogródek, wychodzimy tam czasem, pijemy wino wieczorami. W sobotę zaprosiliśmy kilkoro znajomych, ale w niedzielę świętowaliśmy na mieście. Jeden z moich współlokatorów kończy studia.

– Gratulacje – uśmiechnęła się Christine. – Przykro mi z powodu tego, co się stało z Gail Robinbrecht, twoją sąsiadką.

– Wow, wiem, to okropne, naprawdę straszne. – Phil zmarszczył brwi. Wyglądał teraz na starszego.

– Znałeś Gail?

– Pewnie, wszyscy ją lubiliśmy. Była organizatorką sąsiedzkich imprez, świetnie jej to wychodziło. Moja dziewczyna też ją lubiła, jest przerażona. Chce zorganizować patrolę sąsiedzkie.

– Doskonały pomysł – pochwaliła Christine, dostrzegając szansę dla siebie.

– Widziałeś cokolwiek podejrzanego w okolicy w noc morderstwa? Z zeszłej niedzieli na poniedziałek?

– Nie, zupełnie nic.

– Byłeś w domu?

– Byłem, ale nic nie widziałem. Grałem na komputerze. Mówiliśmy już policji.

– Dobrze, świetnie. Serdeczne dzięki.

– Nie ma sprawy. – Phil zamknął drzwi, natomiast Christine przeszła pod numer trzysta trzy, do bezpośrednich sąsiadów Gail Robinbrecht. Mieli świerk norweski w niebieskiej, ceramicznej donicy, drzwi z naturalnego drewna z mosiężną kołatką, okna przesłonięte żaluzjami. O tym, że ktoś jest w domu, świadczyły dobiegające ze środka dźwięki muzyki klasycznej. Drzwi otworzyła starsza, ciemnoskóra kobieta w okularach w drucianej oprawie. Posiwałe włosy związała w węzeł na czubku głowy, miała na sobie jedwabną, białą bluzkę i granatową spódnicę, niewątpliwie stanowiącą komplet z jakąś marynarką. Bose stopy sugerowały, że przed chwilą oswobodziła je z obcasów.

Christine wskazała z uśmiechem bose stopy kobiety.

– To pierwsze, co robię po wejściu do domu.

– Ha! – Nieznajoma obdarowała ją ciepłym uśmiechem. – Szpilki to nie buty, tylko narzędzia tortur.

– Amen. – Christine przedstawiła się i podała wizytówkę Griffa. – Pracuję w kancelarii adwokackiej w West Chester, przyglądamy się sprawie przypadkowej śmierci pani Kent, która mieszkała po sąsiedzku, przy Daley Street.

– Bardzo mi miło. Anita Noxubee.

– Pani Anito, czy znała pani Lindę Kent?

– Trochę, bardzo słabo. Czasem ją widywałam. – Anita zacisnęła usta. – Słyszałam, że zmarła. Przykro mi.

– Tak, miała wypadek w niedzielę około północy. Może usłyszała pani coś wtedy? Krzyk, wołanie o pomoc?

– Nie. Już spaliśmy. Kładziemy się z mężem wcześniej, ponieważ on zaczyna lekcje z samego rana. Jest nauczycielem w Widener.

– Przy okazji zapytam, czy znała pani Gail Robinbrecht?

– Tak, oboje ją znaliśmy. Przeurocza kobieta, pełna życia. Każdego lata organizowała spotkanie sąsiedzkie, wszyscy tam chodzili. Ostatnie było tak

niedawno, w czerwcu... – Anita wyraźnie posmutniała. – Nie mogę nawet myśleć o tym, w jaki sposób zginęła, to straszne. Wszyscy podziwiali zaangażowanie, z jakim pomagała ludziom.

– Słyszała pani jakieś podejrzane odgłosy dobiegające przez ścianę tamtej nocy? Może coś pani zauważyła?

– Zupełnie nic. Powiedzieliśmy policji.

– Rozumiem. – Christine zerknęła do wnętrza mieszkania ponad ramieniem gospodyni, z kuchni dolatywał smakowity zapach curry. – Mieszkanie państwa zajmuje cały poziom, macie okna od podwórza?

– Tak, na podwórzu parkujemy samochód. Położyliśmy tam chodnik, gdy kupiliśmy dom.

– Dziękuję. Proszę przyjąć szczere wyrazy współczucia. – Christine oddaliła się w stronę domu Gail ogrodzonego żółtą policyjną taśmą.

Na zewnątrz przybyło świec, kwiatów, pamiątkowych tabliczek z kartonu, pojawił się także pęk balonów w kształcie serca, poruszanych wiatrem. Christine rozpoznała dwie pielęgniarki, które widziała w sobotę, kobiety miały na sobie szpitalne fartuchy i identyfikatory na zielonych zawieszkach. Młodsza wyglądała na dwadzieścia kilka lat, czarne, lśniące włosy nosiła zaplecione w warkocz. Starsza była przysadzista, miała kasztanowe włosy wycieniowane ręką fachowca i perłowe kolczyki. Popatrzyły na nadchodzącą Christine oczami pełnymi bólu, w których nagle pojawił się błysk rozpoznania.

– Dzień dobry – przywitała się niepewnie. – Moje kondolencje.

– Dziękujemy – odpowiedziała starsza.

Druga pokiwała głową i otarła łzy.

– Tak, dziękujemy.

– Pracowały panie z Gail?

– Tak, na jednym oddziale, chirurgii ortopedycznej. Widziałyśmy tu panią w sobotę, prawda?

– Owszem.

– Ale nie znała pani Gail?

– Nie, nie znałam jej. – Christine podjęła błyskawiczną decyzję. – Jestem asystentką adwokata, pracuję w kancelarii w miasteczku. Zajmujemy się śmiertelnym wypadkiem, który miał miejsce w nocy z niedzieli na poniedziałek. Zginęła jedna z mieszkańek sąsiedniej Daley Street, Linda Kent. Słyszały panie o tym?

– Nie, co się stało? – zapytała z przejęciem starsza z pielęgniarek.

- Spadła ze schodów.
- Och, to straszne. Ile miała lat?
- Czterdzieści kilka – odparła Christine i przezornie zmieniła temat. – Gail była cudowną osobą. Słyszałam, jak panie opowiadały o jej zaangażowaniu i oddaniu.
- Tak, kochała swoją pracę i wszyscy w szpitalu bardzo ją lubili.
- Jej rodzina musi być zrozpaczona. – Christine zarzuciła haczyk. – Mieszkają niedaleko?
- Nie, aż w Minnesocie. Przyjadą na czuwanie.
- Czuwanie?
- Szpital urządza specjalną ceremonię, jutro o trzeciej po południu. Dyrekcja chce uczcić pamięć Gail i wesprzeć wszystkich, którzy ją opłakują. Miała wielu przyjaciół. Sąsiedzi także pragną ją pożegnać. Uroczystość jest otwarta. Młodsza z kobiet wytarła nos chusteczką.
- Nie wiem, jak zdołam przez to przejść.
- Starsza objęła ją ramieniem.
- Dasz radę, kochanie. Dla Gail.
- Serce Christine ścisnęło się z żalu, ale nie zapomniała o swojej misji.
- Wiem, że zajmowała mieszkanie na drugim piętrze. Czy wiedzą panie, kto mieszkał na pierwszym?
- Taka urocza staruszka. June Jacoby. Niedawno skończyła osiemdziesiąt lat, choruje na cukrzycę. Gail do niej zaglądała.
- Gdzie teraz jest? – Staruszka mogła coś zauważyć albo usłyszeć.
- Pojechała do siostry, do Atlanty. Była zrozpaczona po śmierci Gail, ale musiała opuścić mieszkanie, bo policja zabezpieczyła cały dom jako miejsce zbrodni.
- Rozumiem. Wiadomo, kiedy wróci?
- My nie wiemy. – Starsza pielęgniarka pokręciła głową ze smutkiem. – Dink musi zabrać rzeczy Gail z mieszkania. Były najlepszymi przyjaciółkami.
- Dink...? – zapytała Christine w nadziei, że pozna nazwisko przyjaciółki zamordowanej.
- Wszystkie pracujemy na ortopedii. Dink jest kompletnie rozbita. Kompletnie.
- Nic dziwnego – powiedziała Christine. – Słyszałam, że Gail nie była zamężna. Miała chłopaka?
- Nie – odparła krótko pielęgniarka o kasztanowych włosach.

– Taka piękna kobieta? – Christine nie kryła zaskoczenia. – Zadziwiające, że z nikim się nie spotykała.

– Jej narzeczony zginął przed trzema laty w Iraku. Nigdy nie przeboleła tej straty.

– Och. – Nie była przygotowana na taką informację, ale dzięki niej lepiej zrozumiała Gail Robinbrecht, kobietę, która usiłowała pozbierać się emocjonalnie po niewyobrażalnej stracie. Jej śmierć wydawała się z tej perspektywy jeszcze bardziej tragiczna, ponieważ wszystko wskazywało na to, iż posiadała w sobie ten rodzaj siły, dzięki której z czasem poukładałaby sobie życie na nowo.

– Była bardzo oddana swojej pracy. Spędzała mnóstwo czasu z nami i z innymi przyjaciółmi. Trudno sobie wyobrazić lepszą przyjaciółkę niż Gail. Zawsze można było na nią liczyć.

– Dobrze jest mieć kogoś takiego. – Pokiwała głową, myśląc o Lauren. – W sobotę przyjechałam tu z moją najlepszą przyjaciółką. Bez niej nie dałabym sobie rady w życiu.

– Dokładnie to samo powtarzam. – Starsza z kobiet uśmiechnęła się łobuzersko. – Mówię swojemu ślubnemu: „Z mężem można się rozstać, a przyjaciółki są...”. – Posmutniała.

– Mimo wszystko – powiedziała Christine – przyjaciółki są na zawsze. Ci, których kochamy, zostają w naszych sercach.

– To prawda. – Kobieta popatrzyła na swoją młodszą koleżankę, która znów miała oczy pełne łez.

– Nie będę paniom dłużej przeszkadzać. Do widzenia. – Oddaliła się sztywno, nękana poczuciem winy, którego nie potrafiła zdefiniować. Podeszła do ostatniego domu przy Warwick Street, z drzwiami pomalowanymi błyszczącą, czerwoną farbą, czarnymi okiennicami i wieńcem zeschniętych kwiatów. Po drugiej stronie drzwi chichotały jakieś dzieci. Christine zapukała i stanęła oko w oko z uroczą, małą Hinduską o ciemnych oczach otoczonych frankami długich rzęs.

– Cześć! – powiedziała dziewczynka z szerokim uśmiechem.

– Cześć, jest twoja mamusia albo tatuś? – zapytała, odwzajemniając uśmiech.

– Emma, nie otwieraj drzwi! – odezwał się lekko zatrwożony głos kobiety, przypuszczalnie mamy. Niewysoka, szczupła Hinduska ubrana w szarą koszulkę Uniwersytetu Pensylwańskiego i krótkie spodenki zasłoniła sobą

dziecko opiekuńczym gestem i zdmuchnęła z twarzy niesforny kosmyk kręconych włosów. – Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

– Przepraszam za najście. – Christine przedstawiła się, podała wizytówkę i powtórzyła tę samą historię.

– Witam, mam na imię Jerri.

– Czy widziała pani lub słyszała coś niepokojącego lub dziwnego w noc śmierci Lindy Kent?

– Nie.

– Mogła pani słyszeć okrzyk lub nawet upadek. To było w niedzielę około północy.

– Nie. Powiem szczerze, nie widzę podstaw do roszczeń w sprawie zaniedbania. – Jerri pokręciła głową. – Każdy tutaj pani powie, że Linda miała problem z alkoholem, i to zapewne było przyczyną upadku ze schodów. Nie pozwalałam dzieciom z nią rozmawiać. Często używała niecenzuralnych słów. Synek się jej bał. Nie pracowała, jak pani pewnie wie. Przeszła na rentę z powodu chorego kręgosłupa, tak przynajmniej twierdziła.

Christine zapisała w pamięci słowa Jerri.

– Była pani w domu tamtej nocy, gdy zdarzył się wypadek?

– Z dwójką małych dzieci? – roześmiała się ponuro. – Jakżeby inaczej? Nigdzie już z mężem nie chodzimy. Gdyby nie VOD, nie obejrzelibyśmy żadnego filmu, zresztą rzadko nam się udaje obejrzeć cokolwiek do końca.

Christine uśmiechnęła się, ale nie zamierzała tłumaczyć Jerri, że marzy o takim życiu.

– Niczego nie słyszeliście?

– Spaliśmy. Mąż włącza przed snem muzykę relaksacyjną.

– Proszę przyjąć moje najszczerze wyrazy współczucia z powodu śmierci Gail Robinbrecht. To musiało być straszne.

– Prerażające! – Jerri otworzyła szeroko oczy i nachyliła się ku Christine, ścisząc głos. – Straszna jest świadomość, że seryjny morderca uderzył tak blisko. Nie zasnąłabym spokojnie, gdyby go nie złapali.

– Wcale się pani nie dziwię. – Zostało jej ostatnie, standardowe pytanie. – Czy zauważyła pani tamtej nocy coś niezwykłego w pobliżu domu Gail?

– Nie tamtej nocy. Powiedziałam policji, co widziałam.

– Co to było? – zapytała z opanowaniem.

– Widziałam mordercę – odpowiedziała ochoczo. – Mężczyznę, którego aresztowali!

– Naprawdę? Co robił? – Christine nie miała powodu, by ukrywać zdumienie.

– Wchodził po schodach do mieszkania Gail. W czwartek, w tym samym tygodniu, kiedy została zamordowana.

– Jest pani pewna? – Starła się ukryć konsternację. Zachary twierdził, że poznał Robinbrecht dopiero w niedzielę, dzień przed jej tragiczną śmiercią. – O której godzinie?

– Około dwudziestej trzeciej. Po wiadomościach.

– Mój Boże! I widziała pani właśnie jego?

– Dokładnie się przyjrzałam. – Jerri zerknęła za siebie, by sprawdzić, co robią jej rozchichotane pociechy, po czym z ożywieniem podjęła temat: – Mamy podwórko z tyłu, akurat wynosiłam posegregowane śmieci i przypadkiem spojrzałam do góry w momencie, gdy Gail otwierała drzwi bardzo przystojnemu blondynowi. Uścisnęli się na powitanie, weszli do środka i zgasili światło.

– Jest pani pewna, że to on? Przecież było ciemno, prawda?

– Widziałam wyraźnie. W świetle padającym z kuchni. – Oczywiście młodej kobiety rozblęły. – To szalenie przystojny mężczyzna. Pomyślałam sobie: „Brawo, Gail! Upolowałaś niezłe ciacho!”. Cieszyłam się, że jej się układa. Bardzo ją lubiliśmy. Emma wręcz ją ubóstwiała. Gail miała świetne podejście do dzieci.

– Powiedziała pani policji? O tamtym mężczyźnie?

– Naturalnie. Kiedy zobaczyłam w wiadomościach Jeffcoata, od razu go rozpoznałam. Powiedziałam policjantom, że widziałam go już wcześniej. Złożyłam oficjalne zeznanie.

Christine słuchała uważnie.

– Czy Gail spotykała się z kimś jeszcze?

– Nie mam pojęcia. Nie narzekam na nadmiar wolnego czasu. – Obejrzała się przez ramię na dzieci, które nagle straciły humor i zaczęły marudzić. – Przepraszam, muszę się nimi zająć.

– Ostatnie pytanie, bardzo proszę. Czy zauważyła pani wchodzących i wychodzących gości?

– U Gail? Nie, ale bardzo rzadko wychodzę na podwórko. Śmieci zwykle wynosi mój mąż. Tamtej nocy akurat zasnął na kanapie i nie miałam sumienia go budzić.

– Rozumiem. Bardzo dziękuję.

Rozmowa z Jerri przygnębiła Christine. Zachary ją okłamał, znał Gail Robinbrecht wcześniej, co najmniej od czwartku, a może dłużej. Skoro skłamał w tej sprawie, może w innych także minął się z prawdą. Przyjdzie czas, by to rozstrzygnąć, na razie musiała się skoncentrować na innym zadaniu. Miała nadzieję, że znajdzie więcej odpowiedzi na Daley Street, gdzie mieszkała i umarła Linda Kent.

ROZDZIAŁ 35

Na końcu Warwick Street skręciła w prawo, w Latham, i poszła prosto, w stronę wąskiej uliczki na tyłach szeregowców przy Warwick i Daley Street. Zatrzymała się w połowie i zrobiła zdjęcie domu Lindy Kent. Rzeczywiście usytuowany był dokładnie na wprost mieszkania Gail, sąsiadka mogła widzieć każdego, kto wchodził do domu zamordowanej pielęgniarki.

Christine schowała telefon do torebki i ruszyła Latham. Minęła miejsce, gdzie spotkała Lindę Kent, i nagle, po raz pierwszy, zastanowiło ją, dlaczego zamiatała ulicę znacznie oddaloną od jej domu, który znajdował się dopiero za rogiem. Nie wiedziała, czy to istotne, ale na wszelki wypadek postanowiła zgłębić ten temat przy najbliższej okazji. Rozejrzała się po Daley Street, która była niemal kopią Warwick.

Rzędy samochodów zaparkowanych przed zadbanymi budynkami z cegły, różnorodne kolory drzwi i okiennic, różne dekoracje i rośliny. Pełna nowej nadziei, postanowiła zacząć od numeru pięćset siedem, na samym rogu, od domu najlepiej utrzymanego ze wszystkich, które do tej pory odwiedziła. Kanarkowo żółte doniczki kipiące bluszczem zostały dobrane pod kolor żółtych drzwi. Zapukała. Niebawem w progu stanęła atrakcyjna brunetka koło pięćdziesiątki, ubrana w białą koszulkę polo, beżowe bryczesy do jazdy konnej i czarne buty jeździeckie. Christine przedstawiła się i podała jej wizytówkę.

– Dzień dobry. Pracuję dla lokalnej firmy prawniczej, badamy okoliczności nieszczęśliwego wypadku Lindy Kent.

– Och, no tak. – Kobieta posmutniała. – Co za pech. Takie nieszczęście. Przepraszam, nazywam się Rachel Cannonette.

– Sprawdzamy, czy schody są wystarczająco bezpieczne. Być może upadek został spowodowany jakimś zaniedbaniem konstrukcyjnym.

– Rozumiem. Wszelkie naprawy należą do obowiązków agencji, ale to Cobblestone i nigdy nie było z nimi problemów. Pod tym względem są bez

zarzutu. Właściciel mieszka w West Chester, załatwia wszystkie usterki na bieżąco. Moim zdaniem agencja nie ponosi odpowiedzialności za ten wypadek. – Rachel uniosła znacząco brew. – Nie lubię źle mówić o zmarłych, ale Linda Kent była alkoholiczką.

– Słyszałam o tym. Wiem, że miała zwyczaj zamykania niedaleko pani domu. Widywała ją pani?

– Bardzo często. – Kobieta uśmiechnęła się półgębkiem. – Mój partner nazywał ją wiedźmą, bo zawsze miała przy sobie miotłę.

– Dlaczego zamykała akurat tutaj? Przecież mieszka pod numerem pięćset pięć.

– Nie jestem pewna. – Rachel potrząsnęła głową. – Ale robiła to bez przerwy, niemal kompulsywnie. Nie pracowała, nie miała nic innego do roboty. Partner twierdzi, że używała tej miotły jako pretekstu, żeby nas szpiegować.

Christine usatysfakcjonowała ta odpowiedź.

– Znała ją pani?

– Nie. Prawdę mówiąc, unikałam jej jak ognia. Bywała kłótniwa. Ale w sumie nic nie mogę jej zarzucić, patrolowała okolice lepiej niż doberman.

– Jak to?

– Cobblestone stosuje wiele zakazów wobec lokatorów. Żadnych zwierząt, imprez, palenia. Mnie to odpowiada, bo lubię ciszę. Jestem prawnikiem, pracuję w domu do późna, mój partner także. Latem jeżdżę konno wieczorami, wracam późno i nie życzę sobie głośnych imprez. Nie chcemy, żeby tu było jak w akademiku.

– Doskonale to rozumiem. Czy słyszała pani jakiś hałas, może krzyk, w noc wypadku? W końcu spadła ze schodów.

– Nie, niczego nie słyszałam. – Rachel spojrzała w bok i zastanowiła się. – Byłam sama w domu, partner wyjechał.

– Jak się pani dowiedziała, co zaszło?

– Rano powiedziały mi sąsiadki.

– Kto?

– Dziewczyny, które mieszkają na pierwszym piętrze w tym samym domu, co Linda, Kimberly i Lainey Merzinka. Są siostrami, obie pracują jako kelnerki. Zanim wyszłam z domu, karetka zdążyła już odjechać.

– O której to było godzinie?

– Wyszłam przed ósmą. Lindę znaleziono o świcie.

- Wie pani, kto ją znalazł?
- Nie. – Rachel zerknęła na zegarek. – Mam nadzieję, że pomogłam. Robi się późno, a ja nie lubię jeździć konno po zmroku.
- Przy okazji... Moje kondolencje z powodu śmierci Gail Robinbrecht.
- Straszne, prawda? Taka miła dziewczyna. Zawsze pamiętała o nas, gdy organizowała spotkanie sąsiedzkie. Nie do wiary, że seryjny morderca zaatakował tak blisko. Nigdy nie zamykałam drzwi ani samochodu, teraz zaczęłam.
- To zrozumiałe w tych okolicznościach.
- Na szczęście go złapali. Nie jestem zwolenniczką kary śmierci, ale mam nadzieję, że zgnije w więzieniu.
- Christine wzdrygnęła się lekko.
- Zauważyła pani coś niepokojącego w noc śmierci Gail? Zwróciłam uwagę, że pani okna wychodzą na jej schody.
- Nie, policja też o to pytała. Byłam wtedy w stajni, zostałam do późna, bo koń miał kolkę.
- Christine po raz pierwszy słyszała o czymś takim, myślała, że tylko niemowlęta miewają kolkę.
- Widziała pani Gail w towarzystwie mężczyzny, którego złapali? Zachary’ego Jeffcoata?
- Nie. Cóż, naprawdę muszę się pospieszyć.
- Oczywiście, bardzo dziękuję.
- Gdy zbliżała się do kolejnego domu, poczuła dreszcz oczekiwania. Tutaj, pod numerem pięćset pięć, mieszkała Linda Kent. Jeżeli ktokolwiek coś zobaczył lub usłyszał tamtej nocy, były to z całą pewnością sąsiadki z pierwszego piętra, siostry Kimberly i Lainey.
- Christine wyciągnęła rękę, żeby zapukać w czarne drzwi, w tym samym kolorze, co okiennice, kiedy te nagle otworzyły się na oścież. Na progu stanęły, chybocząc się na wysokich obcasach, dwie dwudziestoparolatki, blondynka i brunetka, roztaczające wokół siebie intensywny zapach perfum.
- Zabawne – pisnęła blondynka. – Nie wiedziałam, że pani tu jest. Pukała pani?
- Przepraszam. Zamierzałam, ale nie zdążyłam. – Podała jej wizytówkę, przedstawiła się i powtórzyła po raz kolejny swoją historyjkę o kancelarii.
- Dobrze. Ja jestem Kimberly, a to Lainey. – Siostry miały na sobie jednakowe stroje, kamizelki w czarno-białą szachownicę, bez koszulek pod

spodem, i czarne satynowe szorty. Lainey zamknęła drzwi.

– Mam parę pytań odnośnie do Lindy Kent.

– Przykro mi, nie możemy teraz rozmawiać, jesteśmy spóźnione do pracy. – Lainey wycelowała breloczek w wiekową, czerwoną jettę zaparkowaną na ulicy. Trzymała w zagięciu łokcia dużą, białą torebkę.

– Odprowadzę was kawałek. – Christine dogoniła dziewczęta. – Wyrazy współczucia z powodu nagłej śmierci sąsiadki. To musi być dla pań strasznie przykre.

– Bardzo – potwierdziła Kimberly, wydymając pomalowane błyszczącym usta.

– Naprawdę przykre – dodała Lainey. – Nie była jeszcze taka stara.

– Dobrze ją panie znały?

– Niezbyt, z powodu pracy – odpowiedziała Kimberly, podczas gdy Lainey podeszła do samochodu od strony pasażera. – Pracujemy na nocki u Burnsiego przy Dwieście Drugiej. W ciągu dnia odsypiamy. Nie znamy wielu sąsiadów.

– Byłyście w domu tamtej nocy, kiedy spadła? – Christine podeszła z Kimberly do samochodu, przystanąwszy przy tylnym zderzaku.

– Nie, tylko w środy mamy wolne.

– O której wróciłyście do domu w niedzielę?

– Nie wcześniej niż o czwartej. Po pracy poszliśmy do przyjaciółki i wróciłyśmy bardzo późno. Nie słyszałyśmy nawet karetki, która przyjechała w poniedziałek rano. Może nie włączyli sygnału.

– Kto odkrył ciało Lindy, wiedzą panie?

– Nasz sąsiad przez ścianę, Dom. Mieszkają tu, pod pięćset trzy. – Kimberly wskazała dom akrylowym paznokciem. – Spoko, że pani pracuje dla kancelarii i w ogóle, ale wiadomo, dlaczego Linda spadła z tych schodów. Wie pani, że była beznadziejną pijaczką, prawda?

– Słyszałam o jej problemie alkoholowym. – Christine przeszła do kolejnego punktu rozmowy. – Przy okazji, czy widziały panie coś dziwnego tamtej nocy, gdy zginęła Gail Robinbrecht?

– Gail to była równa babka! Uwielbiałyśmy jej przyjęcia. Nie możemy się pogodzić z tym, że umarła. Straszna tragedia. – Kimberly skrzywiła się jak do płaczu. – Mama też wariuje ze strachu. Chce, żebyśmy wprowadziły się z powrotem do domu.

– Widziały panie coś podejrzanego w noc morderstwa?

– Nie, byłyśmy w pracy. Jak to dobrze, że złapali mordercę. Potworność!

Christine nie poddawała się jeszcze.

– Pytam, ponieważ wasze okna od podwórza wychodzą wprost na schody mieszkania Gail Robinbrecht.

– Wiem, ale my bardzo rzadko korzystamy z tego podwórka. Tylko wtedy, kiedy musimy wynieść śmieci. Linda często przesiadywała na schodach. Paliła papierosy.

– Naprawdę? – Coś się tu nie zgadzało, ale Christine nie potrafiła sprecyzować, co to dokładnie było.

– Właściciel zabrania palić w mieszkaniach. Linda paliła dużo, wychodziła na zewnątrz.

– To by tłumaczyło, co robiła na schodach o tak późnej porze. Pewnie wyszła na papierosa.

– Pewnie tak.

– Wiedzą panie, o której godzinie zwykle chodziła spać?

– Kiedy miałam wolne, zauważyłam, że ostatniego papierosa wypalała około północy. Czułam zapach dymu. Sama kiedyś paliłam, więc mi to nie przeszkadzało. – Kimberly zanurzyła dłoń w dużej, czarnej torebce. – Pracuje pani dla jej adwokata, tak?

– Hm, cóż... – stropiła się Christine, lecz zanim zdążyła wyjaśnić pomyłkę, Kimberly wyłowiła z torby pęk kluczy, odczepiła jeden i wręczyła jej.

– Proszę przekazać jej adwokatowi. Dała nam zapasowy klucz na wypadek, gdyby zatrasnęła swój w środku lub zgubiła.

– Oczywiście. – Skwapliwie przyjęła klucz, starając się ukryć podekscytowanie.

– Musimy już jechać. Miło się z panią rozmawiało. – Kimberly podeszła do drzwi samochodu i przystanęła. – O, jest i Dom. Dom, pozwól do nas na minutkę!

– Świetnie. – Christine podziękowała Kimberly, która przywołała niewysokiego, szczupłego mężczyznę w okularach przeciwsłonecznych i garniturze khaki, który właśnie wysiadał z niebieskiego bmw. Pomachał w odpowiedzi i zarzucił na ramię czarną skórzaną torbę. Zsunął okulary, odsłaniając błękitne oczy i szczupłą, opaloną twarz. Miał krótkie siwe włosy.

– Hej, Kimberly. Jak się masz?

– Dobrze – rzuciła w przelocie Kim, spiesząc do samochodu. – Dom, muszę lecieć do pracy, ale ty powinieneś porozmawiać z Christine, która jest asystentką prawnika i pytała o Lindę. Mógłbyś? Jesteśmy strasznie spóźnione.

– Nie ma sprawy. Na razie. – Zwrócił się do Christine z uprzejmym uśmiechem: – Dominic Gagliardi, bardzo mi miło. Którą kancelarię pani reprezentuje?

– Nazywam się Christine Nilsson. Jestem asystentką Francisa Griffitha. – Podała mu wizytówkę.

– Griffith? – Popatrzył na bilecik i zmarszczył brwi. – Nie znam. Zajmuję się ubezpieczeniami firm, pracuję dla agencji w Filadelfii. Korzystamy z wielu kancelarii prawa cywilnego z West Chester, ale tej nie rozpoznaję.

Christine postanowiła zmienić temat.

– Przyglądamy się okolicznościom śmierci Lindy Kent pod kątem potencjalnych zaniedbań. Kimberly mówi, że to pan znalazł Lindę. Mógłby mi pan pokazać gdzie?

– Pewnie, proszę za mną. – Ruszył w stronę domu. – Do mieszkania na piętrze prowadzi ta alejka. Drzwi od frontu należą tylko do mieszkańców parteru.

– Aha. – Christine podążyła za nim przejściem pomiędzy dwoma budynkami, zbyt wąskim, by dwie osoby mogły iść obok siebie. – Czy jest tu monitoring?

– Szczerze wątpię. Brakuje nawet porządnego oświetlenia. To była bezpieczna okolica. Większość ludzi nie zamyka drzwi na klucz. Ja zamykam, ale tylko dlatego, że dorastałem w Queens.

– A kamery przemysłowe czy coś w tym stylu?

– Są zamontowane w centrum i w okolicach uczelni, ale nie tutaj. – Dom zachichotał. – W West Chester czas stanął w miejscu w latach pięćdziesiątych, jak mawia moja żona. Urodziła się tutaj.

– Fotoradary? – zapytała bez większej nadziei. – No tak, nie ma świateł drogowych.

– Nie ma. Doskonale się tutaj biega. Na Manhattanie musiałem mieć oczy dookoła głowy, żeby nie wpaść pod samochód. – Dom przystanął u podnóża drewnianych schodów i wskazał betonowy plac. – Tutaj ją znalazłem. Na samym dole.

– Rozumiem. – Nie zauważyła śladów krwi, choć rozejrzała się uważnie po wąskim, wybetonowanym podwórku. Po prawej stronie, pod starym ogrodzeniem, stały pojemniki do segregowania śmieci. Na bramie opatrzonej kłódką wisiała tablica z napisem: „Własność agencji nieruchomości Cobblestone”.

– Wstrząsające przeżycie.

– Współczuję – powiedziała. – Wolałabym o to nie pytać, ale... Jak wyglądała Linda? Co się wydarzyło?

– Nie wiem. – Skrzywił się. – Nie miałem wątpliwości, że nie żyje, ponieważ leżała z nienaturalnie skręconą szyją i szeroko otwartymi oczami. Krtań wydawała się posiniaczona, ale słońce jeszcze nie wzeszło i nie widziałem dokładnie.

– Zauważył pan siniaki na szyi?

– Tak. – Dom zrobił grymas. – Zdawało mi się, że dostrzegłem takie czerwone plamy.

– Była krew?

– Nie, żadnej krwi. – Dom pokręcił głową. – Nogi nie były chyba połamane, ale ugięte i schowane pod resztą ciała. Tak jakby spadła ze schodów.

– Leżała na wznak?

– Tak, tu miała głowę. – Dom podszedł bliżej schodów. – Była zwrócona nogami w kierunku naszego domu.

– Jak była ubrana?

– W szorty i koszulkę z krótkim rękawem. Nie miała żadnych butów, zwróciłem na to uwagę.

– Jak to się stało, że właśnie pan ją znalazł?

– Codziennie rano biegam przed pracą. Zaczynam już o piątej trzydzieści. Wcześniej wyruszam do pracy ze względu na korki na dwieście dwójce.

– Co pan robił za domem?

– Rozciągam się na podwórku, a potem wychodzę przez tylną bramę. – Wskazał sąsiednie obsiane trawą podwórko ze stołem piknikowym i żelazną furtką. – Podczas rozgrzewki przypadkiem spojrzałem za ogrodzenie, jak pani widzi, jest dość niskie. Wtedy ją zobaczyłem. Podbiegłem, żeby udzielić pierwszej pomocy, ale nie wyczułem pulsu. Miała zimną skórę. – Dominic skrzywił się z odrazą. – Zadzwoiłem pod numer alarmowy i przysłali karetkę.

– Wie pan, kiedy zginęła? Policja pana poinformowała?

– Można zapytać w biurze koronera, ale słyszałem, że ich zdaniem około północy.

Mężczyzna potwierdził informację, którą dostała od Griffa.

– Słyszał pan cokolwiek? Wołanie o pomoc albo łoskot, jakkolwiek okropnie to brzmi?

– Nie, wcześniej chodzę spać i zażywam leki nasenne. Podobnie jak moja żona. Mam stresującą pracę.

Christine postanowiła wykorzystać chwilową przerwę w rozmowie na zmianę tematu.

– Korzystając z okazji, chciałam powiedzieć, że bardzo mi przykro również z powodu śmierci pana drugiej sąsiadki, Gail Robinbrecht.

– Mnie też. Oboje z żoną bardzo lubiliśmy Gail. Bywaliśmy na jej sąsiedzkich przyjęciach, nikogo nie pomijała. Bardzo pomagała Davidsonom, którzy mieszkają obok mnie, po drugiej stronie.

Christine nadstawiła uszu. To był kolejny dom, do którego się wybierała.

– Starsze małżeństwo. Na emeryturze, ale ostatnio trudno ich zastać w domu. Urodził im się nowy wnuczek i od trzech miesięcy są w Toledo.

Wykreśliła numer pięćset trzy ze swojej listy.

– Skąd ich znała?

– Bill Davidson miał operację w Chesterbrook, Gail przechodziła samą siebie, żeby niczego mu nie brakowało. Bill był jej bardzo wdzięczny. – Dom ściągnął brwi. – Cieszymy się, że policja złapała mordercę. Myśl, że tutaj był, mrozi krew w żyłach. Za dużo złych wiadomości ostatnimi czasy.

– Widział pan lub słyszał cokolwiek nietypowego tamtej nocy, gdy Gail została zamordowana?

– Policja też o to pytała, ale nie widzieliśmy. Jak mówiłem, tabletki nasenne robią swoje.

– Czy kiedykolwiek zwrócił pan uwagę na osoby wchodzące po schodach do mieszkania Gail Robinbrecht?

– Nie, a wracając do Lindy Kent, jeśli pani szef chce kogoś pozwać, to źle trafił. Zajmuję się ubezpieczeniami i wiem, że pozywając firmę ubezpieczeniową, wytaczamy sprawę konkretnym, żywym ludziom. – Wskazał schody. – Proszę spojrzeć, stopnie są w doskonałym stanie. Tamtej nocy nie padało, nie było ślisko. Linda miała problem z alkoholem, każdy o tym wie. Dlatego spadła, nikt inny nie zawinił.

Zgodne zeznania sąsiadów wywoływały w niej złe przeczucia. Problem alkoholowy mógł przekreślić wiarygodność Lindy Kent jako świadka nocnej aktywności Gail Robinbrecht.

– Linda paliła na schodach?

– Tak. Siadała na krześle, tam na górze, rozwiązywała krzyżówki i odpalała jednego papierosa od drugiego, doprowadzając nas tym do szału. – Dom zacisnął usta w wyrazie dezaprobaty. – Zamykaliśmy okna, a kiedy żona zwróciła jej uwagę, nazwała nas „francuskimi pieskami” i dmuchnęła dymem

w naszą stronę. Muszę panią, niestety, teraz przeprosić. Chcę zjeść kolację, zanim zaczną do mnie wydzwaniać z biura na Zachodnim Wybrzeżu.

– Oczywiście, rozumiem. Dziękuję bardzo, że poświęcił mi pan swój czas.

– Do widzenia. – Dom odszedł alejką pomiędzy budynkami.

Christine popatrzyła na drewniane schody.

Klucz do mieszkania Lindy Kent wypalał jej dziurę w kieszeni.

ROZDZIAŁ 36

Po drodze na górę, do mieszkania Lindy Kent, robiła zdjęcia telefonem. Przystanęła na półpiętrze, w miejscu, gdzie Linda urządziła sobie palarnię. Po prawej stronie, oparte o drewnianą balustradę, stało rozkładane krzesło ze sfatygowanymi poduszkami, na lewo, bliżej drzwi, znajdował się metalowy stolik, na nim gazety otwarte na stronach z krzyżówkami, kilka czerwonych długopisów i pełna popielniczka.

Na wierzchu leżała gazeta z dnia, kiedy zginęła Linda Kent. Krzyżówka była rozwiązana tylko do połowy. Christine zrobiła kilka zdjęć palarni, po czym odwróciła się w lewo i odnotowała, że ze swojego kącika rekreacyjnego Kent doskonale widziała nie tylko schody do mieszkania Gail Robinbrecht, ale także wnętrze jej kuchni, bo jej okno, teraz ciemne, znajdowało się dokładnie naprzeciwko.

Christine włożyła telefon do torebki, wyjęła klucz z kieszeni, otworzyła drzwi z siatką przeciwko owadom i przekręciła klucz w zamku. Zawahała się w progu, zanim weszła do mieszkania zmarłej kobiety. Nie wiedziała, co spodziewa się znaleźć, ale bardzo zależało jej na zgromadzeniu informacji, a taka okazja już się nie powtórzy. Postanowiła przeprowadzić szybkie oględziny, bez zbytniego wścibstwa, i zamknęła za sobą drzwi.

Weszła do niewielkiej, zaskakująco schludnej kuchni. Szafki z białego drewna wyglądały na regularnie myte, na żółtych blatach nie było nawet śladu brudu, okruchów ani plam od długopisu. Jeżeli był tu jakiś alkohol, to dobrze ukryty. Na ladzie obok drzwi leżała paczka papierosów marki Virginia Slim i przezroczysta, niebieska zapalniczka. Wyposażenie stanowiły toster, ekspres do kawy, mały telewizor obok lodówki i pusta suszarka do naczyń. Okrągły, drewniany stół na środku nie ustępował czystością szafkom i blatom, stały na nim jedynie serwetki i solniczka.

Christine przełknęła nerwowo ślinę, czuła się jak bezwstydnny intruz, lecz kontynuowała swoją misję. Zrobiła kilka zdjęć telefonem i przeszła przez

kuchnię, żeby zorientować się w rozkładzie mieszkania. Po lewej stronie znajdowała się sypialnia, po prawej łazienka, a za nią jeszcze jedna sypialnia, którą pani Kent przekształciła w pokój dzienny.

Christine robiła zdjęcia, chociaż nic nie wydawało jej się istotne. Tanie meble w pokoju dziennym nie odznaczały się oryginalnością, poza stołem łamigłówek na stoliku kawowym nie zauważyła żadnych książek ani czasopism. Zdała sobie sprawę, że ma przed sobą ilustrację samotnego życia kobiety, która nie pielęgnowała swoich zainteresowań, nie dbała o rozwój.

Z pokoju przeszła do sypialni, ale przystanęła w progu, powstrzymując się przed ostatecznym zamachem na prywatność Lindy Kent. Sfotografowała wnętrze pomieszczenia, równie schludnego jak pozostałe: starannie pościelone łóżko, drewniane krzesło bez tapicerki ze świeżo wypranymi i złożonymi ubraniami, różowe klapki równo ustawione obok łóżka.

Christine wróciła do kuchni pogrążona w myślach. Skoro Kent wypalała ostatniego papierosa przed snem około północy, a policja ustaliła, że zgon nastąpił mniej więcej o tej godzinie, logiczny wydawał się wniosek, iż kobieta spadła w trakcie lub tuż po tej czynności.

Co w takim razie robiły przy łóżku jej klapki? Dlaczego ich nie włożyła przed wyjściem na drewniany podest pełen drzazg? Dominic powiedział, że miała bose stopy, kiedy ją znalazł u podnóża schodów.

Z drugiej strony pani Kent mogła wyjść boso, to także do niej pasowało. Była wytatuowaną buntowniczką, która lubiła zespół Ramones. W jej przypadku wyjście boso na drewniany taras niekoniecznie musiało oznaczać coś niepokojącego.

Christine otworzyła drzwi i już miała wyjść, kiedy jej uwagę ponownie przykuła paczka papierosów i leżąca na niej zapalniczka. Usiłowała odtworzyć w wyobraźni wydarzenia tamtej nocy. Linda Kent przypuszczalnie spadła ze schodów w trakcie lub po wypaleniu ostatniego papierosa przed położeniem się do łóżka. Dlaczego zostawiła zapalniczkę w domu?

Regulamin agencji kategorycznie zabraniał palenia w mieszkaniach, Kent musiała w tym celu wyjść. Jeżeli ktoś zamierza palić na zewnątrz, nie zapala papierosa w domu, prawda? Ona sama nigdy nie była palaczką, ale matka Marcusa tak. I nigdy nie paliła w domu, papierosy wraz z zapalniczką leżały obok drzwi. Za każdym razem powtarzała ten sam rytuał: wyjmowała z paczki jednego papierosa i wychodziła z zapalniczką na schody, a kiedy skończyła, odkładała zapalniczkę na miejsce.

Christine zamrugała, przyglądając się paczce papierosów i błękitnej zapalniczce. Rozważała mroczniejszy scenariusz, ten, który ją tu sprowadził: że śmierć Lindy Kent nie była dziełem przypadku. Jeżeli kobieta nie wyszła, żeby zapalić, powód jej obecności na schodach musiał być inny.

Możliwe, że już się położyła lub miała taki zamiar, zdjęła klapki, ale jeszcze się nie rozebrała. A jeśli ktoś nagle zapukał do drzwi i poszła mu otworzyć? I tym kimś był seryjny morderca, który przyszedł ją uciszyć, ponieważ widziała go na schodach mieszkania Gail Robinbrecht? Może zabójca wtargnął do mieszkania, gdy uchyliła drzwi, i skręcił jej kark, zanim zdążyła krzyknąć.

Christine uznała tę wersję wydarzeń za wielce prawdopodobną. Wyjaśniała wątpliwość, która nie dawała jej spokoju. Odpowiadała na pytanie, czemu sąsiedzi nic nie słyszeli. Niektórzy spali, niektórzy zażyli środki nasenne, lecz przecież nie wszyscy. Ktoś powinien był coś usłyszeć, gdy Kent spadała ze schodów: wołanie o pomoc, okrzyk zaskoczenia, przekleństwo lub okropny hałas, jaki zwykle towarzyszy podobnym wypadkom.

Nabierała coraz większej pewności, że nikt nic nie słyszał, ponieważ żadna z tych rzeczy się nie wydarzyła. Morderca mógł zabić swoją ofiarę w jej własnej kuchni, a następnie znieść ciało po schodach, zostawić na dole i zniknąć niepostrzeżenie w ciemnej alejce. Włosy na karku Christine zjeżyły się z przerażenia. Alternatywny scenariusz był jak najbardziej możliwy i pasował do relacji sąsiadów.

Omiotła jeszcze kuchnię uważnym spojrzeniem i wyszła.

ROZDZIAŁ 37

Zadzwoiła do Griffa po drodze do samochodu, oszołomiona świeżymi odkryciami. Była przekonana o słuszności swoich podejrzeń i nie mogła się doczekać, by mu o nich opowiedzieć. Po kilkunastu sygnałach włączyła się poczta głosowa, a więc z rozmową będzie musiała poczekać, aż dotrze do biura.

Wsiadła do samochodu i uruchomiła silnik oraz klimatyzację, zignorowała coraz większe zmęczenie i głód. Potrzebowała także skorzystać z toalety, lecz droga do kancelarii nie była długa. Uruchomiła nawigację, by nie zaplątać się w labirynt jednokierunkowych uliczek West Chester, i pojechała prosto, a następnie w prawo, zgodnie ze wskazówkami.

Telefon, który umieściła w uchwycie przytwierdzonym do deski rozdzielczej, zadzwonił. Odebrała natychmiast, przekonana, że to Griff.

– Griff, nie uwierzysz! – zawołała, nie spojrzawszy na wyświetlacz. Ale to nie był Griff, tylko Marcus.

– Mówi twój mąż, pamiętasz mnie jeszcze? – rzucił opryskliwie.

– Przepraszam – odpowiedziała ze spokojem.

– W co nie uwierzy Griff? – zapytał Marcus złośliwie.

– Skoro naprawdę chcesz wiedzieć, chyba zdołałam odkryć, że w mieszkaniu ofiary widziano kogoś jeszcze poza Zacharym, a świadek, który...

– Oszczędź mi szczegółów, Sherlocku. Podziel się swoimi rewelacjami z Zacharym.

– Dobrze. – Nie miała ochoty na kłótnię. Jechała pod górę, między rzędami ładnych szeregowców. Mijali ją biegacze, korzystający z wieczornego ochłodzenia, okoliczni mieszkańcy podlewali kwiaty, w oknach pozapalały się światła, a niebo pociemniało, przybierając chabrowy odcień.

– Widziałaś się z Zacharym?

– Nie. – Christine postanowiła zignorować uszczypliwość męża. – Co u ciebie?

- W porządku. Kiedy wracasz do domu?
 - Jeszcze nie wiem. Dam ci znać. Nie musisz się o mnie martwić, zajmuję się czymś istotnym dla mnie.
 - Czyli?
 - Przekonaj się osobiście.
- Marcus prychnął ze zniecierpliwieniem.
- Więc nie zamierzasz mi powiedzieć, co robisz ani kiedy wrócisz?
 - Marcus, jeżeli naprawdę cię interesuje, co robię, wsiądź do samochodu i przyjeźdź. Zatrzymałam się w hotelu Warner w West Chester.
 - Mam robotę.
 - Możesz wziąć kilka dni urlopu. Dobrze o tym wiesz.
 - Popełniasz błąd. Nie zamierzam się w to angażować.
 - W takim razie każde z nas obstaje przy swoim zdaniu. – Christine z wysiłkiem przełknęła ślinę, bliska płaczu. Miała wrażenie, że są w separacji. Nic nigdy ich tak nie poróżniło. Przypomniała sobie, co Marcus powiedział Gary’emu: „To rujnuje nasze małżeństwo”.
 - Zadzwoń do ciebie, ponieważ Gary rozmawiał już z Homestead. Nie potwierdzą ani zaprzeczą, że Jeffcoat jest naszym dawcą, zamierzają czekać, aż złożymy pozew. Nie przemawia do nich nasz argument o odstąpieniu od umowy poufności, przynajmniej na razie.
 - Co dalej? – Christine skręciła w ulicę po prawej stronie i utknęła w korku.
 - Gary złoży dokumenty w sądzie, żeby pokazać Homestead, że nie blefujemy. Jego zdaniem to ich skłoni do rozważenia ugody.
 - Dobrze. – Christine popatrzyła na długą linię czerwonych świateł stopu. Ze spokojnej dzielnicy domów mieszkalnych wyjechała na ulicę pełną gwarnych restauracji.
 - Nie powiedziałem Gary’emu, gdzie jesteś. Kryłem cię.
 - Nie musisz. Nie wstydę się tego, co robię. On sam powiedział, że to świadczy o zaradności, ja również tak uważam. – Christine nacisnęła pedał gazu, kiedy korek przesunął się o kilkadziesiąt centymetrów pod górę.
 - Christine, mam nadzieję, że nie zaprzepaścisz naszej szansy na wygranie tej sprawy.
 - Nie robię niczego, co mogłoby zaszkodzić sprawie. Nikt tutaj nie wie, że Zachary jest naszym dawcą. Griff nie wie nawet o ciąży.
 - Dowiedzą się, kiedy złożymy dokumenty.
 - W jaki sposób? Zachary jest w więzieniu, Marcusie. Nie ma jeszcze nawet

adresu mejlowego, nie wspominając o telefonie. Nie wiadomo, czy w ogóle będą próbowali się z nim skontaktować.

– Będzie miał dostęp do internetu. Takie rzeczy są publikowane na ogólnodostępnych stronach. Może się dowiedzieć. Tak samo jak twój kumpel Griff.

Uśmiechnęła się. Chwała Bogu, że Griff nie używa internetu.

– Zapytam Gary’ego, jak to działa.

– Nie. Nie chcę, żebyś robiła cokolwiek, co koliduje z naszą sprawą.

– Nie robię. Zapytam tylko o ewentualne konsekwencje. Słyszałeś, co powiedział Gary, to równoległa ścieżka. Moje odkrycia wzmocniły naszą pozycję. Argument o odstąpieniu od umowy poufności nie wypalił, i co z tego? Nic nie straciliśmy.

Marcus jęknął.

– Boże, co za wstyd. To wszystko jest strasznie upokarzające.

– Co konkretnie? Fakt, że nie masz nade mną kontroli? Że jestem odrębną osobą, która ma własne zdanie? Kiedy stałeś się takim seksistą?

– Nie wstydzę się za siebie, tylko za ciebie. Kompromitujesz się.

– Jestem ci wdzięczna za wsparcie – warknęła przez zaciśnięte gardło i odruchowo nacisnęła czerwoną słuchawkę.

Patrzyła przez łyzy na rozmazane czerwone światła stojących przed nią samochodów, usiłując ustalić, kiedy ostatni raz odłożyła słuchawkę w trakcie rozmowy z mężem. Przepaść między nimi pogłębiała się coraz bardziej. Poczowała żal, że nie dostała szansy, by podzielić się z nim swoimi odkryciami dotyczącymi Lindy Kent. Chciała, żeby zrozumiał, iż kierują nią szlachetne pobudki. Nie przeciągnie go na swoją stronę, musi się z tym pogodzić. Marcus uważa, że zbyt wiele od niego oczekuje, spodziewając się pomocy. Poradzi sobie, z nim albo bez niego, zrobi to, co musi, dla dobra dziecka. Zamrugła, by powstrzymać łyzy, które mimo wszystko cisnęły się do oczu.

Miała jeszcze jeden telefon do wykonania.

ROZDZIAŁ 38

Christine zaczekała, aż sytuacja na drodze się uspokoi, i wybrała numer.

- Gary, masz chwilę? – zapytała, gdy prawnik podniósł słuchawkę.
 - Domyślam się, że rozmawiałas z Marcusem. Bez obaw. Tylko dlatego, że nie ugięli się po pierwszym telefonie...
 - Dzwonię w innej sprawie. – Wzięła głęboki oddech i przyspieszyła. – Potrzebuję informacji. Sprawa przeciwko Homestead jest nadal aktualna, tak?
 - Zgadza się.
 - Kiedy złożysz dokumenty?
 - Jutro.
 - Widnieje na nich moje nazwisko, prawda?
 - W części wstępnej? Tak. Sprawa nosi tytuł: Marcus Nilsson i Christine Nilsson versus Homestead International. O to pytasz?
 - Tak. – Widziała ten pozew. – Chciałabym wiedzieć, czy po złożeniu sprawy w sądzie informacja trafi do rejestru publicznego.
 - Owszem.
 - Więc każdy będzie miał do niej dostęp?
 - Teoretycznie tak. Marcus zadał mi to samo pytanie, ponieważ utrzymujecie w sekrecie fakt, że skorzystaliście z banku spermy.
- Christine była zaskoczona, że nie wspomniał o tym szczególnie podczas ich wcześniejszej rozmowy.
- Informacja jest publiczna, ale dostęp do niej nie jest wcale taki prosty. Sąd nie rozsyła przecież listów z powiadomieniami do wszystkich obywateli. Żeby odszukać te dane, trzeba najpierw wiedzieć, że taka sprawa istnieje, a następnie wejść na stronę sądu okręgowego, w której ciężko się rozeznać nawet prawnikom, a co dopiero zwykłemu człowiekowi.
- Christine odetchnęła swobodniej.
- No tak, rozumiem. W jaki sposób zostanie poinformowany bank?
 - Wyślę pozew.

- Poczta?
 - Tak, do ich prawnika. Zgodził się go przyjąć.
 - Zachary Jeffcoat też dostanie egzemplarz?
 - Nie. Jeffcoat nie jest stroną.
 - Czy bank prześle mu kopię?
 - Wątpię, skoro – jak powiedziałem – nie jest stroną.
- Westchnęła z ulgą.
- Zatem Zachary nie musi wiedzieć, że ktoś założył sprawę, która go dotyczy?
 - Zgadza się, ale gwoli ścisłości – z punktu widzenia prawa – postępowanie nie dotyczy Zachary’ego Jeffcoata, ale jedynie jego materiału genetycznego zakupionego przez bank. Nie sądzę, aby Homestead go poinformował o sprawie.
 - Dzięki nam wiemy, że Zachary jest dawcą numer 3319 i przebywa w Graterford. Czemu nie mieliby mu przesłać dokumentów?
 - Po co? Gdyby próbki pozostawione przez Jeffcoata zostały skażone lub gdyby był nosicielem jakiejś choroby genetycznej, na przykład Taya-Sachsa lub czegoś w tym stylu, wtedy jestem w stanie sobie wyobrazić, że mogliby go o tym poinformować. Chociaż nie zobowiązują ich do tego żadne przepisy. To nasz główny problem, brak regulacji prawnych na tym polu – prychnął Gary. – Sami dyktują warunki w swojej piaskownicy.
 - Więc nie mają powodu, aby go powiadomić?
 - Nie. Jedynym powodem, dla którego strony sporu sądowego czasem kontaktują się z osobami postronnymi, jest chęć umieszczenia ich na liście współoskarżonych lub wysunięcie żądania o odszkodowanie. Innymi słowy, żeby wyciągnąć od nich pieniądze. W Homestead kasy akurat mają w bród, zresztą założę się, że Jeffcoat jest niewypłacalny.
 - Co to znaczy?
 - Spłukany. Dlatego wątpię, żeby go angażowali. Dlaczego pytasz?
- Christine postanowiła odsłonić wszystkie karty.
- Jestem w Pensylwanii. Zatrudniłam się jako asystentka adwokata Zachary’ego Jeffcoata.
 - Naprawdę? Przecież jesteś nauczycielką. – Gary nie krył zaskoczenia.
 - Nigdy nie lekceważ nauczycieli.
 - Ani mi się śni! Ale brak ci kwalifikacji, żeby być doradcą prawnym.
 - Toteż nie jestem. Doradzam w kwestiach zdrowego rozsądku. Twoja żona

pracuje jako asystentka w waszej kancelarii, prawda? Skończyła specjalną szkołę?

– Nie, ja ją przeszkoliłem.

– No właśnie. A mnie szkolił mój pracodawca.

– Ten Griff? – Gary zaśmiał się pod nosem. – Rany. Przecież on nawet nie podejrzewa, co tak naprawdę tam robisz. Teraz rozumiem.

– Właśnie. Zastanawiałam się, ile mam czasu, zanim wszystko wyjdzie na jaw.

– Masz czas. – Gary roześmiał się jeszcze raz. – Twój mąż mnie zabije.

– Ja także jestem twoją klientką – przypomniała mu ostro. – Ostatnie pytanie. To nie zaszkodzi naszej sprawie, prawda?

– Nie zaszkodzi.

– Po prostu wzięłam sprawy w swoje ręce, tak jak mówiłeś.

– Stworzyłem potwora.

– Nie masz w tym żadnego udziału. To moja decyzja – zapewniła z przekonaniem. – Im więcej wiem, tym bardziej wątpię w winę Zachary'ego.

– Co na to Marcus?

– Nie jest zadowolony.

– Ale wie, gdzie jesteś. Powiedziałaś mu.

– Tak, poprosiłam, żeby przyjechał ze mną, ale odmówił. Wiem, co robię i po co. Nie muszę się nikomu tłumaczyć.

– Dobrze, spokojnie, rozumiem. – Głos Gary'ego złagodniał. – Oboje z Marcusem znaleźliście się w trudnej sytuacji. Nie mam zamiaru stawać po niczyjej stronie. Chciałbym jedynie ostrzec cię przed ewentualnymi manipulacjami ze strony Jeffcoata. Jest zdesperowanym człowiekiem, szuka jakiegokolwiek sprzymierzeńca. Nie bądź frajerką.

– Nie będę – oświadczyła z pewnością, której nie czuła.

ROZDZIAŁ 39

– Przyniosłam węglowodany. – Christine wyciągnęła rękę z pizzą. W biurze panował półmrok, za oknem było już ciemno, a lampka ze staroświeckim abażurem z zielonego szkła, która stała na biurku, rzucała przyciemnione światło, nadając pomieszczeniu przytulny, domowy wygląd.

– Podlizujesz się? – Griff uniósł głowę znad zarzuconego papierami biurka. Patrzył na nią oczami zaczerwienionymi ze zmęczenia i przysłoniętymi do połowy opadającymi powiekami, a szkła jego okularów w rogowej oprawie zdecydowanie wymagały czyszczenia. Rękawy koszuli miał wygniecione, a krawat przekrzywiony jak zatrzymane śmigło samolotu.

– Dostanę podwyżkę?

– Zapomnij. Chociaż dostaliśmy pieniądze.

– Naprawdę? Skąd? – Christine zrobiła na biurku miejsce, żeby postawić papierową torbę zawierającą napoje, serwetki i talerzyki oraz pizzę, która rozpaczała smakowitą woń sosu pomidorowego i mozzarelli.

– Dziewczyna podrzuciła.

– Widziałeś ją? – dopytywała zaintrygowana.

– Nie było mnie. Zostawiła u dozorkczyni, która czasami przyjmuje moje przesyłki. – Griff wygrzebał ze stosu papierów na biurku, większego niż poprzednio, białą kopertę.

– Mogę zobaczyć?

– Masz. – Podał jej kopertę, na której napisano odręcznie: „Mecenas F.X. Griffith”. W środku znajdował się czek gotówkowy na kwotę dwóch i pół tysiąca dolarów.

– Czek gotówkowy? – zdziwiła się Christine. – Prosiłeś o gotówkowy zamiast imiennego?

– Nie. – Griff zsunął okulary, odłożył je na bok, potarł zmęczone oczy i przysunął sobie pudełko z pizzą. Zajrzał do środka i uniósł z dezaprobatą białą, krzaczastą brew. – Zjadłeś aż trzy kawałki? A niech to. Masz spust.

– Dzięki. – Christine nie zamierzała mu tłumaczyć, że je za dwoje, co stanowiło przecież doskonałą wymówkę. Odłożyła czek na biurko i usiadła w jednym z foteli.

– Moja żona też się opychała jak świnia.

Postanowiła zignorować obraźliwy przekaz, ponieważ słowo „świnia” zostało wypowiedziane z czymś w rodzaju czułości.

– Nie wspominałeś, że masz żonę.

– Umarła – poinformował rzeczowo. – Pięć lat temu. Rak trzustki.

– Och, przykro mi.

– Niepotrzebnie. Jest w lepszym świecie, jeżeli można sobie wyobrazić coś lepszego od życia ze mną. – Griff wziął kawałek pizzy z dużą ilością sera, po czym, zanim zdążyła go powstrzymać, odwrócił jeden z notesów i użył tekturowej okładki jako talerza.

– Griff, w torbie są papierowe talerzyki.

– Tak jest dobrze.

– Są też serwetki i cola w puszcze.

– Masz dzieci? – Griff odgryzł kawałek pizzy i głośno przeżuwał.

– Jeszcze nie. – Zaczerwieniła się, ale Griff nie zwracał na nią uwagi, zajęty pochłanianiem pizzy. Nie przypomniała mu o serwetkach, mimo że niemal natychmiast ubrudził sobie twarz tłuszczem. – A ty?

– Sześcioro. Trzy dziewczyny, trzech chłopaków, dwadzieścioro jeden wnuków. Masz męża, prawda?

– Mam. – Nachyliła się ku niemu. – Sporo się dziś dowiedziałam. Powiedz, czy któraś z tych informacji może nam pomóc.

– Dobra. – Griff wreszcie otarł usta. – Mów, a ja będę jadł.

Opowiedziała mu o kłapkach i zapalniczce, a następnie o sąsiadce Lindy Kent, która widziała Zachary’ego wchodzącego do mieszkania Robinbrecht w czwartek przed morderstwem. Kiedy skończyła, Griff popijał colę po skonsumowaniu trzech kawałków pizzy i zużyciu dziewięciu serwetek, które utworzyły na biurku tłuste origami.

– I co ty na to? – zapytała.

– Za mało sera. – Pociągnął nosem. – Następnym razem weź z podwójnym serem.

– Co myślisz o moich odkryciach? Doszłam do wniosku, że są dość przydatne, ponieważ wszystko to sugeruje udział jeszcze jednej osoby zamieszanej w sprawę. – Spadła na nią lawina myśli. – Zapalniczka i klapki

świadczą o tym, że pani Kent mogła wpuścić kogoś do mieszkania, kogoś, kto ją zabił, a później zniósł ciało po schodach i upozorował wypadek. Możliwe, że tym kimś jest właściwy sprawca, morderca Gail. Bardzo prawdopodobne.

– Rzeczywiście. – Griff odstawił puszkę z napojem.

– Czy oto nadeszła chwila, kiedy pochwalisz moją pracę?

– Nie, ta chwila nigdy nie nadejdzie – oświadczył ze śmiertelną powagą.

Christine zachichotała.

– Byłbyś kiepskim nauczycielem.

– Na szczęście jestem doskonałym prawnikiem. – Popatrzył uważnie na Christine. – A ty zdajesz się ignorować fakt, że Jeffcoat cię okłamał. Powiedział, że poznał Gail tuż przed jej śmiercią. Teraz policja ma naocznego świadka, który wcześniej widział go w okolicy miejsca zbrodni.

– Może sąsiadka się pomyliła. Podobno zeznania naocznych świadków są mniej wiarygodne, niż się na ogół sądzi. Czytałam gdzieś artykuł na ten temat.

– To prawda, ale głównie dotyczy sytuacji, kiedy świadek znajdował się pod wpływem silnych emocji. Na przykład osoby, które były obecne podczas napadu na bank, często przedstawiają portret pamięciowy mocno odbiegający od rzeczywistości. Bo przerażeni ludzie są mało wiarygodnymi świadkami. – Griff otarł usta. – Tutaj mamy do czynienia z inną sytuacją. Kobieta poszła wyrzucić śmieci i zauważyła przystojnego mężczyznę, który odwiedził jej sąsiadkę. W dodatku widoczność miała dobrą. Rodzaj oświetlenia ma znaczenie.

Christine przełknęła z wysiłkiem ślinę.

– Może nie skłamał, tylko źle zrozumiał pytanie. Albo nie powiedział prawdy, ponieważ zbyt słabo mnie znał. Wtedy jeszcze nie współpracowałam z jego obrońcą. Dopiero się poznaliśmy. Ponadto...

– Próbujesz go usprawiedliwiać. – Popatrzył na nią przenikliwie.

– Staram się zachować otwarty umysł.

– Nie, lekceważysz obciążające go fakty, a podkreślasz te, które mogą świadczyć o niewinności.

– Nieprawda – zaprzeczyła, choć pomyślała, że Griff ma trochę racji.

– Wierzysz w jego niewinność.

– Wierzę – odparła z przekonaniem. – Nie mam absolutnej pewności, ale myślę, że on tego nie zrobił.

Griff uniósł jedną ze swoich białych, krzaczastych brwi.

– Zwolniłbym cię, gdybyś nie pracowała za darmo.

– Dlaczego? – powiedziała z niekłamanym zdziwieniem. – Jesteśmy po jego stronie, powinniśmy wierzyć w jego niewinność.

– Naoglądałaś się filmów i seriali. W dodatku nierealistycznych. – Griff pochylał się i oparł łokcie na biurku. – Jeffcoat nie potrzebuje naszej subiektywnej wiary w jedną ani drugą wersję wydarzeń. Naszym zadaniem jest doprowadzenie do uniewinnienia go w sądzie. Jedynym sposobem, by to osiągnąć, jest zachowanie całkowitego obiektywizmu. W ten sposób możemy lepiej zrozumieć przysięgłych, a wcześniej prokuraturę, FBI oraz oskarżycieli ze stanów Wirginia i Maryland.

Christine nie przerwała natchnionego monologu Griffa, bo w jego niebieskich oczach płonął ogień, którego – jak się domyślała – dawno w nich nie było.

– Dzięki zrozumieniu wagi faktów świadczących przeciwko klientowi można zbudować lepszą linię obrony. Jeżeli je zlekceważysz, nigdy nie zdołasz zasiać ziarna wątpliwości w umyśle osoby, która potraktowała je poważnie.

– Dobrze. – Christine odniosła wrażenie, że właśnie zaprezentował jej próbkę swoich umiejętności, dzięki czemu rozumiała, dlaczego mógł okazać się skuteczny. Przeszła na drugą stronę biurka, żeby obejrzeć jego notatki, które były w fatalnym stanie. – Gdybym je szybko przeczytała i uporządkowała, moglibyśmy podzielić się informacjami.

– Moja stara asystentka mówiła to samo.

– Gdzie teraz jest? – zapytała, przystępując do porządków.

– Umarła.

– Przykro mi. – Postanowiła nie kontynuować tego tematu. Wskazała plik segregatorów akordeonowych, którego wcześniej tam nie było. – Co to takiego?

– Wynik moich poszukiwań. Stare sprawy, które mogą się przydać. Wyciągnąłem z akt na zapleczu.

– Na jakim zapleczu?

– Tam przechowuję większość akt. – Wskazał powściągliwie boczne drzwi.

– Dawniej używałem całego piętra, ale już nie potrzebuję, skoro ograniczyłem działalność.

– Pokaż.

– Nie będziesz mi tam węszyć.

– To zajmie tylko chwilę. – Christine otworzyła boczne drzwi, które prowadziły na ciemny korytarz kończący się kolejnymi drzwiami. Włączyła

światło – ścianę po lewej stronie zajmowały rzędy pudeł, a po prawej dostrzegła coś, co ją uradowało. – Masz tablicę?

– Co mówisz?! – krzyknął Griff od swojego biurka, ale Christine już wyciągała tablicę z za starych dowodów procesowych przyczepionych do styropianu. Wtaszczyła znaleźisko do biura. Nikt nie potrafił rozstawić tablicy tak sprawnie jak nauczycielka. Poczwała wiatr w żaglach.

– Co robisz? – jęknął Griff.

– Organizuję nam przestrzeń do pracy. – Oparła tablicę o boczną ścianę, która była pusta. – Do czego jej używałaś?

– Moja sekretarka lubiła trzymać rękę na pulsie. Wieszła tam terminarz, mój i współnika z dawnych czasów.

– Miałaś współnika?

– Aha, miał na imię Tom. Zapomniałem nazwiska. Niski facet. Nazywałem go Tomcio Paluch.

Christine skapitulowała.

– Masz jakieś papierowe ręczniki?

– Nie. Do czego ci?

Zdmuchnęła kurz z tablicy.

– Do tego. Podaj mi, proszę, kilka serwetek.

– Po co to robisz? – zainteresował się, podając serwetki.

– Potrzebujemy powierzchni, na której umieścimy wszystkie zgromadzone informacje. I mapę, na której zaznaczymy miejsca, gdzie dokonano tych trzech morderstw, wraz z datami i godzinami. – Wytarła tablice z kurzu. – Potrzebna nam jest lista faktów, jak mówiłaś, tych dobrych i tych złych, żebyśmy je sobie obiektywnie analizowali. W porządku chronologicznym.

Griff przewrócił oczami.

– Sztab generalny. Mapy z pinezkami w kształcie flag, jak w telewizji.

– No tak, ale chyba takie rzeczy istnieją również w prawdziwym życiu. Nie miałaś pokoju narad?

– To dla ludzi, którzy dowodzą armiami. Ja miałem tylko siebie.

– A Tomcio Paluch?

– Utrzymał się pół roku.

– Zrezygnował?

– Umarł.

Christine zastanawiała się, czy popełnił samobójstwo.

– Nie najlepiej ci wychodzi współpraca z ludźmi, Griff.

– Nie próbuj mnie zmieniać. Kobiety zawsze chcą zmieniać mężczyzn i za każdym razem ponoszą klęskę.

– Nie próbuję cię zmieniać, Griff. Usiłuję z tobą pracować. – Wyrzuciła do kosza brudne serwetki. – W dalszym ciągu nie znam większości istotnych faktów dotyczących sprawy.

– Ale ja znam.

– Gdzie je masz?

– W głowie. – Wskazał siwą, bujnie owłosioną skroń.

– Ja też powinnam wiedzieć, więc musimy się ze sobą komunikować. – Popatrzyła na niego z wyrzutem. – Podasz mi jeszcze jedną serwetkę? Tworzymy zespół.

– Jutro dowiem się więcej. – Griff pochylił się nad biurkiem, sięgnął po serwetkę i podał jej. – Spotykam się z oficerami śledczymi z Marylandu i Wirginii.

– Kiedy się z nimi umówiłeś? – Wytarła boki tablicy.

– Przez telefon, po twoim wyjściu. Mam ci się ze wszystkiego spowiadać?

– Masz mnie informować, nie spowiadać się.

– Na to samo wychodzi. – Pociągnął nosem. – Jutro tu przyjdą. Nie wiem, czy FBI także. Rano się okaże.

– Chcesz, żebym była na tym spotkaniu? Brzmi interesująco, ale podejrzewam, że to strata czasu.

– Jak najbardziej strata czasu. Nie ma sensu, żebyśmy oboje zajmowali się tym samym. Powinnaś kontynuować dochodzenie. Ja, ze swoimi haluksami, nie poruszam się tak sprawnie.

– Zgoda. – Była zadowolona, że zaakceptował ich współpracę. – Zastanawiam się nad odwiedzeniem Zachary’ego. Chciałabym go jeszcze raz zapytać o pierwsze spotkanie z Robinbrecht, ustalić, dlaczego skłamał. Co ty na to?

– Zrób tak. Po obejrzeniu miejsca zbrodni. Zapytaj go o wszystko, co ci przyjdzie do głowy. Zobacz, czy zdołasz go przyłapać na kłamstwie. A mnie przekaz tylko dobre wiadomości.

– Co to znaczy?

– Kiedy ty się urodziłaś? Wczoraj? – Westchnął demonstracyjnie. – Nie mogę go powołać na świadka, jeśli będę wiedział, że kłamie. Prawnikom nie wolno kłamać, oficjalnie. Tylko tym z Kongresu.

– Zrozumiałam.

– Chciałbym, żebyś potem wstąpiła do jego mieszkania w Exton. Umówiłem się z właścicielem, ale ty pojedziesz zamiast mnie. Będiesz mogła powęszyć.

– Oczywiście. – Nawet jeśli nie odkryje nic ciekawego na temat sprawy, nadarzyła się sposobność, by poznać go lepiej, co ją bardzo cieszyło. – Gdzie on mieszka?

– Zapisałem tu gdzieś adres. – Adwokat wskazał pobojoywisko, jakim było jego biurko.

– Widzisz? Dlatego potrzebujemy tablicy! – zawołała energicznie. – Organizacja! Komunikacja! Informacja! Kooperacja!

– Cała naprzód – odparł grobowym głosem.

– Ha! – Christine oparła tablicę o ścianę. Musiała jeszcze kupić narzędzia, żeby ją zawiesić, oraz materiały biurowe, papierowe ręczniki, płyn antyseptyczny i coś do mycia szyb. – Czy gdzieś w pobliżu jest sklep z artykułami biurowymi?

– Bóg raczy wiedzieć.

– Dlaczego nie sprawdzisz w internecie? Aha, przypomniałam sobie. Jesteś wrogiem postępu. – Uśmiechnęła się pod nosem.

– A ty jesteś męcząca. – Griff potarł czoło, zostawiając na nim czerwone ślady.

– To idź do domu, pozwól mi się wszystkim zająć. Gdzie ty właściwie mieszkasz?

– Nie twoja sprawa. Idź stąd.

– Ale ja nie jestem zmęczona. – W domu byłaby o tej porze wyczerpana, ale dziś zmęczenie jeszcze jej nie dopadło, może dlatego, że miała zbyt wiele do stracenia. Ciekawość wiodła Christine w tym samym kierunku co zawsze: ku książkom. Podeszła do regału, by przejrzeć kolekcję Griffa: kodeksy, niebieskie tomy ze złotymi numerami i tytułem *Atlantic Reporter, II seria*.

– Co znowu? – zapytał z rezygnacją, pokładając się na biurku.

– Szkoda, że nie mam większej wiedzy z zakresu prawa karnego.

– Prawo zostaw mnie.

– Byłoby łatwiej, gdybym znała przynajmniej podstawy. – Christine sięgnęła po jedną z książek.

– Nie dotykaj.

– Mogłabym się czegoś nauczyć, gdybym przeczytała kilka tomów? – Przerzuciła poźółkłe, cienkie kartki pokryte drobną, staroświecką czcionką. Przczytała pierwsze zdanie: „owa linia podziału ma istotne znaczenie

w dyskusji na temat praw właścicieli gruntu nabrzeżnego...”.

– Nie. To zbiór sprawozdań sądowych z różnych dziedzin prawa. Nie tylko karnego.

– Masz książki na temat podstaw prawa karnego? – Zamknęła zbiór i odłożyła z powrotem na półkę.

– Chodzi ci o elementarz? Mam jakiś z czasów studenckich.

– Nadaje się jeszcze?

– Oczywiście. A ja się nadaję?

Christine nie odpowiedziała.

– Gdzie masz ten podręcznik?

– W którymś z tamtych pudeł. – Niechętnym gestem wskazał zaplecze.

– Cudownie. – Stała na progu korytarza. Pod obydwojma ścianami piętrzyły się pudła, pomiędzy nimi pozostało tylko wąskie przejście. Po lewej stronie znajdowały się drewniane drzwi. Żadne z pudeł nie było podpisane. – Poprzyklejałeś naklejki od góry? Z informacją, co jest w środku?

– Wiem, co jest w środku.

Szczerze w to wątpiła.

– Pamiętasz, gdzie schowałeś podręczniki?

– Na końcu po prawej stronie. Trzecie pudło od dołu. Ale nie wchodź tam.

– Chwileczkę. – Przeszła korytarzem i przyjrzała się pudełkom, po czym otworzyła drzwi po lewej stronie i zapaliła światło. W pierwszej chwili nie zorientowała się, na co patrzy. Białe pomieszczenie bez okien było wielkości dużego schowka, pod ścianą stało starannie pościelone jednoosobowe łóżko, obok nocny stolik, a na nim mały, otwarty karton mleka i do połowy zjedzona paczka czekoladowych babeczek. Dalej turystyczna lodówka, biała szafka z Ikei, metalowy wieszak z garniturami – bawełnianym, z szarej cienkiej wełny, grubym, trzyczęściowym z tweedu – i pasiastymi muchami. Na samym dole, na drucianej szafce – rząd butów męskich z ozdobnie dziurkowanymi czubkami, każdy z drewnianym prawidłem w środku. Po lewej stronie znajdowało się wejście do maleńkiej łazienki z prysznicem. Griff najwyraźniej tutaj mieszkał i nie chciał, żeby Christine o tym wiedziała. Zalała ją fala współczucia dla starego prawnika i smutku, że znalazł się w tak trudnej sytuacji finansowej.

– Co robisz?! – zawołał z biura.

– Znalazłam pudło! – Christine ze ściśniętym gardłem szła korytarzem do gabinetu Griffa. – Chyba namierzyłam właściwe, ale nie mogę go wydostać.

Masz jakiś wózek?

– Dlaczego miałbym mieć wózek? – Westchnął. Jego powieki opadały coraz bardziej, był wyraźnie zmęczony i Christine wiedziała, że na nią już czas.

– To może poczekać. Jutro pożyczymy wózek z sąsiedniej kancelarii, dobrze?

– Dobrze. – Griff opadł powoli na skrzypiące krzesło. – Zamknę tutaj. Możesz iść.

– Tak jest, szefie – powiedziała. Podeszła do drzwi. – Do zobaczenia jutro, po moich porannych eskapadach. Zdam ci relację.

– Czekaj, byłbym zapomniał. – Odszukał na biurku brązową kopertę i podał Christine. – Dostałem z policji. Nie musieli ich jeszcze ujawniać. Poszli mi na rękę.

– Co to? – zapytała zaintrygowana.

– Przejrzyj sobie. Byle nie tuż przed snem.

ROZDZIAŁ 40

Hotel Warner okazał się równie urokliwy jak całe West Chester, pokój Christine przypominał domek dla lalek z epoki wiktoriańskiej, był mały i przytulny. Wielodzielne okna otwierały się na pastwiska, nie musiała więc ich zasłaniać. Do wnętrza wpadało zaskakująco chłodne nocne powietrze o zapachu ziemi. Łóżko z perkalowym baldachimem i taką samą pościelą stało na środku różowo-zielonego dywanika, wystroju dopełniały antyki: szafa i komoda. Delikatne, kryształowe lampy rzucały stonowane światło, nadając pomieszczeniu sielankowy, wiejski nastrój, ale Christine nie udzielała się sielską atmosferą otoczenia.

Długo stała pod prysznicem, nie mogąc się otrząsnąć z przenikającego do szpiku kości smutku. Owinęła umyte włosy ręcznikiem i włożyła mięciutki szlafrok. Myślała o Griffie w jego mikroskopijnym pokoiku przerobionym ze schowka. Polubiła tego skomplikowanego człowieka, choć niewiele o nim wiedziała. Nie miała pojęcia, dlaczego jest sam, wręcz samotny, choć ma tak liczną rodzinę. Szanowała go jako prawnika i podziwiała energię, którą wkładał w prowadzenie sprawy Zachary'ego, wybaczała zrzędlivość, zwłaszcza po tym, co dziś zobaczyła.

Jej myśli przyciągał także Marcus, często sprawdzała, czy do niej zadzwonił lub napisał. Jak dotąd telefon milczał. Wciąż nie traciła nadziei, że przemyśli swoje stanowisko i zjawi się w hotelu, ale nie miała na co liczyć, wiedziała o tym. To nie było w jego stylu, a przepaść między nimi za bardzo się rozrosła, żeby mogli ją pokonać w jednej chwili. Już dziś nie zadzwoni, skoro do tej pory tego nie zrobił. Zerknęła na cyfrowy zegarek, który wskazywał godzinę dwudziestą pierwszą czterdzieści pięć.

Wzrok Christine powędrował ku zdjęciu USG, zostawionemu wcześniej na nocnym stoliku obok zegarka. Usiadła na łóżku. Ogarnęła ją obezwładniająca fala czułości i miłości, która pojawiała się za każdym razem, gdy patrzyła na zdjęcie. Wspominała delikatne, bijące serduszko oglądane na monitorze i czule

pieściła wzrokiem szary kształt przypominający ósemkę, ciało dziecka, które się w niej rozwijało. Poczwała w sobie nowe siły i determinację. Potrzebowała hartu ducha, by dokończyć dzieła. Przebyła długą drogę, na razie nic nie wskazywało, że na próżno. Jeżeli się nie podda, ma szansę udowodnić niewinność Zachary'ego i uratować swoje małżeństwo.

Odłożyła zdjęcie, wzięła kopertę, którą dostała od Griffa, usadowiła się po turecku na łóżku i wytrząsnęła zawartość na pościel. Ostatnia fotografia wylądowała na górze sterty odwrócona przodem. Christine poczuła ucisk w żołądku, przełknęła ślinę i wzięła do ręki podobiznę Zachary'ego, zrobioną najprawdopodobniej przez policję po jego aresztowaniu, w noc morderstwa Gail Robinbrecht. Tło wyglądało jak czyjeś mieszkanie, ewidentnie miejsce zbrodni, postać Jeffcoata została dobrze oświetlona, zapewne w celach dowodowych. Fotografia wyraźnie pokazywała ślady krwi na jego twarzy, czerwone kropki na czole i policzkach, deformujące regularne rysy Zachary'ego. Nawet płowa grzywka była ciemna i sztywna od krwi. Błękitne oczy patrzyły prosto w obiektyw, w niemym przerażeniu. Miał rozchylone usta i czerwoną plamkę na górnej wardze.

Christine westchnęła, jej wzrok powędrował ku dolnej krawędzi zdjęcia, jeszcze bardziej inkryminującej. Koszulkę polo, która niegdyś musiała być biała, pokrywały makabryczne czerwone plamy. Zachary wyglądał jak po postrzale w klatkę piersiową, opuszczone po bokach dłonie miał skąpane w czerwieni, a na ramionach krople i smugi krwi, jakby próbował się wycierać. Ze spodni w kolorze khaki skapywały na podłogę purpurowe krople w kształcie łez. Jedynie brązowe półbuty zdawały się być czyste. Obejrzała je dokładnie i nie zauważyła plam krwi.

Odłożyła zdjęcie i szybko przeliczyła pozostałe. Było ich osiem, odruchowo ułożyła je na łóżku w rzędach po cztery, jak to robiła w szkole z obrazkami dla młodszych uczniów. Następnie posegregowała całość, cztery fotografie z domu ułożyła na górze, niżej – pozostałe cztery prawdopodobnie z komisariatu, o czym świadczyło białe tło, jarzeniowe światło oraz szarobiały kontuar i ścianki działowe w tle.

Christine zaczęła od zdjęć przedstawiających Zachary'ego – zrobionych *en face*, od tyłu i profilowych. We krwi była cała twarz, ciało i ubrania zatrzymanego, ale nie jego buty. Zastanawiała się, czy ten szczegół może być znaczący, czy też jest dziełem przypadku. Przystudiowała każdą fotografię, nadaremnie usiłując zachować obiektywizm. Może sprawił to jej aktualny

nastrój, a może fakt, iż była zwykłą nauczycielką z prowincji, ale nie umiała dojść do siebie po obejrzeniu tych makabrycznych scen. Chciała wierzyć w niewinność Zachary'ego, tyle że ilość krwi, w jakiej był skąpany, bardzo to utrudniała, Christine nie potrafiła znaleźć wytłumaczenia, dlaczego jest jej aż tyle. Wyraz twarzy Jeffcoata na wszystkich czterech zdjęciach z miejsca zbrodni był w zasadzie taki sam: rozkojarzone, mętne spojrzenie, pozbawione choćby odrobiny tego ciepła, które dostrzegała, gdy rozmawiała z nim na żywo.

Patrzyła na cztery kolejne fotografie, również przedstawiające Zachary'ego, i doznawała tego samego uczucia przerażenia zmieszanego z rozpaczą. Światło jarzeniówek bezlitośnie podkreślało cynobrowy kolor krwi, zasychającej już na obrzeżach, gdzie jej warstwa musiała być cieńsza. Na zdjęciach było widać, że w miejscach, gdzie krew zaczynała wysychać, odzież i włosy stawały się sztywne.

Analizowała każdy portret, po czym odkładała go na miejsce, skąd patrzyło kilka par błękitnych oczu, przesywających ją na wylot. Pomyślała o bijącym serduszku swojego dziecka, kruchym i delikatnym niczym babie lato, i poczuła mdłości, ponieważ ten człowiek był jego ojcem. Popatrzyła mu w oczy i zastanawiała się, czy kiedyś zobaczy takie same w twarzy własnego syna lub córki. I chociaż bardzo chciała wierzyć słowom genetyczki, udzieliły się jej obawy Marcusa, który uważał, że skłonność do przemocy o takim szalonym natężeniu została w jakiś sposób zapisana w DNA jej dziecka, które odziedziczy żądzę krwi, tak jak się dziedziczy uzdolnienia sportowe, matematyczne lub językowe.

Christine modliła się, aby Zachary okazał się niewinny, mimo to samo zobaczenie go skąpanego we krwi młodej dziewczyny przypominało koszmar. Gail Robinbrecht poświęcała się innym ludziom, ratowała życie, opłakiwała śmierć ukochanego, który zginął na wojnie, i nie zasłużyła na straszną śmierć z rąk dewianta. Łzy napłynęły Christine do oczu. Nie wiedziała, kogo jej bardziej żal: Gail, Zachary'ego, Griffa, dziecka czy Marcusa. Wszyscy byli w pewnym sensie ze sobą splątani w jakieś kłębowisko żył, arterii, połączeń nerwowych i łańcuchów genetycznych ciasno nawleczonych na siebie niczym zbita kula gumek recepturek, z twardym jądrem, niemożliwym do rozerwania, a tym bardziej rozplątania.

Christine otarła oczy i schowała zdjęcia do koperty. Zawładnęło ją potworne zmęczenie i zniechęcenie, odłożyła zamkniętą kopertę na nocny

stolik, po czym opadła na stos poduszek, nadal w ciepłym kokonie miękkiego szlafroka. Musiała dbać o formę i porządnie się wyspać. Zamknęła oczy, oczyściła umysł i odpłynęła w sen.

Ponieważ wiedziała, że po burzy zawsze świeci słońce.

ROZDZIAŁ 41

Christine przeszła pod żółtą taśmą i skierowała się w stronę alejki obok domu Gail Robinbrecht. Spieszyła się na spotkanie z detektywem Wallace'em. Po drodze robiła zdjęcia telefonem i dzielnie znosiła napięcie w żołądku. Źle spała w nocy, a rano zwróciła całe śniadanie, po czym wzięła prysznic i przebrała się w dżinsową sukienkę z cienkim, skórzanym paskiem, który dziś po raz pierwszy musiała zapiąć na dalszą dziurkę, co odnotowała z mieszanymi uczuciami. Tak czekała na swój ciężowy brzuszek, a teraz wszystko wyglądało inaczej. Właśnie miała zobaczyć pobjowisko po morderstwie dokonany, być może, przez ojca jej dziecka.

Detektyw Wallace czekał na końcu alejki. Miał około czterdziestu lat, ciemne, krótko ostrzyżone włosy i okulary w drucianej oprawie. Był wysoki, zadbany i wyglądał profesjonalnie w czarnej koszulce polo z naszytym złotym emblematem wydziału śledczego Chester County, spodniach Dockers i mokasynach. Wskazał drewniane schody do mieszkania Gail Robinbrecht.

– Chodźmy. To na górze.

– Dziękuję.

– Proszę za mną. – Detektyw rozpoczął wspinaczkę po schodach, a Christine ruszyła za nim, fotografując podwórze, które podobnie jak zaplecze domu Lindy Kent zostało wybetonowane, a pod takim samym drewnianym płotem stały kontenery do segregowania śmieci. Nawet tabliczka na bramie była identyczna, najwyraźniej mieszkania wynajmowane przez agencję nie różniły się od siebie znacząco.

– Zanim wejdziemy... Czy Griff poinformował panią, jakie są zasady? – zapytał Wallace, zatrzymując się przed drzwiami.

– Nie. Zna pan Griffa?

– Wszyscy znają Griffa. To człowiek instytucja. – Policjant uśmiechnął się i pochylił, by otworzyć nieduży, metalowy sejf z pieczęcią okręgu. – Nie przepadam za jego klientami, ale robi dużo dobrego dla naszego departamentu.

Nikt nie wspomaga hojniej niż on Funduszu Pomocy Wdowom i Sierotom po Poległych Policjantach. Daje też pieniądze na Policyjną Ligę Sportu. Zrobilibyśmy dla niego wszystko. Jak pani myśli, dlaczego znalazła się tu pani tak szybko?

– Stać go na hojne datki? – zdziwiła się Christine, myśląc o smutnej, mikroskopijnej sypialni starego prawnika na zapleczu kancelarii.

– Śpi na pieniądzach, ale większość rozdaje. – Wallace wsunął dłoń do metalowego pojemnika. – Moja żona pracuje w bibliotece, im też udziela hojnego wsparcia. Niedawno zapłacił za remont czytelnicy dla dzieci. Nie obnosi się z tym. Nie chciał tabliczki ze swoim nazwiskiem, chociaż mu taką zaproponowano.

– Skąd pochodzi jego majątek? Jest bogaty z domu?

– Wszystko osiągnął własną pracą. Ma agencję nieruchomości. Budynek, w którym mieści się kancelaria, należy do niego.

– Wynajmuje część drugiej firmie prawniczej? – Christine sądziła, że jest na odwrót.

– Tak. Posiada kilka budynków biurowych w West Chester. – Policjant wyjął z tekturowego pudełka dwie pary niebieskich, foliowych ochraniaczy na buty i jedną wręczył Christine. – Proszę to założyć na buty.

– Dobrze, dziękuję. – Założyła ochraniacze na espadryle, pogrążona w rozmyślaniach na temat Griffa. Ten człowiek był chodzącym paradoksem. Nagle zadzwonił telefon komórkowy, który trzymała w ręku. Zerknęła na ekran i postanowiła nie odbierać, zobaczywszy zdjęcie Marcusa. – Przepraszam. – Włożyła telefon do torebki.

– Konieczne będą również rękawiczki. – Wallace ponownie sięgnął do pudełka. – Jest pani uczulona na lateks?

– Nie.

Podał jej fioletowe rękawiczki, które włożyła.

– Dziękuję.

– Proszę niczego nie dotykać – instruował ją Wallace, zabezpieczając dłonie gumowymi rękawiczkami. – Żadnego palenia ani żucia gumy. Można robić zdjęcia. Nie wolno rozmawiać przez telefon ani pisać esemesów. – Policjant wyjął z metalowej szafki podkładkę do pisania z przyklejonym do niej długopisem. – Proszę poruszać się wyłącznie w wyznaczonych przez mnie obszarach. Może pani wchodzić do wszystkich pomieszczeń, ale nie wolno pani w żaden sposób zanieczyścić miejsca zbrodni, które wciąż badamy.

– Kiedy skończycie?

– Tego nie wiem. Kto inny o tym decyduje. – Detektyw zapisał coś na kartce, która wyglądała na listę osób odwiedzających to miejsce.

– Kto był tu przede mną? – Zerknęła mu przez ramię, usiłując odczytać nazwiska. – Funkcjonariusze z Federalnego Biura Śledczego, policjanci z Marylandu i Wirginii?

– Tajemnica śledztwa. – Policjant włożył listę do metalowej skrzynki, wyjął z kieszeni klucz, uchylił moskitierę i otworzył drewniane drzwi. – Z ewentualnymi pytaniami proszę się zwracać do biura prokuratora okręgowego. Nie jestem upoważniony do udzielania informacji w trakcie oprowadzania po miejscu zdarzenia.

– Dobrze. – Christine skorzystała z okazji, żeby zrobić kilka zdjęć domowi Lindy Kent, znajdującemu się naprzeciwko.

– Proszę za mną – powiedział, przytrzymując drzwi. Już od progu uderzył ją intensywny, makabryczny odór rozkładającej się krwi i przyprawił ją o mdłości. Nie wiedziała, czy zapach jest tak mocny, ponieważ mieszkanie pozostawało szczelnie zamknięte, czy też ciąża powoduje u niej większą wrażliwość, ale miała trudności z powstrzymaniem wymiotów.

– Proszę patrzeć pod nogi. – Wallace włączył światło i wskazał gestem podłogę. Christine popatrzyła z przerażeniem na krwawe odciski butów prowadzące od drzwi wokół kuchennego stołu i dalej, do sąsiedniego pomieszczenia.

– Fuj – wymknęło się jej. Przystąpiła do robienia zdjęć, żeby nie tracić czasu. Niektóre ślady były wyraźniejsze, ale nie miała teraz cierpliwości, żeby to analizować.

Krążyła po małej, przytulnej kuchni o ścianach w kolorze optymistycznej żółci, z białymi szafkami, pełnej wzruszających, uroczych drobiazgów. Na małej szafce nad zlewozmywakiem stały fotografie Gail w otoczeniu rodziny i przyjaciół. Uśmiechnięci, przytuleni ludzie w parku linowym, na plaży, w kostiumach kąpielowych, przy restauracyjnym stole.

Lodówka pełna magnesów: mnóstwo SpongeBobów, ale jeszcze więcej związanych z zawodem pielęgniarstwa, jeden w kształcie plastra opatrunkowego z napisem: „Pielęgniarka uspokoi, do wesela się zagoi”, inny ze zdjęciem pielęgniarki w czepku i pytaniem: „Ja jestem pielęgniarką, a jakie ty masz supermoce?”, na trzecim widniał tekst: „Pielęgniarka – tak piękna, że zapiera dech w piersiach, tak mądra, że potrafi go przywrócić”. Christine

powstrzymywała łzy cisnące się do oczu, gdy robiła zdjęcia.

– Niech pani patrzy pod nogi – przypomniał policjant, wyprowadzając ją z kuchni. Mdlący zapach przybrał na sile.

– Proszę uważać, żeby nie zdeptać śladów. – Wallace zatrzymał się i wskazał palcem podłogę, Christine sfotografowała kolejne ślady, wiodące z kuchni do sypialni.

Śledczy włączył światła. Mieszkanie Gail miało taki sam rozkład jak mieszkanie Lindy Kent, z sypialnią po lewej stronie i pokojem dziennym po prawej. Christine wstrzymała oddech z wrażenia, gdy jej przewodnik włączył światło w sypialni.

Kwiecisty wzór na pościeli podwójnego łóżka był niemal nierozpoznawalny z powodu krwi, jaką była nasączona. Już nie czerwonej, lecz brunatnej po zaschnięciu, a w niektórych miejscach niemal czarnej. Plamy były wszędzie, na mosiężnej ramie, na białej ścianie, na reprodukcji *Słoneczników* van Gogha, nawet na podłodze obok łóżka, gdzie Gail Robinbrecht zostawiła po sobie parę chodaków, teraz również ochlapanych krwią, z kałuży wokół nich prowadziły w różnych kierunkach ślady butów.

Christine połykała łzy i wstrzymywała oddech, gdy fotografowała potworną scenę, widok i zapach miejsca, gdzie została zmasakrowana ludzka istota, przejmował ją odrazą. Po wejściu do sypialni uwagę przykuwało łóżko, które stało dokładnie na wprost drzwi i dotykało wezglowiem ściany po prawej stronie. Christine zwróciła uwagę na ciemną kałużę krwi w nogach, czerwono-czarną plamę na błękitnym dywaniku, jakże podobnym do tego, który miała we własnej sypialni.

Odepchnęła tę niepokojącą myśl i kontynuowała robienie zdjęć, nie potrzebowała bowiem pomocy eksperta, by określić miejsce, w którym Gail otrzymała śmiertelny cios. Tam krwi było najwięcej, rozbryzg dosięgnął nawet przeciwległej ściany, poznał lustro i sosnową komodę upiornymi, czerwonymi kroplami. Przypomniał jej się monolog Zachary'ego na temat serca, jego słowa, że w wyniku rany kłutej wymierzonej w lewą komorę krew tryska z miejsca rozcięcia obfitym strumieniem wraz z uderzeniami słabnącego organu.

Starła się zapanować nad emocjami, próbując zrekonstruować w myślach przebieg zdarzeń. Ślady wskazywały na to, że morderca, kimkolwiek był, zaatakował Gail u stóp łóżka, prawdopodobnie z zaskoczenia. Zadał jej cios piłą chirurgiczną, którą mógł wcześniej schować na przykład w tylnej kieszeni

spodni. Krew ofiary ochlapała jego ubranie, bryzgnęła na lustro i komodę. Następnie położył Gail na materacu, a gdy konała lub była już martwa, związał jej nadgarstki i kostki.

Podczas robienia zdjęć wyobrażała sobie makabryczną scenę. Bez wątpienia dowie się więcej, gdy przeczyta sprawozdanie z sekcji zwłok, które policja przekaze obronie, tymczasem wiedziała bez konsultacji z lekarzem sądowym, że krew na ubraniu i ciele Zachary'ego pasowała do scenariusza, jaki stworzyła na podstawie oględzin miejsca zdarzenia. Z jednym wyjątkiem: Zachary miał czyste buty. Gdyby zaszlachtował Gail w sposób, jaki wyobraziła sobie Christine, miałyby buty obryzgane krwią. Chyba że przypadkiem pozostały suche.

Wallace nie spuszczał jej z oczu, gdy ostrożnie poruszała się po sypialni, gdzie zrobiła zdjęcia kobiecych flakoników z perfumami, pojemników na ozdoby do włosów, kosmetyczki w różowe paski oraz innych pozostałości po tragicznie krótkim życiu Gail Robinbrecht. Policjant wskazał Christine drogę do łazienki, którą również sfotografowała. Następnie przeszli do pokoju dziennego. Christine poczuła, że nic nie zastąpiłoby jej naocznych oględzin, nawet jeśli jej zdjęcia nie wniosą do sprawy więcej niż zdjęcia Griffa, które miała odebrać później.

Poczuła tę samą rozpacz, która zawładnęła nią wczoraj, gdy oglądała fotografie Zachary'ego. Świadomość, że człowiek może tak potraktować drugą istotę ludzką, napawała ją wielkim bólem, a myśl, że zrobił to Zachary Jeffcoat, była wręcz nie do zniesienia. Pragnęła, aby sprawca poniósł karę za swój czyn, nawet jeśli był nim Zachary. Nigdy wcześniej nie doznała podobnego uczucia.

Opuściła mieszkanie z płucami pełnymi upiornego fetoru, głową wypełnioną makabrycznymi obrazami i sercem płonąącym gniewem. Kiedy wreszcie znalazła się na zewnątrz, przez chwilę stała na drewnianej podłodze u szczytu schodów, łapczywie chwytając świeże powietrze, nim zdjęła rękawiczki i ochraniacze z obuwia.

Była przygnieciona lawiną pytań. Do Zachary'ego. Nie mogła się doczekać wizyty w więzieniu.

ROZDZIAŁ 42

Christine w osłupieniu patrzyła na Zachary'ego wprowadzanego przez strażników. Był ciężko pobity, miał opuchnięte czoło i prawą powiekę, przymknięte oko, świeże strupy na policzku i rozcięcie z zaschniętą krwią na linii włosów, opatrzone plastrami do zamykania ran. Kiedy zdjęto kajdanki, zobaczyła czerwone otarcia na ramionach i ślady po niedawnych stłuczeniach na łokciach. Na prawym ramieniu miał opatrunek z gazy przyklejonej taśmą.

Nie rozumiała, co się mogło stać. Serce jej się ścisnęło, ojciec dziecka, które nosiła, został zaatakowany. Nie potrafiła zaprzeczyć, że zależy jej na nim, choćby tylko z tego powodu. Widok pobitego mężczyzny wytrącił ją z równowagi, przyszła tu rozszalona i pełna złości, wciąż czując zapach krwi, mając świeżo w pamięci jego zdjęcia w zakrwawionej odzieży. Przyszła tu, żeby go skonfrontować z kłamstwami, którymi ją uraczył. Tymczasem złość wyparowała, gdy Zachary stanął naprzeciwko niej i zobaczyła z bliska jego obrażenia.

– Zachary, co się stało?! – zapytała wstrząśnięta.

– Człowieku, to był jakiś kosmos. – Chłopak usiadł ostrożnie, krzywiąc się z bólu. – Wczoraj nikogo nie wypuszczono z celi po tym wszystkim. Obiecali zadzwonić do Griffa. Dzwonili?

– Nie wiem. Jak do tego doszło? Ktoś cię zaatakował?

– Poniekąd. Na spacerniku. – Potrząsnął głową i zwilżył językiem wysuszone usta. – Nie wiesz, jak wyglądają takie wyjścia. Stoję plecami przy ścianie, staram się nikogo nie prowokować. Biali trzymają z białymi, czarni z czarnymi, identycznie jest z muzułmanami i Meksykanami. Wszystkich unikam. Stałem więc sobie sam, a strażnik spacerował przede mną i miał oko na wszystkich. Było gorąco jak diabli, nagle zobaczyłem, że strażnik chwyta się za serce i pada na kolana. Od razu zrozumiałem, co się dzieje.

– Co? – zapytała zdezorientowana.

– Otyłość brzuszna, za dużo piwa. Pocił się obficie. Wiedziałem, że to

zawał.

– I to się działo na twoich oczach? – Christine popatrzyła na niego ze współczuciem.

– Właśnie. Więc czym prędzej przystąpiłem do masażu serca, bo wiedziałem, że jestem w stanie uratować mu życie. Krzyknąłem, żeby ktoś wezwał karetkę, bo facet ma zawał, ale strażnicy pomyśleli, że go zaatakowałem. Odciągnęli mnie i rzucili na ziemię, uderzyłem głową o asfalt. A potem pobili na kwaśne jabłko.

– Straszne!

– „On ma zawał”, powtarzałem. „Wezwijcie karetkę”. Chwilę później rozpętało się piekło. Więźniowie wszczęli awanturę, a mnie atanda wrzuciła do boks. Już miałem beknąć, ale wreszcie strażnik trafił do szpitala i wszystko się wyjaśniło.

– Co to jest atanda i boks?

– Grupa strażników do zadań specjalnych, na przykład tłumienia buntu więźniów. A boks to izolatka.

– A co to znaczy, że miałeś beknąć?

– Chcieli mnie ukarać! – Oczy Zachary’ego zapłonęły słusznym gniewem, chociaż jedno pozostało przymknięte. – Nie zrobili tylko dlatego, że EKG i markery sercowe wykazały, że gość miał zawał. Cały dzień im zajęło dojście, co się stało. Wycofali resztę kary, ale nadal trzymają mnie w izolatce.

– Przeżył? – zapytała zdumiona całą historią.

– Tak. – Uśmiechnął się i westchnął.

– Uratowałeś mu życie.

– Na to wygląda – rozpogodził się.

– Super! – Christine dostrzegła w nim zdolność do współczucia i nie pomyliła się. Budził jej sympatię. Jednakże pamiętała również krwawą scenę w mieszkaniu Gail. Chciała poznać odpowiedź na pytanie, dlaczego ją okłamał.

– Co nie? – parsknął. – Niewiarygodne. Strażnicy na pewno są przeszkoleni w udzielaniu pierwszej pomocy, ale ja byłem najbliżej.

– Więc na podwórzu wybuchły zamieszki?

– Nie było tak źle, ale i tak wszystkich pozamykali.

– Zabrali cię do szpitala?

– Opatrzyli na miejscu.

– Media tego nie podchwyciły?

– Nie wiem. Nie widziałem żadnych dziennikarzy. Podobno władze więzienia wiedzą, jak ukryć niektóre rzeczy przed mediami.

– Mimo wszystko dobrze zrobiłeś. Uratowałeś człowiekowi życie.

– Żartujesz? – Zachary przysunął się do szyby i patrzył na nią jak na wariatkę. – Tutaj uratowanie życia strażnikowi nie jest powodem do dumy. Więzieniem rządzą bezwzględni gangsterzy, którzy pozwoliliby gościowi wykitować bez mrugnięcia okiem. Trzymają mnie w boksie dla mojego własnego bezpieczeństwa. Jestem tym piękniśm, co uratował życie klawiszowi, znalazłem się na celowniku. – Przeczesał włosy palcami, miał pościerane do krwi kostki. – Mam nadzieję, że nigdy mnie nie przeniosą na główny hotel, chociaż karcer to męczarnia. Koleś w sąsiedniej celi wrzeszczy, monologuje i wścieka się całymi nocami. Ten z drugiej strony walił głową w ścianę. Betonową. – Chłopak otworzył szeroko jedno niebieskie oko, przekrwione, ale zdrowe. – Musieli go unieruchomić w specjalnym krześle z pasami i założyć kaganiec, żeby przenieść na obserwację. Powinien być w szpitalu psychiatrycznym, oni wszyscy powinni tam trafić. Są psychotyczni. Kompletne świry.

– Mój Boże – skrzywiła się.

– Siedzę w celi dwadzieścia trzy godziny dziennie. Jem w celi posiłki. Z nikim nie rozmawiam, nikogo nie widuję. Wypuszczają mnie tylko na godzinę do klatki. Samego. Musisz mnie stąd wydostać. – Wsparł się na łokciach. – Opowiedz Griffowi o wszystkim, co się wydarzyło na spacerniaku. Pracujecie teraz razem? Jesteś na mojej liście odwiedzających.

– Na pewno z nim o tym porozmawiam – obiecała z mocnym postanowieniem zaopatrzenia staruszka w telefon komórkowy.

– Błagam. Może użyje tego jako argumentu, żeby mnie wypuścili albo przenieśli do więzienia rejonowego w Chester. Minimalny nadzór, obóz harcerski w porównaniu z tym piekłem.

– Oczywiście. – Musiała naprowadzić rozmowę na właściwe tory. Miała mnóstwo pytań. – Zachary, wracam z mieszkania Gail. Kilku rzeczy nie rozumiem. Zechcesz mi wytłumaczyć ze szczegółami, co zaszło w noc morderstwa?

– Już ci mówiłem. Wszedłem do mieszkania i znalazłem ją martwą. – Zamrugał z zaskoczeniem.

– Potrzebuję więcej szczegółów. Co dokładnie zrobiłeś? – Sprawdziła, czy jego wersja wydarzeń wyjaśnia obecność krwi na ciele i ubraniu.

- Wszedłem do środka...
- Jak?
- Tylko moskitiera była zamknięta, drzwi nie. Uznałem, że nie robię nic niestosownego, skoro jesteśmy umówieni, ale nie zastałem jej w kuchni. Więc poszedłem do sypialni.
- Widziałeś krwawe ślady prowadzące z kuchni do sypialni?
- Nie popatrzyłem pod nogi. Zauważyłem je dopiero później, po przyjeździe gliniarzy. Prawdopodobnie wiele zostawiłem sam, gdy nerwowo chodziłem tam i z powrotem, a potem podszedłem do drzwi, żeby wpuścić gliniarzy.
- Co zrobiłeś najpierw, kiedy wszedłeś?
- Zdałem sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Leżała tam, a ja na nią wpadłem.
- Czy w sypialni paliło się światło?
- Zachary ściągnął z namysłem brwi, aż przesunęły się plastry na czole.
- Wydaje mi się, że ja je wyłączyłem.
- Widziałeś coś po ciemku?
- Za oknem świecił księżyc albo u sąsiadów było zapalone światło. Tylko tyle, żeby zorientować się, że coś jest nie w porządku. Poczułem też charakterystyczny zapach, który natychmiast rozpoznałem. Z sali operacyjnej. Tak pachnie krew.
- Christine również poznała ten zapach. Jego wyjaśnienia brzmiały wiarygodnie.
- O której godzinie?
- Koło dziesiątej.
- Dlaczego tak późno?
- Powiedziała, że o tej godzinie będzie wolna. – Wzruszył ramionami.
- Co było potem?
- Podszedłem prosto do niej, przyciągnąłem ją do siebie, to znaczy nie pamiętam dokładnie. Wszędzie było pełno krwi, ona cała była w niej skąpana, pościel przesiąknięta krwią, łóżko, wszystko. – Zachary znów zmarszczył brwi, nie zważając na poranioną twarz. – Nachyliłem się nad nią, uniosłem ją do góry, krzyknąłem jej imię, szukałem pulsu. Nie znalazłem. Była martwa.
- Krwawiła? Czy z rany tryskała krew?
- Na początku nie. Serce przestało pracować, więc nie pompowało już krwi. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, ale wyjąłem z niej tę piłę. Po prostu nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, chciałem jakoś przywrócić

normalność. Nie mogłem na nią patrzeć z tym czymś w środku. – Wykrzywił usta z obrzydzeniem. – Ale kiedy pociągnąłem za piłę, wypłynęło jeszcze więcej krwi, wytrysnęło. Nawet uniosłem do góry jej ciało, tak jakby przytuliłem. Bóg raczy wiedzieć czemu, byłem w strasznym szoku. – Zachary skrzywił się i wzdrygnął. – Krew bryzgała na mnie strumieniami. Coś potwornego.

To by wyjaśniało, skąd wzięła się krew na jego ubraniu, mimo iż nie był zabójcą. Ponadto tłumaczyło, dlaczego buty pozostały czyste. Były schowane pod łóżkiem.

– Nazwałeś narzędzie zbrodni piłą. Rozpoznałeś jeden z modeli, które sprzedajesz?

– Nie od razu. Było za ciemno, a ja nie mogłem racjonalnie myśleć. – Potrząsnął głową. – Zauważyłem uchwyt ze stali nierdzewnej i pomyślałem, że to nóż kuchenny. Kiedy go wyciągnąłem, chlusnęła krew, zapomniałem o nożu. Dopiero po przyjeździe policji, kiedy fotografowali mnie i narzędzie zbrodni, dotarło do mnie, że to jedno z naszych.

– Powiedziałeś o tym policji?

– Nie, byłem w szoku, ze strachu chodziłem po ścianach. Nie spodziewałem się, że mnie aresztują. Przecież ja tego nie zrobiłem. – Zachary zbliżył pokiereszowaną, przerażoną twarz do szyby. – Musisz to wiedzieć. Nie zrobiłem tego.

– Wierzę ci – powiedziała. Jeżeli Zachary mówił prawdę, prześladował go potworny pech, został niesłusznie oskarżony nie tylko na miejscu zbrodni, ale także podczas ratowania funkcjonariusza służby więziennej.

– Wróćmy do piły. Jak ją nazywasz? Co to za instrument?

– Piła do amputacji kończyn górnych, stosowana do cięcia drobniejszych kości.

– Używana przez lekarzy specjalizujących się w chirurgii ręki?

– Tak, każdy szpital posiada taką na wyposażeniu. Niezbędna przy operacjach dłoni i innych narządów z drobnym kościcem.

– Czy chirurdzy należą do grona twoich klientów?

– Moich nabywców? Tak, ale nie kontaktuję się z nimi osobiście. Zwykle sprzedaję towar szpitalnym zaopatrzeniowcom, nie bezpośrednio lekarzom.

Christine miała więcej pytań na temat piły i klientów, którym ją sprzedawał, ale chciała jak najszybciej dowiedzieć się, dlaczego skłamał w sprawie znajomości z Gail.

– Rozumiem. Co się wydarzyło po tym, jak wyciągnąłeś nóż czy też piłę?
– Zadzwoiłem pod numer alarmowy, opowiedziałem, co zobaczyłem, co znalazłem. – Zachary zmarszczył czoło, uwydatniając zadrapania na twarzy. – Nie pamiętam, co dokładnie im powiedziałem. Możesz odsłuchać nagranie policyjne. Potem przyjechali gliniarze.

Zdecydowała, że czas spróbować zadać pytanie, które ją nurtowało najbardziej.

– Pozwól, że zapytam... Kiedy po raz pierwszy spotkałeś Gail?

– Mówiłem. W niedzielę, w szpitalu.

– Co tam robiłeś w niedzielę? – Christine włączyła krytyczne myślenie.

– Tylko wtedy mogłem złapać doktora Malana-Kopelmana, najlepszego chirurga klatki piersiowej. W tygodniu ma operacje jedna po drugiej, nie sposób zamienić z nim słowo, więc poszedłem w niedzielę. Zaczynał obchód o szóstej rano.

Poczuła się zagubiona.

– Przecież mówiłeś, że nie kontaktujesz się bezpośrednio z lekarzami.

Zachary zamrugął.

– Czasami tak, jeżeli mają duży wpływ na zaopatrzenie. Nie znam żadnego specjalisty od chirurgii ręki, który miałby podobne wpływy. Doktor Malan-Kopelman jest bardzo ważny.

Christine uznała to wytłumaczenie za sensowne.

– No dobrze, wracając do Gail... Dlaczego była w pracy w niedzielę rano?

– Pielęgniarki mają dyżury także w weekendy. Oboje przyszliśmy wcześniej. Zaczynała zmianę o siódmej, więc przyszła na kawę. Ja piłem swoją po spotkaniu z Malanem-Kopelmanem. Nawiasem mówiąc, złożył zamówienie. – Zachary uśmiechnął się, ale Christine nie mogła sobie pozwolić na odbieganie od tematu.

– Umówiliście się na wieczorną randkę, waszą pierwszą?

– Tak. Powiedziałem ci przecież.

– I poszedłeś do jej mieszkania?

– Tak?

– I spaliście ze sobą?

– Tak. – Zachary zmarszczył poranione czoło. – Ale dlaczego zadajesz mi te pytania? Rozmawialiśmy już o tym, wszystko wiesz.

Christine przyglądała się twarzy chłopaka. Nie umiała rozpoznać, czy kłamie.

– Zachary, a gdybym ci powiedziała, że jedna z sąsiadek Gail widziała cię w jej mieszkaniu w czwartek wieczorem?

– Co? Kto? – Błękitne oczy błysnęły jak zimna stal, usta uchyliły się w wyrazie wściekłości. – To pułapka? Po czyjej ty jesteś stronie? Myślałem, że pracujesz dla mnie, a nie przeciwko mnie.

Cofnęła się zdumiona.

– Jestem po twojej stronie. Pytam cię...

– O nic nie pytasz! – warknął. – Oskarżasz mnie. Nazywasz kłamcą!

– Nie. Pytałam...

– Próbujesz mnie podejść!

– Uspokój się, Zachary. Jestem po twojej stronie...

– Akurat! Nie wiesz, jak tu jest! O mało mnie nie zabili! Nie mogę spać w takim hałasie! Mam wrażenie, że zaraz eksploduję! Musisz mnie stąd wyrwać!

Funkcjonariusz odwrócił głowę w ich stronę.

– Jeffcoat, stul pysk! – huknął przez okienko w drzwiach.

Christine wyprostowała się na krześle, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. Jego nagły wybuch nią wstrząsnął.

– Przepraszam – zreflektował się. Westchnął ciężko i odgarnął jasne włosy z rany na czole. – Jestem u kresu sił. Odbija mi, nie chciałem na ciebie krzyczeć. Muszę się stąd wydostać. Nie wiem, co robić.

– Już dobrze – powiedziała, choć było bardzo źle.

– Pytasz, bo mi nie wierzysz? Dlaczego mi nie wierzysz?

– Muszę poznać prawdę – oświadczyła.

– Znasz prawdę, powiedziałem ci – zapewnił, odwracając na moment wzrok.

– Jeżeli kłamiesz, masz okazję się przyznać. Nie zdołamy ci przecież pomóc, skoro nie znamy wszystkich faktów. Czy ta sąsiadka rzeczywiście cię widziała? – mówiła łagodnie. Lata pracy w zawodzie nauczyły ją stwarzać bezpieczną atmosferę, w której łatwiej było przyznać się do błędu. – Powiedz prawdę, Zachary.

– Dobrze. – Przełknął nerwowo ślinę i zacisnął usta. – Spotkałem się z Gail w czwartek wieczorem.

– Jak się poznaliście?

– Dokładnie tak, jak opowiadałem. Pierwszy raz spotkaliśmy się w czwartek w szpitalnej kafeterii. O tej samej godzinie, okoliczności pozostają takie same. Próbowałem złapać doktora Malana-Kopelmana, ale był nieuchwytny,

operował. W niedzielę rzeczywiście złożył zamówienie, nie poddałem się. – Zachary potarł powieki i skrzywił się. – Spotkałem się z Gail ponownie w niedzielę, po raz drugi.

– Dlaczego skłamałeś? – Starła się, żeby jej głos nie brzmiał oskarżycielsko.

– Z powodu Hannah, mojej dziewczyny. Nie chciałem, żeby wiedziała, że zdradziłem ją dwukrotnie.

– A co to za różnica? Raz to i tak za dużo, prawda?

– Raz można się pomylić. Ale dwa razy... Nie wiem. Wiedziałem, że dla niej to będzie gorsze. Chociaż teraz to nie ma znaczenia. – Zwiesił ramiona. – Kiedy ona zaczęła studia, a ja nie... Już wtedy czułem, że przechodzimy kryzys. Oddaliła się. Na początku zwałem to na nasze przepełnione grafiki. Bez przerwy przesiadywała w labie. Ale nie w tym tkwił problem.

– A w czym? – Usiłowała odgadnąć, czy to szczerze zwierzenia, czy też próba odwrócenia jej uwagi.

– Przedstawiciel medyczny to nie to samo, co lekarz. Nie dla kobiety. Szczególnie jeśli ta kobieta jest lekarzem, jak Hannah. Poczuję się zdegradowany w jej oczach, zaczęła szukać kogoś lepszego. – Umilkł zakłopotany. – Odeszła ode mnie, pewnie sobie zasłużyłem.

– Ja tak nie myślę – zapewniła Christine, pragnąc odbudować dobre relacje. – Natomiast jestem zaskoczona, że mimo waszego zerwania zdecydowała się pożyczyć ci pieniądze. Dostarczyła je wczoraj wieczorem, czek gotówkowy.

– Nie jestem zaskoczony. – Uśmiechnął się z wysiłkiem. – Martwi się albo ma wyrzuty sumienia, że mnie rzuciła. Oddam jej, kiedy tylko stąd wyjdę, ona to wie. Kochałem Hannah, gdybym mógł odzyskać ją i jej uczucie, byłbym przeszczęśliwy.

– Jak mogę się z nią skontaktować? Chciałabym z nią porozmawiać.

– Po co? – Zachary ściągnął brwi.

– Była twoją dziewczyną. Kto zna cię lepiej niż ona?

– Nie widzę takiej potrzeby – powiedział, ponownie marszcząc brwi. – Dość już dla mnie zrobiła.

– Nie chcę pominąć żadnej szansy. Może będzie w stanie wesprzeć naszą linię obrony.

– Christine, jeśli szukasz świadka obrony, porozmawiaj z moim szefem. Nazywa się Tim Foster. Siedziba Brigham mieści się na obrzeżach West Chester, przy Cardinal Street.

– Dobrze, najpierw porozmawiam z nim. – Postanowiła spotkać się z Timem Fosterem przed wizytą w mieszkaniu Zachary’ego. – Ale i tak poproszę o kontakt do Hannah. Powinnam się z nią spotkać.

– Nie rób tego, proszę.

– Muszę. – Zastanowiła się. – Byliście razem, kiedy zdarzyły się pozostałe morderstwa, prawda?

– Masz na myśli tamte dwie pielęgniarki?

– Tak. – Christine zaniepokoił fakt, że nie przywołał ich nazwisk, które ona pamiętała. – Znałeś je?

– Nie, wcale. Co prawda Bethesda General i Newport News należą do mojego rewiru, ale nie znałem tamtych pielęgniarek. Nigdy ich nie spotkałem.

Jego błagalne spojrzenie wydawało się szczere, zwłaszcza w zestawieniu z pokiereszowaną twarzą.

– Sypiałeś z pielęgniarkami z tamtych szpitali?

– Nie wiem, musiałbym pomyśleć, ale na pewno nie z nimi. – Zachary uniósł do góry otwarte dłonie w obronnym geście. – Słuchaj, daleko mi do ideału. Jestem samotnym facetem, miałem różne przygody w terenie, mimo że teoretycznie byłem związany z Hannah. To ona pierwsza odwróciła się ode mnie. Nie chciałem dać za wygraną, zależało mi na niej. Czasem tak już bywa, że ukochana osoba nie spełnia naszych potrzeb. Taka jest prawda.

Słowa chłopaka trafiły w czuły punkt, ale nie dała tego po sobie poznać. Doskonale go rozumiała, teraz, gdy Marcus się od niej odwrócił.

– Nie jestem z tego dumny, ale nie zamierzam nikogo przeproszać. I nie zabiłem Gail ani nikogo innego. Nie jestem seryjnym mordercą. Uwielbiam pielęgniarki, żadnej bym nie skrzywdził.

– McLeane zginęła w styczniu, Allen-Bogen w kwietniu. – Nie znała dokładnych dat, nie miała jeszcze okazji uzupełnić swojej tablicy. – Hannah była wtedy twoją dziewczyną. Prędzej czy później będę musiała z nią porozmawiać na temat alibi.

– Może się nie zgodzić na tę rozmowę. Jej rodzice zażądali, by trzymała się ode mnie z daleka. Trudno będzie ją złapać. Studia medyczne są strasznie absorbujące. Musisz próbować między zajęciami.

– Na jakiej uczelni studiuje?

– Temple. To aż w Filadelfii.

– Pojadę tam. – Sięgnęła do kieszeni po notes i długopis. – Daj mi jej numer telefonu i adres mejlowy.

– Bardzo cię proszę, nie naciskaj, jeśli odmówi. – Wyrecytował z pamięci dane kontaktowe, po czym zerknął na zbliżającego się strażnika, który sygnalizował koniec wizyty. – Christine, pamiętaj, ja nikogo nie zabiłem. Jestem niewinny, musisz we mnie uwierzyć i wydostać stąd. Nie wytrzymam długo w karcerze.

– Rozumiem – powiedziała. Współczuła mu.

– Błagam, pomóż mi. Liczę na ciebie.

ROZDZIAŁ 43

Firma Brigham Instruments mieściła się w kanciastym budynku z czerwonej cegły w kształcie litery „L”. Christine weszła do środka i rozejrzała się po recepcji, nowocześnie urządzonej pomieszczeniu o ścianach w kolorze złamanej bieli, ozdobionych boazerią w wesołym niebieskim odcieniu oraz oprawionymi okładkami szpitalnych katalogów, certyfikatami jakości i artykułami prasowymi. Obok stolika ze sztucznym kwiatkiem stały dwa niebieskie fotele. Christine minęła otwarte szklane drzwi z napisem „Dział sprzedaży” i podeszła do biurka recepcjonistki.

– W czym mogę pomóc? – zapytała starsza kobieta o szaroniebieskich oczach pod ciężkimi powiekami i krótkich, prostych włosach niemal tej samej barwy. Miała w uszach srebrne, wiszące kolczyki.

– Christine Nilsson. Jestem umówiona z Timem Fosterem.

– Oczywiście. Bardzo się cieszę, że pani zadzwoniła. – Twarz recepcjonistki wyrażała zatroskanie. – Proszę pomóc temu chłopcu. Wiem, że oskarżają niewłaściwego człowieka.

– Wie pani? – ożywiła się Christine.

– Naturalnie, wszyscy wiemy, dziewczęta z księgowości i z magazynu. – Kobieta wskazała ręką za siebie. – To okropne, że go aresztowali. On tego nie zrobił.

– Skąd ta pewność?

– Znam tego dzieciaka. Powtarzam mu: „Jesteś wnukiem, którego nigdy nie miałam”.

Christine uśmiechnęła się wzruszona.

– Pracuje z nami od dwóch lat. Taki uroczy chłopiec, miły dla każdego. Wszyscy go uwielbiają. I taki przystojny! – powiedziała z błyskiem w oku. – Boski, jak mówi moja wnuczka. Dziewczyny z magazynu się w nim podkochują, i trudno się dziwić. Nie tylko wygląda atrakcyjnie, jest też dobrym człowiekiem.

– Może pani powiedzieć coś więcej? – Serce jej rosło, gdy słuchała miłych rzeczy na temat Zachary’ego, i uświadomiła sobie, że to pierwszy raz.

– Jest niezwykle uczynny. Każdym się interesuje. Pamięta o moim Rico, mam w domu chihuahue, zawsze przynosi dla niego opakowanie psich przysmaków. Nigdy nie zapomina przywieźć solonych ciągutek dla Millie z magazynu, gdy załatwia interesy w Delaware. Och, wszystkie za nim przepadamy. – Recepcjonistka zmrużyła oczy. – W przeciwieństwie do niektórych przedstawicieli, jest miły dla każdego, nie tylko dla przełożonych. W zeszłym tygodniu odwiedził jedną z dziewcząt w szpitalu, gdy złamała rękę. Zaniósł jej kilka kryminałów, bo wie, że lubi.

Christine postanowiła zapytać Griffa, czy mogą powołać te kobiety na świadków obrony.

– Przyjaźni się z innymi przedstawicielami?

– Najbardziej z Timem. Z nim powinna pani porozmawiać. – Kobieta zerknęła w stronę otwartych drzwi. – Oto i on.

Christine popatrzyła na przysadzistego ciemnoskórego mężczyznę, który szedł ku niej ze szczerym uśmiechem i dłonią wyciągniętą do powitania. Miał szeroko rozstawione, ciemne oczy za okularami w połacanej oprawie, starannie wyprasowane spodnie khaki o idealnej długości, lśniące mokasyny i niebieską koszulkę firmową.

– Christine, dzień dobry. Tim Foster.

– Miło mi. – Christine odwzajemniła energiczny uścisk dłoni. Poczowała natychmiastową sympatię do tego wesołego człowieka. – Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać.

– Z przyjemnością. Niestety, mam tylko pół godziny. Zależało mi, żeby panią wcisnąć w przerwie na lunch, kiedy prawie nikogo nie ma w biurze.

Podążyła za nim przez otwarte drzwi, pomiędzy rzędami wysokich, niebieskich ścianek działowych. Wszystkie stanowiska były puste. Na biurkach stały tylko rodzinne fotografie, dyplomy sportowe i miniaturowe flagi amerykańskie.

– Tutaj urzędują nasi stacjonarni specjaliści od sprzedaży – tłumaczył swobodnie Tim, prowadząc ją korytarzem. – Tylko oni mają oddzielne stanowiska. Brigham zatrudnia pięćdziesiąt pięć osób, w tym piętnastu przedstawicieli medycznych. Dostarczamy instrumenty chirurgiczne w całym kraju. Jesteśmy średnią, rodzinną firmą założoną przed sześćdziesięciu laty przez Brighamów.

– Zachary ma swoje biurko?

– Był przedstawicielem medycznym. Pracował w domu i w terenie. Większość towarów wysyłamy naszym przedstawicielom pocztą, więc pojawiał się w biurze raz do trzech razy w miesiącu, odebrać próbki, towar albo na zebranie. Rozsyłamy gruby papierowy katalog po domach, ale zachęcamy klientów, żeby zamawiali online. Wiadomo.

– No tak.

Tim zaprosił ją do niedużego, narożnego gabinetu z ciemnym, drewnianym biurkiem i wąskim oknem z widokiem na strefę załadunku, gdzie właśnie zawracał biały samochód dostawczy. Na biurku, obok płaskiego ekranu, leżał stos katalogów firmy. Tim wskazał plakat z reklamą Brigham Instruments.

– Produkuje piętnaście tysięcy akcesoriów medycznych różnego typu. Trzy linie produktów, w każdej inny rodzaj nożyczek chirurgicznych, kleszczy hemostatycznych, szczypców, igłotrzymaczy, retraktorów i tym podobnych. Wytwarzamy narzędzia stosowane we wszystkich specjalizacjach chirurgicznych. Kardiologia, ginekologia, chirurgia żołądkowo-jelitowa, urologia, oftalmologia, mikrochirurgia... nawet narzędzia do operacji plastycznych. Proszę usiąść.

– Dziękuję. – Christine usiadła i wyjęła z torebki swój notatnik. – Czy każdy przedstawiciel oferuje pełną gamę instrumentów?

– Owszem. – Tim oparł się na krześle. – Na tym polega trudność tej pracy. Niełatwo pozostać na bieżąco z całą produkcją. Samych nożyczek jest dwadzieścia siedem rodzajów.

– Jakim pracownikiem był Zachary?

– Najlepszym. – Mężczyzna pokiwał głową. – Naprawdę. Nasz złoty chłopak. Mówię to bez ironii. Przystojniak z niego, ale ponadto częściej niż ktokolwiek inny zdobywał tytuł pracownika miesiąca. Osiem razy przez dwa lata.

– Jest pan jego bezpośrednim przełożonym?

– Tak, ja natomiast podlegam wicedyrektorowi do spraw sprzedaży, który z kolei podlega dyrektorowi sprzedaży. Dziś ich nie ma. Nic pani nie traci, nie znają Zachary'ego lepiej, niż ja go znam.

– Kontrolował pan jego pracę?

– Tak, co kwartał dostawał premię za wyniki sprzedaży.

– Czy mogę przejrzeć akta Zachary'ego?

– Niestety, nie. Spodziewałem się takiej prośby, dlatego skonsultowałem się

z działem prawnym. Odmówili. Musi pani poprosić jego adwokata o wysłanie pisemnej prośby.

– Tak zrobię.

– Prawnik powiedział, że mogę z panią porozmawiać. Chcemy pomóc Zachary’emu w miarę naszych możliwości. On nikogo nie zabił. – Tim wysunął dolną wargę i pokręcił głową. – Po prostu nie ma mowy.

– Skąd pańska pewność?

– To porządny gość. Pracowity, nigdy się nie skarżył, brał zastępstwa. Na przykład gdy Stan zachorował na raka prostaty i trafił do szpitala, Zachary pracował za niego, dopóki nie wyzdrowiał. Taki po prostu jest ten nasz najmłodszy przedstawiciel medyczny. Interesuje się medycyną, zdał nawet na medycynę, ale zabrakło mu pieniędzy na studia. Dodatkowa wiedza pomaga mu w kontaktach z lekarzami i zaopatrzeniowcami szpitali.

– Wiedział pan, że umawiał się z pielęgniarkami z tych szpitali?

– Nie, ale to wyłącznie jego sprawa. Jest wolny, wcale mu się nie dziwię. Poznałem swoją żonę podczas jednego z wyjazdów. Jest księgową w Riddle Memorial. – Tim wzruszył potężnymi ramionami. – Po prostu w pracy najczęściej mamy kontakt z personelem szpitali. Ten fakt nie czyni z niego automatycznie mordercy. Nie mogę go sobie wyobrazić w tej roli.

Christine bardzo chciała podzielać jego pewność, lecz miała w pamięci dzisiejszy wybuch złości.

– Czy ma wybuchowy charakter?

– Nic takiego nie zauważyłem.

– Ufał mu pan?

– Jak najbardziej! Darzę go sympatią i zaufaniem.

– A klienci?

– Co do jednego. Lekarze, zaopatrzeniowcy, wszyscy. Dzwonią do mnie i pytają o niego, nikt nie wierzy, że jest winny – mówił z przekonaniem Tim. – To dobry chłopak. Zawsze zrobił, o co go prosiłem, nawet gdy inni tego unikali.

– Na przykład?

– Proszę swoich przedstawicieli, żeby zrezygnowali z prowadzenia kont na Facebooku. Klienci sprawdzają takie profile, czy ktoś jest republikaninem, czy demokratą, różne szczegóły z życia prywatnego. W dzisiejszych czasach nigdy nie wiadomo, czym można kogoś do siebie zrazić.

To wyjaśniało, czemu Zachary nie miał konta na Facebooku, Christine

pamiętała zdziwienie Lauren.

– A jak pan wyjaśni fakt, że morderca użył waszych narzędzi?

– I co z tego? – oburzył się Tim. – Wie pani, ile osób ma do nich dostęp w szpitalach i gabinetach lekarskich? Od lekarzy po pielęgniarki, salowe, techników laboratoryjnych, ekipy rozładunkowe? Każdy mógł użyć naszych narzędzi.

– W jakim rejonie poruszał się Zachary?

– Środkowe wybrzeże Atlantyku, Maryland, Wirginia, Delaware i Pensylwania. Spory obszar, ale dawał radę. Przygotowywałem go do awansu na moje miejsce. Był zdolny i skuteczny. Proszę zobaczyć. – Tim podniósł z podłogi czarną torbę, postawił na stole i otworzył. – Dziennikarze nazwali to jego „ekwipunkiem mordercy”. Próbnik, w który zaopatrzeni są wszyscy nasi przedstawiciele. W gazetach napisali o zwykłej, czarnej torbie. To celowy zabieg, nie ma na niej logo Brigham, ponieważ te cacka kosztują po dwieście dolarów za sztukę. Nie oznaczamy próbników z obawy przed kradzieżami. – Pokazał jej zawartość: szeroki wybór pęset na poduszce z niebieskiego aksamitu, przymocowanych czarnymi, elastycznymi opaskami. – Tak wygląda w środku.

– A to są... pęsety?

– Pęsety anatomiczne i chirurgiczne. Typowy próbnik.

– Taki miał Zachary w swoim samochodzie?

– On akurat woził bardziej zróżnicowany zestaw narzędzi chirurgicznych, w komplecie była między innymi piła amputacyjna do palców Langenbecka, zawdzięczająca nazwę niejakiemu Bernardowi von Langenbeckowi, chirurgowi wojskowemu armii pruskiej. Niestety, wiele odkryć na polu chirurgii zawdzięczamy wojnom.

– Czy to właśnie było narzędzie zbrodni? – zapytała. Miała w pamięci wyjaśnienia Zachary’ego. – Piła dla specjalistów od chirurgii ręki?

– Tak, mam tu jedną, żeby pani pokazać. – Wsunął pulchną dłoń do torby i wyjął z niej długie, lśniące ząbkowane ostrze, które następnie podał Christine. – Proszę uważać, ostre.

– Jejku. Ale ciężka. – Spojrzała na upiorny przedmiot.

– Musi być ciężka. Ma w sumie dwadzieścia trzy centymetry, w tym dwunastocentymetrowe ostrze. Jest prosta, bez zakrzywień, wykonana ze stali chirurgicznej, bez trudu przecina drobne kości. Przebije także żebra, każdy mógł mieć do niej dostęp. – Tim wskazał piłę. – Jest bardzo popularna na

salach operacyjnych. Znajduje się w wyposażeniu chirurgów urazowych, ortopedów, specjalistów w dziedzinie chirurgii ręki i stopy. Kosztuje około stu sześćdziesięciu dolarów, a więc stosunkowo tanio w porównaniu z innymi narzędziami chirurgicznymi. Sama pani widzi, że Zachary ma bardzo wiarygodne wytłumaczenie, dlaczego woził ten przedmiot w swoim samochodzie. Posiadanie piły chirurgicznej nie czyni z niego seryjnego mordercy.

– A co z opaskami uciskowymi?

– Podobnie, są wszędzie. Też je dla pani przygotowałem. – Wyjął z kieszeni torby paczkę turkusowych opasek. – Takie lub podobne znajdzie pani w wielu miejscach. Nie tylko my sprzedajemy opaski uciskowe.

Miał rację, takich opasek używano w punkcie zabiegowym, gdzie robiła okresowe badania krwi.

– Używają ich chirurdzy ręki, ale nie tylko oni?

– Otóż to.

– Czy zwykły człowiek z ulicy może się u was zaopatrywać?

– Nie. Sprzedajemy wyłącznie szpitalom, szpitale zaopatrują firmy i lekarzy.

– Tim zmarszczył czoło. – Czasem widuję nasze piły do amputacji palców na eBayu, więc zdarzają się transakcje z drugiej ręki.

– Mogę wziąć te rzeczy i kilka katalogów do przejrzenia w domu?

– Oczywiście. – Tim spakował piłę, opaski i parę broszur do czarnej, nylonowej torby.

– Policja rozmawiała z panem na temat Zachary’ego?

– Tak. Rozmawiali również z moim szefem. Powiedziałem im to samo, co pani. Zachary nie jest seryjnym mordercą.

– Pytali o jego akta pracownicze?

– Tak, dostali kopię. Prawnik powiedział, że musimy im dać. – Tim ściągnął brwi. – Nie ma w nich niczego, co mogłoby mu zaszkodzić, więc się zgodziliśmy. Fakt, że wyprodukowaliśmy narzędzie zbrodni, nie stanowi dla nas dobrej reklamy. W pierwszym tygodniu odebraliśmy dziesiątki telefonów od dziennikarzy. Zatrudniliśmy nawet specjalistów od public relations. Brighamowie nie są szczęśliwi. Im prędzej to się skończy, tym lepiej.

– Czy Zachary miał jakichś wrogów?

– Nie, absolutnie. – Przekrzywił głowę. – Hm, jeden z kolegów przedstawicieli za nim nie przepadał. Między nami mówiąc.

– Zachowam dyskrecję. Jak się nazywa ten kolega?

- Dan Pepitone.
- Jest dziś w firmie?
- Nie. Przedstawiciele zawsze są w terenie, mówiłem pani. Nigdy tu nie przesiadują.
- No tak. – Będzie musiała odszukać Pepitone’a i z nim porozmawiać. – Dlaczego Dan nie lubił Zachary’ego?
- Bo przejął większość jego rejonu. Musiałem tam wprowadzić kogoś nowego. Każdy z obwodów jest ogromny, setki klientów, mnóstwo roboty, a Dan dobiega sześćdziesiątki.
- Chce pan powiedzieć, że Zachary został zatrudniony jako następca Dana?
- Na to by wychodziło. – Tim wyduł dolną wargę. – Dan zaczyna zwalniać obroty, wypalił się. Niełatwo być wędrownym wojownikiem. Kiedy dołączył Zachary, sprzedaż ruszyła z kopyta. Sprawił, że Dan poczuł się zagrożony. Tak to już bywa w tym fachu.
- Dlaczego Zachary ma lepsze wyniki?
- Bardziej się stara. Czaruje. Zawsze dobija targu. – Tim nieznacznie ściągnął brwi. – Dan uważa go za krętacza i kombinatora, co jestem w stanie zrozumieć.
- Co pan chce przez to powiedzieć?
- Pracuję w handlu. Zarządzam handlowcami. Ten zawód wymaga pewnej specyficznej mentalności. Niektórzy stają się sprzedawcami, inni się nimi rodzą. – Uśmiechnął się. – Zachary jest urodzonym sprzedawcą. Potrafiłby sprzedać lód Eskimosom. Banał, ale w jego przypadku się potwierdza.
- Christine miała wątpliwości, czy chce, aby jej dziecko było urodzonym sprzedawcą. To wada czy zaleta?
- Jakie cechy powinien posiadać taki sprzedawca?
- Moim zdaniem musi przede wszystkim doskonale znać się na ludziach. Zachary znakomicie odgaduje potrzeby innych i potrafi na nie odpowiadać. Wie, jak człowieka rozpracować.
- To manipulacja. – Czyżby Zachary nią manipulował, tak jak ostrzegął Gary?
- Tak i nie. – Tim wzruszył ramionami. – Dobry handlowiec rozumie ludzi i do pewnego stopnia, owszem, umie nimi manipulować. Mówi, co chcą usłyszeć, by dobić targu.
- Christine coraz mniej się to podobało.
- Jest zatem dobrym kłamcą?

– Nie lepszym niż ja – zaśmiał się Tim. – Po prostu musimy sprzedać towar. Klient go potrzebuje, my go mamy, wszyscy są zadowoleni. Nikomu nie dzieje się krzywda. Zachary jest bardzo dobry w tym zawodzie, najlepszy młody handlowiec, jakiego miałem okazję poznać. Gwiazda. Owszem, może budzić antypatię. Dana drażniła jego zarozumiałość, ale ja lubię, gdy moi handlowcy są bezczelni i zarozumiali. Wie pani, w jakim zawodzie jest najwięcej zarozumialców?

– Nie, w jakim? – zapytała, widząc, że Tim na to czeka.

– W zawodzie chirurga. Chirurdzy uważają się za równych Bogu. Bez wahania kroją ludzkie ciało. Ratują życie. To bardzo inteligentni ludzie, którzy nie tolerują głupoty. Moi sprzedawcy powinni być wystarczająco pewni siebie i zarozumiali, aby zaskarbić sobie szacunek chirurgów.

Christine zrozumiała.

– Zachary potrafił zaskarbić sobie ich szacunek?

– Bez dwóch zdań. Potrafił wkroczyć do szpitala, zatrzymać chirurga w drodze na operację, wyrwać trzy minuty z jego napiętego grafiku i przekonać, że nasze narzędzia są najlepsze. Gdyby moi ludzie nie mieli takiego tupetu, nie mógłbym wyżywić rodziny.

Christine usiłowała sobie to wszystko jakoś poukładać w głowie.

– Więc Zachary jest zarozumiałym manipulantem, ale mimo wszystko pan go lubi?

– Nie – uśmiechnął się Tim. – Zachary jest zarozumiałym manipulantem, a ja go za to kocham.

ROZDZIAŁ 44

Christine szybkim krokiem przemierzała zatłoczony chodnik pełen studentów z plecakami, biznesmenów przeglądających smartfony i pracowników Uniwersytetu Temple z identyfikatorami na czerwonych paskach, spieszących się z powrotem do pracy po przerwie obiadowej. Podróż do centrum Filadelfii zajęła jej prawie godzinę, kolejne pół stała w korku na Broad Street, która najwyraźniej była główną arterią miasta. Hannah uprzedziła, że ma tylko dwadzieścia minut przerwy między zajęciami, więc Christine jechała jak pirat drogowy, przeczuwając, iż dziewczyna wykorzysta każdy pretekst, by uniknąć spotkania.

Panował nieznośny upał, Christine otarła pot z czoła, mijając studencką księgarnię w drodze do restauracji wskazanej przez Hannah. Wreszcie dotarła na miejsce i z przyjemnością wdychała smakowity zapach smażonych steków, podczas gdy jej oczy przyzwyczajały się do półmroku. Był to nieduży, ciasny lokal, specjalizujący się w zamówieniach na wynos, z ladą, otwartymi płytami do smażenia obsługiwany przez kucharzy po lewej stronie i dwoma rzędami mikroskopijnych, brązowych stolików po prawej.

Z tyłu sali pomachała jakaś dziewczyna. Christine nic z tego nie rozumiała. Ta młoda kobieta była wysoka, szczupła i ciemnowłosa, zupełnie nie pasowała do opisu funkcjonariuszki więziennej. Strażniczka opowiadała przecież, że dziewczyna Zachary'ego jest ruda, drobna i śliczna, tymczasem osoba, która właśnie wstawała od stolika, nie była ani ruda, ani drobna, choć niewątpliwie śliczna. Miała delikatną, okrągłą twarz z dołkami na policzkach, zadartym nosem, pełnymi ustami i olśniewającym uśmiechem ukazującym idealne zęby.

– Christine! – zawołała dziewczyna i przywołała ją niecierpliwym gestem, więc Christine ruszyła w jej stronę, torując sobie drogę wśród tłumu przy kasie.

– Hannah? Myślałam, że masz rude włosy.

– Nie. Dlaczego? – Hannah usiadła, wygładzając spódnicę fioletowej, letniej

sukienki z cienkimi ramiączkami. – Siadaj, proszę, nie mam zbyt wiele czasu.

– Funkcjonariuszka z Graterford powiedziała mi, że jesteś ruda.

– Skąd miałyby to wiedzieć? Nigdy nie byłam w Graterford.

– Przecież odwiedziłaś Zachary’ego? – Christine usiadła oszołomiona.

– Nigdy w życiu. – Wzdrygnęła się. – W więzieniu o zaostrozonym rygorze?

Nie, dziękuję.

Christine nic nie rozumiała.

– Odwiedziła go dziewczyna.

– Nie narzeka na ich brak. Straszny z niego babiarz – prychnęła. – Po co miałabym go odwiedzać? Z nami już koniec. Rozstaliśmy się.

– Cóż, odniosłam wrażenie, że zależy ci na nim jako na przyjacielu.

– Skąd ten pomysł?

– On tak powiedział.

– Ha! Co za bufon! – Hannah przewróciła oczami w pięknym orzechowym kolorze, podkreślonymi delikatnym makijażem.

– Można wyciągnąć taki wniosek, skoro zdecydowałaś się pożyczyć mu pieniądze na zaliczkę dla adwokata. – Christine czuła niewytłumaczalną potrzebę wstawienia się za Zacharym.

– Słucham? – Dziewczyna popatrzyła na nią jak na wariatkę. – Nie pożyczam mu żadnych pieniędzy. Nigdy więcej.

– Chwileczkę, zaczekaj. Wyjaśnijmy to – poprosiła zdezorientowana Christine, uświadamiając sobie, dlaczego Zachary próbował ją odwieść od spotkania z Hannah. – Nie przekazałaś jego prawnikowi czeku gotówkowego na dwa i pół tysiąca dolarów?

Młoda kobieta prychnęła szyderczo.

– Żartujesz sobie? Nie. Nie płacę już jego rachunków, skończyłam z tym raz na zawsze.

Christine straciła orientację w sytuacji. Zachary ją okłamał, a ona nie miała pojęcia dlaczego.

– W takim razie zostałam źle poinformowana.

– Witaj w świecie Zachary’ego Jeffcoata. Nie wiem, pod jakim kątem cię rozpracowuje, i nie wiem, co ci powiedział. Ale możesz być pewna, że kłamie za każdym razem, gdy otwiera usta. – Hannah popijała napój z dużej plastikowej szklanki. – Nie pytaj mnie, dlaczego skłamał w tak łatwej do sprawdzenia kwestii. Zazwyczaj wykazuje więcej sprytu.

– Nie wiedział, że mam zamiar się z tobą spotkać.

– No tak, wszystko jasne. W dodatku był pewien, że ja zrobię wszystko, by uniknąć tego spotkania. I tak było, starałam się, jak mogłam.

Christine dzwoniła do Hannah pięć razy, zanim dziewczyna w końcu wyraziła zgodę.

– Zauważyłam. Ale dlaczego?

– Mój chłopak został aresztowany, mówią, że zabił trzy pielęgniarki, nazywają go seryjnym mordercą. – Dziewczyna posmutniała. Potrząsnęła głową. – Chcę być od tego jak najdalej, nie mam nic wspólnego z tą sprawą. To potworne i upokarzające. Moi rodzice wpadli w panikę, lubili go. Oboje prowadzą praktykę lekarską w miasteczku. Są w szoku.

– Kiedy z nim zerwałaś?

– Tamtej nocy, gdy go aresztowali, zadzwonił do mnie z komendy w West Chester. Pojechałam z tatą.

– Zerwałaś z nim na komisariacie?

– Owszem, bez wahania. – W jej śmiechu nie było śladu wesołości. – Siedział tam zakuty w kajdanki, ubrany w biały papierowy kombinezon. Wziął prysznic, ale pod paznokciami i na włosach wciąż miał krew. Nie jestem jedną z tych idiotek, które choćby nie wiem co trwają u boku swojego mężczyzny. Zresztą od dłuższego czasu zanosilo się na rozstanie. Nasz związek nie był szczęśliwy od dawna.

Christine zadała sobie pytanie, czy ona przypadkiem nie stała się jedną z tych idiotek.

– Myślisz, że jest winny?

– Możliwe. – Hannah pokręciła głową i skrzywiła się z obrzydzeniem. – Nie chcę nawet myśleć, że byłam blisko z kimś tak chorym, nie miałam o niczym pojęcia. Ojciec podsyła mi artykuły o seryjnych mordercach, których partnerki nawet się nie domyślały. Upierne! To mogłam być ja.

– Gdzie był w noc morderstwa? Czyli w zeszły poniedziałek, piętnastego czerwca.

– Nie mam pojęcia. Ja byłam w swoim mieszkaniu, w mieście. Powiedział mi, że jest w trasie, w Marylandzie. Krętacz.

„Kolejne kłamstwo”, pomyślała zaniepokojona Christine.

– Rozmawiałaś z nim tamtej nocy?

– Nie, napisał mi esemesa, że bardzo ciężko pracuje. Biedaczek. Co za farsa.

– O której godzinie do ciebie napisał?

– Koło ósmej. Uczyłam się ze znajomymi.

– Opowiesz mi o waszym związku? Kiedy zaczęliście się spotykać? Po tym, jak dostałaś się na studia?

– Tak, latem przed rozpoczęciem pierwszego roku. Poznaliśmy się na wieczorku zapoznawczym dla przyszłych studentów, w barze w Society Hill. Zakochałam się od pierwszego wejrzenia. Jest bardzo seksowny. – Uśmiechnęła się nieznacznie. – Przeżyliśmy razem wspaniałe lato, muszę przyznać. Było cudownie, dopóki myśleliśmy, że oboje zaczniemy studia.

– Co się stało później?

– Po pierwsze, miał wieczne kłopoty finansowe. Jego rodzice nie mogli mu pomóc zapłacić za studia, to był problem. Przez całe lato zamartwiał się, czy zbiera na czesne. Dorabiał w pięciu miejscach.

– Co jeszcze robił, żeby zdobyć pieniądze? – Christine zastanawiała się, czy przyznał się Hannah do transakcji z bankiem spermy.

– Na przykład?

– Sprzedawał krew? Może spermę, jak niektórzy studenci?

– O niczym takim nie wiem. – Hannah zlekceważyła ten temat. – Ale potrzebował pieniędzy, to fakt. Ja płaciłam za wiele rzeczy, nie miałam nic przeciwko temu, moi rodzice są zamożni. Mimo wszystko Zachary nie zbierał wystarczającej sumy, żeby opłacić pierwszy rok. – Pokręciła głową. – Wściekł się, kiedy odmówiłam poproszenia ojca o pożyczkę. Wybuchła między nami awantura. Ni z tego, ni z owego stracił nad sobą panowanie.

Christine przypomniała sobie nagły wybuch złości Zachary'ego po drugiej stronie więziennej szyby.

– Zaczął mi wymyślać. Nazwał mnie „bogatą dziwką”. Nic przyjemnego.

– Czy takie sytuacje często się powtarzały?

– Nie, ale mnie wystarczyła jedna. Zapamiętałam ją sobie. Nie miałam zamiaru godzić się na takie traktowanie. – Zmarszczyła brwi. – Narzekał, że nie może się zapisać na zajęcia, bo jest to możliwe dopiero po zapłaceniu czesnego. Wreszcie pogodził się z nieuniknionym i podjął pracę w Brigham, ale był bardzo rozczarowany. Kocha medycynę bardziej niż ja. To było przykre i czułam się winna.

Christine pomyślała, że wersja Hannah zadaje kłam opowieści Zachary'ego, który ponoć czuł się zdegradowany w jej oczach, bo nie mógł rozpocząć studiów.

– Stał się zazdrosny o moją szkołę, bo sam nie mógł studiować. Zaczęły się wyjazdy służbowe, on był w trasie trzy, cztery dni w tygodniu, a ja większość

czasu spędzałam w laboratorium. Prawie przestaliśmy się widywać. Miał do mnie pretensje, które wyrażał na dziwaczne sposoby.

– Jakie?

– Na przykład w łóżku. Zrobiło się dziwnie. Nagle nabrał ochoty na robienie różnych rzeczy, które mnie zupełnie nie pociągały.

– Co to znaczy? – zapytała łagodnym tonem, widząc wahanie Hannah.

– Chciał, żebym była uległa, pozwalała się wiązać. Nie jestem głupia, wiedziałam, co za tym stoi. Zależało mu na dominacji, bo radziłam sobie lepiej od niego i zniechęcił mnie za to. Musiał zaznaczyć swoją dominację.

– Hannah ściągnęła usta. – Nie kontrolował własnego życia, więc próbował kontrolować mnie.

– Wyjaśnił, o jakie wiązanie mu chodzi? – Christine zadrżała, bo skojarzyła upodobania seksualne Zachary’ego z modus operandi zabójcy krępującego swoje ofiary.

– Nadgarstki, z przodu. Myślałam, że się posikam ze strachu, kiedy przeczytałam, że właśnie tak zostały związane te pielęgniarki. Na początku naszej znajomości nigdy bym nie uwierzyła w jego winę. Nie wyglądał na kogoś, kto mógłby skrzywdzić kogokolwiek. Seryjny morderca? W życiu! – Skrzywiła się. – Ale kiedy go aresztowali, pomyślałam o jego ostatnich dziwacznych upodobaniach. Przecież mogłam być jego następną ofiarą.

– Policja cię przesłuchiwała? – Christine kontynuowała, mimo że ogarnęły ją mdłości.

– Chcieli, ale ojciec zadzwonił do naszej prawniczki, a ona ich spławiła. Nie zamierzam się w to mieszać. Poradzi sobie z nimi, nawet jeśli spróbują jeszcze raz.

– Więc policja nie wie o tym, co mi powiedziałaś?

– Nie. Ale od ciebie się nie dowiedzą, prawda?

– Oczywiście, że nie. – Uświadomiła sobie, że Griff nazwałby te informacje „niedobrymi”.

– Nie wiem, czy to zrobił, czy nie. Po prostu nie chcę być w nic zamieszana. Zachary jest tylko facetem, z którym się spotykałam. Było miło, dopóki się nie zepsuło. – Wyprostowała się i popatrzyła Christine prosto w oczy. – Nie mieszaj mnie w to. Nawet nie myśl o powoływaniu mnie na świadka obrony. Sama widzisz, że mogłabym go tylko pogrzyść.

– Tak, rozumiem. – Christine była coraz bardziej dezorientowana. Najpierw przekonana o winie Zachary’ego, potem uwierzyła w jego niewinność, a teraz

znów zaczynała skłaniać się ku pierwszej wersji.

– Z perspektywy czasu zrozumiałam, że go właściwie nie znałam. Lubi podróżować, często się przeprowadza. Nigdzie nie zagrzeje miejsca, nie pozwala nikomu się do siebie zbliżyć. Zbywa trudne pytania, unika rozmów o przeszłości. Teraz myślę, że niektóre historie, choćby ta o śmierci jego siostry, miały na celu wzbudzenie mojego współczucia.

– Ale to prawdziwa historia?

– Chyba tak. – Hannah pokiwała głową. – Biorąc pod uwagę to, co dziś wiem na temat Zachary’ego, sądzę, że nie opowiada jej bez ukrytego powodu. Chce wzbudzić współczucie w rozmówcy. Przy tym jest przystojny, miły, inteligentny... Któż by się oparł takiej kombinacji?

Dziewczyna zerknęła na telefon i wstała.

– Muszę już iść. Nie wierz we wszystko, co ci mówi. Także w to, że jest niewinny.

ROZDZIAŁ 45

Christine wyjechała z miasta na autostradę i czym prędzej zadzwoniła do Griffa. Odebrał dopiero za trzecim razem.

– Griff, musimy porozmawiać. Przede wszystkim potrzebujesz telefonu komórkowego.

– Nie chcę.

– Trudno. I tak ci kupię. – Przypomniała sobie rewelacje Wallace’a o zamożności starego adwokata. – Albo sam sobie kupisz. Tak czy inaczej, potrzebujesz telefonu komórkowego. Zachary został wczoraj pobity i nikt nie mógł się z tobą skontaktować.

– Słyszałem.

– Uratował życie wartownikowi. Możesz to wykorzystać, żeby go przenieśli do okręgowego? – Christine wskoczyła na pas szybkiego ruchu i jechała wzdłuż nabrzeża rzeki, upstrzonego kolorowymi, wiktoriańskimi hangarami dla łodzi. Piękny widok dla turysty, ale ona nie była turystką.

– Nie przejdzie.

– On siedzi w izolatce. W karcerze.

– Koszmar. Ale przynajmniej jest bezpieczny. Co kto woli. – Griff nie sprawiał wrażenia zadowolonego. – Czego chcesz?

– Obejrzałam miejsce zbrodni, potem odwiedziłam Zachary’ego, rozmawiałam z jego szefem i jego dziewczyną i...

– Czekasz na medal?

– Nie, miałam nadzieję, że porozmawiamy. Przydałby mi się partner do dyskusji.

– Nie mam zamiaru być niczym „partnerem do dyskusji”.

Christine dała za wygraną.

– Może po prostu przekażę ci, czego się dowiedziałam? Zacznę od początku, bo to dość skomplikowane...

– Streść w jednym zdaniu.

Christine usiłowała zebrać myśli, ale słońce raziło ją w oczy. Opuściła osłonę przeciwsłoneczną, manewrując kierownicą na lekkim zakręcie w lewo.

– Zachary skłamał, że poznał Gail dopiero w niedzielę, ponieważ nie chciał, żeby jego dziewczyna dowiedziała się o dwukrotnej zdradzie...

– Dobra odpowiedź.

– ...ale ta kobieta już nie jest jego dziewczyną. Nazywa się Hannah Dolan i to nie ona przyniosła ci pieniądze.

– Wszystko mi jedno. Zdeponowałem czek. Była dziewczyna zapewni mu alibi na noc morderstwa?

– Nie.

– Alibi w sprawie Allen-Bogen i McLeane?

– Nie zapytałam.

Griff prychnął ze zniecierpliwieniem.

– Zapytam przy najbliższej okazji.

– A nowa dziewczyna? Może potwierdzić alibi na czas któregoś z morderstw?

– Nie wiem. Nic o niej nie wiem...

– To się dowiedz.

– Może twoja recepcjonistka zapisała nazwisko kobiety, która podrzuciła czek.

– Nie mam recepcjonistki.

– W takim razie osoba, która przyjęła czek w twoim imieniu.

– Phyllis? To harpia. Nie pomoże mi.

Christine musiała skapitulować.

– Zapytam Zachary'ego.

– Nie mów mi, co masz zamiar zrobić, tylko działaj. Za co ci płacę? – Roześmiał się z własnego żartu.

– Żartowniś z ciebie. – Przyspieszyła, na autostradzie nie było żadnych korków, choć panował spory ruch, więc miała szansę zdążyć na czuwanie.

– Była dziewczyna rozmawiała z policją?

– Nie. – Rozwazała opowiadanie Griffowi o seksualnych ciągotech Zachary'ego, ale wątpiła, by ta informacja kwalifikowała się jako „dobra”. Nie chciała mieć staruszka na sumieniu.

– A ta obecna? Była przesłuchiwana?

– Nie wiem.

– Gdzie jesteś?

- Wracam.
- Przywieź pizzę. Tym razem z podwójnym serem.
- Jadę od razu na czuwanie za Gail Robinbrecht. – Christine zerknęła na zegarek w desce rozdzielczej, który wskazywał trzynastą trzydzieści dwie. – Zaczyna się o trzeciej.
- Griff westchnął.
- Dobra. Do widzenia i powodzenia...
- Zaczekaj, nie odkładaj słuchawki. Miałeś mieć dziś spotkanie z policjantami z Wirginii i Marylandu.
- Miałem.
- No i? – Christine włączyła się do ruchu za przejazdem przy City Avenue, gdzie autostrada rozszerzała się ku zachodowi.
- Spotkałem się też z prokuratorem okręgowym z Chester.
- Co powiedział? Mów do mnie. Komunikujmy się.
- Griff jęknął.
- Nie lubię gadać przez telefon. Później ci powiem.
- Teraz. W skrócie. – Uznała, że to uczciwa propozycja.
- Prokuratura ma solidne dowody rzeczowe, które łączą Jeffcoata z Robinbrecht: jego włos i włókna z ubrania na ciele ofiary. Poza tym odciski palców na jej ciele i w mieszkaniu.
- Ale to wszystko da się wyjaśnić – zaproponowała Christine. – On ją znalazł. Dotykał jej. Spali ze sobą. Dwukrotnie był w mieszkaniu. Opowiedział mi dokładnie, w jaki sposób znalazła się na nim jej krew. Widziałam zdjęcia, brak śladów krwi na wierzchniej części butów potwierdza tę wersję...
- Nieważne. Przysięgli kochają dowody rzeczowe. Był na miejscu zbrodni, nóż i opaski uciskowe należą do katalogu towarów, które sprzedaje. To przekonujące dowody poszlakowe.
- Przełożony Zachary’ego powiedział, że piły amputacyjne z Brigham są dostępne w większości szpitali, a opaski uciskowe wszędzie.
- To za mało. Poza tym lekarz sądowy pobrał materiał do badania, nie mamy jeszcze wyników, ale wiadomo, że znajdą DNA Jeffcoata. Kolejny mocny dowód.
- Uprawiali seks. Przecież się do tego przyznał. – Griffowi nawet się nie śniło, co Christine wie na temat DNA Jeffcoata.
- Tak czy inaczej, DNA potwierdza, że coś ich łączyło. Poza tym dopiero się dowiedzieliśmy o pierwszej wizycie w mieszkaniu Robinbrecht. Oni nie

wiedzą, że my wiemy.

– A śledczy z Marylandu? Co oni powiedzieli?

– Zamordowana pielęgniarka to Susan Allen-Bogen z Bethesda General. Maryland może dowieść, że ten szpital znajduje się na liście kontrahentów Jeffcoata. Był tam w dniu morderstwa, trzynastego kwietnia. Szef Jeffcoata przekazał policji kopie rachunków za hotel i benzynę. Policja namierzyła go na nagraniach z kamer przemysłowych na trasie i szpitalnego parkingu.

Christine poczuła, jak serce zamiera jej w piersi.

– Dlaczego Zachary miałby przedstawiać szefowi rachunki z podróży, podczas której kogoś zabił?

– Musiał. W firmie wiedzieli, dokąd pojechał, a rachunki zawsze dostarczał regularnie. Nic by mu nie przyszło z zatajenia ich.

– Cóż, ale Zachary nie znał Allen-Bogen. Nigdy jej nie spotkał. Tej drugiej także nie.

– Jest nagranie z kamery w windzie, gdzie rozmawia z Allen-Bogen trzy godziny przed morderstwem.

– Naprawdę? – zapytała zatrwożona. – Widziałeś?

– Oczywiście, że nie. Wierzę im na słowo, chociaż są z prokuratury.

Christine usiłowała zrozumieć zawiłości procedur prawniczych.

– Zdradzili, jakie mają dowody? Po co?

– Próbowali mnie przekonać, żebym im pozwolił na rozmowę z Jeffcoatem. Wziąłem, ile mogłem, zanim odmówiłem.

Christine biła się z myślami. Czy Zachary kłamał, gdy zaprzeczył, że nie znał Allen-Bogen?

– Możliwe, że nie pamiętał tamtego spotkania. Nie znał jej nazwiska. To dowody poszlakowe.

– Yhy – mruknął Griff. – Tylko że schemat jest identyczny jak w przypadku Robinbrecht. Spotkał ją w kafeterii, żadnych telefonów, esemesów, wieczorem poszedł do niej do domu. Allen-Bogen została zabita w taki sam sposób, z użyciem noża Brigham i opasek uciskowych.

Darowała sobie uwagę, że narzędziem zbrodni była piła amputacyjna.

– Czy Maryland ma dowody DNA, tak jak Chester?

– Jeszcze nie wiem. Sprawdzają zgodność.

– A Wirginia?

– Mają dowody na obecność Jeffcoata w szpitalu Newport News dwunastego stycznia, tamtego dnia została zamordowana Lynn McLeane.

Morderca posłużył się tą samą metodą, zwłoki znaleziono w jej mieszkaniu, na łóżku. Szpital znajduje się na liście kontrahentów Jeffcoata, dyrekcja Brigham dostarczyła kopie rachunków hotelowych. Kamery na parkingu i na trasie uchwyciły samochód z jego tablicą rejestracyjną.

– Ale czy potrafią go powiązać z McLeane? On jej nie zna.

– Mają nagranie z ochrony. Rozmawiał z nią rano, w dniu jej śmierci.

– Nagranie z dźwiękiem?

Griff westchnął ciężko.

– Oczywiście, że nie. Chciałabyś, żeby mieli na sobie mikrofony?

Christine skamieniała.

– W tym przypadku również brak pewności, czy istotnie ją znał. Nie ukrywa, że lubi flirtować z pielęgniarkami podczas pracy. Mógł nawet nie znać jej nazwiska, zamienić przypadkowo kilka zdań. Co nie dowodzi, że ją zabił.

– Yhy – powtórzył Griff.

– Co z twardymi dowodami, śladami traseologicznymi, czy jak to się nazywa?

– Czekają na wyniki badań.

Zamyśliła się, próbując powiązać ze sobą wszystkie elementy. Faktów było zbyt wiele, żeby je przeanalizować na poczekaniu, poczuła ucisk w żołądku. Uwierzyła Zachary'emu, kiedy zapewniał, że nie znał Allen-Bogen i McLeane. Albo ją okłamał, albo się zwyczajnie pomylił.

– Co to oznacza dla Zachary'ego?

– Wirginia, Maryland i Pensylwania uważają, że mają solidne dowody przeciwko niemu. „Podoba im się”, co w ich języku oznacza, iż w ich mniemaniu po prostu jest „Mordercą pielęgniarek”. Był we wszystkich trzech szpitalach, rozmawiał z ofiarami niedługo przed ich śmiercią. To bardzo silne poszlaki. Nie wystarczą, by przekonać naszych przysięgłych, ale dla prokuratury – prawdziwa gratka.

Christine uświadomiła sobie wstrząśnięta, że nawet jeśli Zachary nie kłamał, znalazł się w poważnych tarapatach.

– Co powiedzieli ludzie z FBI? Byli u ciebie?

– Nie. Federalne Biuro Śledcze nie nawiązuje kontaktu z obroną.

– To skąd znasz ich stanowisko?

– Od glin z Marylandu i Wirginii. Chcieli mnie postraszyć – zarechotał Griff.

– Federalni wkroczyli do gry, użyczyli im swojego profilerę z Filadelfii.

– I co im powiedział?

– Morderca lubi i szanuje kobiety, świetnie się z nimi dogaduje. Składa ich dłonie jak do modlitwy, bo chce przekazać, że pielęgniarki są aniołami na ziemi. Typ bawidamka.

Słuchała poruszona, ponieważ opis pasował do Zachary'ego.

– Dlaczego zabija pielęgniarki, skoro je lubi i szanuje?

– Albowiem świat ich nie docenia. Są zbyt dobre, by egzystować na niewdzięcznym padole łez. Dlatego też, w przeciwieństwie do większości seryjnych morderców, nie stosuje wobec nich przemocy seksualnej. Przeprowadza je do nieba. Tak przynajmniej wydedukował psycholog kryminalny z FBI.

Christine nie była w stanie pojąć tej pokrętej logiki. Nie wiedziała, czy pasuje do Zachary'ego.

– Co ty myślisz?

– Że jestem głodny. Nie jadłem obiadu. Kończę.

– W takim razie do zobaczenia – powiedziała do głuchego już telefonu.

Rozłączyła się pełna złych przeczuć. Jakie jest prawdopodobieństwo, że Zachary znalazł się trzykrotnie w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze? Czy można mieć aż takiego pecha? Może ktoś próbuje go zrobić? Przerazająca była sama wątpliwość, że byłby jednak zdolny do zabicia trzech pielęgniarek, ale mimo wszystko nie mogła tego wykluczyć.

Jechała w skupieniu wśród pędzących autostradą pojazdów. Nie dopuszczała do siebie myśli, że ojciec jej dziecka był wcieleniem zła. Mocno ścisnęła kierownicę, jak kotwicę, dzięki której ostatkiem sił trzyma się rzeczywistości.

Kierowała się na zachód w pięknym, czerwcowym słońcu.

ROZDZIAŁ 46

Szpital Chesterbrook był kompleksem nowoczesnych, jasnobrązowych budynków z pomarańczowymi dachówkami. Mieściły się tu gabinety lekarskie, laboratoria analityczne, centrum rehabilitacji i terapii oraz parkingi i garaże. Christine wysiadła z samochodu, by dołączyć do grona osób przybyłych na czuwanie. Była nieco spóźniona z powodu korków, toteż zostawiła samochód na parkingu przed pogotowiem, w pobliżu przyszpitalnego skweru, gdzie zaplanowano zgromadzenie.

Niebo się zachmurzyło stosownie do smutnej okazji. Christine szła chodnikiem za osobami zmierzającymi w kierunku południowego skweru. Przy wejściu na skwer pracownik szpitala wręczył jej butelkę wody, program wydrukowany na białym papierze oraz białą wstążkę, której nie miała czasu przypiąć. Zresztą, czułaby się nieswojo, gdyby to zrobiła. Rozważała skorzystanie z niebieskiej, przenośnej toalety, ale zniechęcił ją zapach oraz fakt, że była już spóźniona.

Wyszła na skwer wypełniony setkami ludzi zwróconych w kierunku prowizorycznej sceny z desek przykrytych zieloną tkaniną, tło w tym samym kolorze zdobiły litery CBH będące symbolem szpitala. Na środku ustawiono podium z mikrofonem, na rozkładanych krzesłach siedziało kilka osób w oficjalnych, cywilnych strojach oraz oficerowie śledczy z West Chester, za nimi powiewała amerykańska flaga oraz zielony sztandar ze szpitalnym logo.

Christine wmieszała się w tłum. Przyszła tu w nadziei, że lepiej pozna ofiarę, Gail Robinbrecht. Na czuwanie przybyły setki jej współpracowników, większość miała na sobie szpitalne uniformy, identyfikatory i białe chodaki, wyglądali jak armia. Wszyscy pogrążeni w smutku uczestnicy uroczystości mieli białe wstążki w klapach. Ci, którzy znali Gail osobiście, płakali. Niektórzy trzymali zielone balony i tabliczki ze zdjęciami zmarłej: „Tęsknimy, Gail!”, „Na zawsze pozostaniesz w naszych sercach!”, „Spoczywaj w pokoju, Gail”.

Z różnych stron docierały do niej fragmenty rozmów, koleżanki z pracy wspominały Gail – „doskonała pielęgniarka”, „kochana dziewczyna”, „wciąż nie mogę w to uwierzyć”, „to jakiś koszmar” – i osób wyrażających swoje potępienie wobec Zachary’ego, który stał się głównym celem zbiorowego gniewu – „bydlak bez serca”, „chory zboczeniec”, „powinni go usmażyć na gorącym oleju”, „nikogo już nie skrzywdzi”. Czuła się między nimi jak intruz, z żałobną wstążką upchniętą do torebki i dzieckiem człowieka, którego wszyscy nienawidzili.

Dwa ogromne ekrany po obu stronach sceny nagle ożyły – pokazały powiększoną sylwetkę mówcy, który rozpoczynał uroczystość. Był nim mężczyzna w średnim wieku ubrany w szary garnitur. Część osób stojących przed Christine postąpiła naprzód, ale niektórzy przeszli na prawą stronę, aby obserwować scenę z boku, lecz z bliższej odległości. Przyłączyła się do drugiej grupy i zwróciła uwagę na kobiety z przodu. Wśród trzymających się za ręce osób rozpoznała starszą pielęgniarkę i młodą Azjatkę, które spotkała przed domem Gail. Zrozumiała, że to ekipa z oddziału ortopedycznego, gdzie pracowała zamordowana. Tuż obok, w części oddzielonej od pozostałych żałobników zieloną wstęgą siedzieli rodzice, bliscy i przyjaciele ofiary. Pełne łez oczy mieli zwrócone na scenę, na której gospodarz ceremonii zastukał w mikrofon.

– Dzień dobry, panie i panowie – rozpoczął poważnym tonem. Nosił okulary bez oprawy i ogoloną głowę, pasował do niego ten męski styl. – Nazywam się Adam Verbena, jestem dyrektorem szpitala Chesterbrook. Witam wszystkich zebranych na tym zgromadzeniu, podczas którego będziemy wspominać naszą najdroższą koleżankę, Gail Robinbrecht. Ostatnie dziewięć lat swego życia Gail przepracowała z nami jako pielęgniarka na oddziale ortopedii. Kochali ją wszyscy współpracownicy i pacjenci. Dziś uczymy jej życie oraz wspinały, pełen poświęcenia dla innych charakter.

Christine zerknęła na grupę pielęgniarek z chirurgii ortopedycznej, wszystkie kiwały głowami, przez tłum przebiegł szmer aprobaty. Wszyscy patrzyli na scenę, poza kilkorgiem znudzonych dzieci, zapewne przyprawdzonych przez osoby niezwiązane ze szpitalem. Starsi ludzie zajmowali rozkładane krzesła po drugiej stronie widowni, Christine dostrzegła między nimi kobietę w zaawansowanej ciąży, zastanawiała się, jak ona się czuje. Nieopodal siedzących zauważyła grupę sąsiadów Gail, skupionych w jednym miejscu: Kimberly i Lainey w towarzystwie Doma, ciemnowłosą amazonkę Rachel i jej

chłopaka, hinduską gospodynię domową Jerri – tę samą, która widziała Zachary’ego w kuchni Gail – razem z mężem oraz przystojnego studenta Phila, wynajmującego mieszkanie dwa domy od Gail, z dziewczyną i współlokatorami.

– Dziś głos zabiorą trzy osoby – przemawiał ze sceny doktor Verbena. – Najpierw ksiądz Lipinski zjednoczy nas minutą ciszy, a potem przemówią: doktor Milton Cohen, dyrektor oddziału ambulatoryjnej opieki zdrowotnej, doktor Grant Hallstead, ordynator oddziału chirurgii ortopedycznej, oraz pani Miguela Alvarez, przełożona pielęgniarek, która podzieli się wspomnieniami z czasów, kiedy zatrudniła młodziczkę Gail Robinbrecht. – Verbena odstąpił na bok. – Zechce ksiądz ogłosić minutę ciszy przed rozpoczęciem swojego przemówienia?

Christine upiła łyk wody i jej żołądek rozpaczliwie zaburczał. Miała nadzieję, że uroczystość nie będzie długa, żałowała teraz, że nie skorzystała z toalety po drodze. Rozejrzała się w poszukiwaniu kolejnej, lecz od najbliższej odgradzał ją tłum, a poza tym ciągnęła się do niej długa kolejka.

Miejsce na podium zajął ksiądz w czarnej sutannie.

– Panie i panowie... – poprawił mikrofon – ...przyjaciele szpitala, sąsiedzi, uczcijmy wspólnie pamięć Gail Robinbrecht minutą ciszy.

Christine poczuła lekkie zawroty głowy, gdy pochyliła się w ślad za pozostałymi. Jej opuchnięte stopy ledwie się mieściły w espadrylach, zapewne od całej tej porannej bieganiny, choć nigdy wcześniej nie miała podobnych objawów, a w książkach wyczytała, że stopy zaczynają puchnąć dopiero w okolicach ósmego miesiąca.

Minuta ciszy dobiegła końca.

– Dziękuję, panie i panowie – kontynuował ksiądz Lipinski. – W takich chwilach jak ta, gdy straciliśmy jedną z naszych najjaśniejszych gwiazd, niełatwo zachować wiarę w Boże miłosierdzie. W takiej chwili możemy kwestionować Jego wyroki...

Christine wyłączyła się. Analizowała dowody przeciwko Zachary’emu, myślała o taśmach sugerujących znajomość z Allen-Bogen i McLeane, wbrew temu, co twierdził. Nie mogła zlekceważyć wszystkich tych obciążających dowodów, choć całą sobą buntowała się przeciwko uznaniu jego winy. Przystąpiła z jednej bolącej stopy na drugą.

Ksiądz Lipinski podał mikrofon doktorowi Miltonowi Cohenowi, wysokiemu, przystojnemu brunetowi o lekko posiwiałych skroniach. Christine

z wysiłkiem skupiła uwagę na jego słowach, które były tylko smutnym echem pozostałych: „wspaniała pielęgniarka”, „zawsze uśmiechnięta”, „wesola i energiczna”, „potrafiła sprawić, że każdy pacjent czuł się wyjątkowy”.

Christine rozejrzała się w poszukiwaniu jakiejś łazienki i zauważyła, że niedaleko, tuż za parkingiem, znajduje się centrum rehabilitacji. Widziała wewnątrz westybulu za przeszklonymi szybami, w środku był personel i ludzie ubrani w codzienne stroje. Z pewnością jest tam łazienka, ale przemknięcie do niej w sposób niezauważalny, aby nikogo nie urazić, mogło okazać się za trudne. Postanowiła wytrzymać i skupiła uwagę na kolejnym mówcy.

Doktor Grant Hallstead był młodszy, niż się spodziewała po kimś sprawującym równie odpowiedzialną funkcję. Miał jasnorude, cieniowane włosy i jasnoniebieskie oczy, powiększone teraz na ekranach. Mówił z wyszukanim akcentem, miękko wymawiając samogłoski: „wspaniała pielęgniarka”, „rozpromieniowała nasz oddział”, „zawsze miłe słowo”, „brała dodatkowe dyżury z własnej inicjatywy”, „miała przed sobą świetlaną przyszłość”.

Nie mogła dłużej słuchać z pełnym pęcherzem, koniecznie musiała skorzystać z toalety, a najbliższej miała do centrum rehabilitacji. Odłączyła się od tłumy i przemknęła pod sceną, gdzie dostrzegła więcej kobiet i mężczyzn w garniturach konferujących szeptem za zieloną kurtyną.

Weszła na betonowy chodnik, przebiegła przez parking, uskoczyła w ostatniej chwili przed wyjeżdżającym cadillakiem i wpadła do budynku.

– Toaleta? – zapytała pracownika ochrony.

– Po prawej stronie. – Wskazał jej kierunek.

Christine ruszyła korytarzem, kierując się znakami. Męska toaleta była wcześniej, damska – jak łatwo zgadnąć – na samym końcu długiego korytarza. Podbiegła do drzwi i gdy energicznie je otworzyła, wpadła na trzy kobiety w garsonkach, przeglądające program uroczystości.

– Och, przepraszam – powiedziała.

– To my przepraszamy – odpowiedziała jedna i cofnęła się. – Nie powinnyśmy stać tak blisko drzwi.

– Nie, moja wina. – Christine weszła do ostatniej kabiny, aby mieć jak najwięcej prywatności, gdyby kobiety zamierzały kontynuować naradę w toalecie. Zamknęła drzwi, zarzuciła torebkę na hak i ledwie zdążyła zsunąć bieliznę.

Tymczasem panie rozmawiały między sobą.

– Powiedz Migueli, że rodzice Gail są na widowni. Siedzą w pierwszym rzędzie po prawej stronie, na samym brzegu.

– Dobrze. Pamiętasz ich imiona?

– John i Hilda Robinbrecht.

– Hilda? Naprawdę?

– Tak, chodźmy już. – Christine usłyszała stukot obcasów i odgłos otwieranych drzwi, a potem zapadła cisza.

Pozwoliła sobie na chwilę odprężenia, nie spieszyło jej się, by wstawać. Popatrzyła na spuchnięte stopy, wyprostowała się i uniosła nogi. Sekundę później główne drzwi toalety ponownie stanęły otworem, rozległ się głośniejszy stukot butów na posadzce oraz kobiecy płacz.

– Bydlę! Ma tupet, bezczelny...

– Spokojnie, kochanie, już dobrze – powiedziała kojąco druga kobieta.

– Nie jest dobrze... Chętnie bym podeszła i mu przywaliała... Przed tymi wszystkimi ludźmi... Taki dumny z siebie... Powinam powiedzieć wszystkim, jaki z niego oszust. On ma żonę, do cholery.

Christine trzymała nogi w górze, żeby nie ujawnić swojej obecności. Było to niełatwe zadanie, ale wyjście w takim momencie wydawało jej się niezręczne. Sądząc z rozmowy, ktoś z personelu romansował z żonatym mężczyzną. Nie chciała zawstydić tej osoby ani siebie.

– Kochanie, weź się w garść. Musisz tam wrócić, ludzie zauważą twoją nieobecność.

– Wszyscy wiedzą, że moja najlepsza przyjaciółka nie żyje... Mój płacz nikogo nie dziwi... On nie zasługuje, żeby o niej mówić... Nie zasługiwał na nią... Ona go kochała, wiem, chociaż jej powtarzałam, że ten łajdak ją wykorzystuje, że nigdy nie odejdzie od żony...

Nie wierzyła własnym uszom. Kobiety najwyraźniej rozmawiały o Gail, to ona musiała mieć romans, i to z jedną z osób przemawiających podczas czuwania. Przypomniała sobie rozmowę z pielęgniarkami przed domem Gail. Wymieniły wtedy takie śmieszne przezwisko najlepszej przyjaciółki zmarłej. Dink.

Kobieta rozszlochała się na nowo.

– To takie niesprawiedliwe, że zginęła, zanim zdążyła z tym na dobre skończyć... Zanim zaczęła się umawiać z innymi... Wiedziała, że mam rację...

– Chodź, umyj twarz. Musimy wracać. Opanuj się, zrób to dla Gail. Ona by tego chciała, Dink.

Dink. A więc zgadła, niecierpliwie czekała na dalszy ciąg rozmowy. Jeżeli Gail miała romans z żonatym mężczyzną i chciała go zakończyć, to Christine być może znalazła kolejnego podejrzanego. Ten żonaty mężczyzna był odpowiednim kandydatem. Trzymała stopy w górze w obawie przed zdemaskowaniem.

Szloch Dink ucichł.

– On by jej nigdy nie puścił... ani nie zalegalizował ich związku... Chciał seksu bez zobowiązań. Narcyz i megaloman... Powinnam nagłośnić jego kłamstwa...

– Nie, zostaw. Tobie to nie pomoże, a jej rodzicom przysporzy dodatkowego cierpienia. Masz, wytrzymaj nos. Idziemy.

Christine biła się z myślami, zamknęła w kabinie. Zatem jeden z mężczyzn zabierających głos podczas uroczystości jest potencjalnym mordercą. Który? Wszyscy byli w podobnym wieku, jednakowo atrakcyjni, wszyscy pracowali w szpitalu. Nie mogła sobie przypomnieć żadnego nazwiska. Nie odważyłaby się teraz wyjąć programu z torebki. Z coraz większym trudem utrzymywała stopy nad podłogą, gdy usłyszała szum wody, a potem suszarki do rąk.

– Kochanie, naprawdę, pospiesz się, powinniśmy wracać. Wszyscy tam są.

– Co za cham! – załkała po raz ostatni Dink. – Nie był wart jej łez. Ani moich. Masz rację, Amy! Niech go piekło pochłonie!

– Tak trzymaj! Zignoruj drania. Pokaż klasę.

Romans z żonatym tłumaczył brak stałego związku w życiu Gail. Być może opłakiwała śmierć narzeczonego, ale jednocześnie zakochała się w zajęтым mężczyźnie, który ją zwodził. Christine usłyszała odgłos otwieranych drzwi i kroki kobiet opuszczających łazienkę.

Zeskoczyła na podłogę i wyjęła z torebki program uroczystości. Po prawej stronie wymieniono nazwiska mówców: Adam Verbena, Grant Hallstead i Milton Cohen. Jeden z nich mógł być zabójcą Gail.

Seryjnym mordercą.

Christine wyjęła telefon i wypadła z łazienki.

ROZDZIAŁ 47

Wybrała w biegu numer Griffa. Pędziła przed siebie, by dogonić Dink i Amy. Nie mogły odejść daleko.

– Co znowu? – warknął adwokat. – Wyświetliło mi się twoje nazwisko, ale mimo wszystko odebrałem.

– Griff, dowiedziałam się czegoś ważnego. Gail miała romans z jednym ze swoich żonatych przełożonych. Chciała go zakończyć, być może nawet to zrobiła, ponieważ składał jej obietnice bez pokrycia, że odejdzie od żony...

– Co jest z tymi romansami? Jakaś epidemia?

– Griff, to jest istotne...

– ...dziewczyna X, chłopak Y...

– Mógł ją zabić w afekcie, z wściekłości, że chce go zostawić. Co zrobimy z tą informacją? Zadzwońmy na policję i powiemy o naszych podejrzeniach?

– Christine weszła z korytarza na szpitalny westybul pełen personelu i pacjentów. Domyśliła się, że czuwanie dobiegło końca.

– Kto ma być tym podejrzanym?

– Żonaty kochanek. – Christine zniżyła głos do szeptu. Szukała wzrokiem Dink i Amy, ale uświadomiła sobie, że nie wie, jak wyglądają. Nie widziała nawet ich butów. Wypatrywała zapłakanej twarzy, lecz żadnej nie dostrzegła po drodze do wyjścia.

– Jak się nazywa?

– Nie wiem. Jest jedną z osób, które zabrały głos podczas uroczystości. Policja dojdzie, który to z nich, jeśli podamy wszystkie trzy nazwiska, prawda?

– Kto ci powiedział o kochanku?

– Podśluchałam w damskiej toalecie.

– Plotki – prychnął pogardliwie staruszek.

– Zaufaj mi, to pewna informacja. – Christine uświadomiła sobie, że tylko kobieta wie, że damska toaleta jest kopalnią informacji.

- Jak się nazywa najlepsza przyjaciółka?
 - Dink. – Wyszła z budynku i szła przez parking, uważając na wyjeżdżające samochody.
 - To imię?
 - Przewisko.
- Griff westchnął z rezygnacją.
- A prawdziwe imię i nazwisko? – Weszła na skwer, ludzie rozchodzili się powoli, każdy w swoją stronę. Część w kierunku parkingów, niektórzy z powrotem do szpitala, inni rozmawiali w małych, smutnych grupkach i ocierali łzy z oczu, szukali pocieszenia w sobie nawzajem. Jedną z takich grup stworzyli sąsiedzi Gail. Lainey, Dom, Jerri i Rachel pocieszały szlochającą Kimberly. Przystojny student Phil rozpoznał Christine i pomachał przyjaźnie. Z roztargnieniem odwzajemniła gest. Przyjrzała się grupie pielęgniarek, żadna z nich nie wyglądała na równie zrozpaczoną, jak zapewne byłaby Dink.
 - Jak się nazywa? – powtórzył Griff.
 - Mogę się dowiedzieć. Pracowała z Gail.
 - Skąd wiesz, że to prawda?
 - Ponieważ uważam, że to bardzo prawdopodobne. Właśnie z tą osobą spotykała się Gail, zanim zdecydowała o rozstaniu. Starła się ułożyć sobie życie, poznać kogoś nowego. Stąd przygoda z Zacharym. – Christine poszła pod scenę, gdzie zebrała się dyrekcja, i uważnie przypatrzyła każdemu z osobna. Nie zauważyła Dink i Amy, ale widziała wszystkich trzech mówców. Doktor Verbena – ten z ogoloną głową, w okularach – rozmawiał z przedstawicielem lokalnych władz. Doktor Hallstead – wysoki rudzielec z arystokratycznym akcentem – gawędził z księdzem. Doktor Cohen – wysoki, o skroniach przyprószonych siwizną – konwersował z grupą kobiet w pastelowych garsonkach.
 - Tylko tyle masz?
 - Przecież to bardzo dużo! Nie możemy nasłać na nich policji? On mógł zabić również Lindę Kent, ze strachu przed zdemaskowaniem. Prawdopodobnie żonaty kochanek Gail odwiedzał ją wielokrotnie. – Przeszła obok sceny w stronę krzeseł, które składała wynajęta ekipa. Wypatrywała grupy pielęgniarek z oddziału ortopedycznego, ale grupek było dużo i stały zbyt blisko siebie, żeby mogła rozróżnić poszczególne osoby.
 - Nie. Za mało dla prokuratury.

– Dlaczego? Czemu nie chcesz nawet spróbować? – Przypomniała sobie, czego dowiedziała się od detektywa Wallace’a. – Słyszałam, że jesteś hojnym darczyńcą. Że zrobisz dla ciebie wszystko.

– Kto ci tak powiedział?

– Czy to ważne? Zadzwoń do nich. – Christine lawirowała w tłumie, poszukując pielęgniarek z ortopedii.

– Nie sprawdzają tropów w ramach przysługi. Ale gdybyś zdobyła nazwisko tej przyjaciółki i skłoniła ją do zeznań... – W głosie Griffa pojawiło się nagłe ożywienie. – Mógłbym z tym pójść do prokuratora. Zrobiłbym to bez wahania.

– Zaraz zdobędę. – Szła przed siebie, gdy nagle spostrzegła młodą Azjatkę z ortopedii i jej starszą koleżankę, które stały w grupie otaczającej płaczącą kobietę.

– Zadzwoń do mnie, kiedy...

– Cześć. – Rozłączyła się i podeszła do starszej ze znajomych pielęgniarek.

– Dzień dobry – powiedziała z uśmiechem. – Pamięta mnie pani? Spotkałyśmy się przed domem Gail.

– Tak, tak, pamiętam. – Uśmiechnęła się przez łzy. – Przedwczoraj.

– Proszę przyjąć moje kondolencje. – Zerknęła ponad ramieniem pielęgniarki na niską kobietę z krótkimi lokami, rzucała się w oczy z powodu bardzo jasnych włosów. Pocieszała rodziców Gail, na ich pomarszczonych twarzach malowała się rozdzierająca serce rozpacz. Christine przypuszczała, że to jest właśnie Dink, z którą musi porozmawiać. Zaczęło mżyć i przestraszyła się, że straci swoją szansę.

– Dziękuję – odpowiedziała starsza pielęgniarka. – Wspaniała uroczystość, prawda? Taka, na jaką zasłużyła Gail.

– Tak, wspaniała. – Christine napotkała załzawiony wzrok młodej Azjatki i podała jej rękę. – Wyrazy współczucia.

– Dziękuję. – Dziewczyna skinęła głową, po czym zerknęła do góry, na zachmurzone niebo. – Znosi się na deszcz. W samą porę zakończyliśmy czuwanie. Mnóstwo ludzi przyszło uczcić pamięć Gail, to bardzo wzruszające.

– Tak. – Christine wskazała na blondynkę z kręconymi włosami. – Czy ta biedna, zrozpaczona kobieta to jej najlepsza przyjaciółka, Dink? Wspominały panie o niej.

– To ona, z rodzicami Gail. – Starsza z pielęgniarek popatrzyła na Dink i rodziców Gail, po czym potrząsnęła głową ze smutkiem. W tej samej chwili podeszło dwóch reprezentantów biura burmistrza, którzy chcieli porozmawiać

z rodzicami Gail. Gdy jeden z nich dotknął ramienia pana Robinbrechta, Christine dostrzegła okazję dla siebie.

– Bardzo współczuję Dink. Wiem, jak ważne są przyjaciółki. Chciałabym złożyć jej kondolencje.

– O, dobrze. – Kobieta zamruwała ze zdziwieniem, ale Christine nie czekała na pozwolenie. Zanurkowała w sam środek grupy i w momencie, gdy urzędnikom udało się zwrócić na siebie uwagę rodziców Gail, dotknęła ramienia Dink.

– Dink, nazywam się Christine Nilsson. Bardzo mi przykro, że straciłaś przyjaciółkę. Na pewno była cudowną osobą.

– Była cudowna, dziękuję. – Dink otarła brązowe, opuchnięte i przekrwione oczy przemoczoną chusteczką higieniczną, zabrakło jej łez. Miała ładną, sympatyczną buzię pełną piegów i wyglądała elegancko w czarnej, lnianej sukience w miejsce pielęgniarskiego fartucha.

– Chciałabym zamienić z tobą kilka słów na temat Gail. Na osobności. Czy to możliwe? – Ujęła ją delikatnie pod rękę.

– Pewnie, ale o co chodzi? Dlaczego? – Dink się zachmurzyła, ale była już wyczerpana emocjonalnie i bez oporów pozwoliła Christine odciągnąć się na bok, chociaż kilka jej koleżanek odprowadziło je podejrzliwymi spojrzeniami.

– Dink, to dziwnie zabrzmiało, ale byłam akurat w toalecie, gdy podsłuchiwałam przypadkiem, jak mówiłaś, że Gail miała żonatego kochanka...

– O mój Boże! – Dziewczyna zakryła usta dłonią. – Nie sprawdziłam pod drzwiami. Byłam strasznie zdenerwowana.

– Wiem, nie przejmuj się. Chodzi o to, że... – Nie chciała zaczynać rozmowy od informacji, że pracuje dla obrońcy Zachary'ego. – Zastanawiam się, czy nasunęło ci się podejrzenie, że Gail mogła zostać zamordowana przez swojego kochanka?

Dink wzdrygnęła się i pokręciła głową.

– Nie. Złapali sprawcę, nazywa się Jeffcoat. Gail nie była jego jedyną ofiarą. To seryjny morderca, zabił trzy pielęgniarki.

– A jeśli schwytali niewłaściwego człowieka? Jeżeli to chłopak Gail jest mordercą? Gail chciała z nim zerwać, prawda? Może on tego nie chciał, może się na nią zdenerwował. – Christine mówiła bardzo szybko. – Przyszło mi to do głowy, ponieważ dowiedziałam się, że Linda Kent, która mieszkała dokładnie naprzeciwko Gail, na Daley Street, miała w niedzielę wypadek i też nie żyje.

– Och, nie! Poznałam Lindę. Często przesiadywała na zewnątrz. Nic nie wiedziałam o jej śmierci. – Dink zmarszczyła brwi, była zdezorientowana, ale gotowa wysłuchać Christine.

– Ja też ją poznałam. Przesiadywała na zewnątrz, szpiegując sąsiadów. Powiedziała mi, że widywała wielu mężczyzn odwiedzających Gail. Sądzę, że jednego z nich zobaczyła w dniu morderstwa.

– Nie Jeffcoata? – Dink rozchyliła usta ze zdziwienia.

– Nie. – Zadzwoił jej telefon, wyjęła go szybko z torebki i zerknęła na ekran. Wyświetliło się imię Marcusa, więc nie odebrała.

– A kogo?

– Nie powiedziała mi. Próbowwała się skontaktować z policją, ale nikt do niej nie oddzwonił, a potem zginęła.

– Boże – szepnęła dziewczyna.

– Spadła ze schodów, jej śmierć uznano za przypadkową, ale ja odkryłam pewne szczegóły, które mogą wskazywać na zabójstwo.

– Co to za szczegóły?

– Długo by opowiadać, ale naprawdę uważam, że została zamordowana, ponieważ widziała prawdziwego sprawcę. Mordercą może być chłopak Gail.

– Ale wtedy musiałby być seryjnym mordercą. – Dink pokręciła głową z powątpiewaniem. – To dupek, ale raczej nie seryjny morderca.

– Skąd wiesz? Nie da się tego określić po wyglądzie. Często dobrze im się w życiu wiedzie, osiągają sukcesy. Są samolubni. Narcystyczni. Czy nie tak go opisałaś w toalecie? Pasuje do ogólnej charakterystyki?

– Cóż, może rzeczywiście. – Dink pokiwała głową, była bardzo spięta.

– Albo weźmy pod uwagę inny scenariusz. – Christine myślała na głos. – Nie jest seryjnym mordercą, ale zabił Gail, naśladując sposób „Mordercy pielęgniarek”, żeby naprowadzić policję na fałszywy trop.

– Jak naśladowca z *Kryminalnych zagadek* albo czegoś w tym stylu?

– Tak, wiedział o „Mordercy pielęgniarek”, prawda? Sprawę nagłośniły media.

– Wiedział, wszyscy wiedzieli. – Dink wytrzeszczyła oczy w nagłym przerażeniu. – O mój Boże, trzy tygodnie temu wszystkie dostałyśmy od niego mejla z ostrzeżeniem przed „Mordercą pielęgniarek”.

– Trzy tygodnie temu? – Christine błyskawicznie skojarzyła fakty. – Mógł przygotowywać sobie grunt, żeby ją zabić. Może to planował od jakiegoś czasu? Wiedział, że Gail myśli o rozstaniu?

– Tak, bez wątpienia. – Dink popatrzyła w oczy Christine, na jej twarzy malowała się prawdziwa groza. – Powtarzała mu nie raz, że chce się rozstać. Nie przyjmował tego do wiadomości. Zawsze dostaje wszystko, czego chce, przyzwyczaił się. Mógłby ją zabić i nikt by nie uwierzył. Tacy jak on są poza podejrzeniami.

– A kim on jest? Którym z mówców?

– Grant Hallstead – warknęła z nienawiścią młoda pielęgniarka.

– To ten wymuskany, z niebieskimi oczami?

– Tak, to bydlę. – Zaczerwienione oczy dziewczyny skrzyły się nienawiścią.

– Ordynator naszego oddziału.

– Chirurg ortopeda miałby dostęp do piły amputacyjnej Langenbecka, prawda? Wiesz, co to jest?

– Oczywiście. – Dink wykrzywiła usta w gniewnym grymasie. – Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że ją zabił.

– W takim razie musimy poinformować policję. Chodźmy razem na komisariat. Przeprowadzą śledztwo i...

– Nie. – Dink pokręciła beznamiętnie głową. – Nie zrobimy tego.

– Dlaczego? – zapytała Christine. Odpowiedź nadeszła w następnej minucie. Dink odwróciła się na pięcie i skierowała się w stronę sceny.

– Poczekaj! – Christine ruszyła za nią. – Dink!

ROZDZIAŁ 48

Christine goniła Dink, domyśliwszy się, co za chwilę nastąpi. Dziewczyna miała zamiar skonfrontować się z człowiekiem, który być może zamordował jej przyjaciółkę. Musiała ją powstrzymać. Tylko zeznania na policji mogły pomóc Zachary'emu, z pewnością nie pomoże mu ostrzeżenie Hallsteda, że jest podejrzany o zabicie Gail.

– Dink, nie! – zawołała.

Dziewczyna przeciskała się przez tłum i nie zwracała na nią uwagi, jej jasne loki podrygiwały w rytm zamaszystych kroków. Przeszła obok swoich koleżanek, które patrzyły na nią ze zdziwieniem.

Wysoka, ciemnoskóra pielęgniarka położyła dłoń na ramieniu Dink.

– Co się stało, kochanie?

– Puść mnie, Amy. Wiem, co robię.

– Dink, zaczekaj! Stój! – Christine dogoniła Dink i ujęła ją za drugie ramię. – Nie ostrzegaj go. Dasz mu czas na zatrudnienie prawnika albo ucieczkę. Załatwmy to we właściwy sposób. Chodźmy na policję.

– Mam to gdzieś! – Dink nawet na nią nie spojrzała. – Stawię mu czoła! Powiem wszystkim, co zrobił Gail! Zapłacą za to!

Amy usiłowała dotrzymać kroku rozwścieczonej przyjaciółce, jej oczy za okularami w drucianej oprawie były szeroko otwarte ze strachu i zdumienia.

– Dink, nie rób tego! Stracisz pracę! On może nawet podać cię do sądu!

– To morderca, Amy! Zabił Gail! Zabił ją, bo chciała od niego odejść!

– Co takiego? – zapytała wstrząśnięta pielęgniarka, biegnąc za Dink. – O czym ty mówisz?

– Dink, nie! – Christine chwyciła ją za łokieć.

– Nie próbujcie mnie powstrzymać! – Wyrwała się. – Zostawcie mnie!

– Proszę, nie! – krzyknęła Christine, biegła obok Dink. Zaczynały już wzbudzać zainteresowanie, trzy kobiety biegnące z krzykiem wśród zdumionych ludzi, którzy odwracali głowy, by zobaczyć, co się dzieje. Ci,

którzy znali Dink, patrzyli z troską, ci, którzy stali dalej, spoglądali z ukosa na osoby zakłócające tak smutną uroczystość.

Dink nagle zerwała się do biegu, ignorując wołania Christine i Amy. Amy wyprzedziła Christine, która poruszała się wolniej na swoich opuchniętych nogach.

– Dink, nie! – wołała na próżno, podczas gdy Dink znikła za kurtyną po prawej stronie sceny, gdzie zebrała się dyrekcja szpitala. Tłum rozstępował się przed biegnącymi. Skręciła za kurtynę i zobaczyła, że grupa elegancko ubranych mężczyzn i kobiet idzie już w kierunku szpitala, a za nimi biegnie rozjuszona pielęgniarka.

– Grant, Grant! – krzyczała, zbyt jeszcze daleko, by grupa złożona z Hallsteda, Cohena, Verbeny, Miguela Alvarez oraz kilku innych mężczyzn i kobiet w pastelowych garsonkach mogła ją usłyszeć.

– Dink, zatrzymaj się! – zawołała, zrównując się z Amy. Biegły teraz obok siebie, krzycząc na Dink, która je ignorowała.

– Doktorze Hallstead! Grant! – Grant Hallstead odwrócił się na pięcie i otworzył usta ze zdziwienia. Pozostali również się odwrócili, nie mniej zdumieni.

– Zabiłeś ją! – wrzeszczała Dink. – Zabiłeś Gail, bo chciała od ciebie odejść! Nie ujdzie ci to na sucho! Po moim trupie!

– O czym ty mówisz? – Grant otworzył szeroko oczy.

– Nie wciskaj mi kitu! Mieliście romans! Zamordowałeś ją, kiedy powiedziała, że to koniec!

– Co za bzdura! – Na twarzy Hallsteda malowało się niedowierzanie, kobiety wydały zduszone okrzyki przerażenia, doktor Cohen zmarszczył brwi.

Tymczasem doktor Verbena zwrócił się ku Hallsteadowi.

– Grant? – powiedział ostro. – O czym ona mówi?

– To nieprawda! Nieprawda! – powtarzał, cofając się do tyłu.

Christine i Amy zamarły w bezruchu, obserwując rozgrywającą się przed ich oczami scenę, na którą nie miały już wpływu.

Doktor Verbena wskazał na Dink.

– Nie wszyscy wiedzą, że Dolores Verbena, czyli Dink, jest moją bratanicą. Znam tę dziewczynę od urodzenia. Ona nie kłamie i była najlepszą przyjaciółką Gail.

Christine ugryzła się w język, zdumiona i zachwycona. Komisariat policji byłby odpowiedniejszym miejscem na tę konfrontację, lecz pokrewieństwo

z dyrektorem szpitala dodawało oskarżeniom Dink natychmiastowej wiarygodności. Christine nie miała o nim pojęcia.

Hallstead potrząsał głową.

– Nie jestem zdolny do morderstwa. Nigdy nie zabiłbym Gail. Tamtej nocy byłem z Miltonem. Prawda? – zwrócił się do doktora Cohena. – Pamiętasz? Byliśmy na konferencji w Nowym Jorku. Wzięliśmy nawet wspólny pokój, żeby było taniej.

– A tak, rzeczywiście – przyznał zbity z tropu. – Adamie, twoja bratanica musiała się pomylić. Grant był ze mną na konferencji. Wróciliśmy pociągiem następnego dnia po śmierci Gail. Wtedy też dowiedzieliśmy się, że została zamordowana. Grant nikogo nie zabił. To jakaś straszna pomyłka.

Dink przygasała, Amy objęła ją ramieniem. Christine przeżyła wstrząs, trop okazał się fałszywy, nie rozumiała, jak mogła popełnić taki błąd. Hallstead nie zabił Gail, mimo że miał z nią romans. Jego alibi było niepodważalne.

– Wujku, on miał romans z Gail – szlochała Dink. – Wiem to na pewno! Miał z nią romans! To drań! Drań! – Dziewczyna wybuchnęła płaczem, a obejmująca ją Amy popatrzyła z ukosa na Christine.

– Kim pani w ogóle jest? Skąd pani zna Granta i co ma z tym wszystkim wspólnego?

– Nic. Przepraszam – powiedziała, wycofując się. Nie chciała podawać swojego nazwiska ani żadnych innych danych.

– Co pani jej powiedziała?! – zawołała za nią Amy. – Skąd pani zna Granta? Kim pani jest?

– Przepraszam. Muszę już iść. – Christine oddalała się od zbulwersowanego tłumu, zawstydzona i rozżalona. Usiadła za kierownicą i uruchomiła silnik, żeby uciec jak najdalej od tej okropnej sceny.

ROZDZIAŁ 49

Łzy stanęły jej w oczach, gdy dołączyła do rzeki samochodów opuszczających teren szpitala. Ruch odbywał się sprawnie – na szczęście, bo Christine jak najszybciej chciała opuścić to miejsce. Przepełniały ją emocje. Przede wszystkim poczucie winy za ból, który sprawiła Dink. Dziewczyna może stracić przez nią pracę. Pomyślała o wszystkich przyjaciółach opłakujących Gail, o jej zrozpaczonych rodzicach. Okazała im wszystkim brak szacunku.

Deszcz uderzał z impetem w przednią szybę, Christine włączyła wycieraczki i skręciła w Marshall Street, przeklinając się w duchu za wszystko, co zrobiła, od samego początku. Za to, że pojechała do Graterford, pomagała Griffowi, wypytywała sąsiadów, odwiedzała miejsca zbrodni i zgrywała detektywa. Za to, że ubzdurała sobie, iż wie, co robi. Wszystko obróciło się przeciwko niej i nie tylko ona za to zapłaci, lecz również Dink i Griff. Narobiła straszego bałaganu swoją wiarą w niewinność Zachary’ego. Cóż za naiwność!

Wjechała na High Street, ocierając załzawione oczy. Nie mogła powstrzymać łez. Musiała się pogodzić z faktem, że to Zachary zamordował Gail i pozostałe kobiety. Nie potrafiła się dłużej oszukiwać. Kłamał, wypierając się dłuższej znajomości z Gail, znajomości z pozostałymi ofiarami, nawet gdy powiedział, kto zapłacił Griffowi. Wierzyła mu, bo bardzo tego chciała. Była głupia. Nigdy nie czuła się gorzej niż w tej chwili, zalała ją fala mdłości i ogromne zmęczenie. Miała urodzić dziecko mordercy, nie ma sensu dłużej temu zaprzeczać.

Wyjęła z torebki dzwoniący telefon i zerknęła na wyświetlacz. Griff usiłował się z nią skontaktować. Nie wiedziała, czy powinna odbierać w takim stanie, miał jednak prawo wiedzieć o jej porażce.

– Griff?

– Christine? Co się stało?

– Długo by opowiadać. – Nie wiedziała, od czego zacząć. – Streszczę ci

w jednym zdaniu.

- Co się stało? Masz dziwny głos.
- Próbuję ci powiedzieć, że bardzo się pomyliłam. We wszystkim.
- Christine? Co jest grane?
- Gail miała żonatego kochanka, ale on jej nie zabił.
- Rany boskie, nie bez z tego powodu. Chyba nie prowadzisz, co? Nie powinnaś trąkotać przez telefon, jeśli jedziesz samochodem. Wszystkie te urządzenia prowadzą do zguby.
- To była okropna scena. Okropna.
- Jaka okropna scena? Gadasz bez sensu. Dobrze się czujesz?
- Dobrze – powiedziała, mrugając, aby powstrzymać łzy, ponieważ nigdy jeszcze nie było gorzej. Jechała w ulewnym deszczu, dopiero kiedy minęła swój hotel, zdała sobie sprawę, że pomyliła kierunek. Nie włączyła nawigacji z adresem Griffa, ponieważ była zbyt zdenerwowana, żeby o tym pomyśleć.
- Wracaj do biura. Pogadamy.
- Wracam. Przegapiłam zakręt. Myślę, że on to zrobił, Griff. Myślę, że jest winny. Tak ciężko pracujemy i wszystko na nic. Na nic.
- O matko. Co się z tobą dzieje? Co cię opętało?
- Do diabła z tym wszystkim, Griff – poskarżyła się ze ściśniętym sercem. Myślała o Marcusie, o tym, jak bardzo go kocha i że nie wiadomo, czy ich małżeństwo przetrwa narodziny tego dziecka, dziecka Zachary’ego.
- Christine? – powtarzał z troską Griff. Ten łagodny ton skojarzył jej się z ojcem, uświadomiła sobie, że już nigdy nie usłyszy go z jego ust, bo ojca już nie ma. Straciła wszystko, nic nie pozostało. – Christine? Powiedz coś.
- Powinnam kończyć. – Christine zamruwała, aby przepędzić mgłę zasnuwającą oczy. Musiała skrócić w prawo za hotelem, aby wrócić do centrum, ale utknęła na dwupasmowej ulicy okrążającej park. Rozglądała się za zjazdem w prawo, wszystkie ulice były jednokierunkowe i prowadziły w złą stronę.
- Nie rozłączaj się. Będę się martwił.
- Nie martw się.
- To już przestaje być śmieszne. Wracaj natychmiast.
- Dobrze – obiecała i wjechała na drogę, która wyglądała, jakby prowadziła za miasto.
- Mam ważniejsze rzeczy do zrobienia niż zamartwianie się o ciebie. Dlatego właśnie pracuję sam.

– Przepraszam, Griff. Wszystko schrzaniłam.
– Przystań się nad sobą uzalać. Gdzie jesteś?
– Nie wiem. Zabłądziłam – przyznała.
– Poszukaj drogowskazu.
– Nie ma żadnego. – Po obu stronach drogi były pastwiska i konie z grzbietami mokrymi od deszczu.
– Musi być. Poszukaj.
– Nie widzę. – Tuż za łagodnym zakrętem dostrzegła wreszcie przez strugi deszczu białą tabliczkę. – Jestem na trasie osiemset czterdzieści dwa.
– Głuptasie, wyjeżdżasz z miasta. Zawróć.
– Dobrze. – Otarła oczy wierzchem dłoni, czekając na dogodny moment. Tymczasem jechała naprzód wśród pięknych krajobrazów, których nie mogła docenić z powodu łez.
– Zawróciłaś?
– Zawrócę, kiedy będę mogła.
– Przystań się mazać. Jedziesz w złą stronę. Dalej są już tylko pola kukurydzy. Cofnij.
– Dobrze – powtórzyła przez zatkany nos, nie przestając płakać.
– Zostanę na linii. Nie chcę, żebyś się zabiła.
– Nie zabiję się.
– Ale zostanę.
Christine poczuła przypływ wzruszenia.
– Nie, nie trzeba. Miałaś rację, to nie jest bezpieczne. Rozłączmy się. Dzięki.
– Do zobaczenia – powiedział Griff i odłożył słuchawkę.
Christine rozłączyła się z ciężkim westchnieniem i wytarła twarz ręką, usiłując nad sobą zapanować. Przeszukała schowek w poszukiwaniu chusteczek, ale została tylko jedna. Otarła łzy i wydmuchała nos, minęła konie i łany kukurydzy wzdłuż trasy osiemset czterdzieści dwa, przejechała przez maleńką osadę Unionville. Deszcz bębnił o szybę, przybierając na sile, a wiejskie krajobrazy były coraz ładniejsze, upstrzone gdzieś domami i białymi silosami. Otaczały ją zielone ściany kukurydzy poruszane wiatrem.
Łzy nareszcie przestały płynąć, po raz ostatni wydmuchała nos w przemoczoną chusteczkę i szukała okazji, aby zawrócić. Ruch nadal jej na to nie pozwalał. Zerknęła we wsteczne lusterko i spostrzegła, że biały mercedes mruga na nią światłami. Przyspieszyła.

Jechała naprzód w poszukiwaniu jakiejś bocznej drogi, ale ulewny deszcz pogarszał widoczność, a wokół ciągnęły się tylko pola kukurydzy. Ponownie zerknęła do tyłu, mercedes wciąż błyskał światłami, nie rozumiała dlaczego. Nie było miejsca, żeby mógł ją wyminąć, zresztą jechała najszybciej, jak mogła. Włączyła prawy kierunkowskaz, ponieważ właśnie ujrzała przed sobą wąską zwirową drogę ginącą między łanami kukurydzy, więc zwolniła, aby tam wjechać, co wymagało pewnego wysiłku, bo dróżka ledwie mieściła jeden samochód. Odruchowo zerknęła we wsteczne lusterko i odkryła, że biały mercedes podąża za nią.

Zamrugła zdumiona. Kierowca otworzył szybę i machał do niej gorączkowo. Musiała to być kobieta, sądząc po złotych bransoletkach na nadgarstku. Nieznajoma włączyła klakson.

ROZDZIAŁ 50

Christine wcisnęła hamulec. W osłupieniu patrzyła, jak nieznajoma kobieta wysiada z samochodu, zatrzaskuje drzwi i przemierza błotnistą drogę na obcasach, nie zważając na to, że ulewny deszcz dewastuje jej starannie ułożoną fryzurę, moczy siwe włosy i wsiąka w pastelową garsonkę.

– Mogę w czymś pomóc? – Christine otworzyła okno i zamrugła w strugach deszczu. Kobieta miała rozmazany makijaż, twarz wykrzywioną w grymasie bólu, jakby ona także przed chwilą płakała.

– Kim jesteś?! – zawołała napastliwie, zaciskając rozpaczliwie wypielęgnowane dłonie na szybie samochodu Christine. W jej oczach malowała się desperacja.

– Co? Czego pani chce? – Cofnęła się od okna, krople deszczu wpadały do środka.

– Jak się nazywasz? Pracujesz w szpitalu? Jesteś jeszcze jedną pielęgniarką?

– Kim pani jest? – zapytała oszołomiona Christine.

– Jestem żoną Granta. Joan. Muszę z tobą pomówić.

– Jakiego Granta?

– Granta Hallsteada, nie udawaj, że go nie znasz. – Nabiegłe krwią oczy Joan wezbrały łzami, po policzku spłynęła ciemna smuga. Jej pastelowy kostium był przesiąknięty wodą, ale ona zdawała się tego nie dostrzegać. – Chodzimy na terapię małżeńską, próbujemy ratować nasz związek, przysięgał, że teraz, po odejściu Gail, wszystko będzie inaczej. Proszę, błagam, przestań sypiać z moim mężem.

– Co? – Christine zdębiała. – Nie sypiam z pani mężem.

– Wiedziałam, że się wyprzesz, ale błagam cię jak kobieta kobietę – zostaw go w spokoju. Mamy troje dzieci, są dopiero w średniej szkole, dla nich próbuję uratować naszą rodzinę. – Joan przywarła do otwartej szyby samochodu w strugach ulewnego deszczu, Christine poczuła ogromne współczucie.

– Proszę wejść, porozmawiamy w samochodzie. Przemoknie pani. – Zaprosiła ją gestem, zamknęła okno i odblokowała drzwi, podczas gdy Joan przebiegła przed maską na drugą stronę pojazdu, po czym wsunęła się na fotel pasażera. – Joan, ja nie sypiam z pani mężem, przysięgam.

– Wysłuchaj mnie, porozmawiajmy jak cywilizowani ludzie. – Joan uniosła szczupłe dłonie. – Nie chcę żadnych awantur, nic w tym stylu, nie będę robić scen...

– Naprawdę, nie sypiam z pani mężem...

– ...po prostu chciałabym wytłumaczyć, co się dzieje w naszym małżeństwie, i poprosić, żebyś to uszanowała. – Wzburzona Joan wydobywała z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego, ale Christine musiała jej jakoś przerwać.

– Joan, naprawdę nie sypiam z pani mężem...

– Widzę, że sama jesteś mężatką, zapewne potrafisz zrozumieć, jak to bywa w wieloletnim związku. Jesteś ode mnie młodsza, zawsze wybiera młodsze pielęgniarki... – Dolna warga kobiety, z resztkami różowej szminki, zadrżała.

– Myślałam, że Gail była ostatnia, przysięgał mi, dlatego tak bardzo się zdziwiłam, gdy zobaczyłam cię z Dink na czuwaniu...

– Nie jestem pielęgniarką. Nie znam pani męża. Nigdy wcześniej go nie spotkałam.

– Jak to? – Joan zamrugała kilkakrotnie, po czym wytarła smugę tuszu pod linią dolnych rzęs.

– Nie pochodzę z tych stron. Mieszkam w Connecticut, jestem nauczycielką i...

– Jak poznałaś Granta? – Kobieta zmarszczyła brwi ze zdziwieniem, ale wydawała się spokojniejsza.

– Nie znam Granta. Szczerze, dziś widziałam go po raz pierwszy na...

– Co robiłaś na czuwaniu, skoro nie jesteś pielęgniarką? Przyjaźniłaś się z Gail?

– Proszę się uspokoić, Joan. Zaraz wyjaśnię. – Christine wyjęła z torebki wizytówkę Griffa i podała jej. – Nazywam się Christine Nilsson, pracuję jako asystentka mecenasa Francisa Griffitha, który jest obrońcą Zachary'ego Jeffcoata. Prowadziłam dochodzenie dla obrony w sprawie Gail i jestem pani winna przeprosiny, ponieważ niesłusznie posądziłam pani męża. Popełniłam błąd.

– Boże drogi. – Joan uniosła wzrok znad wizytówki, zdziwiony uśmiech

rozjaśnił uroczą, delikatną twarz w kształcie serca. Musiała dobiegać pięćdziesiątki, a wyglądała na nie więcej niż trzydzieści pięć lat. – Poważnie?

– Tak. Bardzo mi przykro, że zawstydziłam panią i męża. – Skwapliwie skorzystała z okazji pokajania się. Ulewa przybierała na sile, bębniła o dach i zasnuwała mgłą szyby. – Była pani świadkiem tej niefortunnej sceny po czuwaniu?

– Tak, stałam wśród pracowników administracji i ich żon. Widziałam, jak odjeżdżasz – zaparkowałam niedaleko, na sąsiednim parkingu dla lekarzy – i postanowiłam pojechać za tobą. – Joan westchnęła radośnie, oddając wizytówkę. – Jeszcze nigdy mnie tak nie uradowało niesłuszne posądzenie męża o morderstwo.

– Ha! – Christine natychmiast polubiła Joan. Każda żona, która potrafi zachować poczucie humoru w takiej sytuacji, prawdopodobnie zasługuje na lepszego męża, ale nie zamierzała jej tego mówić.

– Nie masz za co przepraszać. – Joan popatrzyła jej w oczy, mrużąc swoje w ironicznym uśmiechu. – Bóg mi świadkiem, że Grant ma sporo na sumieniu, ale nie jest mordercą.

– Mimo wszystko przepraszam.

– Nie przepraszaj, doigrał się. – Spoważniała. – Wcale mnie nie martwi, że wieść o jego romansie dotarła do dyrekcji. W przyszłości zastanowi się dwa razy. Chce ratować nasze małżeństwo, tak twierdzi. Cóż, zobaczymy.

Christine nie czuła się kompetentna, żeby udzielać porad małżeńskich, więc zatrzymała je dla siebie.

– Reprezentujesz Jeffcoata?

– Mój szef go reprezentuje.

– Myślisz, że to nie Jeffcoat zabił Gail? Kto inny jest „Mordercą pielęgniarok”?

– Tak – odpowiedziała lojalna wobec obrony.

– Dlaczego podejrzewałaś Granta?

– Podsłuchałam Dink w damskiej toalecie. Mówiła o romansie Gail z żonatym mężczyzną, więc później podeszłam do niej i zapytałam o niego. Najwyraźniej nie jestem tak dobrym detektywem, za jakiego się uważałam, bo Dink wpadła w szal. – Christine poczuła się niezręcznie, ale Joan nie miała jej niczego za złe. W zamkniętym samochodzie, schowane przed deszczem, rozmawiały ze sobą, jakby przyjaźniły się od dawna.

– Sama zabawiłam się w detektywa, kiedy zaczęłam podejrzewać Granta

o romans z Gail. – Uśmiechnęła się z lekkim zakłopotaniem. – Sprawdziłam, gdzie mieszka, i sprawdzałam, czy jego samochód stoi pod jej domem.

– Naprawdę? – Christine nachyliła się z zainteresowaniem.

– Tak. Przyłapałam go, a on się przyznał.

– To musiało być przykre.

– Było, ale w pewnym sensie również przydatne, bo pozwoliło nam wrócić na właściwe tory. Myślę, że każdy zasługuje na drugą szansę.

– No tak. – Pomyślała o Marcusie.

– Widziałam tam Jeffcoata. Zdaje się, że w czwartek.

– Naprawdę? – Pamiętała, że Jerri także mówiła o czwartku.

– Tak, późnym wieczorem. Pojechałam pod dom Gail, bo nie uwierzyłam Grantowi, kiedy mi powiedział, że ma zebranie w szpitalu. Trudno od razu zaufać, gdy zostało się raz zdradzonym. Nabrałam nawyku sprawdzania rachunków, telefonu, mejli... – Oczy Joan pociemniały. – Sprawdziłam mieszkanie Gail nawet w dzień morderstwa.

– Byłaś wtedy przed jej domem? – zdziwiła się Christine. – Widziałaś coś?

– Tak, byłam, bo Grant twierdził, że wyjeżdża służbowo z Miltonem Cohenem, sama słyszałaś.

– Słyszałam.

– Nie wiedziałam, czy mogę mu wierzyć. Sprawdziłam w sieci, czy jest taka konferencja. Była, ale to jeszcze nie znaczyło, że tam pojechał. Czatowałam przed domem Gail, żeby się upewnić.

– Zauważyłaś samochód Jeffcoata albo jego samego?

– Nie.

– Wiesz, jak on wygląda?

– Tak, jest blondynem, a mężczyzna, którego widziałam, nie był.

– Boże. Widziałaś tam jakiegoś mężczyznę tamtej nocy, gdy zamordowano Gail. – Serce Christine drgnęło nadzieją. Niewykluczone, że Joan widziała mordercę, i z całą pewnością nie był to Zachary.

– Tak, ale szybko odjechałam. Grant zadzwonił i upewniłam się, że jest w Nowym Jorku.

– Dlaczego nie poszłaś z tym na policję?

Joan popatrzyła jej w oczy z nagłą nieufnością.

– Usłyszałam w telewizji, że złapali mordercę na gorącym uczynku. To nie mógł być mężczyzna, którego widziałam.

– Kto to był? Znasz go? – wypytywała, mocno przejęta.

- Nie i nigdy wcześniej go u niej nie widziałam.
- Zrobiłaś mu zdjęcie?
- Nie. – Joan pokręciła głową. – Nie obchodziło mnie, kto to jest. Najważniejsze, że nie Grant. Chciałam się tylko uspokoić, że mnie nie okłamuje.
- Jak wyglądał? – Serce Christine szybciej zabiło.
- Niech pomyślę. Zapadał już zmrok. – Joan zmarszczyła brwi z namysłem. – Biały, dość przystojny. Nie pamiętam, co miał na sobie. Bluzę i spodnie? To mógł być każdy.
- Wysoki czy niski?
- Średniego wzrostu.
- Jakim samochodem przyjechał?
- Przyjechał... – Joan urwała raptownie. – Właściwie to chyba żadnym. Nie widziałam, żeby podjeżdżał. Widziałam tylko, jak wchodził po schodach do mieszkania Gail.
- Więc przyszedł pieszo?
- Nie wiem. – Kobieta pokręciła głową. – Ale na pewno nie przyjechał samochodem.
- A więc to mógł być ktokolwiek. – Christine rozważała różne możliwości.
- Nawet ktoś zupełnie przypadkowy. Może zaparkował dalej, bo nie chciał, żeby ktoś zauważył jego samochód przed domem Gail...
- Nie wyglądał, jakby znalazł się tam przypadkiem. Szedł zdecydowanym krokiem, prosto na schody. Wiedział, dokąd idzie. Może nie pierwszy raz ją odwiedzał.
- Może to ktoś, kto blisko mieszka? Nawet sąsiad... – Przeraziła ją ta myśl.
- Rozmawiałam z sąsiadami, pytałam, czy widzieli coś tamtej nocy. Większość z nich to były kobiety, ale wszystkie miały mężów lub partnerów. Może któryś z nich miał romans z Gail?
- Cóż, wiemy, że to się zdarza. – Joan pociągnęła nosem.
- Przepraszam. – Nie chciała być nietaktowna, poniosły ją emocje. Zerknęła we wsteczne lusterko. – Ktoś nadjeżdża.
- Da radę przejechać? Nic nie widzę przez ten deszcz i mgłę. – Joan odwróciła się, a Christine zmrużyła oczy, patrząc w lusterko.
- W porządku. Nie musimy przestawiać żadnego z aut.
- Całe szczęście, nie chcę jeszcze bardziej zmoknąć.
- Chyba że morderca nie miał osobistej relacji z Gail, zabił ją, ponieważ

była pielęgniarką. Wszyscy sąsiedzi wiedzieli, czym się zajmowała, urządziła spotkania sąsiedzkie dla całej ulicy. – Christine wyjęła telefon z torebki, by ponownie przejrzeć swoje zdjęcia, które zrobiła, gdy nie podejrzewała jeszcze żadnego z sąsiadów.

– Zabił ją ktoś z sąsiedztwa?

– Nie sposób tego wykluczyć. Jedyńymi mężczyznami, z którymi rozmawiałam, byli Phil Dresher, student z West Chester, zajmuje mieszkanie kilkoro drzwi dalej, i Dom Gagliardi, mieszka z żoną na sąsiedniej ulicy. Obu widziałam na czuwaniu. – Zerknęła w lusterko i zorientowała się, że samochód ich nie wyminął, lecz parkował za mercedesem Joan, co wydało jej się dziwne. – Ten facet się zatrzymuje. Bóg raczy wiedzieć po co.

– Pewnie pomyślał, że potrzebujemy pomocy.

– W deszczu?

– Tacy już są tutejsi ludzie. Lubią pomagać. – Joan uśmiechnęła się.

– Dlaczego zatem nie podjechał bliżej?

– Może nie zauważył, że w mercedesie nikogo nie ma. – Kobieta wskazała telefon. – Zaczęłaś coś mówić.

– Tak. – Wróciła do przeglądania zdjęć, było wśród nich dużo ujęć budynków, ale nie znalazła fotografii Phila. – Niech to.

– Nic?

– Na razie nie. – Popatrzyła we wsteczne lusterko. Jakiś mężczyzna wyszedł z zaparkowanego samochodu i podążył w ich kierunku, nie widziała jego twarzy przysłoniętej kapturem kurtki przeciwdeszczowej, postanowiła zaczekać, aż podejdzie bliżej. Tymczasem oglądała fotografie podwórka Lindy Kent, powiększyła jedną z nich, w rogu, prawie poza kadrem, i zobaczyła twarz Doma.

– To on! – Joan wskazała zdjęcie. – Poznaję. Widziałam, jak wchodził po schodach do mieszkania Gail w noc morderstwa.

– O mój Boże. Twierdził, że jej nie zna. Skoro go wtedy widziałaś, to znaczy, że kłamał. – Dom znalazł ciało Lindy Kent, pomyślała wstrząśnięta. A jeśli sam je tam położył? Mógł zaskoczyć Lindę tamtej nocy, znał jej zwyczaje, wiedział o wieczornym papierosie na schodach.

– Kłamał, żeby uniknąć przyłapania na zdradzie. Albo kary za morderstwo.

– Joan, musimy z tym iść na policję – stwierdziła z mocno bijącym sercem. – Pójdiesz ze mną?

– Oczywiście. – Joan skinęła głową. – Nie mogłabym spać spokojnie,

wiedząc, że przez moje milczenie po ulicach chodzi seryjny morderca.

– Podczas gdy w więzieniu siedzi niewinny człowiek – dopowiedziała Christine i zerknęła w lusterko. Mężczyzna był już blisko, pomachał przyjaźnie i – choć nadal nie widziała części twarzy zacięionej kapturem – rozpoznała ten uśmiech. Widziała go wcześniej na Daley Street.

To był Dom.

Christine uruchomiła silnik.

– Joan...

– Co się stało?

Dom otworzył drzwi gwałtownym szarpnięciem w tej samej chwili, gdy nacisnęła pedał gazu. Samochodem szarpnęło do przodu, ale silne dłonie mężczyzny zdołały wyrwać Christine z kierownicy.

– Nie! – krzyknęła przeraźliwie.

Dom wyszarpnął ją z jadącego samochodu.

Joan rozpaczliwie wołała o pomoc.

Auto toczyło się naprzód siłą rozpędu.

Christine poczuła bolesne uderzenie w głowę.

Świat zniknął za zasłoną ciemności.

ROZDZIAŁ 51

Gdy odzyskała przytomność, leżała skulona na zwirowej ścieżce, w ulewnym deszczu, pod ciemnoszarym niebem, z policzkiem w kałużę i wodą wlewającą się do nosa. Miała przemoczone ubranie, jej czaszkę przeszywał nieznośny ból. Z wysiłkiem otworzyła oczy, przypominając sobie, co się wydarzyło. Dom wyrzucił ją z samochodu, Joan krzyczała.

Uniosła się na łokciu i gorączkowo rozejrzała wokół siebie, mrużąc oczy w strugach wody. Auto wylądowało wśród kukurydzy, stało tam z otwartymi drzwiami i uruchomionym silnikiem. Dom błyskawicznie okrążył je od tyłu – zmierzał ku drzwiom po stronie pasażera, podczas gdy Joan usiłowała się wydostać, przechodząc na stronę kierowcy.

Christine musiała jej pomóc, zmusiła się do ruchu, do działania. Chwiejnie stanęła na nogi i zobaczyła, jak Dom chwytą Joan za włosy i przeciąga z powrotem na fotel pasażera. Nie widziała, co było dalej, bo zapadła ścinającą krew w żyłach cisza.

– Nie! – zawołała z sercem ściśniętym przerażeniem. Nie mogła już nic zrobić dla Joan, musiała ratować siebie. Uciekać. Dom pojechał za nimi po czuwaniu. To on był mordercą.

Biegła przez kukurydzę, roztrzającą wysokie łądygi. Nie miała przed sobą żadnej ścieżki w zbitym gąszczu roślin, ostre jak żyłki liście rozcinały skórę na rękach i nogach, do oczu wpadały latające owady, uszy wypełniał głośniejszy od deszczu trzask łamanych łądyg. Nie wiedziała nawet, w którą stronę biegnie, zatraciła wycucie kierunku. Czuła pulsowanie w głowie po niedawnym uderzeniu. Pędziła przed siebie najszybciej, jak mogła. Jak najdalej.

– Ty szmato! – Usłyszała za sobą wściekły ryk.

Przerażenie dodawało jej sił, nie mogła pozwolić, żeby się zbliżył. Zabije ją i dziecko. Biegła, choć plątały jej się nogi, deszcz mącił wzrok, liście kaleczyły ciało. Łamane łądygi głośno trzeszczały. Christine potknęła się

i omal nie upadła.

Uzmysłowiła sobie ze zgrozą, że Dom widzi jej głowę pomiędzy łanami kukurydzy, które sięgały jej tylko do piersi. Dalej biegła pochylona. Z trudem chwyciła oddech, bolało ją w boku, mięśnie paliły żywym ogniem, stopy odmawiały posłuszeństwa. Stłumiła krzyk, nie mogła sobie pozwolić na stratę energii. W pobliżu nie było nikogo, kto by jej pomógł.

Wymachiwała rękami, jakby trzymała w nich maczety, i roztrącała wysokie, grube łądygi. Wstrząsały nią dreszcze, zaczęła szczękać zębami. Starła się nie wychylać ponad ścianę kukurydzy, by utrudnić napastnikowi zlokalizowanie jej w bezkresnym polu. Spłoszyła stado kruków, które załopotwały czarnymi skrzydłami i poderwały się do lotu tuż nad przerażoną Christine.

– Zabiję cię, ty szmato! – Dom przekrzykiwał szum deszczu.

Ptaki zdradziły jej pozycję, nie mogła się teraz zatrzymać. Biegła resztkami sił, myśląc o dziecku, które miała obowiązek ratować. Była jego matką. Przywołała obraz delikatnego serduszka na ultrasonografie. On dodał jej energii do walki.

Słyszała za sobą odgłos łamanej kukurydzy. Dom codziennie ćwiczył bieganie, szybko nadrobi przewagę, jaką nad nim miała. Zmobilizowała resztki sił i przyspieszyła, roztrącała łądygi zgięta w pól, wyobrażając sobie, że jest wojownikiem. Deszcz dudnił jej w uszach, łądygi chrzęściły pod stopami, liście cięły skórę, gdy łamała na pół grube kukurydziane pędy, uderzając w nie wierzchem dłoni.

Krople ulewnego deszczu głośno waliły o ziemię. Christine usłyszała stłumione odgłosy ruchu ulicznego, przejeżdżające ciężarówki i dźwięk klaksonu. Skręciła w lewo, ku głównej drodze. Jeśli zdoła tam dotrzeć, ktoś ją zauważy, jakiś samochód się zatrzyma. Dom nie odważy się zaszlachtować jej na oczach świadków.

Serce Christine wypełniła nadzieja. Osłaniała brzuch lewą ręką i rozgarniała łądygi prawą. Płakała ze strachu, czuła w ustach metaliczny posmak krwi.

– Poderżnę ci gardło! – ryknął z wściekłością Dom, głośniejszy niż wcześniej, a w niej wezbrała fala pierwotnego przerażenia. Był coraz bliżej. Straciła grunt pod nogami, potknęła się pod wpływem paniki i upadła. Zachłysnęła się wodą i owadami, jej dłonie zapadły się w błoto. Nieopodal trzeszczały łamane gałęzie, zwiastujące obecność Doma.

Poderwała się i rzuciła naprzód, z trudem łapiąc równowagę. Biegła teraz w poprzek grządek, co znacznie utrudniało poruszanie. Desperacko atakowała

ścianę kukurydzy, z trudem łapała oddech. Z nieba lały się strugi deszczu. Młóciła obiema rękami, niektóre łodygi pękały z chrzęstem, inne powracały, niektóre kaleczyły jej twarz. Krzywiła się z bólu, ale odgłosy ulicy przybliżały się, zagrzewając do walki.

Płuca płonęły żywym ogniem, nie wiedziała, jak daleko jeszcze zdoła dobiec. Nogi odmawiały posłuszeństwa, ręce były coraz cięższe. Pomyślała o dziecku. Dziś rano znów poluzowała pasek. Nie może teraz umrzeć, ratowała nie tylko siebie.

Raptem usłyszała jakiś nowy, mechaniczny odgłos. Odruchowo popatrzyła do góry, ale woda zalała jej twarz. Mało brakowało, aby ponownie straciła równowagę i upadła. Dźwięk przybrał na sile. Rytmiczny warkot dobiegający z góry, zza gęstej zasłony chmur. Helikopter.

– Na pomoc! Na pomoc! – Wyprostowała się i biegła, wymachując zakrwawionymi rękami. Modliła się, żeby pilot dostrzegł ją dzięki ścieżce połamanej kukurydzy. Warkot silnika zdawał się przybliżać.

Uniosła głowę i mrugała w deszczu. Zza chmur wyłoniło się wielkie śmigło helikoptera, który zniżał lot tuż nad nią. Machała rękami, nie przerywając biegu. Samolot był coraz bliżej, poczuła uderzenie wiatru. Powiew rzucił jej w twarz chmurę robaków i przestraszył ptactwo. Na zielonym kadłubie śmigłowca widniało logo szpitala Chesterbrook. Powietrzny ambulans.

Christine wzywała pomocy, wymachując rękami na wietrze. Zostanie uratowana, ktoś jej pomoże. Nie umrze tutaj, nie teraz, nie dziś. Popatrzyła do góry, ale helikopter przeleciał nad nią i oddalał się.

– Nie! Nie! Pomocy! – Biegła za nim niestrudzenie. Powietrzny ambulans kierował się ku zwirowej ścieżce, zapewne do Joan. Ona musiała sobie radzić sama. Miała ochotę krzyczeć z rozpacz. Nikt jej tu nie znajdzie, nie pomoże. Tylko ona mogła uratować swoje dziecko. Nie wiedziała, czy Dom nadal biegnie za nią, nie słyszała go, przestał krzyczeć. Zapewne ukrywał się przed załogą szpitalnego śmigłowca.

Brnęła do przodu, walcząc z obezwładniającym zmęczeniem i bólem. Nagle usłyszała dźwięk policyjnych syren. Więc pomoc nadciągała, lecz była za daleko. Musiała nadal uciekać. Za plecami słyszała zbliżającego się Doma. Dwa metry od niej. Półtora. W każdej chwili mógł wyciągnąć ręce, zabić ją i uciec.

Tymczasem odgłosy ulicy także się przybliżały: ryk klaksonów, warkot silników i chrzęst opon na mokrym asfalcie. Torowała sobie drogę wśród

kukurydzy ku tej zbawiennej wrzawie. Przez prześwity między łądygami widziała już szosę.

Wyprostowała się gwałtownie i zatoczyła na jezdnię. Krzyknęła ze strachu, kiedy niemalże wpadła pod koła pędzącego samochodu, ale biegła dalej. W momencie, gdy dotarła bezpiecznie na drugą stronę, usłyszała mrożące krew w żyłach głucho łupnięcie.

– Nie! – Odwróciła się na pięcie i zobaczyła Doma znikającego pod podwoziem ogromnej ciężarówki.

Upadła na kolana w strugach deszczu i łez. Groził jej taki sam los, ale przeżyła.

Ocaliła siebie i dziecko.

ROZDZIAŁ 52

Kolejne godziny zlały się w jedną, niewyraźną plamę. Przyjechała policja, funkcjonariusze przesłuchiwali świadków, ogradzali miejsce zdarzenia żółtą taśmą, rozstawiali reflektory i zabezpieczyli szczątki Doma niebieskim parawanem do czasu przybycia lekarza sądowego. Christine wciąż była w szoku. Bez słowa protestu położyła się na noszach i pozwoliła przypiąć pasami, po czym odjechała karetką na sygnale. Sanitariusze zbadali ją po drodze i przekazali przez telefon informacje personelowi szpitalnemu.

Christine trzymała emocje na wodzy, transportowana na oddział ratunkowy szpitala Chesterbrook, w którym była zaledwie parę godzin wcześniej. Jak mogła przewidzieć, że sprowokowana przez nią scena z udziałem Granta Hallsteda zakończy się makabryczną śmiercią Doma Gagliardiego oraz atakiem na Joan Hallstead? Joan była na sali operacyjnej, jakimś cudem zdołała – z podciętym gardłem – zadzwonić pod numer alarmowy. Pomoc przybyła na czas. Szpital natychmiast wysłał helikopter ratunkowy do żony jednego ze swoich najznamienitszych chirurgów. Mówiono, że straciła dużo krwi, ale jej stan jest stabilny, a szanse na przeżycie bardzo duże.

Christine, przebraną z ociekających wodą ubrań w szpitalną koszulę, podłączoną do kroplówki z płynem fizjologicznym i przykrytą kocem termicznym, sanitariusze wwieźli na noszach. Lekarz obejrzał, oczyścił i posmarował maścią z antybiotykiem wszystkie rany. Poprosiła pielęgniarki, żeby zawiadomiły Griffa i Marcusa. Marcus był w drodze, spodziewała się go w środku nocy. Nie chciała nawet myśleć o reakcji męża na wszystko, co się wydarzyło.

Została wysłana na rezonans magnetyczny ze względu na ranę głowy, a następnie otrzymała wypis ze szpitala i zapewnienie, że wszystko jest dobrze. Na pożegnanie dostała w prezencie od jednej z pielęgniarek czysty służbowy uniform. Stroje personelu były utrzymane w barwach szpitala – granatowe dla pielęgniarek, bordowe dla radiologów i jasnobrązowe dla

instrumentariuszy asystujących przy operacjach. Christine z dumą włożyła swój granatowy kombinezon, taki sam, jaki nosiła Gail Robinbrecht. Ale starała się o tym nie myśleć, ponieważ z trudem powstrzymywała płacz.

Policja zgodziła się spisać jej zeznania w pokoju zabiegowym, nie musiała jechać na komisariat. W oczekiwaniu na funkcjonariuszy zerkała na ekran wyciszonego telewizora włączonego na stację CNN, gdy nagle ukazał się na nim widok trasy osiemset czterdzieści dwa w strugach deszczu i napis: WIADOMOŚĆ Z OSTATNIEJ CHWILI – MORDERCA PIEŁĘGNIAREK ZABITY PRZEZ CIĘŻARÓWKĘ. Powróciła myślami do swojego przyjęcia pożegnającego w szkole, kiedy po raz pierwszy zobaczyła nagranie z aresztowania Jeffcoata. Powinna cieszyć się, że Zachary odzyska wolność, ale nawet ta emocja do niej nie docierała.

Do gabinetu wszedł ten sam policjant, który przedwczoraj oprowadzał ją po miejscu zbrodni, detektyw Wallace, w czarnej koszulce z emblematem policji i spodniach khaki.

– Pamięta mnie pani? – zapytał łagodnie, stając w nogach łóżka. Uśmiechał się ciepło.

– Tak, oczywiście. – Odwzajemniła uśmiech mimo bolesnych zadrapań na twarzy.

– Jak się pani czuje?

– Całkiem nieźle – odrzekła krótko. Prawda była taka, że starała się nie czuć.

– Griff przesyła pozdrowienia. Siedzi w poczekalni. Dotarł tu kilka minut po pani.

– Naprawdę? – spytała wzruszona.

– Pierwszy wezwał pomoc. Poprosił, żebyśmy wysłali patrol i upewnili się, czy wszystko w porządku. Kazał nam pani szukać w pobliżu Unionville.

Christine nie kryła zdumienia.

– Ale skąd wiedział, że potrzebuję pomocy?

– Podobno dzwoniła pani do niego zapłakana? – Wallace uśmiechnął się współczująco. – Martwił się, że spowoduje pani wypadek, prowadząc w takim stanie. Gdy otrzymaliśmy wezwanie od żony doktora, byliśmy już w drodze. – Funkcjonariusz wyjął z kieszeni cienki notes. To samo uczyniło dwóch policjantów stojących za nim. – Proszę nam opowiedzieć, Christine, co się wydarzyło.

Zaczęła od uroczystości żałobnej, a skończyła na przewiezieniu do szpitala, i odpowiedziała na wszystkie dodatkowe pytania. Udało jej się zachować

kontrolę nad emocjami, miała łzy w oczach, tylko kiedy opisywała rozpaczliwe wysiłki Joan, żeby się wydostać z samochodu, i makabryczny widok Doma masakrowanego przez ciężarówkę, który zostanie z nią na długi czas. Po skończonym przesłuchaniu Wallace pomógł jej wstać i przejść do poczekalni, po czym się pożegnali.

Griff wstał niepewnie.

– Dobrze cię widzieć w jednym kawałku – powiedział, uśmiechając się z ulgą.

Christine podeszła do staruszka z rozpostartymi ramionami.

– Nie wrywaj się, będę cię ściskać.

– Tylko nie to.

– Właśnie że tak. – Przytuliła go serdecznie, poddał się temu z cichym stęknieniem. Christine poczuła się w jego objęciach miękko, ciepło i bezpiecznie. Miał na sobie wymięty bawełniany garnitur, muchę i przewieszony przez ramię czarny parasol, pachniał drewnem i grafitem ołówkowym, jego zmęczone oczy zamigotały za szklami okularów w rogowej oprawie.

– Za co to?

– Dziękuję, że na mnie czekałeś.

– Miałem inne wyjście?

– Dziękuję też, że zadzwoniłeś po pomoc.

– Musiałem. Kto inny zgodzi się pracować za darmo?

– Ha. – Rozjaśniła się w uśmiechu. – Co to oznacza dla Zachary'ego? Wypuszczą go?

– Nie od razu, to wymaga czasu. Dopiero rozpoczęli śledztwo w sprawie Gagliardiego. – Nachylił się ku niej i konspiracyjnie zniżył głos. – Prokurator powiedział mi w tajemnicy, że sprawcą na pewno jest Gagliardi. Zarekwirowali jego komputer i znaleźli tam pośmiertne zdjęcia wszystkich trzech ofiar.

– Fotografował je martwe? – Christine skrzywiła się z odrazą.

– Tak – przyznał ponuro Griff. – Seryjni mordercy często przechowują tego typu zdjęcia lub inne pamiątki po swoich ofiarach.

– Jego żona wiedziała?

– Z całą pewnością nie. Dzieci nie mają.

– Co właściwie robił w tych szpitalach?

– Sprzedawał ubezpieczenia. W ten sposób znajdował swoje ofiary. Gdybyś

go nie powstrzymała, zabijałby dalej. – Uśmiech powrócił na twarz starego prawnika. Christine musiała to przyznać, poczuła satysfakcję. Była niemal szczęśliwa.

– Chyba należy mi się pochwała, nie sądzisz?

– Dobra robota. – Griff uśmiechnął się szeroko, jakby mimowolnie.

– Dzięki – powiedziała mile połączona, choć wiedziała, że na więcej nie może liczyć. Tyle jej w zupełności wystarczyło. Nie zrobiła tego dla Griffa ani nawet dla Zachary’ego, lecz dla siebie i swojego dziecka. – Kiedy Zachary wyjdzie na wolność?

– Za parę dni, kiedy uporają się z całą biurokracją. – Griff podniósł parasol i zawiesił go na ramieniu.

– Możemy mu przekazać dobre wieści?

– Najpierw pojedziemy do kancelarii. Chciałbym, żebyś kogoś poznała.

– Kogo? – Christine ujęła go pod rękę i razem wyszli z poczekalni.

– Zobaczysz. Nawiasem mówiąc, na zewnątrz jest pełno reporterów. Powiemy im, że gryzę?

– Sami się domyślą. – Christine zdała sobie sprawę, że będzie musiała wyznać Griffowi, kim naprawdę jest. Chciała, żeby znał prawdę. – Wygłosisz oświadczenie?

– Nie. Powiem im: „Bez komentarza”. – Popatrzył na nią. – Poza tym nie wiem, czy ty złapałaś przestępcę, czy przestępca ciebie.

– Jedno i drugie. – Posłała mu wymuszony uśmiech. – Z twoją pomocą.

– Nie. – Pokręcił głową.

– Owszem. Pokazałeś mi, że potrafię. – Zawsze wierzyła, że nauczyciele wszystko potrafią, teraz zyskała na to dowód.

– Nie spieszmy się. Niech jeszcze trochę zmokną.

– Słusznie – pochwaliła z uśmiechem.

– Wiesz co? Zmieniłem zdanie. Jednak nie pójdę na emeryturę.

– Doskonale. Nie idź. – Przyglądała się błyskającym fleszom za przeszkłonymi drzwiami szpitala.

– Dam sobie wyciąć halluksy i wrócę do roboty. Udowodniłaś mi, że jeszcze na wiele mnie stać.

– Cieszę się – odparła ze wzruszeniem. – Musisz sobie kupić nowy garnitur.

– E, po co? Wystarczy nowa tablica. – Zaśmiał się z własnego dowcipu.

Christine zawtórowała mu i wyszli na zewnątrz, ramię w ramię.

ROZDZIAŁ 53

Griff wszedł do biura jako pierwszy, a w ślad za nim Christine – zmęczona, głodna, obolała i średnio zachwycona widokiem kobiety siedzącej na jednym z foteli naprzeciwko biurka. Nieznajoma miała rude włosy do połowy szyi, ładną twarz, szczupłą sylwetkę podkreśloną przez białą koszulkę i modne legginsy oraz brązowe, plecione sandały. Przeglądała wiadomości w telefonie, ale na ich widok poderwała się z uśmiechem.

– Tanya Spencer, poznaj Christine Nilsson. – Griff opadł na swój fotel z cichym stęknieniem. – I *vice versa*. To po łacinie.

– Christine, mój Boże, nic ci nie jest?! – zawołała z nieskrywanym podziwem w głosie. – To niebywałe, co dziś zrobiłaś. Jesteś bohaterką!

– Och, nie sędzę, ale dziękuję. – Christine podeszła do niej i wyciągnęła dłoń na powitanie, ale powstrzymała się z powodu opatrunków. – Tanyu, chętnie uścisnęłabym ci rękę, ale to raczej kiepski pomysł.

– Jasne, oczywiście. Jesteś bohaterką! Mogłaś dziś zginąć!

– Na szczęście żyję – skwitowała, siadając. Zaczynała się domyślać, kim jest Tanya. Jej kolor włosów stanowił wyraźną wskazówkę. To musi być nowa dziewczyna Zachary’ego. Kobieta, która przyniosła czek.

– Bardzo dziękuję za to, co zrobiłaś dla Zachary’ego. – Tanya przysiadła na brzegu swojego fotela, blisko Christine. – Ryzykowałaś własne życie, żeby mu pomóc. Jesteś w wiadomościach wszystkich stacji. Obejrzałam nagranie w telefonie.

– Cóż, niezupełnie o to mi chodziło. – Spojrzała porozumiewawczo na Griffa, któremu zdążyła już wszystko opowiedzieć w samochodzie. – Ale cieszę się, że Zachary nie zostanie skazany za zbrodnie, których nie popełnił.

– Tak, spotkałaby go potworna niesprawiedliwość – zgodziła się Tanya. W jej blisko osadzonych orzechowych oczach bez makijażu zapłonął ogień. Christine pomyślała, że kobieta wygląda na miłośniczkę ekologicznego stylu życia. – Nie mogę znieść myśli, że siedzi w więzieniu. Nie pasuje do tego

obrzydliwego miejsca. Nigdy nie pasował.

– Rzeczywiście – przyznała ogarnięta nagłą ciekawością. Hannah bardzo się zdziwiła, kiedy usłyszała o nowej dziewczynie Zachary’ego. – W każdym razie miło mi, że wreszcie mamy okazję porozmawiać.

– Wreszcie? Jak to?

– Mówił mi o tobie Zachary i więzienna recepcjonistka. Jesteś jego dziewczyną, prawda?

– Nie – odpowiedziała z zakłopotanym uśmiechem. – Wymyśliliśmy tę historyjkę na użytek strażników.

Christine zamrugła z zaskoczeniem.

– Kim w takim razie jesteś?

– Samotną matką, która skorzystała z banku spermy. Zachary jest moim dawcą.

Christine nie wierzyła własnym uszom. Oniemiała ze zdumienia. Griff obserwował obie kobiety w milczeniu, co było dla niego zachowaniem dość nietypowym. Christine miała zamiar przyznać się do wszystkiego dziś wieczorem, więc właściwie mogła to zrobić teraz. Zwróciła się ku niemu, ale zanim zdążyła zacząć, mrugnął do niej łobuzersko.

– Christine, chyba nie myślałaś, że uwierzyłem w twoją historyjkę o dziennikarstwie?

– Nie uwierzyłeś? – Oblała się rumieńcem.

– Miałem pewne wątpliwości. Jak już mówiłem, jesteś za miła do tego zawodu. – Uśmiech uwydatnił sieć zmarszczek wokół oczu starego adwokata.

– Ale nie wiedziałem, co kombinujesz, dopóki nie poznałem Tanyi. Jesteś w tej samej sytuacji, prawda?

Christine przełknęła ślinę, przeniosła spojrzenie z Griffa na Tanyę i z powrotem, następnie westchnęła ciężko.

– Tak, Zachary jest również moim dawcą. Numer 3319 w banku Homestead. Zamierzałam ci dziś powiedzieć.

Tanya uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– Przepraszam, nie chciałam cię wydać. Nie musiałaś nic mówić. Po prostu uważam, że nie ma się czego wstydzić.

Christine w pełni się z nią zgadzała, lecz męczyły ją wyrzuty sumienia wobec Griffa.

– Przepraszam, że cię okłamałam. Głupio mi było mówić o prawdziwych powodach. No i jestem w ciąży.

Griff wzruszył ramionami.

– Na twoim miejscu też bym kłamał.

– Właśnie, Christine, każdy jest inny – wtrąciła się Tanya. – Dlatego rozumiem, że wolałaś to zachować dla siebie.

– Dziękuję. – Wciąż oswajała się z sytuacją. Spotkanie z inną kobietą, która miała dziecko z Zacharym, było co najmniej zaskakujące.

– Skorzystałam z banku spermy, ponieważ nie udało mi się poznać odpowiedniego partnera. Mężczyznom, których spotykałam, brakowało dojrzałości, a nie chciałam rezygnować z macierzyństwa. Zamierzałam zamrozić komórki jajowe, ale pomyślałam sobie: Po co czekać? – Twarz Tanyi rozpromieniła się w uśmiechu. – Rodzice przyklasnęli temu pomysłowi, bardzo czekali na wnuka. Wszyscy po prostu go ubóstwiamy.

Christine doskonale ją rozumiała.

– Jak się dowiedziałaś o Zacharym?

– Mam pracownię w domu, projektuję biżuterię. W tle przeważnie leżą jakieś wiadomości. Przypadkiem uniosłam wzrok i zobaczyłam go. Rozpoznałam ze zdjęcia, które udostępnił bankowi.

– Ja też. – W pewnym sensie było to pokrzepiające. A więc nie była szalona!

– Przeraziłam się – ojciec mojego dziecka seryjnym mordercą? Upiorne! – Tanya wzdrygnęła się demonstracyjnie.

– Otóż to. – Christine poczuła ulgę, gdy prawda wyszła na jaw, choć dzielenie tak intymnych przeżyć z zupełnie obcą osobą było krępujące.

– Zadzwońłam w panice do Homestead, ale zasłonili się klauzulą poufności. A moja lekarka nie miała pojęcia.

– U nas to samo.

– Mieszkam w Baltimore. Pomyślałam sobie, że wyskoczę do Filadelfii i zorientuję się w sytuacji.

– To tak jak ja – powiedziała Christine, otwierając serce przed tą kobietą, którą dopiero poznała.

– Przyjechałam do Graterford, spotkałam się z Zacharym i zapytałam. Potwierdził.

– Powiedziałaś mu prawdę? – zdziwiła się.

– Jasne, a ty nie?

– Nie, nikomu. – Postanowiła pominąć szczegóły. – Więc masz już dziecko?

– Cudownego chłopczyka. Ma na imię Ranger. – Tanya rozpromieniła się. – Teraz opiekuje się nim moja mama, ale rzadko go zostawiam. Skończył

dopiero jedenaście miesięcy, a już próbuje chodzić, przytrzymując się mebli. Chcesz zobaczyć zdjęcie?

– Tak, proszę. – Christine przybliżyła się z mocno bijącym sercem.

– Oto mój ukochany skarb. – Tanya zademonstrowała wykonany na zamówienie futerał do iPhone’a z powiększoną fotografią rozkosznego blondynka o niebieskich oczach, czule poklepującego szarego kota.

– Rozkoszny malec! – zawołała Christine, przedziwnie uszczęśliwiona i zdezorientowana zarazem, uświadomiła sobie bowiem, że właśnie patrzy na braciszka swojego własnego syna lub córki.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi i wszyscy unieśli głowy. Na progu stał Marcus w pogniecionym garniturze, bez krawata, z niepokojem w oczach. Popatrzył na Christine.

– Kochanie, nic ci nie jest? – zawołał, biegnąc ku niej przez pokój.

– Marcus? – powiedziała niepewnie, a on zamknął ją w delikatnym uścisku. Nie miała pojęcia, jakim cudem dojechał tak szybko, i oswojenie się z jego obecnością, mimo że przytulała właśnie pokaleczony policzek do jego torsu, wymagało od niej pewnego wysiłku. Łzy stanęły jej w oczach, a przecież nie chciała nic czuć, zwłaszcza że nie byli sami. Jedyne, czego pragnęła, to wrócić do domu i modlić się, żeby wszystko znów było dobrze.

– Kochanie, błagam, wybacz mi. Przepraszam, że nie przyjechałem tu z tobą.

– Popatrzył z przerażeniem na jej pokaleczoną twarz. – Dzięki Bogu jesteś cała i zdrowa.

– Tak, nic mi nie jest – zapewniła, powstrzymując płacz. Wykonała mechaniczny gest w stronę Griffa. – Marcusie, poznaj Griffa, adwokata Zachary’ego.

– Bardzo mi miło. – Marcus skinął głową.

– Mnie również. Masz wyjątkową żonę. – Griff uśmiechnął się, niemal z dumą.

– Dziękuję. – Młodszy mężczyzna odwzajemnił uśmiech ze łzami w oczach.

– A to... – zawahała się, bo nie wiedziała, jak przedstawić Tanyę. Była zmęczona kłamstwami, ale nie chciała zdenerwować męża bardziej, niż już to zrobiła.

Tanya skoczyła na równe nogi i energicznie uścisnęła dłoń Marcusa.

– Nazywam się Tanya Spencer, a twoja żona jest moją bohaterką! Ryzykowała własne życie, aby dowieść niewinności Zachary’ego.

– Wiem, to godne podziwu – odpowiedział ze spokojem, nie ujawniając

zazdrości, którą zapewne odczuwał. – A ty, Tanyu, jesteś...

– Tak samo jak wy, klientką Homestead. Zachary jest biologicznym ojcem mojego dziecka.

Marcus osłupiał, a potem zamrugał.

Christine zaschło w ustach ze zdenerwowania.

– Kochanie, przepraszam. Poznałam Tanyę pięć minut temu. Powiedziałam jej i Griffowi, że Zachary jest naszym dawcą.

Marcus w napięciu patrzył na żonę.

– Przepraszam, Marcusie, tak po prostu wyszło... – Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć. Pogodziła się z myślą, że nie jest w stanie naprawić sytuacji. Męczyło ją ciągłe przepraszanie za nic i robienie ze wszystkiego tajemnicy. Duma Marcusa rujnowała ich małżeństwo.

Griff milczał, nawet żywiołowa Tanya opadła na fotel niczym przekłuty balon.

Marcus westchnął.

– Kochanie, mogłabyś usiąść? – zwrócił się do Christine. – Powinniśmy porozmawiać.

ROZDZIAŁ 54

– Marcus, proszę cię. – Christine z rezygnacją opadła na krzesło. – Musisz na to spojrzeć z dystansem, po prostu musisz. Nie jesteśmy w stanie tego dłużej utrzymywać w tajemnicy i...

– Nie o tym. – Poglądził ją delikatnie po ramieniu. – Kochanie, mam ci coś do powiedzenia. Zachary Jeffcoat nie jest naszym dawcą. On nie jest dawcą numer 3319.

– Słucham? – zapytała w osłupieniu.

– Co powiedziałaś? – Tanya była równie wstrząśnięta.

Marcus popatrzył czule na żonę.

– Gary wreszcie wydobyl informację od banku. Rozmawiał dziś z dyrekcją centrali. Zgodzili się na ugodę. Potwierdzili, że Zachary Jeffcoat nie jest dawcą 3319.

– To niemożliwe – wyjąkała zdezorientowana Christine. – Zachary twierdzi co innego. I pasuje do profilu.

Marcus zacisnął usta.

– To nie on.

– Kto w takim razie? – Zdumiewające nowiny wytrąciły ją z równowagi.

– Tego nie chcieli wyjawic – tłumaczył z powagą i łagodnością. – To jeden z warunków ugody. Nie zdradzą nam tożsamości dawcy. Zgodziliśmy się, bo przecież zależało nam głównie na informacji, czy Jeffcoat jest dawcą 3319. Oficjalnie potwierdzili, że nim nie jest. To przypadkowe podobieństwo. Z jego powodu musieli wycofać próbki 3319, ponieważ inni pacjenci dzwonili i wypytywali. Wszedłem z pracy natychmiast, gdy się dowiedziałem, i wyruszyłem w drogę. Po ciebie. Już dojeżdżałem, gdy zadzwonili ze szpitala.

Christine usiłowała przyswoić nowe informacje, ale miała mętlik w głowie. Wbiła wzrok w podłogę i ogarnęła ją obezwładniająca niemoc. Szumiało jej w uszach. Przeszła przez piekło i z powrotem bez żadnego powodu. Zachary nie był biologicznym ojcem ich dziecka. Po tym wszystkim wciąż nie

wiedziała, kto nim jest.

– Więc wróciliśmy do punktu wyjścia? – zwróciła się do Marcusa.

– Dlaczego?

– Nie wiem, jak mogło do tego dojść – wtrąciła zszokowana Tanya.

Griff uniósł zniekształconą artretyzmem rękę.

– Chodźmy go zapytać.

– Teraz? – Christine spojrzała na Griffa, Marcus i Tanya również.

– Tak. Adwokaci mają prawo do odwiedzin dwadzieścia cztery godziny na dobę. Właśnie się wybierałem, czekałem na ciebie, Christine. – Staruszek podniósł się z krzesła, przytrzymując się biurka. – Chodźmy.

– Dobrze – zgodziła się oszołomiona.

Marcus podał jej rękę i pomógł wstać.

ROZDZIAŁ 55

Christine, Griff, Marcus i Tanya czekali w milczeniu na Zachary'ego w ciasnym pokoju odwiedzin. Griff i Christine zajęli jedyne dwa krzesła, reszta stanęła za ich plecami. Christine nadal nie mogła dojść do siebie po strasznym dniu, zakończonym szokującą wiadomością, że jej dawca nie jest jej dawcą.

Małe pomieszczenie, w którym się znajdowali, było jedynym oświetlonym punktem na sali. Pozostałe krzesła i kabiny pozostawały puste i ciemne. Na całym piętrze panowała cisza, choć z innych części więzienia dobiegały męskie głosy odbijające się echem od betonowych murów. W małej salce było duszno i wilgotno. Na zewnątrz stał więzienny funkcjonariusz.

Christine wyprostowała się na widok Zachary'ego, wprowadzanego przez strażnika po drugiej stronie szyby. Jego twarz wciąż nosiła ślady niedawnego pobicia, zdała sobie sprawę, że to jedyne, co mają ze sobą wspólnego. Nie czuła już żadnej więzi z tym człowiekiem. Nie widziała twarzy Marcusa, który stał za nią, i była z tego zadowolona. Nie chciała znać teraz jego myśli.

Strażnik rozkuł Zachary'ego, otworzył drzwi kabiny po jego stronie i wprowadził więźnia do środka. Niebieskie oczy Jeffcoata promieniały szczęściem, mimo że jedno było nadal mocno opuchnięte.

– Czy to prawda? – powiedział, zanim usiadł, opierając się dłońmi o blat. Z szerokim uśmiechem przybliżył twarz do szyby. – Wychodzę? Złapali prawdziwego mordercę? Jeden ze strażników mi powiedział, usłyszał w wiadomościach. Ja siedzę w izolatce, nic nie wiem! Co się stało? Griff, wypuszczą mnie stąd?

– Rozmawiałem z prokuratorem – powiedział adwokat, unosząc dłoń. – Jeszcze nie jest pewien. Takie sprawy wymagają czasu. Może wypuszczą cię jutro, może pojutrze.

– Co się stało? Skąd wiedzą, że tego nie zrobiłem? Jak go złapali? – Zachary popatrzył na Christine, skonsternowany, lecz nadal szczęśliwy. – Co ci się

stało, Christine? Miałaś wypadek? Dlaczego przysłałaś w stroju pielęgniarki?

Griff ponownie go uciszył, unosząc dłoń.

– Zachary, jesteś winien Christine ogromną wdzięczność. Omal dziś nie zginęła, aby dowieść twojej niewinności. To dzięki niej zostaniesz zwolniony.

– Dziękuję z całego serca, Christine. – Popatrzył jej prosto w oczy. – Nie wiem, jak tego dokonałaś, ale jestem ci dozgonnie wdzięczny. Nikogo nie zabiłem, to nie ja zamordowałem Gail. A ty we mnie uwierzyłaś. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

– Proszę – odpowiedziała odruchowo, wstrząśnięta do głębi. Wyczytała w jego oczach szczerą, lecz przestała ufać swojej ocenie. Nie wierzyła już Zachary’emu.

Griff odchrząknął.

– Zachary, możesz się odwdzięczyć. Wytłumacz jej i Tanyi, dlaczego skłamałeś.

– Jesteś dawcą 3319 czy nie? – przemówiła Tanya stojąca za plecami Griffa. – Homestead twierdzi, że to nie ty. Mąż Christine właśnie się dowiedział.

Uśmiech zniknął z twarzy Zachary’ego. Patrzył z otwartymi ustami na Tanyę, Marcusa, wreszcie przeniósł wzrok na Christine i westchnął ciężko.

– Tak, okłamałem was. Bardzo, bardzo mi przykro. Nie jestem dawcą 3319, nigdy nie oddawałem ani spermy, ani krwi. Przepraszam, że was okłamałem.

Christine z wysiłkiem przełknęła ślinę, słowa Zachary’ego sprawiły jej fizyczny ból, były jak uderzenie w żołądek. Nie czuła złości, raczej zagubienie. Od jakiegoś czasu żyła myślą, że Zachary jest jej dawcą, ta świadomość motywowała ją do działania, a teraz straciła grunt pod nogami.

– Dlaczego? – zapytała z urazą Tanya. – Dlaczego mnie okłamałeś?

– Tanyu, ciebie również przepraszam z całego serca. – Popatrzył na nią ze skruchą. – Byłaś taka pewna, że to ja, i wydawałaś się taka sympatyczna... Pomyślałem, że jeśli potwierdzę, zechcesz mi pomóc. I pomogłaś. Nie zostawiłaś mnie w potrzebie, nawet pożyczyłaś połowę sumy, której potrzebowałem, żeby zapłacić Griffowi. Przepraszam, że skłamałem. Byłem zdesperowany, nie wiedziałem, co robić, szukałem pomocy. Możesz sobie wyobrazić, jak się czułem. Przyszedłem na randkę, a zastałem dziewczynę martwą, w kałuży krwi, więc wezwałem policję. Zanim się obejrzałem, wylądowałem za kratkami za morderstwo. Nazwali mnie seryjnym mordercą. Tonąłem i chwyciłem się brzytwy, to była czysta desperacja. – Zachary przeniósł spojrzenie na Christine, nachylił się ku niej z przejęciem. –

Christine, ciebie także przepraszam. Musiałem stąd wyjść. Naprawdę cię polubiłem.

Christine poczuła ukłucie, chciała mu uwierzyć, ale nie była w stanie. Pozwoliła mu mówić, ponieważ teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

– Miałem okazję poznać innych dziennikarzy, samych twardych, nieprzyjemnych ludzi. Ty od razu wydałaś mi się inna, miłsza. Lauren także. – Uśmiechnął się ciepło. – Gdy twoje pytania nabierały coraz bardziej osobistego charakteru, skojarzyłem, że pewnie tak jak Tanya zobaczyłaś mnie w telewizji i wzięłaś za swojego dawcę.

Christine zrozumiała, co się stało. Nie wiedziała o istnieniu Tanyi. Gdyby wiedziała, byłaby bardziej sceptyczna wobec wyznania Zachary'ego. Sądziła, że dotarła do niego jako pierwsza, ale wcześniejsza rozmowa z Tanya wszystko wyjaśniała.

– Christine – mówił cicho Zachary. – Zanim trafiłem do izolatki, odnalazłem w sieci stronę Homestead. Tanya podała mi nazwę banku i numer dawcy, przeczytałem jego notkę biograficzną, a dane wykorzystałem w rozmowie z tobą. Jestem sprzedawcą, sprzedałem ci swoją historię. Nie mówię tego, żeby się przechwalać, i nie jestem z tego dumny. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Pokiwała głową.

– Przepraszam, że skłamałem, ale rozumiesz mnie przecież, prawda? Ty również nie powiedziałaś mi prawdy. Kłamałaś z tego samego powodu, czyż nie? Kierowała tobą desperacja, rozpaczliwie potrzebowałaś informacji, o którą nie chciałaś zapytać wprost, jak zrobiła to Tanya. Nie wiem, dlaczego podjęłaś taką decyzję, ale nie mam do ciebie pretensji. Oboje mieliśmy swoje powody. Groziło mi spędzenie całego życia za kratkami. Media już wydały wyrok – mówił z gwałtownością podszytą lękiem. – Zostałem zmasakrowany, nawet uratowanie życia strażnikowi nie zmieniło mojej sytuacji. Zasada domniemania niewinności to fikcja. Samo aresztowanie wystarczy, żeby uznać człowieka za winnego. Oboje chwytałyśmy się brzytwy, prawda, Christine?

– Tak – przyznała szczerze. Ona także go okłamała pod wpływem desperacji.

– Co ani trochę nie umniejsza mojej wdzięczności. Przysięgam, że tym razem mówię prawdę. Nie miałem zamiaru narażać cię na niebezpieczeństwo, nie przyszło mi nawet do głowy nic podobnego. Liczyłem na twoje wsparcie i ucieszyłem się, kiedy zaczęłaś współpracować z Griffem. – Zachary sposepniał. – Nie sądziłem, iż coś ci grozi. Nie podejrzewałem cię o próbę

schwywania seryjnego mordercy.

Christine zdobyła się na uśmiech.

– Tak jakoś wyszło.

– Bogu dzięki, że ty jesteś cała, a ja prawie wolny. – Pochylił się z uśmiechem ku całej czwórce. – Kto mi opowie, co się właściwie stało?

ROZDZIAŁ 56

Christine, Marcus, Griff i Tanya wyszli razem z budynku więzienia i skierowali się na prawie pusty o tej porze parking. Drut kolczasty połyskiwał złowrogo w świetle padającym z budek strażniczych. Deszcz przestał lać, lecz nocne powietrze nadal pachniało wilgocią i zapachem ziemi. Kropelki wody tańczyły w kręgach światła rzucanych przez latarnie na parkingu.

Christine z lubością wdychała świeże, wiejskie powietrze i zatęskniła za morską bryzą. Za domem. Stała u boku Marcusa przed jego samochodem i zwróciła się do Griffa i Tanyi.

– Powinniśmy już jechać – powiedziała ze ściśniętym gardłem. – Przenocujemy w hotelu, a rano wyruszymy.

Tanya przytuliła ją na pożegnanie.

– Trzymaj się, Christine. Ja wracam już dziś. Stęskniłam się za Rangerem Rickiem. Cieszę się, że cię poznałam. Masz mój numer, więc dzwoń, kiedy tylko zechcesz.

– Ja też bardzo się cieszę, że cię poznałam – zapewniła szczerze. Podobało jej się podejście Tanyi do macierzyństwa i fajnie było poznać inną mamę w podobnej sytuacji.

– Nie masz żalu do Zachary’ego?

– Nie, a ty?

– Ja też nie. – Tanya zerknęła na Marcusa. – Nie ma dla mnie znaczenia, w jaki sposób dziecko przychodzi na świat. Najważniejsze, że jest. Nie zamieniłabym swojego na żadne inne. Jestem szczęściarą. Wszystkiego dobrego i powodzenia dla was.

– Wzajemnie. – Zastanawiała się, czy Marcus docenił mądrość zawartą w słowach Tanyi.

– Zrobiłaś dziś coś wspaniałego. – Promienny uśmiech kobiety rozjaśnił mrok. – Będiesz cudowną mamą, to widać.

– Dzięki – powiedziała z drzeniem w głosie, które nasiliło się, gdy

popatrzyła na Griffa. – Będę za tobą tęsknić, Mistrzu.

– A ja za tobą – odpowiedział ponuro. – Musimy się ścisnąć?

– Wiesz, że tak. – Zamknęła go w ostatnim, pożegnalnym uścisku. – Dbaj o siebie, co?

– Dobra. Ty też.

– I odezwij się raz na jakiś czas, zgoda? Chcę wiedzieć, jak twoje samopoczucie po usunięciu halluksów.

– Załatwione. Napiszę ci mejla. – Zakrztusił się ze śmiechu, ubawiony własnym żartem.

– Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Nie uciekniesz przed postępem.

– Nie strasz mnie – zachichotał staruszek i podał rękę Marcusowi. – Dbaj o nią, młody człowieku. Masz szczęście. Codziennie tęsknię za swoją żoną.

Christine stanęły łzy w oczach, kiedy usłyszała nieoczekiwaną czułość w głosie Griffa. Choć nie widziała dokładnie jego twarzy, wiedziała, jak teraz wygląda. Nigdy go nie zapomni ani lekcji, którą od niego dostała.

Marcus uścisnął dłoń adwokata.

– Tak jest, proszę pana. Dużo zdrowia i niech pan dalej walczy z siłami zła.

– E tam, wolę pozostać prawnikiem. – Griff zaśmiał się serdecznie, pozostali mu zawtórowali.

– Gotowa? – zapytał Marcus, który nadal sprawiał wrażenie spiętego.

– Jasne. – Pomachała Griffowi i Tanyi. – Do widzenia!

– Jedź ostrożnie! – zawołał Griff. – I nie gadaj przez ten cholerny telefon!

Christine pomachała mu ze śmiechem. Cieszyła się, że zostawia za sobą więzienne mury i Zachary'ego, chociaż nie wiedziała, co na nią czeka w domu.

ROZDZIAŁ 57

Siedzieli obok siebie w samochodzie i milczeli, ona na fotelu pasażera, on za kierownicą. Jechali krętą, wiejską drogą w kierunku West Chester. Christine znała swojego męża wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że właśnie analizuje minione wydarzenia i formułuje opinie. Zanim dojadą do hotelu, będzie dokładnie wiedział, co powiedzieć, i wtedy najprawdopodobniej dojdzie do kłótni. Ich małżeństwo mogło nie przetrwać do północy.

– Głodna? – zapytał, biorąc zakręt.

– Tak, ale nie chcę teraz nic jeść. Jestem bardziej zmęczona niż głodna.

– No pewnie. – Marcus zamilkł, Christine oparła głowę o zagłówek i wyjrzała przez okno. Chmury przesłoniły księżyc. Obserwowała mroczne pastwiska i niewyraźne sylwetki koni. Widziała już tyle koni, że wystarczy jej na całe życie, tęskniła za widokiem statków. I plaży.

– Boli cię coś?

– Nie – odpowiedziała na dwuznaczne pytanie, na które nie znała prawdziwej odpowiedzi. Niczego już nie była pewna. Może po kłótni w hotelu coś się wyklaruje.

– Dostałaś coś przeciwbólowego?

– Nie potrzebuję.

– Kto ci przytrzymał włosy, gdy wymiotowałaś dziś rano? – zapytał łagodnie.

– Musiałam sobie radzić sama – odparła z uśmiechem.

– Bez sensu. Przy okazji – Lauren cię pozdrawia. Martwiła się o ciebie. Dzwoniłem też do twojej mamy, nie chciałem, żeby dowiedziała się z telewizji. Na szczęście oglądali teleturniej.

– Dzięki. – Poczula wyrzuty sumienia.

– Dzielnie to zniosła, ale prosiła, żebyśmy do niej jak najszybciej zadzwonili. Możemy z hotelu.

– Dziękuję, że z nią porozmawiałeś.

– Nie ma za co. – Opony zazgrzytały na zwirowej nawierzchni, gdy Marcus nagle zjechał na pobocze.

– Co robisz? – Patrzyła na niego ze zdumieniem.

– Muszę z tobą porozmawiać. Nie chcę tego odkładać.

– Dobrze – odpowiedziała ze ściśniętym sercem, w napięciu patrząc Marcusowi w oczy. Na jego przystojnej twarzy malowało się zdenerwowanie.

– Przepraszam za wszystko, nie miałem racji. – Zawahał się, zacisnął zęby. – Nie powinienem był pozwolić, byś przyjechała tu sama. Od początku, od diagnozy zachowywałem się jak dupek. Wstrętny egoista, który myśli tylko o sobie.

Christine przełknęła nerwowo ślinę, zupełnie ją zaskoczył.

– Po twoim wyjeździe coś do mnie dotarło. Przekonałem się, ile jesteś w stanie poświęcić, ile zrobić dla tego dziecka, dla naszego dziecka... – Zamrugał oczami, by powstrzymać łzy. – Nie bez powodu ożeniłem się właśnie z tobą. Kocham cię i chcę, żebyśmy razem przeszli przez życie. Nigdy już nie zostawię cię samej w potrzebie. Poradzimy sobie razem ze wszystkim. Musiałaś wyjechać, żebym zdał sobie z tego sprawę.

Christine nie wierzyła własnym uszom, Marcus nigdy nie mówił do niej w ten sposób, z takim uczuciem. Znów poczuła się bezpieczna.

– Wtedy też uzmysłowiłem sobie, czym w istocie jest rodzicielstwo. Bycie rodzicem, ojcem, to dbanie o kogoś innego bardziej niż o siebie, ale ja nigdy wcześniej nie byłem niczym ojcem i – szczerze powiedziawszy – nie troszczyłem się o nikogo bardziej niż o siebie. Nawet o ciebie – mówił ze łzami w oczach. – To się jednak zmieni, już się zmienia, dlatego wyjechałem dziś rano, jeszcze przed telefonem od Gary’ego. Jechałem tu, żeby przywieźć moją żonę i moje dziecko do domu.

Poczuła wszechogarniającą miłość, która ogrzewała ją od środka, płynęła w jej żyłach razem z krwią. Pozwoliła mu mówić dalej.

– Chcę być lepszym ojcem niż mój ojciec. Nie pozwolę, żeby duma przesłoniła mi to, co w życiu najważniejsze. Nie będę krzywdzić tych, których najbardziej kocham. Nie zrujnuję wszystkiego, na czym mi zależy. Kochanie, trochę to trwało, może nie jestem najbystrzejszy, ale nareszcie zrozumiałem, kto jest ojcem tego dziecka. Ja nim jestem.

– Och, skarbie! – Wyciągnęła ku niemu ramiona. Przyłgnęli do siebie, mąż i żona, sami w ciemnościach, na odludziu. Ona cała w sińcach i ranach, lecz po raz pierwszy ich uścisk stanowił azyl bezpieczeństwa dla dziecka, które

miało się wkrótce narodzić.

„Pora wracać do domu”, pomyślała Christine.

EPILOG

To był typowy styczniowy dzień w Connecticut, na zewnątrz szalała trzecia w tym roku burza śnieżna, wiatr stukał okiennicami. Śnieg zasypał główne drogi, przykrył dachy domów i samochodów, obciążył gałęzie drzew i linie wysokiego napięcia. Christine siedziała w swojej sypialni, było jej ciepło i czuła się bezpiecznie. Marcus dopiął swego i kupił generator prądu, ponieważ nie chciał ryzykować w razie awarii, odkąd na świecie pojawił się Brian Paul Nilsson, który ważył obecnie cztery kilogramy i trzynaście gramów, a urodził się przed dwoma tygodniami z uśmiechem na buzi.

Powitały go same szczęśliwe twarze.

Poród przebiegał bez powikłań, jeśli można tak powiedzieć o najbardziej rozzdzierającym bólu, jakiego może doświadczyć kobieta. Marcus cały czas był przy Christine, podpowiadał, kiedy ma przeć, a kiedy przestać, i przeciął pępowinę, gdy mały Brian dokonał wielkiego wejścia, tak cichutko, że oboje się przestraszyli, iż coś mu dolega. Szybko wyprowadził ich z błędu głośnym płaczem i spełnił jeszcze jedno marzenie swej mamy. Zawsze chciała być jedną z tych kobiet, które widywała na filmach, wycieńczonych porodem, spoconych, z zachwycającym zawiniątkiem szczęścia w ramionach. Jej małe szczęście miało niebieskie oczka, rozkoszne małe usteczka i brązowego irokeza na główce.

Leżała teraz w łóżku i wspominała szczęśliwe chwile. Był środek nocy, w sypialni panowała ciemność, nie licząc poświaty z włączonego telewizora. Na ekranie opatulony w kożuch meteorolog robił pomiary zasp śnieżnych. Oglądała ostatnio wyłącznie kanał pogodowy, by uniknąć złych wiadomości podawanych przez CNN i podobne stacje. Naoglądała się już dość przemocy, niektóre sceny nadal do niej wracały w najmniej oczekiwanych momentach, nie mogła się z nich otrząsnąć. Pocieszała ją świadomość, że wymiar sprawiedliwości dysponował wystarczającą ilością materiałów dowodowych potwierdzających, iż Gail Robinbrecht, Susan Allen-Bogen i Lynn McLeane

zginęły z ręki Dominica Gagliardiego. Znalaziono w jego komputerze makabryczne zdjęcia oraz odkryto „trofea”, które sobie przywłaszczył po zabiciu trzech pielęgniarek. Policja nie wyjawiała, co to konkretnie, a Christine nie chciała wiedzieć. Zachary wyszedł z więzienia, wrócił do pracy w Brigham i z nowym zapałem przystąpił do gromadzenia pieniędzy na studia medyczne.

Myślała o nim od czasu do czasu, nawet teraz. Mimo całej grozy tamtych wydarzeń w pewnym sensie dostali prezent od losu. Marcus miał rację, nie wrócili do punktu wyjścia. Gdyby nie Zachary i wyjazd do Pensylwanii, kryzys w ich małżeństwie wciąż by się pogłębiał, a Marcus nie potrafiłby powitać Briana z taką miłością. Tamtego dnia narodził się nowy tata i wszyscy poznali prawdę. Brian także ją pozna, kiedy przyjdzie na to czas.

Christine rozmyślała o swoim szczęściu, podczas gdy młody tata czuwał przy dziecku, karmiąc je mlekiem z piersi przelanym do butelki. To była kolejna z filmowych scen, o których marzyła w prawdziwym życiu. Marcus dyżurował, by się wyspała, ale ona nie mogła i nie chciała spać. Rozkoszowała się chwilą, słuchając przez elektroniczną nianię szwedzkiej kołysanki nuconej przez Marcusa. Zamiast spać, ze łzami w oczach kontemplowała swoje bezgraniczne szczęście.

Z niecierpliwością wyczekiwała kolejnych filmowych momentów: pierwszych kroków Briana, pierwszego dnia w przedszkolu, pierwszej książki Dr. Seussa, pierwszej dziewczyny, balu maturalnego, studiów i wielu, wielu innych. Scen, na które ma nadzieję każdy rodzic, w filmie, jakim jest życie. Christine wiedziała, że niektóre z jej oczekiwań zostaną spełnione, nawet z nawiązką, a czasem życie potoczy się zupełnie inaczej, niżby pragnęła, ale była gotowa przyjąć wszystko, co przyniesie im los.

Czekała na dziecko, pragnęła go najbardziej na świecie, idealnego w swojej niedoskonałości małego człowieka. Jej marzenie zostało spełnione. Miała rodzinę.

PODZIĘKOWANIA

Od dawna nosiłam się z zamiarem napisania o nauczycielach, których uważam za niedocenianych bohaterów codzienności. Za każdym razem, gdy jakiegoś poznaję, przepełnia mnie zdumienie i podziw dla energii, pasji i serca, jakie wkładają w swoją pracę. Nic więc dziwnego, że główną bohaterką mojej książki została wreszcie nauczycielka. Christine Nilsson jest co prawda postacią fikcyjną, lecz mam nadzieję, że z jej pomocą uhonoruję wszystkich nauczycieli na świecie.

Dziękuję im zatem jako pierwszym, za wszystko, co dla nas robią, szczególnie zaś Kellie Bean, która prowadzi zajęcia z nauki czytania w szkołach w północnym rejonie hrabstwa Chester. Kellie zabrała mnie ze sobą do szkoły, przedstawiła swoim wspaniałym kolegom i koleżankom, odpowiedziała na wszystkie moje pytania. Jestem ogromnie wdzięczna za poświęcony czas i udzielone informacje. Bardzo ją lubię i podziwiam. Zarówno jej, jak i Malindzie McKillip, dyrektorce French Creek Elementary, należą się gorące podziękowania.

Pisanie sprawiło mi ogromną przyjemność, ponieważ zyskałam okazję, by zdobyć wiedzę na temat bezpłodności i metod jej leczenia, a także wyzwań emocjonalnych, przed jakimi stają osoby zmagające się z tym problemem. O pomoc zwróciłam się do zacnego grona ekspertów, które chciałabym w tym miejscu wyróżnić. Placówki medyczne – wraz z lekarzami i personelem – opisane w tej historii są fikcyjne, a za wszelkie błędy biorę całkowitą odpowiedzialność.

Dziękuję doktorowi Michaelowi Glassnerowi, doktorowi Johnowi Orrisowi i doktor Sharon Anderson z kliniki Main Line Fertility za poświęcenie cennego czasu na edukowanie mnie w zakresie leczenia niepłodności. Trudno sobie wyobrazić bardziej zaangażowanych i troskliwych specjalistów, codziennie dokonują cudów. Jestem im bezgranicznie wdzięczna, zasługują na ogromny szacunek. Dziękuję również androlog Liz Verrecchio oraz specjalistce od

ubezpieczeń Anne Yarrow Walters, także z Main Line Fertility, za ich nieocenioną pomoc. I rodzinie w czekoladzie!

Dziękuję doktor Andrei Boxer i doktor Judy Mechanic Braverman, które udzielają pomocy psychologicznej parom zmagającym się z problemem niepłodności. Te dwie wspaniałe osoby podzieliły się ze mną swoją wiedzą i życzliwością, pomogły lepiej zrozumieć głównych bohaterów. Mam wobec nich wielki dług wdzięczności. Dziękuję.

Dziękuję Rose Jardine, doświadczonej doradczynie do spraw genetyki, która pomogła mi spojrzeć na genetyczne aspekty dawstwa spermy i komórek jajowych. Dziękuję doktor Allison Shirker z Kliniki Chorób Kobięcych w Pensylwanii.

Specjalne podziękowania dla Johna Bierkana – i Smartie Martie!

Ponadto, jako rasowy mól książkowy, przeczytałam mnóstwo publikacji, które pomogły mi w kwestii merytorycznej. (Najpierw uczymy się czytać, potem czytamy, żeby zdobywać wiedzę – jak mawiają nauczyciele). Szczerze polecam następujące tytuły: *The Root Cause: Male Infertility and How to Get Past It* (Źródło męskiej bezpłodności. Jak je ominąć) Gabriela Leone, *Test Tubes and Testosterone: A Man's Journey into Infertility and IVF* (Próbówki i testosteron: męskie zmagania z bezpłodnością i in vitro) Michaela Saundersa, *How to Make Love to a Plastic Cup: A Guy's Guide to the World of Infertility* (Jak się kochać z plastikowym kubkiem: Przewodnik po świecie bezpłodności dla facetów) Grega Wolfe'a, *W oczekiwaniu na dziecko* Heidi Murkoff, *Finding Our Families* (Odnaleźć rodzinę) Wendy Kramer i Naomi Cahn, *Taking Charge of Your Fertility* (Płodność pod kontrolą) Toni Weschler oraz *The Serial Killer Files* (Akta seryjnego mordercy) Harolda Schechtera.

Jestem prawniczką, lecz nie specjalizuję się w prawie karnym, zwróciłam się zatem o pomoc do drogiego przyjaciela, a zarazem genialnego specjalisty w swoim zawodzie, Nicholasa Casenty, szefa prokuratury w hrabstwie Chester. Nick uczestniczył w pisaniu każdej z moich dotychczasowych książek, nie wyobrażam sobie pracy bez jego fachowych porad. Specjalne podziękowania zechce przyjąć także Jerry Dugan, jeden z najbardziej doświadczonych adwokatów w Filadelfii, za pomoc w nawigowaniu pośród prawniczych detali.

Dziękuję Lindzie Vizi, byłej agentce specjalnej Federalnego Biura Śledczego w Filadelfii, oraz Rayowi Carrowi, byłemu psychologowi kryminalnemu FBI w filadelfijskim biurze, za ich wiedzę oraz czas, który mi poświęcili.

Po wiedzy medyczną zwróciłam się do genialnego kardiologa doktora Johna O'Hary ze szpitala Paoli oraz ulubionej studentki medycyny, przyszłej pani doktor, Nory Demchur. Dziękuję Vince'owi Gayowi, Ronowi Templetonowi i Yajairze Reyes z firmy Sklar Medical Instruments.

Specjalne podziękowania dla Keitha i Rity Kaplan.

Dziękuję mojemu wydawcy, Jennifer Enderlin, dzięki której moje książki stają się lepsze, ona jest dla mnie nieocenionym źródłem codziennej inspiracji. Serdeczności i podziękowania dla wspaniałego zespołu wydawnictwa St. Martin's Press: Johna Sargenta, Sally Richardson, Jeffa Dodesa, Paula Hochmana, Jeffa Capshew, Stephanie Davis, Briana Hellera, Branta Janeway, Lisy Senz, Johna Karle'a, Tracey Guest, Dori Weintraub, Michaela Storringsa, Anne-Marie Tallberg, Nancy Trypuc, Kerry Nordling, Elizabeth Wildman, Eleny Yip, Talii Sherer, Kim Ludlum, oraz cudownych przedstawicieli handlowych. Wielkie dzięki dla Michaela Storringsa za doskonały projekt okładki. Ucałowania dla Mary Beth Roche, Laury Wilson, Samantha Edelson i reszty wspaniałych ludzi z działu audiobooków. Kocham i cenię was wszystkich!

Wyrazy wdzięczności i sympatii dla Roberta Gottlieba z Trident Media Group, którego zaangażowanie i mądrość doprowadziły do publikacji tej książki, oraz dla Nicole Robson, wraz z jej zespołem ds. mediów cyfrowych, za pomoc w promocji moich książek. Nicole pracowała z poświęceniem, kiedy sama była w ciąży, za co jestem jej dogonnie wdzięczna. (Witaj na świecie, mała Elle!).

Stokrotne dzięki i kolejna porcja uścisków dla mojej oddanej asystentki i najlepszej przyjaciółki, Laury Leonard. Jest nieoceniona pod każdym względem już od ponad dwudziestu lat. Dziękuję również mojej kumie i asystentce Nan Daley oraz George'owi Davidsonowi za to, że dbają o wszystko, abym ja mogła skupić się na pisaniu!

Wreszcie dziękuję mojej najukochańszej córce Francesce za wsparcie, śmiech i miłość.

POMYSŁY DLA DYSKUSYJNYCH KLUBÓW KSIĄŻKI

List od Lisy

Jestem zagorzałą fanką klubów książki, ponieważ są one dowodem na to, że ludzie czytają i rozmawiają o książkach. Dodajcie do tego wino i węglowodany, a już się mnie nie pozbędziecie. Jestem głęboko wdzięczna wszystkim czytelnikom za wybór mojej powieści przez klub. To dla mnie zaszczytne wyróżnienie. Chciałam podziękować ludziom, którzy czytają moje książki, i przy tej okazji zrodził się pomysł na konkurs. Co roku organizuję konkurs dla grup dyskusyjnych, a zwycięską ekipę odwiedzam i spędzamy wspólny wieczór przy pysznym jedzeniu i wybornym winie. Zasady są proste: wystarczy zrobić grupowe zdjęcie klubu, na którym każdy z członków trzyma moją najnowszą powieść wydaną w twardej oprawie, a następnie przesłać je do mnie tradycyjną pocztą lub mejlem. Żaden klub nie jest za mały ani za duży. Nie należysz do żadnego? Załóż go. Zaangażuj bliską osobę, sąsiada, przyjaciółkę i przyślij mi Wasze zdjęcie z moją ostatnią książką. Już się cieszę na myśl o wizycie w Waszym mieście i wspólną kolację. Szczegóły znajdziecie na stronie www.scottoline.com.

Uwielbiam podróże promocyjne, mam wtedy okazję przewietrzyć eleganckie ubrania i poznać ciekawych, wesołych ludzi z całego kraju. Przez pozostałą część roku jestem domatorką, piszę codziennie, ale z przyjemnością utrzymuję kontakt mejlowy z czytelnikami. Czytam wszystkie wiadomości i odpowiadam na tyle, na ile jestem w stanie, więc piszcie do mnie o książkach, rodzinie, pupilach, miłości, o czym tylko chcecie, na adres lisa@scottoline.com. Jeżeli potrzebujecie informacji na temat mojej najnowszej publikacji, trasy promocyjnej, specjalnych promocji i aktualności, zapiszcie się na subskrypcję newslettera pod adresem www.scottoline.com.

Lisa Scottoline

PYTANIA DO DYSKUSJI

1. Trudności z poczęciem dziecka mogą się odbić na związku. Co sądzisz na temat relacji Christine i Marcusa? W jaki sposób się zmieniła? Czy uważasz, że ich małżeństwo było skazane na kryzys niezależnie od problemów z płodnością? Jeśli tak – dlaczego?
2. Wiele par dotyka problem z płodnością. Szukają wtedy pomocy w nowoczesnej medycynie. Czy zaskoczyło cię coś, czego się dowiedziałeś/dowiedziałas na temat procesu starania o dziecko? Słyszałaś/słyszałeś o przypadłości Marcusa? Jakie są twoje odczucia wobec całego procesu? Niektórzy uważają pomoc bezpłodnym parom w poczęciu dziecka za „zabawę w Boga”. Zgadzasz się z tym? Czy uważasz, że różnice pokoleniowe odgrywają ważną rolę w podejściu do tego zagadnienia? Jaką opcję wybrałabyś/wybrałbyś na miejscu Christine i Marcusa?
3. Podczas gromadzenia materiałów do książki Lisa odkryła, że dawczyni komórek jajowych są poddawane szczegółowym testom, także psychologicznym, lecz nie dotyczy to dawców spermy. Jak myślisz, dlaczego procedury dotyczące kobiet i mężczyzn różnią się tak znacząco? Czy sądzisz, iż brak tej równowagi odzwierciedla podwójne standardy wobec płci? Jaką odpowiedzialność ponoszą banki spermy wobec klientów? Czy powinny śledzić dalsze losy dawców, a także informować klientów o ewentualnych niepokojących faktach po sfinalizowaniu transakcji? Czym różni się podejście mężczyzn do problemów z własną płodnością od podejścia kobiet?
4. Pary zmagające się z problemem niepłodności stają przed wyjątkowo trudną emocjonalnie decyzją, jaką jest poddanie się procedurom medycznym w celu poczęcia dziecka. Czy ten obszar medycyny podlega wystarczającej kontroli, aby ustrzec tych ludzi przed nadużyciem ich zaufania dla zysku? Jak mogą się przed tym uchronić?

5. Jakie prawa posiada dziecko w takiej sytuacji? Co ciekawe, prawo Stanów Zjednoczonych zezwala na anonimowe dawstwo spermy, podczas gdy w Wielkiej Brytanii istnieje wymóg wyjawienia dziecku tożsamości rodzica. Co sądzisz o tej różnicy? Czy szczegółowe informacje pozostawione przez anonimowego dawcę są dla dziecka wystarczające? Czy chciałabyś/chciałbyś poznać swojego biologicznego rodzica? A gdybyś skorzystała/skorzystał z usług banku nasienia, jakie byłyby twoje odczucia wobec ewentualnego spotkania dziecka z dawcą? W jakim wieku, jeśli kiedykolwiek, powiedziałabyś/powiedziałbyś swojemu dziecku? Część ekspertów, z którymi rozmawiała Lisa, sugerowała, że sześć lat lub nawet mniej to odpowiedni wiek. Zgadzasz się z nimi?
6. Biologia czy wychowanie? Skłonność do stosowania przemocy jest według ciebie genetyczna czy raczej wywołana czynnikami środowiskowymi? Czy sądzisz, że gen wojownika istnieje? Jeśli tak, czy dzieci powinny być poddawane testom na jego obecność, biorąc pod uwagę ogrom otaczającej nas przemocy? Jeżeli nie, dlaczego? Jakie byłyby potencjalne korzyści, a jakie zagrożenia?
7. Napięcie wynikające z rywalizacji pomiędzy Marcusem i jego ojcem jest wręcz namacalne. Czy ta rywalizacja miała pozytywny wpływ na Marcusa, czy raczej mu zaszkodziła? Jakie są podobieństwa między nimi, a co ich różni? Czy sądzisz, że podjął dobrą decyzję, gdy odmówił współpracy z ojcem w jego firmie? Który z nich budzi większą sympatię i dlaczego? Czy matki i córki rywalizują między sobą w podobny sposób jak ojcowie i synowie?
8. Christine, jak większość matek, zrobiłaby dla swojego dziecka wszystko. Jaka jest najbardziej szalona rzecz, którą zrobiłaś/zrobiłeś dla swojego dziecka albo twój rodzic dla ciebie?
9. Pragnienie rozgłosu stanowi dla niektórych pokusę. Christine podaje się za dziennikarkę zbierającą materiały do książki o seryjnym mordercy. W większości stanów istnieją prawa zakazujące przestępcom czerpania zysków z umów wydawniczych, produkcji filmowych i telewizyjnych, a mimo to kryminaliści wciąż łakną sławy. Co możemy zrobić jako społeczeństwo, aby zbrodnia nie stała się wydarzeniem medialnym? Może zbyt często koncentrujemy się na sprawcy zamiast na ofierze? W jakim stopniu odpowiedzialność za to ponoszą media, a w jakim

opinia publiczna wspierająca sensacjonalizm medialnych doniesień?

10. *Czekam na ciebie* jest opowieścią o rodzinnym kryzysie. Każda rodzina staje przed wyzwaniem, które mogą ją wzmocnić lub podzielić. Jakie wyzwania ma za sobą twoja rodzina, w jaki sposób zmieniła się pod ich wpływem? Co, patrząc z perspektywy czasu, zrobiłabyś/zrobiłbyś inaczej, a co tak samo?

Spis treści

[ROZDZIAŁ 1](#)
[ROZDZIAŁ 2](#)
[ROZDZIAŁ 3](#)
[ROZDZIAŁ 4](#)
[ROZDZIAŁ 5](#)
[ROZDZIAŁ 6](#)
[ROZDZIAŁ 7](#)
[ROZDZIAŁ 8](#)
[ROZDZIAŁ 9](#)
[ROZDZIAŁ 10](#)
[ROZDZIAŁ 11](#)
[ROZDZIAŁ 12](#)
[ROZDZIAŁ 13](#)
[ROZDZIAŁ 14](#)
[ROZDZIAŁ 15](#)
[ROZDZIAŁ 16](#)
[ROZDZIAŁ 17](#)
[ROZDZIAŁ 18](#)
[ROZDZIAŁ 19](#)
[ROZDZIAŁ 20](#)
[ROZDZIAŁ 21](#)
[ROZDZIAŁ 22](#)
[ROZDZIAŁ 23](#)
[ROZDZIAŁ 24](#)
[ROZDZIAŁ 25](#)
[ROZDZIAŁ 26](#)
[ROZDZIAŁ 27](#)
[ROZDZIAŁ 28](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)

[ROZDZIAŁ 30](#)

[ROZDZIAŁ 31](#)

[ROZDZIAŁ 32](#)

[ROZDZIAŁ 33](#)

[ROZDZIAŁ 34](#)

[ROZDZIAŁ 35](#)

[ROZDZIAŁ 36](#)

[ROZDZIAŁ 37](#)

[ROZDZIAŁ 38](#)

[ROZDZIAŁ 39](#)

[ROZDZIAŁ 40](#)

[ROZDZIAŁ 41](#)

[ROZDZIAŁ 42](#)

[ROZDZIAŁ 43](#)

[ROZDZIAŁ 44](#)

[ROZDZIAŁ 45](#)

[ROZDZIAŁ 46](#)

[ROZDZIAŁ 47](#)

[ROZDZIAŁ 48](#)

[ROZDZIAŁ 49](#)

[ROZDZIAŁ 50](#)

[ROZDZIAŁ 51](#)

[ROZDZIAŁ 52](#)

[ROZDZIAŁ 53](#)

[ROZDZIAŁ 54](#)

[ROZDZIAŁ 55](#)

[ROZDZIAŁ 56](#)

[ROZDZIAŁ 57](#)

[EPILOG](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[POMYSŁY DLA DYSKUSYJNYCH KLUBÓW KSIĄŻKI](#)

PYTANIA DO DYSKUSJI